



*Antykwarjat
spełnionych
marzeń*

*Porusza.
Pozwala marzyć.
Daje nadzieję.*

DOROTA
—
GAŚSIOROWSKA

DOROTA
GAŚSIOROWSKA

*Antykwariat
spełnionych marzeń*



mędzy
słowa*mi*

Pamięci babci Zofii,

która jest dobrym duchem naszej rodziny



Śtare krakowskie uliczki kąpały się w strugach jesiennego deszczu. Padało od kilku dni, a studzienki ściekowe nie nadążały zbierać wody, która zalewała chodniki. Emilia szła środkiem Floriańskiej. Nawet nie starała się omijać kałuż. Na nogach miała wysokie kalosze, a w ręku duży parasol w kolorowe paski. Nie śpieszyła się. Co chwila zatrzymywała wzrok na sklepowych witrynach lub oknach kamienic. Na moment stanęła przy salonie z biżuterią, przyglądając się oryginalnemu medalionowi z eliptycznym bursztynem. W szybie zamajaczyła jej sylwetka. Przyjrzała się sobie dokładniej. Drobną, okrągłą twarz, jasnozielone oczy, sprawiające wrażenie wiecznie zdziwionych, i ładnie wykrojone, pełne usta z zamyślnym uśmiechem. Ciemne proste włosy pod wpływem wilgoci nieco przykleiły się do ramion, a na zarumienione policzki spadła niewielka kropla wody z brzegu parasola. Starła ją natychmiast i włożyła rękę do kieszeni paltka w kolorze butelkowej zieleni, idealnie dopasowanego w pasie do jej szczupłego ciała. Zaraz potem wsunęła rękę we włosy i przeczesła je, chcąc poprawić fryzurę. Natrafiła palcami na wypukłe, rubinowe oczko srebrnej spinki. Zapięła ją dokładniej. Poczowała dotkliwy chłód i ruszyła przed siebie. Drogę znała doskonale. To była jej stała trasa już od kilku lat, odkąd zaczęła pracować w antykwariacie na Siennej.

Dwa lata temu skończyła polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale u pana Franciszka terminowała jeszcze w czasach liceum. Właściwie od dziecka znała jego sklepik. Kochała tego starego człowieka i książki, którymi się otaczał. Trzymał je nie tylko w swoim antykwariacie. Opasłe, podniszczone tomy tkwiły niemal we wszystkich kątach jego przedwojennego domu znajdującego się niecałe trzydzieści minut drogi od głównego rynku.

Gęste krople deszczu uderzały o parasole przechodniów. Emilia weszła na Rynek. Odwróciła się, licząc, że być może zaraz zobaczy pana Franciszka, ale zamiast znajomej twarzy dostrzegła tylko kilka skulonych gołębi szukających schronienia pod ulicznym straganem. Popatrzyła na kolorowe, zroszone deszczem kwiaty wystawione przez kwiaciarki. Wyglądały świeżo i pięknie. Ich barwy ożywiały ponury, zamglony pejzaż soczystym refleksem. Przystanęła przy bukietach białych margerytek i zaraz znów ruszyła przed siebie. Przeszła obok sklepu z pamiątkami i ulubionej piekarni. Dziś nie wydobywał się z niej aromat świeżych wypieków. Zamknięte przeszkłone drzwi broniły wnętrza przed natrętnymi odwiedzinami deszczu. Z oddali dostrzegła duże okno zakończone łukiem, rozjaśnione światłem niewielkiej lampy. Pan Franciszek był już w środku. Kiedy otworzyła drzwi, on jak zwykle siedział przy niedużym biurku na zapleczu, gdzie wcześniej siadywali jego ojciec i dziadek. Antykwariat przetrwał czas wojny i burzliwe zmiany ustroju. Bywało różnie, ale mały sklepik z książkami, który pan Franciszek otrzymał na dwudzieste pierwsze urodziny od swojego ojca – Alojzego,

stał nadal.

– Dzień dobry! – odezwała się głośno. Wiedziała, że antykwariusz, zaczytany, zapominał o bożym świecie. Nawet niewielki mosiężny dzwonek, wiszący nad drzwiami, często nie był w stanie przywołać go do rzeczywistości.

– Witaj, kochana!

Weszła dalej. Poczowała znajomy zapach tabaki, którą pan Franciszek zawsze nosił przy sobie. Nie zażywał jej już tak namiętnie jak w młodości, ale nieduże pudełeczko musiał mieć zawsze pod ręką.

– Panie Franciszku, zaparzę kawę.

Antykwariusz zamruczał z aprobatą. Emilia weszła za rząd długich dębowych regałów, gdzie znajdowały się niewielka kuchenka elektryczna i wąska szafka, wciśnięta w narożnik pomieszczenia. Wyjęła z niej zmieloną arabikę, sproszkowany kardamon, goździki, imbir i aromatyczny cynamon. Do niewielkiego garnka wlała wodę i postawiła na kuchence. Kiedy woda zawrzała, Emilia po kolei wsypała do niej wszystkie składniki. Już po chwili całe wnętrze wypełnił zapach korzennej kawy, którą oboje pili każdego ranka. Właśnie tak zaczęli wspólnie kolejny dzień.

– Proszę. – Postawiła filiżankę na biurku.

– Dziękuję – mruknął Franciszek, nie podnosząc głowy znad otwartej książki.

– Jest idealna, wczoraj kupiłam nową porcję przypraw.

– Tak, tak... rzeczywiście. – Oderwał wzrok od tekstu i zdjął duże druciane okulary. Włożył je do welurowego, brązowego etui, które niegdyś miało barwę soczystej zieleni. Powoli zbierał myśli. Jego jasnoniebieskie oczy bez okularów wydawały się mniejsze i lekko zapadnięte. Jak zawsze były jednak wesołe i żywe. Z burzą siwych, niezbyt perfekcyjnie zaczesanych włosów Franciszek wyglądał jak miły starszy pan. Szczupła twarz, wąski, prosty nos i nieduże usta o lekko uniesionych kącikach sprawiały, że postrzegano go jako pogodnego człowieka.

Emilia poprawiła włosy, przesuwając lekko spinę w taki sam sposób, jak czyniła to Zofia. To zawsze rozczułało Franciszka.

– Dobrze, że jesteś. – Uśmiechnął się, odstawiając filiżankę na brzeg biurka.

Rzuciła okiem na książkę, którą Franciszek kartkował jeszcze przed chwilą. Przypominała tę z dzieciństwa, *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*. Też miała ciemnobrązową, bardzo zniszczoną okładkę.

– Co to za książka?

Franciszek przysunął tom do siebie i położył na nim dłoń. Wyglądało to tak, jakby chciał go ogrzać. Potem pogładził sfatygowaną okładkę i cofnął rękę.

– To ulubiona książka Zosi...

– Nie wiedziałam. – Przyglądała się z ciekawością zniszczonemu egzemplarzowi. – To znaczy... nigdy wcześniej jej nie widziałam.

– Zosia nie pokazywała jej nikomu. Sam nie wiem, dlaczego ta książka była dla niej taka ważna.

– Ważna? W jakim sensie? – Przybliżyła się, ale nie miała śmiałości, by wziąć ją do rąk. Niby wyglądała jak jedna z tysiąca innych książek w antykwariacie. Było w niej jednak coś, co czyniło ją niepodobną do reszty. Wytarte litery, kiedyś prawdopodobnie złote, po których teraz zostały jedynie wyblakłe kontury, przyciągały uwagę Emilii. Wpatrywała się w okładkę zachłannie, jakby chciała z niej odgadnąć treść książki. *Na właściwym brzegu* – przeczytała tytuł, bez powodzenia starając się dostrzec imię i nazwisko autora.

– To zbiór aforyzmów. Część z nich jest niedokończona. Niby nie brakuje stron, ale ma się wrażenie, że autor nie napisał najistotniejszego, jakby dawał czytelnikowi swobodę dopowiedzenia. Wydaje się, że niektóre fragmenty nie pasują do pozostałych. Ta książka intryguje mnie już od tylu lat. Mój dziadek Wincenty opowiadał, że kiedy był młody, książkę razem ze stertą innych wiekowych egzemplarzy przyniósł do antykwariatu pewien handlarz starzyzną. Podobno wszedł do sklepu z parcianym, wytartym workiem zarzuconym na plecy i długim brzozowym kijem, którym się podpierał. Na głowie miał sfatygowany kapelusz. Zdjął go na powitanie, kiedy przekroczył próg antykwariatu. Podszedł do dziadka i wysypał zawartość worka na biurko. Nie odezwał się przy tym ani słowem, stąd dziadek uznał, że jest niemową. Wincenty pobieżnie przejrzał książki, a potem wyjął z szuflady plik banknotów. Bez słowa wręczył je nieznanemu. Mężczyzna włożył je za wewnętrzny otok kapelusza. Żegnając się, lekko pochylił się do przodu i wyszedł ze sklepu. Dziadek mówił, że w swoim życiu widział wielu dziwaków, ale ten zwrócił jego szczególną uwagę. Mówił, że wędrowiec miał w sobie coś wyjątkowego, jakąś nieokreśloną dzikość. A ta książka z aforyzmami... Tak się złożyło, że nikt jej nie kupił. Została. Zosia wypatrzyła ją kiedyś i zabrała. Od tamtej pory były nierozłączne. Co jakiś czas ją czytała, jakby chciała odgadnąć brakujące wersy. Może tobie się to uda?

– To znaczy, że... – Nieśmiało przesunęła rękę w kierunku książki.

– Powinnaś ją przeczytać. Może ta książka sprawi, że w końcu ruszysz z miejsca.

– Ja? – Udała zdziwioną, choć doskonale wiedziała, o co chodzi antykwariuszowi.

– Kochana, powinnaś w końcu coś z tym zrobić. Przecież uwielbiasz pisać. Odważ się wreszcie i wyślij swoją powieść do jakiegoś wydawnictwa, a nawet kilku. Jestem pewien, że dostaniesz odpowiedź szybciej, niż mogłabyś się spodziewać.

– Nie, to nie jest dobry czas. – Odwróciła głowę.

– Zawsze powtarzasz to samo. Uparciuch z ciebie. A ja wiem, że właśnie teraz jest ten właściwy moment.

– Mówi pan to samo co Iga. – Nagle ugryzła się w język. Wiedziała, z jaką niechęcią Franciszek reaguje na jej najbliższą przyjaciółkę.

– Zrobisz, jak zechcesz. Ale pamiętaj, nie można wciąż uciekać przed tym, co się kocha. Schowaj ją. – Przysunął książkę jeszcze bliżej. – Zosia na pewno bardzo by tego chciała. Byłaś dla niej jak córka.

Wyczuła wzruszenie w jego głosie. W tym samym czasie rozbrzmiał dzwonek. Ktoś wszedł do środka. Przy regale z encyklopediami i słownikami stanął wysoki, młody mężczyzna. Na pierwszy rzut oka wyglądał na rówieśnika Emilii. Nie pasował jednak do tego miejsca, cichego, wzbudzającego tęsknotę za dawnymi czasami.

Mężczyzna zauważył jej badawcze spojrzenie. Sprawiał wrażenie sympatycznego. Ładna twarz, niebieskie oczy, ciemne krótkie włosy, do tego przekorny uśmiech. Był typem chłopaka, którego można od razu polubić. Tylko ten jego strój... Wytarte niebieskie dżinsy wyglądały, jakby zaraz miały się rozpaść. Ciemna koszulka i czarna skórzana kurtka sprawiały, że w oczach Emilii wyglądał nieporządnie. Iga na pewno byłaby nim zachwycona.

– Dzień dobry – przerwał ciszę, widząc krytyczny wzrok dziewczyny.

– Dzień dobry. – Wyprostowała się i poprawiła spódnicę.

– Zastałem pana Franciszka? Byliśmy na dziś umówieni.

– Tak – odpowiedziała, cofając się w głąb sklepu. – Panie Franciszku, ktoś do pana!

Dał się słyszeć zgrzyt przesuwanego krzesła i trzask zamykanej szuflady. Po chwili antykwariusz stanął obok nich.

– Witam, panie Mikołaju. – Wyciągnął rękę do stojącego przed nim młodego mężczyzny.

– Dzień dobry, panie Franciszku. Przepraszam, że odwołałem nasze spotkanie, ale w ostatnim momencie wyskoczyło mi coś ważnego.

– Nic nie szkodzi, najważniejsze, że w końcu dotarł pan do mnie. Mam część książek, o które pan prosił. Kilka zostało u mnie w domu. – Uśmiechnął się wyjątkowo serdecznie. Emilia wiedziała, że taki uśmiech antykwariusz rezerwował tylko dla wybranych. – Niech pan spocznie, a ja zaraz wszystko przyniosę. – Przysunął do mężczyzny drewniany taboret z siedziskiem obitym materiałem w zielono-żółtą kratę. Lubił ten deseń. W oknie antykwariatu wisiały zasłonki w beżowo-brązową kratę, a na biurku stał ulubiony kubek ze szkockim wzorem. Taki sam Franciszek kupił Emilii.

– Nie, dziękuję. Nie chcę zabierać czasu, pewnie jest pan zajęty. – Gość był najwyraźniej skrepowany. Naglił go czas. Jak potem wyjaśnił Emilii stary antykwariusz, Mikołaj jest grafikiem, a obiecanych książek potrzebował do projektu. Dobry znajomy polecił mu Franciszka, który znany był z zamiłowania do unikatowych książek. Mikołaj potrzebował kilku tytułów dotyczących Krakowa

z okresu rozbiorów, pierwszej i drugiej wojny światowej, ilustrowanych fotografiami, a Franciszek zapewnił, że właśnie takie ma w swoich zasobach.

– Niechże pan usiądzie. Może napiłby się pan gorącej herbaty? Dzisiaj na dworze straszny ziąb. Wygląda na to, że jesień weszła już podstępem do miasta. – Popatrzył na mokrą szybę. – Jaką herbatę pan lubi? – Uznał, że młody mężczyzna milcząco przyjął propozycję.

– Ja naprawdę...

– Emilio, kochana, może zaparzyłabyś dla wszystkich herbatę imbirową?

Bez słowa zniknęła na zapleczu. Wróciła z filiżankami i dzbankiem wypełnionym herbatą. Zauważyła, że Mikołaj siedział przy wysokim sekretarzyku *vis à vis* drzwi. Oprócz tego oryginalnego biurka i kilku wypełnionych książkami regałów w głównej części antykwariatu było wiele interesujących przedmiotów. Pod dużym oknem wystawowym, tuż przy drzwiach wejściowych stał stary drewniany kufer. Franciszek dostał go kiedyś od dobrego znajomego. Teodor trzy uliczki dalej prowadził maleńki sklepik ze starociami. Przed laty stanął w drzwiach antykwariatu. Przyciągnął ze sobą na rozchybotanym wózku stary kufer. Podarował go przyjacielowi, mówiąc, że chce go oddać w dobre ręce. Franciszek domyślił się, że poczciwy Teoś nie miał w swoim maleńkim sklepiku nawet metra, by upchnąć to wiekowe cudo, przyjął więc prezent i postawił go pod oknem. Z jego wieka, pomalowanego brązową farbą przypominającą kolor kory drzewa, ciekawie spoglądały trzy duże ciemnobeżowe sowy. Pan Franciszek cenił sobie ten wyjątkowy podarunek, tak samo jak lubił drewnianego konika na biegunach stojącego przy jednym z regałów. Pomalowany na zielono, był pamiątką z dzieciństwa. Antykwariusz twierdził, że ta zabawka przynosi mu szczęście, więc chciał mieć ją blisko siebie.

Na jednej z półek gabloty stojącej najbliżej sekretarzyka trzymał ulubioną kolekcję starych zakładek do książek, które zbierał nieprzerwanie od dzieciństwa. Miały wygórowane ceny, bo Franciszek nie chciał się z nimi rozstawać. Kiedy jednak zauważył u kogoś ten szczególny błysk w oku, obniżał cenę. Trzy ulubione zakładki trzymał na zapleczu, w szufladzie biurka. Srebrną, z głową Ateny, dostał na dwudzieste pierwsze urodziny od dziadka. Lnianą, z haftowanym wizerunkiem Sukiennic, przyniosła mu kiedyś zaprzyjaźniona Cyganka. Powiedziała, że ta zakładka przynosi szczęście, i oddała ją za darmo. Trzecią podarowała mu Zosia, gdy jeszcze byli narzeczeństwem. Ta zakładka była najpiękniejsza. Namalowane farbą akrylową maki do tej pory nie straciły na wyrazistości. A kaligraficzny napis tuż pod nimi: „Zawsze będę Cię kochać” wywoływał u Franciszka łyzy wzruszenia za każdym razem, kiedy wyjmował ją z biurka. Zakładek było dużo i wyglądały naprawdę oryginalnie. Wykonane z drewna, papieru, mosiądzu, srebra, a nawet szkła, przypominały małe dzieła sztuki. Półkę nad nimi zajmowały stare piórniki, w większości drewniane, rzeźbione i malowane w różne wzory. Obok nich

kałamarze oraz kilka gęsich piór. Na najwyższej półce Franciszek umieścił oprawione w skórę o śliwkowym kolorze albumy ze starymi pocztówkami i fotografiami.

Emilia ustawiła dzbanek na brzegu sekretarzyka, a obok białe filiżanki Rosenthala. Po wojnie z okazałego serwisu zostały zaledwie trzy sztuki. Rozlała do nich herbatę, tak by nie uronić z dzbanka nawet kropelki. Dokładności w codziennych obowiązkach i sumienności w prozaicznych czynnościach nauczyła jej Zofia.

– Emilko, zostań przez chwilę i porozmawiaj z panem Mikołajem. Wydaje mi się, że na zapleczu mam trzy książki, o które pan mnie prosił.

– Panie Franciszku, będzie mi bardzo miło, jeśli zdecyduje się pan zwracać do mnie po imieniu. Proszę mi mówić po prostu „Mikołaj”.

– Dobrze, Mikołaju. – Franciszek uścisnął mu rękę. – Ja w takim razie idę po książki. Zaczekajcie na mnie.

Zapanowała cisza, którą co kilka sekund przerywał odgłos przekładanych tomów.

– Panie Franciszku, może panu pomóc? – Emilia zwróciła się w kierunku najciemniejszej ściany.

– Nie trzeba – usłyszeli przytłumiony głos. – Nikt tak dobrze nie radzi sobie z książkami jak ja! Pijcie spokojnie herbatę, a ja... zaraz do was dołączę. – Sapnął i zamilkł.

Emilia popatrzyła na Mikołaja. Czuła się niezręcznie. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Idealnie pasuje pani do tego miejsca – powiedział z uśmiechem. Czekał, jak zareaguje.

– Tak? Dlaczego?

– Po prostu pasuje pani.

Lekko uniosła głowę. Zawstydzająca pewność siebie Mikołaja zaczynała ją irytować. Już na pierwszy rzut oka było widać, jak bardzo się od siebie różnią. Ona od dziecka niezwykle dokładna i skromna, co tak irytowało Lili, która uważała swoją córkę za dziwaczkę. „Wcale nie da się z tobą rozmawiać – narzekała. – Jak ty znowu wyglądasz?! W końcu zrobiłabyś coś ze sobą!” – mówiła, kiedy jej córka stała przed lustrem, przymierzając którąś z sukienek Zofii. Na szczęście świadoma swojej wartości i odporna na krytykę, nic sobie nie robiła z tych uwag.

– Niech pani usiądzie. – Przysunął jej swoje krzesło.

– Nie, dziękuję. Proszę się częstować herbatą.

– Wydaje mi się, że jesteśmy w podobnym wieku. Może po prostu przeszlubiśmy na „ty”? – Spojrzył na Emilię z góry, był od niej sporo wyższy.

Akurat mieszała herbatę. Odłożyła łyżeczkę na spodek i wyciągnęła rękę do mężczyzny.

– Emilia – odezwała się głośniej, prostując plecy.

– Mikołaj – rzucił swobodnie grafik.

Przez kilka chwil w milczeniu pili herbatę. Mikołaj wodził wzrokiem po grzbietach książek, a ona zapatrzyła się na zalaną deszczem szybę.

– Powiedziałem, że pasujesz do tego miejsca. Naprawdę tak uważam.

Nie odezwała się, tylko uniosła brwi. Mikołaj zorientował się, że czeka na wyjaśnienia.

– Nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiała, ale... jesteś taka staroświecka... To znaczy twój ubiór, sposób bycia.

– Przecież mnie nie znasz! Skąd możesz wiedzieć, jaki mam sposób bycia? – Zrobiła obojętną minę.

– Jesteś wyrazista. To się czuje już przy pierwszym spotkaniu.

– To chyba dobrze? – spytała konkretnie, ale spojrzała na niego niepewnie. Mikołaj miał ciepłą barwę głosu. Miło było go słuchać.

– Tak, tak, bardzo dobrze. Dzisiaj wszyscy próbują tylko naśladować innych. Kiedyś to wyglądało inaczej.

– Kiedyś... Masz rację.

W tym momencie do głównego pomieszczenia wszedł pan Franciszek, niosąc książki.

– Proszę, Mikołaju. – Położył na blacie sekretarzyka dwa egzemplarze: dziewiętnastowieczną *Historię Krakowa w zarysie* Klemensa Bąkowskiego oraz cieniutką broszurę *Zwierzyniec pod Krakowem i jego zabytki historyczne* Wacława Dutkiewicza. – Niestety, pozostałe egzemplarze, o których ci wspominałem, są u mnie w domu. Wygląda na to, że będziesz musiał do mnie zajrzeć.

– Zrobię to z wielką przyjemnością – odparł Mikołaj.

Tego dnia, choć aura była deszczowa, w antykwariacie zjawilo się wielu klientów. Było kilkoro cudzoziemców, którzy znaleźli się w magicznym sklepiku pana Franciszka niby przez przypadek, ale wychodzili z książkami, które w tajemniczy sposób same wybierały sobie właściciele, wysuwając się z rzędów ciasno ustawionych tomów. Było kilkoro znajomych, tak jak Emilia lubiących zapach przeszłości. Ludzie kochali to miejsce. Kto zawitał tu choć raz, zawsze powracał.

W obszernych zbiorach zawsze panował idealny porządek. Na najdłuższej ze ścian, tuż przy wejściu, znajdowały się najdroższe Franciszkowi książki pisarzy polskich. Ułożone alfabetycznie, przegrodzone ręcznie wykonanymi, niewielkimi mosiężnymi tabliczkami z wygrawerowanymi literkami, zajmowały szczególne miejsce w księgozbiorze. Wśród nich było kilka perełek: *Dziady* Mickiewicza z 1832 roku i *Noce letnie* Włodzimierza Przerwy-Tetmajera z 1902 roku. Po przeciwległej stronie, na solidnym dębowym regale ustawiono powieści pisarzy brytyjskich: Dickensa, Woolf, Thackeraya. Biblioteczka obok dumnie

prezentowała dzieła twórców literatury francuskiej: Zoli, Prousta i Balzaca. Klienci wciąż pytali o Aleksandra Dumas. Powieści *Trzej muszkieterowie* i *Hrabia Monte Christo* sprzedawały się najlepiej. Obok francuskich stały książki twórców rosyjskich, których dzieła cieszyły się największym powodzeniem: Fiodora Dostojewskiego i Aleksandra Puszkina. Na wysokim stojaku najbliżej drzwi wyeksponowano stare czasopisma: kilka tomów młodopolskiej „Chimery”, oprawionych w ozdobny półskórek, z grafikami Józefa Mehoffera. Na środku pomieszczenia, na długiej ławie, Franciszek od lat trzymał stare mapy. Większą ich część stanowiły mapy Polski z okresu rozbiorów. Ściany antykwariatu ozdobiły ryciny, sporo ich leżało na jednej z półek w jesionowej gablocie, której wnętrze wypełniały też inne osobliwe przedmioty. Uwagę klientów przyciągało szczególnie kilkanaście starych talii kart. Najstarsze były karty tarota z przedstawieniami postaci mitologicznych. Franciszek zauważył, że w klientach wywoływały pewien rodzaj niepokoju. Już kilkoro potencjalnych nabywców trzymało ją w rękach, ale kiedy miało dojść do sfinalizowania zakupu, wycofywali się.

Późnym popołudniem deszcz przestał padać, ale zaczęło mocno wiać. Idąc w kierunku swojej kamienicy, Emilia co chwilę poprawiała włosy i przytrzymała zsuwającą się spinkę. Parasol zostawiła w antykwariacie. Często go zapomniała. Nie chciała po niego wracać – miała nadzieję, że następnego dnia powita ją wreszcie słońce. Uniosła głowę. Bałwaniaste chmury nadal zasnuwały niebo. Wciąż było ponuro i wilgotno. Kiedy dochodziła do znajomego skrzyżowania, od którego zaczynała się ulica Długa, przycisnęła do siebie sztruksową listonoszkę. Książkę Zofii zabrała niemal w ostatnim momencie. Włożyła ją do torebki, zawiniętą w szary papier, żeby ochronić podniszczoną okładkę i cienkie stronic.

Gdy znalazła się na swojej ulicy, przyśpieszyła kroku i już po chwili otwierała drzwi wejściowe do kamienicy. Wspięła się po niedawno odnowionych, drewnianych schodach. Drzwi do jej mieszkania były otwarte. Zorientowała się, że Lili jest w domu. W środku unosił się gęsty dym papierosowy. Lili paliła od wczesnej młodości. Uważała, że z długim, cienkim papierosem jej do twarzy. Zaciągała się dymem w charakterystyczny dla niej sposób, odchylając do tyłu głowę i mocno mrużąc oczy. Sprawiała wówczas wrażenie zrelaksowanej. Emilia zdjęła palto i zawiesiła je w szafie. Czarne czółenka na wysokim, grubym obcasie ustawiła równo na półce pod podłużnym lustrem zamkniętym w rzeźbionej ramie z ciemnego drewna. Uważała, że był to jeden z nielicznych ładnych elementów wystroju tego mieszkania. Wszystkie inne przedmioty wyglądały, jakby znalazły się tam przez przypadek. Nie pasowały do siebie ani do ścian, które niemalowane od dwudziestu lat, w wielu miejscach straszyły ciemnymi plamami. W dwóch pokojach zajmowanych przez Lili stały meble w nowoczesnym stylu. Matka kupiła je piętnaście lat temu. Pomiędzy nimi panoszyło się kilka starych bibelotów, przez

co wewnątrz sprawiało wrażenie, jakby właścicielka nie mogła się zdecydować, jak je urządzić. W kuchni też panował chaos. Do starego białego kredensu, który został tutaj jeszcze po poprzednich właścicielach, dostawiono kilka mebli pokrytych beżową okleiną. Przy oknie wychodzącym na ulicę stał ładny okrągły stół, który też nie pasował do pozostałych mebli.

Tylko w pokoju Emilii było przyjemnie. Pod oknem znajdowało się nieduże sosnowe biurko z kilkoma szufladami. Ten mebel, jak i inne stojące w pokoju, dostała od Zofii i Franciszka. Drewno z biegiem lat pociemniało, ale nadal wyglądało ładnie. Biurko miało do kompletu trzyszufladową komodę, wąską szafę i łóżko, które było ustawione przy jednej z łososiowych ścian. Wykończone oryginalnym zagłówkiem malowanym w maki, przyciągało wzrok już od progu. Nad łóżkiem wisiało kilka starych obrazków w białych ramkach. Przedstawiały postacie z baśni Andersena. Te ryciny były pamiątką Zofii z jej dzieciństwa. Kilkadziesiąt lat wcześniej wisiały nad jej łóżkiem, w kamienicy na Małym Rynku, gdzie wówczas mieszkała jej rodzina.

Emilia weszła do swojego pokoju i zawiesiła torebkę na krześle przy biurku. Potem udała się do łazienki, by umyć ręce. Panował w niej bałagan. Po podłodze walały się porzucane ubrania Lili, a w zlewie leżało rozmoknięte tekturowe pudełko po francuskich perfumach. Wzięła je do ręki. Chanel No. 5, ulubiona marka matki. Ona sama nie przepadała za tym zapachem, a Lili jak na złość spryskiwała się swoimi perfumami obficie. Ostrą wonią Chanel przesiąknięte były wszystkie kąty mieszkania. W połączeniu z papierosowym dymem dawało to niezbyt wyszukaną mieszankę zapachów.

Rozmiękle opakowanie wylądowało w koszu na śmieci stojącym obok pralki. Emilia podeszła do wanny i wyciągnęła korek. Wyglądało na to, że Lili znów brała kąpiel i nie wypuściła wody. Często jej się to zdarzało. Wychodząc do przedpokoju, zostawiała na podłodze mokre ślady stóp. Jej córka przywykła już do tego. Zresztą Lili i tak nie chciałyby się podporządkować żadnym upomnieniom. Dlatego tak często zmieniała partnerów. Nie umiała być z nikim na stałe. Kiedy czuła, że związek przechodzi w poważniejszą fazę, po prostu dawała nogę.

Emilia weszła do kuchni. Jej matka siedziała przy stole i jadła kolację. Na jej talerzu leżała wysuszona ryba z wachlarzowatym ogonem. Lili sprawiała wrażenie, jakby nie interesowało jej nic innego poza skromnym posiłkiem.

– Cześć, Lili! – Emilia rzuciła już od drzwi.

– Cześć...

– Smacznego – dodała, po czym wyjęła z lodówki garnek z gulaszem cielęcym i kaszą gryczaną.

W kuchni zapachniało smacznym jedzeniem. Lili zaczęła nerwowo wiercić się na krześle, zastanawiając się, czy powinna zjeść leżące przed nią wyschnięte danie.

– Chcesz gulaszu? – rzuciła Emilia znad kuchenki.

Lili popatrzyła na nią, głośno przełykając ślinę. Widać było, że jest głodna. Wyglądało na to, że znów była na diecie.

– Nie, nie jem takich niezdrowych rzeczy. – Jeszcze głośniej przełknęła ślinę.

– Jak chcesz. Ja zjem. Nie masz chyba nic przeciwko, że usiądę obok? – Nałożyła obiad na talerz i ruszyła do stołu. – Smacznego – rzuciła, zabierając się do jedzenia.

Lili nie odpowiedziała, tylko wzięła do ręki długi widelec, którym już po chwili zaczęła nakłuwać suchy jak wiór rybi korpus. Jedzenie z talerza Emilii zniknęło błyskawicznie. Lili prawie nie tknęła swojego obiadu. Zdjęta rybia skórka zahaczała o brzeg talerza, ukazując grubą ość, obleczoną gdzieś tam mięsem.

Emilia spojrzała na matkę. Lili miała pod oczami worki i rozległe sińce. Często zarywała noce i to pozostawiało na jej twarzy nieestetyczne ślady. Próbowwała zatrzymać młodość na wiele różnych sposobów. Bezskutecznie.

– Co słyszeć na uczelni? – zagadnęła Emilia. Przechyliła się w kierunku parapetu i otworzyła okno. Akurat przejeżdżał tramwaj. Późnowieczorny zgiełk miejskiej ulicy wdarł się do kuchni.

Lili wzruszyła ramionami. Emilia od razu wyczuła, że matka nie ma ochoty na rozmowę. Była znudzona i jednocześnie rozdrażniona. Zawsze zachowywała się nerwowo, kiedy była na diecie. Paliła w tym czasie więcej papierosów niż zwykle.

Emilia wstała i zabrała swój talerz. W tym czasie Lili znów złapała za widelec, starając się zedrzeć większą część rybiej skóry.

– Chcesz soku? – Stała przy szafce i wzięła karton z napojem.

– Daj mi już spokój! Jak chcesz, to sama jedz i pij te swoje paskudztwa. – Lili wydawała się jeszcze bardziej poirytowana. Podniosła się, sięgnęła po paczkę papierosów leżącą na lodówce i wyszła z kuchni. Po chwili mieszkanie wypełnił ostry nikotynowy dym, który zaczął wpełzać do kuchni niczym podstępny wąż, ocierając się o róg kredensu.

Emilia szerzej rozchyliła okno i poszła do swojego pokoju. Stała przy oknie i odsunęła firankę. Nagle w jej torebce rozdzwonił się telefon. Szybko wyjęła komórkę. Na wyświetlaczu zauważyła numer Róży, żony ojca.

– Witam cię, Rózo.

– Dobry wieczór, kochana. – Róża miała strapiony głos.

– Czy coś się stało? – Od razu wyczuła, że wiadomość, jaką chce jej przekazać macocha, nie będzie radosna.

– Emilko... twój tata jest w naszym szpitalu.

– Co... się stało?

– Kochanie, nie martw się, to nic groźnego. Miał stan przedzawałowy. Musi zostać u nas kilka dni, żeby przejść potrzebne badania.

Róża była lekarką. Pracowała w miejskim szpitalu w Gdańsku. Była wprawdzie pulmonologiem, ale sercem Janka opiekowała się już od ponad dwudziestu lat, odkąd poznali się w jednej z krakowskich kafejek. Przyjechała wówczas do Krakowa, by wziąć udział w sympozjum lekarzy, a zamiast tego odkryła w sobie uczucie do mężczyzny, który swoim smutnym spojrzeniem wniknął do jej serca już w chwili, kiedy popatrzył na nią znad filiżanki espresso, siedząc przy sąsiednim stoliku w kawiarni. Od tamtego czasu byli nierozłączni.

– Będę u was jutro – oznajmiła Emilia.

– Nie musisz. Zresztą tata byłby na mnie zły, że o wszystkim ci powiedziałam. Prosił, żeby, broń Boże, nie zawracać ci głowy. Kochana, wszystko jest pod kontrolą. W weekend powinien być już w domu.

– W takim razie będę w Modrzewiowej w sobotę rano. I nie mów mi, żebym dała sobie spokój, bo i tak przyjadę. Jutro złapię nocny pociąg do Gdańska.

– Dobrze, zrobisz, jak zechcesz. Ale... mam do ciebie prośbę. Nie mów tacie, że do ciebie dzwoniłam. On uważa, że...

– Przecież jestem jego córką. Kocham go i martwię się o niego.

– Niepotrzebnie.

– Nie wiem, czy niepotrzebnie, ale niepokoję się o niego. A po twoim telefonie dzisiaj w nocy na pewno nie zmruję oka.

– No właśnie... Chyba rzeczywiście mogłam ci o niczym nie mówić. Tata nie chciał przysparzać ci zmartwień. Masz swoje życie i własne sprawy.

– Różo, jakie sprawy? Poza pracą w antykwariacie w moim życiu nie dzieje się nic ciekawego. – Zamilkła, ale po chwili znów się odezwała. – Będę w sobotę. Nie powiem ojcu, że do mnie dzwoniłaś.

– Dobrze, kochanie. Naprawdę nie ma się czym martwić. Zareagowaliśmy w odpowiednim momencie. W tym roku tata angażował się w pracę swojego baru bardziej niż zwykle. To niestety w końcu dało o sobie znać. Tyle razy mówiłam mu, żeby zwolnił, ale wiesz, jaki jest uparty...

– Wiem, Różo, ja też wiele razy powtarzałam mu, żeby przyjął jeszcze kogoś do pomocy.

– No właśnie, Janek myśli, że jest niezastąpiony. Osobiście musi wszystkiego dopilnować, ale... na miłość boską, twój ojciec ma już swoje lata, a jemu wciąż wydaje się, że nie przekroczył trzydziestki!

– Wtedy się poznaliście.

– Taaak – odezwała się Róża. – Ten czas tak szybko leci.

– Tęsknię za wami. – Emilia mocniej ścisnęła telefon.

– My też bardzo za tobą tęsknimy. Twój tata nieustannie o tobie mówi. Może to rzeczywiście nie jest zły pomysł, żebyś przyjechała... Nie chcę tylko, żebyś przeze mnie zmieniała plany.

– Nie mam żadnych planów i bardzo chcę was zobaczyć.

- A pan Franciszek? Poradzi sobie bez ciebie?
- Poradzi. Wysyła mnie na urlop już od czterech miesięcy.
- Wobec tego czekamy.

Emilia usłyszała w głosie Róży radość.

- Będę u was w sobotę z rana.
- Doskonale. W takim razie dobranoc, Emilko.
- Dobranoc.

Następnego dnia znów padał deszcz, choć niebo zgubiło już odcień szarości. Trudno było się jednak obyć bez parasola. Emilia postanowiła pojechać do pracy rowerem. Włożyła szeroką pelerynę przeciwdeszczową i zeszła do piwnicy. Po paru chwilach stała przed moką fasadą kamienicy, opierając ręce na kierownicy roweru.

Wielkie koła przecinały kałuże rozlane na chodniku. Żółty rower z zielonym, okrągłym koszem, umieszczonym z przodu kierownicy, wyróżniał się na szarym tego dnia tle krakowskich ulic. Dostała go od Zofii. Opiekunka korzystała z niego jeszcze w młodości. Działał bez zarzutu. W zeszłym roku wymieniono w nim tylko łańcuch. Dzisiaj „słoneczny” rower stanowił zdecydowanie lepsze rozwiązanie niż kilkunastominutowy marsz moką od deszczu ulicą.

Kiedy dotarła do antykwariatu, Franciszka jeszcze nie było. Przyjechała dość wcześnie. Oparła rower o elewację, sięgnęła do kieszeni po klucze i otworzyła drzwi. Włączyła światło. Ociekającą deszczem pelerynę zarzuciła na wieszak. Pomyślała, że tego poranka zapewne przyjdzie jej samej wypić aromatyczną kawę. Stary antykwariusz wspominał coś o tym, że dzisiaj może pojawić się w sklepie dopiero po południu. Takie dni jak ten, gdy jako pierwsza witała się z jeszcze śpiącymi kątami sklepiku Franciszka, należały do rzadkości. Rozejrzała się po sklepie. Bez Franciszka było tutaj inaczej, pusto i szaro, zupełnie tak jak na zacienionej, chłodnej ulicy.

Weszła na zaplecze. Mimo wcześniejszych przypuszczeń, że ten poranek przyjdzie jej powitać w samotności, przygotowała więcej kawy i wyjęła obie filiżanki. Zupełnie jakby do końca miała nadzieję, że stary antykwariusz zaraz otworzy drzwi i stanie w progu z wielką parasolką w pepitkę, pamiętającą pierwsze powojenne lata. Swojej parasolce Franciszek był tak samo wierny jak ulubionemu gatunkowi tabaki. Chociaż lekko zardzewiały mechanizm z coraz większym trudem utrzymywał wyblakły materiał, on uważał, że wymiana jego „życiowej partnerki” na nowszy model, który teraz można było dostać w każdym sklepie z konfekcją, absolutnie nie wchodziła w grę.

Przelała kawę do dzbanka. W tej samej chwili usłyszała odgłos dzwonka. Ucieszyła się. Była pewna, że pan Franciszek zmienił plany. Wybiegła z zaplecza, chcąc go powitać. W drzwiach stał Mikołaj.

- Cześć – rzucił od progu, przecierając ręką moką twarz.

Nie kryła zdziwienia jego obecnością. Był ostatnią osobą, której spodziewała się w tym momencie. Czasami rano wpadała do niej Iga, ale wtedy wychodziły przed antykwariat. Kiedy obie stały przy jednym z regałów w antykwariacie i ściszały głos, Franciszek podchodził i niby przez przypadek zaczynał przekładać książki, zadając przy tym Emilii mnóstwo prozaicznych pytań. Dziewczyny doskonale wiedziały, o co chodzi, dlatego wcześniej uzgodniły, że będą spotykać się przed sklepikiem. Stały wtedy przed dużą witryną, w której Iga co chwilę się przeglądała, paląc papierosa. Franciszek nawet w takich chwilach z dezaprobatą patrzył w ich kierunku.

– Cześć – odpowiedziała Mikołajowi.

– Jesteś zaskoczona, że mnie widzisz?

– Nie spodziewałam się ciebie. Jeśli miałeś zamiar spotkać się z panem Franciszkiem, to niestety, muszę cię zmartwić. Nie ma go. – Popatrzyła na lśniący od deszczu bruk na Siennej.

– Nie przyszedłem do pana Franciszka. Chciałem zobaczyć się z tobą. – Uśmiechnął się zagadkowo.

– Ze mną? – zdziwiła się.

Gorączkowo starała się ustalić w myślach realny powód, dla którego przystojny grafik znów pojawił się w antykwariacie. Popatrzyła na niego. „Przynajmniej ma normalne spodnie” – usłyszała własne myśli. Mikołaj miał na sobie jednak tę samą skórzaną kurtkę co poprzednio. Nie pasowała do niego. Znacznie lepiej wyglądałby w szytej na miarę, wełnianej marynarce. Brakowało mu też okularów i grubej książki pod pachą. Taki ideał mężczyzny nosiła w sobie. Oczywiście musiałyby to być dżentelmen w każdym calu, intelektualista z solidną kindersztubą. Mikołaj, chociaż przystojny, z błyskiem w oku i czarującym uśmiechem, nie pasował do wyjątkowo surowych kryteriów, jakie młoda polonistka wyznaczyła mężczyznom. A że były one rygorystyczne, przekonała się już nieraz, utwierdzając się w tym, że takich mężczyzn w dzisiejszym świecie już nie ma.

– Przeszkadzam ci?

– Nie, po prostu zastanawiam się... – Zamilkła. Nie chciała być niegrzeczna. Przecież każdy miał prawo wejść do sklepu. Tylko że Mikołaj wcale nie wydawał się zainteresowany starymi książkami. Patrzył na nią, jakby właśnie z jej powodu zjawił się w tym miejscu.

– Jest szansa, że dostanę u ciebie tę samą herbatę co poprzednio? – Oparł się o regał, udając, że czeka. Bawiła go ta sytuacja, którą Emilia traktowała bardzo poważnie.

– Właśnie przygotowałam kawę, możesz się ze mną napić – zaproponowała.

– No... chyba że wolisz herbatę imbirową.

Te słowa ośmieliły Mikołaja do tego stopnia, że zdjął kurtkę i od razu

odwiesił na wieszak obok prawie już suchej peleryny.

– Usiądź. – Dostawiła do sekretarzyka drugie krzesło. Wyszła na zaplecze i zaraz wróciła z dzbankiem oraz filiżankami. Rozlała kawę w pośpiechu, widząc, że ktoś zbliża się do drzwi.

Tego dnia nie dane im było spokojnie porozmawiać, gdyż do starego antykwariatu co chwilę wstępowali klienci. Zazwyczaj poranki w sklepie były ciche i leniwe. Mogli spokojnie wypić kawę, a potem często, zanim próg sklepiku przekroczył pierwszy gość, przygotowywali jeszcze herbatę. Dzisiaj wszystko było inaczej. Już samo pojawienie się Mikołaja wróżyło, że dokładnie przemyślany rytm dnia zostanie zakłócony. Mikołaj pił pomalą kawę, a Emilia wyciągała z regałów kolejne tomy i rozmawiała z klientami. Kiedy w sklepie zrobiło się spokojniej, Mikołaj nagle stwierdził, że powinien już iść.

– Nie chcę ci przeszkadzać. – Spojrzał na kilkanaście piętrzących się przed nim książek, które ona właśnie starała się odłożyć na miejsce. Uśmiechnęła się do niego, a jej wzrok powędrował ku znajomym książkom: Flaubert, Wilde, Kraszewski, Czechow... Każda powinna trafić na inny regał.

– Nie przeszkadzasz.

– Jesteś w pracy, nie chcę zabierać ci czasu. – Wstał i przesunął filiżankę na skraj sekretarzyka. – Dzięki za kawę, była pyszna. Nigdy wcześniej takiej nie piłem. – Podeszedł do wieszaka i zdjął z niego kurtkę. Nie włożył jej jednak, tylko zarzucił sobie na ramię. Stał na środku sklepu. – Posłuchaj, dzisiaj tak trudno było porozmawiać, ale może spotkalibyśmy się i dokończyli rozmowę? Co ty na to?

– Czemu nie? – odpowiedziała i wzruszyła ramionami.

– Może być sobota?

– Niestety, w weekend nie będzie mnie w Krakowie. Wyjeżdżam nad morze. Wracam we wtorek, więc może lepiej umówimy się po moim powrocie.

– Dobrze, wpadnę tutaj do ciebie. – To cześć! – Otworzył drzwi i wyszedł za próg. Kilka sekund później wsunął głowę do środka. – Masz fajny rower. Dasz mi się kiedyś na nim przejechać? – Wyraźnie starał się ją rozbawić.

– Skąd wiesz, że to mój rower? – Popatrzyła w stronę okna wystawowego.

W lewym rogu zauważyła rączkę kierownicy z wielkim okrągłym dzwonkiem przymocowanym przez pana Teodora, od którego zresztą go dostała. Aż trudno było uwierzyć, że jeszcze działał. Wygrawerowana z boku data – 1927 rok – świadczyła o tym, że ktoś musiał opiekować się nim wyjątkowo troskliwie. Teraz o wiekowy dzwonek troszczyła się Emilia i wyglądało na to, że robiła to równie dobrze, jak poprzedni właściciel.

Mikołaj uchylił szerzej drzwi i wsunął się do środka.

– Pasujesz do tego roweru, tak samo jak do tego miejsca – pośpiesznie omiótł wzrokiem pomieszczenie. – Mówiłem ci o tym ostatnio. – Uśmiechnął się

i wycofał na zewnątrz. – Zamknę drzwi, bo dzisiaj jest wyjątkowo chłodno. – Oddalając się, pomachał ręką w jej kierunku.

Wieczorem zjadła kolację sama. Lili nie było w mieszkaniu, zostawiła uchylone drzwi od swojego pokoju. Dla pewności Emilia wsunęła tam głowę. Na ławie stały popielniczka z niedopałkami, kilka brudnych kubków i talerz po zjedzonym obiedzie. Lili często jadła przed telewizorem, a potem zdarzało jej się nie odnosić naczyń do kuchni. Zabierała je zazwyczaj, dopiero kiedy nie mieściły się na ławie.

Emilia spakowała walizkę. Popatrzyła na zegar, była dziewiętnasta. Na dworze już się ściemniło. Pociąg do Gdańska odjeżdżał tuż przed dwudziestą trzecią. Była pewna, że przed odjazdem nie uda się jej zdrzemnąć. Jeszcze raz zajrzała do walizki. Zabrała niewiele rzeczy: trzy ciepłe swetry, dwie spódnice, kilka osobistych drobiazgów. Na koniec włożyła jeszcze ładowarkę do telefonu. Gdy już miała domknąć bagaż, spojrzała na biurko. Brzegi zniszczonej okładki układały się w kształt dużego serca. Zauważyła to dopiero teraz. Wzięła książkę, znów zawinęła w szary papier i bez zastanowienia wpakowała ją do bocznej kieszonki walizki. Pomyślała, że w czasie podróży sięgnie po nią, jeśli nie będzie mogła zasnąć.

Z Różą kontaktowała się jeszcze rano. Wiedziała, że dzisiaj macocha była w pracy. Nie chciała wydać jej przed ojcem. Kiedy się poznały, Emilia miała zaledwie kilka lat, ale zaufała Róży do tego stopnia, że bez dziecięcych sztuczek i zazdrości, jaką często okazują małe dziewczynki, postanowiła oddać jej ojca. Od tamtej pory miały go obie, każda na inny sposób. Janek był z Różą szczęśliwy i spełniony. Stworzył z nią taki związek, jakiego nie udało mu się zbudować z Lili. A Emilia wciąż była dla niego małą dziewczynką. Po wyprowadzce na Pomorze miał pewność, że zostawił ją w dobrych rękach. I nie chodziło tu oczywiście o Lili, ale o Zofię i Franciszka. Janek każdego miesiąca przysyłał opiekunce swojej córki pieniądze, choć starsze małżeństwo bardzo się temu sprzeciwiało. Chciał jednak, żeby jego jedynemu dziecku niczego nie brakowało. Rozrzutna Lili traktowała alimenty, które były mąż przysyłał na utrzymanie swojej córki, jak własne kieszonkowe. On nie był w stanie jej kontrolować. Ale Zofia i Franciszek dbali o jego córkę jak o własną.

Wyszła do przedpokoju. W tym czasie zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pojawił się numer Igi. Ucieszyła się. Nie widziały się od kilku dni. Brakowało jej przyjaciółki. Zauważyła, że Iga ostatnio zachowywała się dziwnie. W drodze do pracy nie wpadała do niej, nie telefonowała i wyraźnie jej unikała.

– Iga, czemu się nie odzywasz?

– Przecież właśnie do ciebie dzwonię. Możesz zejść na dół, pod bramę? Chciałam z tobą porozmawiać.

– Wejdz na górę. – Odruchowo podeszła do domofonu i nacisnęła przycisk.

– Nie – odpowiedziała głośno Iga. – Zejdź do mnie, proszę.

– Zachowujesz się jakoś dziwnie. – Chcąc poprawić włosy, Emilia odchyliła od ucha słuchawkę. Nie doczekała się żadnej reakcji po drugiej stronie, więc dodała: – Dobrze, już do ciebie idę.

Iga stała oparta o elewację kamienicy. Paliła papierosa. Nie sprawiała wrażenia zrelaksowanej. Jej długie, sięgające pasa blond włosy zwisały smętnie, przyklejając się do ramion i pleców. Spod kusej dzinsowej kurtki wystawał obcisły top podkreślający idealną figurę. Jej długie szczupłe nogi opinały zwykłe dzinsy, a nie legginsy, jak zawsze.

Przyjaźniły się od dzieciństwa, chodziły do tego samego przedszkola. Pewnego dnia nieśmiała Emilka została obrzucona piaskiem przez największego łobuza z grupy. Pызata Iga postanowiła uratować koleżankę i stając w jej obronie, dała malcowi porządnego kopniaka. Od tamtej chwili były nierozłączne. Niby różne, a jednak tak sobie bliskie, jak dwa brzegi tej samej rzeki. Nie mogły się bez siebie obejść. Pan Franciszek nie przepadał za Igą. Dziwił się, jak spokojna Emilia może przyjaźnić się z kimś takim. Według niego Iga przypominała Lili. Długonoga blondynka o pszenicznych, farbowanych włosach i bławatkowych, z pozoru niewinnych oczach. Roztargniona, ale pewna siebie, pożeraczka męskich serc, które często wyrzucała na uczuciowy śmietnik i zastępowała nową miłością. Ale te dwie dziewczyny połączyła prawdziwa przyjaźń.

– Cześć! Dobrze, że w końcu dałaś jakiś znak życia. – Emilia objęła przyjaciółkę tak jak w dzieciństwie, kiedy obie miały jeszcze pызate buzie i starannie zaplecione warkoczki przewiązane satynowymi wstążkami.

Iga się odsunęła. Była smutna. Zgasila papierosa, a rozmiękły filtr miętosila w palcach. W końcu wyrzuciła go do kosza.

– O co chodzi? – Emilia stanęła naprzeciw przyjaciółki, nie spuszczać z niej oczu.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Patrzyła na nią niepewnie. Potem zaczęła bawić się suwakiem od kurtki.

– To mów w końcu.

– Chodźmy gdzieś, usiądziemy, napijemy się czegoś, a ja po kolei wszystko ci opowiem...

– Przecież możemy iść do mnie. Lili nie ma w domu, nie będzie nam przeszkadzała.

Kiedy dziewczyny przesiadywały w pokoju Emilii, Lili często do nich zaglądała. Nie ukrywała, że przyjaciółka jej córki, dziewczyna o nietuzinkowej urodzie i zdecydowanym sposobie bycia, bardzo jej imponowała. Często podpytywała Igę o nowe trendy i wizażowe sztuczki. Ona nie odwzajemniała jednak nachalnej przyjaźni matki Emilii. Nieraz dawała Lili do zrozumienia, że ma dość jej towarzystwa. Lili udawała obrażoną, ale zaraz potem wkładała głowę przez

uchylone drzwi do pokoju córki. „Twoja matka jest nie do zniesienia. Jest jeszcze gorsza ode mnie” – mawiała w takich chwilach Iga, a Emilia nie była pewna, czy przyjaciółka żartowała, czy mówiła serio.

– Lili nie ma tu nic do rzeczy. Wolę pójść do knajpy – rzuciła niby od niechcienia.

– W porządku, chodźmy. Tylko gdzieś blisko, przed jedenastą mam pociąg do Gdańska.

– Jedziesz do ojca?

– Tak. Czemu cię to dziwi?

– Jest koniec października, do tego od dwóch tygodni w całej Polsce pada deszcz. Co chcesz robić na wyludnionej, zimnej plaży?

– Chyba zapomniałaś, po co naprawdę tam jeżdżę. – Rozzłościło ją, że przyjaciółka we wszystkim zawsze starała się doszukiwać tylko przyjemności. – Tata był w szpitalu. Koniecznie muszę się z nim zobaczyć – dodała nieco spokojniej.

– Nie wiedziałam. To coś poważnego?

– Mam nadzieję, że nie. Róża podobno w ostatniej chwili zaciągnęła go do izby przyjęć.

– Pozdrów ich ode mnie.

Wiedziała, że Iga martwiła się o jej ojca równie mocno, jak ona. Róża i Janek, w odróżnieniu od pana Franciszka, darzyli Igę szczerą sympatią. Zresztą tolerancyjna macocha i ojciec akceptowali wszystko, co miało związek z jego córką.

Dziewczyny stały na mokrym chodniku, przyglądając się sobie w świetle ulicznej lampy, i w końcu ruszyły w stronę Rynku. Iga chwyciła kosmyk swoich włosów i zawijała go na palcu. Ten niekontrolowany odruch towarzyszył jej zawsze, kiedy się denerwowała. W kafejce, którą wybrały, wszystkie stoliki były zajęte, dosiadły się więc do dwóch młodych Niemców, którzy prowadzili zaciętą dyskusję. Mężczyźni byli tak pochłonięci rozmową, że nawet nie zwrócili uwagi na dziewczyny dosiadające się do ich stolika. Iga zamówiła piwo, a Emilia grzane wino. Ostatnio wciąż było jej chłodno.

– Powiesz mi teraz, o co chodzi?

– Zrobiłam coś głupiego...

– Proszę cię, wyrażaj się jaśniej. – Emilia popatrzyła surowo na przyjaciółkę. To ona była w tej relacji tą, która pilnowała, by wszystko było dopięte na ostatni guzik. Iga, niefrasobliwie nastawiona do świata, nie zwracała uwagi na szczegóły.

– Ja... wysłałam twoją powieść do jednego z wydawnictw. – Zamknęła usta i poczerwieniała. Było widać, że miała do powiedzenia dużo więcej, czekała jednak na reakcję przyjaciółki.

– Jak mogłaś?! – Emilia wstała nagle, wrogo spoglądając na Igę.

Goście z Niemiec, dotąd zajęci rozmową, spojrzeli w stronę swoich sąsiadek, by już za chwilę znów prowadzićżywioną konwersację.

– Wiedziałaś, że ta książka to dla mnie wszystko! Dlaczego to zrobiłaś?!

– Emi, jest jeszcze coś... – Iga postanowiła pójść za ciosem i wyznać całą prawdę.

– Słucham cię.

– Twoja książka... Zawsze ci mówiłam, że jest świetna... Zresztą nie tylko ja.

– Mów jaśniej.

– Przeszła do finału w konkursie na najlepszą powieść z historią w tle. Może się okazać, że zwycięży. – Z obawy przed reakcją przyjaciółki ze wszystkich sił starała się stłumić entuzjzm.

Emilia zamilkła. Nie mieściło jej się w głowie, że Iga mogła bez jej zgody zrobić coś takiego. Ta książka była zbyt cenna i jednocześnie zbyt intymna, by pokazać ją światu.

– Jak mogłaś?

– Nie cieszy cię perspektywa wygranej?

– To moja historia, moje uczucia, moje obawy i tęsknoty. Obnażyłaś mnie przed światem! Jakbyś zdradziła moją największą tajemnicę! Czy tak zachowuje się prawdziwa przyjaciółka?!

– Nie przesadzaj... Co też takiego osobistego może być w wojennej historii trójki młodych ludzi? Przyjaźń, miłość... Opisałaś to bardzo oszczędnie. Nie widzę w tej książce nic intymnego. Tam jest więcej wydarzeń historycznych niż perypetii głównych bohaterów. – Udawała nadąsaną, aby odwrócić uwagę od sytuacji, która wyraźnie zaczęła się jej wymykać spod kontroli.

Od dłuższego czasu nie mogła znieść bierności Emilii. Pisała te swoje teksty, a potem upychała je w szufladach biurka. A powieść *Intryga wojenna* była naprawdę dobra. Historia miłości dwojga młodych ludzi, Adama i Joanny, oraz ich przyjaciółki Aliny, żyjących w okupowanym Krakowie, nie była cklwym romansem. Jej bohaterowie mimo trudów wojny potrafili okazywać sobie uczucia w piękny sposób, jakby to, co ich łączyło, było silniejsze niż cały chaos, który próbował wymazać z nich normalność. W sylwestra Iga postanowiła, że wyśle wydawcom książkę Emilii. Okazja nadarzyła się niespodzianie. Na jednym z portali przez przypadek przeczytała ogłoszenie znanego wydawnictwa o konkursie na najlepszą powieść z historią w tle. Jeszcze tego samego dnia odpowiedziała. Tylko... decydując się na to, podała własne dane i przedstawiła siebie jako autorkę powieści. Sytuacja skomplikowała się w momencie, kiedy otrzymała wiadomość z wydawnictwa, że „jej” książka przeszła do finału. Wyniki miały zostać ogłoszone w ciągu miesiąca. Dowiedziawszy się o tym, poczuła ekscytację. Z upływem czasu coraz trudniej było jej jednak przyznać się, że to nie

ona jest autorką powieści. Zresztą redaktorka w rozmowie telefonicznej mimochodem wtrąciła, że *Intryga* od początku była i jest jej faworytką. Iga postanowiła obłaskawić przyjaciółkę. Była pewna, że ona i tak nigdy nie zdecydowałaby się na to, by historia, którą tak pięknie opisała, ujrzała światło dzienne.

Emilia nagle wstała, a potem pomału dosunęła krzesło do stolika. Była zdenerwowana i starała się to ukryć w leniwych ruchach.

– Musisz to odkręcić – powiedziała zdecydowanie.

Iga skuliła się i naciągnęła połę kusej kurtki, jakby chciała się w niej schować.

– Nie mogę. To zaszło już za daleko.

– Musisz to zrobić. To moja książka i tylko ja mam prawo o niej zdecydować!

– Emi, usiądź i... na spokojnie dokończmy tę rozmowę.

– Pójdę już. – Zerknęła na zegarek. – Muszę się jeszcze spakować – skłamała.

– Nie dokończyliśmy rozmowy. – Z każdym kolejnym słowem policzki Igi czerwieniały coraz bardziej. Przecież nie powiedziała przyjaciółce najważniejszego! Idąc na spotkanie, wiedziała dokładnie, co chce jej przekazać, ale teraz najchętniej zaczęłaby tę rozmowę od początku. Na pewno inaczej rozegrałaby to wszystko.

– Spotkamy się po moim powrocie. Masz wycofać książkę z konkursu!

Iga siedziała bez słowa. Nie mogła jej tego obiecać. Nie teraz.

– Cześć!

– Emi, wracaj! Musimy jeszcze pogadać! – Iga szybko się podniosła i rzuciła pędem do drzwi. Kiedy znalazła się na zewnątrz, zobaczyła tylko plecy oddalającej się przyjaciółki.

Emilia biegła szybko środkiem chodnika, rozchlapując kałuże. Po kilku minutach znalazła się na początku Długiej. Dopiero wtedy zwolniła. Obejrzała się za siebie, jakby chciała sprawdzić, czy nie ma za nią Igi. Nie było. Odetchnęła i szła jeszcze wolniej. Czuła się skrzywdzona i oszukana. Byłaby skłonna wybaczyć wszystko, prawie wszystko, tylko nie to.

Kiedy dotarła do mieszkania, Lili nadal nie było. Poczowała ulgę. Nie miała ochoty na wymuszoną rozmowę z matką. Ona zawsze wyczuwała podły nastrój córki i pogłębiała go swoimi pretensjami. Emilia nie nawykła do kłótni, dlatego cierpliwie i dyplomatycznie odpierała ataki natarczywej matki. Nie była jednak pewna, czy i tym razem potrafiłaby w porę ugryźć się w język. Ostatnio coraz częściej nachodziła ją myśl, żeby odgryźć się Lili, ale nie chciała zniżyć się do jej poziomu. Lili potrzebowała do życia ostrej wymiany zdań tak samo jak papierosów i młodych kochanków. To właśnie z nimi spierała się najczęściej. Emilia nierzadko słyszała za zamkniętymi drzwiami jej podniesiony głos.

Weszła do swojego pokoju. Włączyła światło i usiadła na łóżku. Do odjazdu pociągu miała jeszcze ponad godzinę. Ogarnęła ją pustka, do której nie nawykła. Zawsze pracowała, czytała, pisała, rozmawiała z Franciszkiem, czasem odpoczywała. Ale nigdy się nie nudziła. To było dla niej nowe, niemiłe uczucie. Zupełnie jakby nie lubiła swojego życia, jakby było jej w nim niewygodnie. „A może tak jest?” – pomyślała. Wstała, podeszła do okna i otworzyła je. Wyjrzała na zewnątrz. Na całej ulicy nie było ludzi ani przejeżdżających samochodów. Nawet deszcz nie padał. Wzdłuż równej linii chodnika połyskiwało mdłe światło ulicznych latarni. Pomiędzy zaparkowanymi samochodami przechadzał się czarny kot. Zanim jednak zdążyła przypatrzeć się mu dokładniej, zniknął za rogiem przeciwległej kamienicy. Zamknęła okno, a potem bez celu snuła się po mieszkaniu. Zza zamkniętych drzwi do pokoju Lili dochodził zwietrzały zapach papierosów. Poczowała mdłości.

Wyszła sporo przed czasem. Tak jak zawsze sprawdziła jeszcze, czy przez przypadek nie zostawiła włączonej kuchenki gazowej. Zamknęła drzwi na klucz i nacisnęła energicznie kłamkę. Wzięła do ręki walizkę i zeszła ze schodów. Kiedy była już na dole, nagle brama kamienicy otwarła się. Stała w niej Lili.

– A ty gdzie się znów wybierasz?

– Do taty...

– Przecież dopiero co tam byłaś. – Lili udała niezadowoloną. Właściwie było jej wszystko jedno, czy córka kontaktowała się ze swoim ojcem i jego nową żoną, ale od ponad dwudziestu lat grała rolę skrzywdzonej i porzuconej. Przyzwyczajona do ciągłej adoracji, miała nadzieję, że były mąż do końca życia będzie wałęsał się za nią jak wierny pies. Skrycie zazdrościła Jankowi szczęścia. Jej się nie udało ułożyć życia po rozwodzie. Nie udało się, bo tego nie chciała, ale drażniła ją świadomość, że ojciec jej córki żyje spokojnie i dostatnio u boku atrakcyjnej pani doktor.

– Nie byłam tam od kilku miesięcy! Tata jest chory, miał stan przedzawałowy. – Popatrzyła na matkę, jakby w jej oczach szukała obcego Lili współczucia. Choć właściwie? Może nie całkiem. Po prostu pojmowała je inaczej. Współczuła przede wszystkim sobie, że czas źle się z nią obchodzi i zostawia na jej twarzy kolejne zmarszczki.

– Widocznie nie najlepiej się nim opiekuje ta jego... – Nie dokończyła, napotykając surowy wzrok córki. – Przy mnie zawsze był zdrowy.

Emilia pomyślała, że matka wygląda jak klaun. Pełne usta, pomalowane jaskrawoczerwoną szminką, wyglądały groteskowo, odbijając się od jasnej twarzy, pokrytej zbyt dużą ilością pudru. Z tej twarzy patrzyły oczy starszej kobiety, która wciąż wierzyła, że jest młoda, i próbowała zatrzymać tę młodość na wiele różnych sposobów. Zachowywała się jak ślepiec, nie dostrzegając potencjału dojrzałości. Emilia przywykła do dziwactw matki, ale bywały momenty, choćby takie jak ten,

gdy wygląd Lili, w ostrym świetle, prawie przerażał. Współczuła wówczas matce z całego serca i wiele by dała, żeby oszczędzić jej kompromitacji, na jaką narażała się, próbując być na siłę inną, młodszą, nie sobą.

– Kiedy wrócisz?

– We wtorek.

– Zostawiasz tego starego człowieka samego? Jak on sobie bez ciebie poradzi? – spytała ironicznie. Nie znosiła pana Franciszka. Wcześniej nie darzyła sympatią również Zofii. Uważała, że starsze małżeństwo „podmieniło” jej córkę. Gdyby nie tych dwoje, Emilia byłaby teraz taka jak ona w przeszłości: śliczna, próżna, otoczona wianuszkiem mężczyzn. A tak czekało ją jedynie staropanieństwo, czego Lili była w stu procentach pewna. Owszem, widziała w niej młodość, ale zamkniętą w niemodnych ubraniach i staroświeckiej fryzurze. „Kto dzisiaj jeszcze tak się czesze?” – często krytykowała córkę. Ta uśmiechała się wtedy do matki uroczo i poprawiała spinkę z błyszczącym rubinem. „Ja – odpowiadała. – Widzisz, jestem jedyna w swoim rodzaju” – dodawała, a wtedy Lili zazwyczaj odpuszczała.

– Pan Franciszek świetnie daje sobie radę beze mnie. Zresztą to tylko cztery dni. W środę będę w pracy. Pójdę już.

– Idź, nie zatrzymuję cię. – Lili uniosła papierową torbę z dużym logo luksusowego butik i pomachała nią córce przed oczami. – Może twój tatulek i ta jego chytra żonka sygną groszem i wezmą cię w końcu na jakieś zakupy? – Roześmiała się. Była pewna, że właśnie powiedziała coś zabawnego.

– Cześć! – rzuciła Emilia do matki i nacisnęła klamkę.

– Cześć! – odpowiedziała głośno Lili, znów unosząc ostentacyjnie torbę. Ale tego jej córka już nie widziała.

Emilia przeszła pustymi Plantami, nad którymi unosiła się nocna mgła, w kierunku dworca. W pociągu zajęła miejsce przy oknie, chociaż właściwie nie miało to większego znaczenia. Była noc, a za połyskującą szybą można było zobaczyć jedynie gęsty mrok.

Kiedy pociąg ruszał, dosiadł się do niej starszy człowiek, mniej więcej w wieku Franciszka. Przywitał się, nie spuszczać z niej oczu. Uśmiechnęła się do niego, ale zaraz potem odwróciła głowę w stronę okna, za którym migotały światła miasta. Nie miała ochoty na rozmowę. Myślała nawet, że się zdrzemnie. Perspektywa spędzenia ośmiu godzin w pociągu działała na nią usypiająco. Ziewnęła, nieustannie wpatrując się w szybę. Starszy pan jednak nie ustępował i grzecznie, ale według Emilii nazbyt natarczywie, zagadywał ją. Oderwała wzrok od szyby i odwróciła się do niego. To go ośmieliło. W ciągu godziny opowiedział historię swojego życia. Ona słuchała go z na wpół przymkniętymi oczami. Atmosfera w pociągu zrobiła się gęsta, a podróż stała się monotonna. Światła przygasły, Emilia miała nieodparte wrażenie, że to wszystko nie dzieje się

naprawdę. Nieznajomy mężczyzna, lekko zaciemnione wnętrze wagonu, mrok za oknem i cichy, choć drażniący odgłos pociągu sunącego po szynach. A może po prostu była zmęczona? Myśli w jej głowie kotłowały się, podsuwając płataninę obrazów. Z kwiecistej opowieści współpasażera zdołała tylko wysupłać kilka mało znaczących faktów, o których zapewne rankiem nie będzie już pamiętać.

Kiedy mężczyzna uznał, że to, co istotne, już opowiedział swojej współpasażerce, która okazała się biernym słuchaczem, ograniczając się tylko do kilku wymuszonych przytaknięć, w końcu usnął. Emilia też przytuliła się do fotela i zamknęła oczy. Słyszała szum pociągu i rytmiczne posapywanie siedzącego obok towarzysza podróży, które stawało się coraz głośniejsze, pomалу zamieniając się w uporczywe chrapanie. Czowała się zmęczona tą bliską obecnością nieznajomego, nawet teraz, gdy spał. A może teraz nawet bardziej? Chwilami wydawało jej się nawet, że siedzi nie w miękkim fotelu, tylko na trawie, a obok, w zagajniku, czai się na nią niedźwiedź.

Kiedy była dzieckiem, Janek często zabierał ją w Bieszczady. Uwielbiała te wyprawy. Lili nie podzielała jednak jej entuzjazmu. Za każdym razem, kiedy ojciec zjawiał się z wypakowanym plecakiem, ona starała się odwieść córkę od wyjazdu, strasząc ją wymyślonymi historyjkami. Do tej pory pozostał w niej lęk przed niedźwiedziem brunatnym, który według opowieści Lili mógł czaić się niemal za każdym większym drzewem, by pożerać małe dziewczynki. To przez Lili Emilia przestała wyruszać z ojcem na te górskie eskapady.

Wzdrygnęła się i otworzyła oczy. Zerknęła na mężczyznę. Nadal spał, a jego rozchylone usta układały się w błogi uśmiech. Nie starała się już zamknąć oczu. Była pewna, że i tak nie usnie. Wstała i zdjęła walizkę z górnej półki. Włożyła rękę do bocznej kieszeni i wyjęła z niej książkę Zofii. Bagaż postawiła na podłodze i usiadła. Książka, zawinięta w szary papier, wyglądała niepozornie. Emilia przeczuwała, że między rzędami liter ukrywało się coś, co urzekło kiedyś jej nianię. Zacisnęła dłonie na okładce. Wtedy jak żywa przed jej oczami stanęła Iga. W głowie pojawiły się obrazy z ich ostatniego spotkania i pojedyncze słowa, które niczym zacinająca się taśma magnetofonowa teraz nabierały nowego znaczenia. „Nie miała prawa tego zrobić”. Oparła głowę o szybę, w której zobaczyła swoje zawiedzione spojrzenie. Iga nie była idealna. Ich przyjaźń nie była idealna, ale na przekór różnym konfliktom trwały obok siebie. Jak woda i ogień, Ziemia i Słońce. Emilia gasiła wybuchowy temperament Igi, a Iga wypychała Emilię, która najchętniej siedziałaby z nosem w książkach, w stronę prawdziwego życia. Zabierała ją do krakowskich klubów, przedstawiała znajomym. Obie miały własne zasady, których nigdy nie łamały. Od teraz jednak już nic nie miało wyglądać tak jak do tej pory.

Przesunęła ręką po książce. Była nietypowa, co zauważyła już wcześniej, anonimowa. Zaczęła ją kartkować. Zatrzymała się w przypadkowym miejscu.

Kartka z lewej strony była prawie pusta. Prawie, bo widniało na niej tylko jedno zdanie.

Żegluj z radością i bez strachu. Nigdy nie wiesz,
co dobrego może cię spotkać na szerokich wodach.

Długo wpatrywała się w te słowa, powtarzała w myślach. Patrzyła na nie tak uporczywie, że równe litery zaczęły zlewać się w ciemną plamę. Na moment zamknęła powieki. Nawet kiedy otworzyła oczy i z powrotem odłożyła książkę do walizki, ciągle była pod urokiem tego jednego zdania.

Po trzech godzinach monotonnej jazdy w końcu udało jej się usnąć. Śniło jej się morze. Stała na wąskim paśmie plaży, a przed sobą miała tylko niezmierną tafelę ciemnoniebieskiej wody. Ponad nią krążyły przekrzykujące się mewy. Podniosła głowę, przyglądając się ptakom, a kiedy znów spojrzała przed siebie, spokojne dotąd wody przecięły lekkie fale. Wtedy go zobaczyła. Na horyzoncie majaczył żaglowiec. Zapragnęła przyjrzeć się mu dokładniej, chciała poznać jego kolor i kształt. Ale gdy mocniej wyteżała wzrok, statek, który przybliżał się do niej, nagle zaczął się oddalać. Czuła, jakby swoimi myślami zmieniła kierunek wiatru. Żaglowiec rozmywał się, aż zniknął, zupełnie jak statek widmo.

Kiedy się obudziła, wciąż miała w głowie jego zarys, niejasny i nierealny. Ale przecież to był tylko sen... Pociąg zbliżał się do Gdańska. Siedzący obok mężczyzna też otworzył oczy, ale po kilkunastu godzinach drzemce przeszła mu ochota na kontynuowanie rozmowy. Spoglądali tylko na siebie, co jakiś czas wymieniając się uśmiechami. Gdy w oddali zamrugały światła miasta, zaczęła zbierać się do wyjścia.

Wyszła z pociągu i szybko wydostała się z dworca, kierując się w stronę ulicy Pobielańskiej, gdzie umówiły się z Różą. Już od lat spotykały się w tym samym miejscu. Emilia dojrzała jej samochód już z oddali. Róża stała, opierając się o maskę.

– Cześć, Rózo!

– Cześć, kochana. – Z zaskoczenia aż drgnęła. – Trochę się zamyśliłam...

– Znów się przeze mnie nie wyspałaś. – Złapała macochę za rękę i długo nie wypuszczała. Róża była niższa od swojej pasierbicy przynajmniej o głowę. Miała chłopięcy typ urody, bardzo szczupłą sylwetkę, krótkie włosy w kolorze jesiennych kasztanów. Ubierała się praktycznie, nosiła spodnie i wygodne bluzki z dżerseju. Mimo to wydawała się kobieca i atrakcyjna. I miała jeden z najpiękniejszych uśmiechów świata. To właśnie tym uśmiechem zauroczyła Janka, a ośmioletnia wówczas Emilia obdarzyła ją bezgranicznym zaufaniem. Tak pozostało do dzisiaj. Jan kochał Różę tak samo jak dwadzieścia lat wcześniej, a jego córka poszłaby za macochą na koniec świata.

– Wsiadaj. – Otworzyła przednie drzwi od strony pasażera i skinęła na dziewczynę. Sama po chwili usadowiła się na siedzeniu kierowcy. Wcześniej

upchały walizkę w ciasnym bagażniku. – Jestem wypoczęta jak nigdy dotąd. Po ostatnim dyżurze spałam szesnaście godzin. Teraz wzięłam kilka dni wolnego – powiedziała, dopiero kiedy uruchomiła silnik. Wolno cofając, zerknęła do tyłu i jednocześnie przyglądała się córce Janka. – To ty mi bardziej wyglądasz na niewyspaną.

Emilia ziewnęła. Rzeczywiście była zmęczona.

– Zdrzemnij się, wiesz, że mamy przed sobą przynajmniej czterdzieści minut jazdy. Ja jestem przepisowym kierowcą, nie to co twój tata. – Odwróciła wzrok od jezdni i uśmiechnęła się do pasażerki.

– Jak on się czuje?

– Tak jak ci mówiłam, w porządku. Dobrze, że mamy jesień, a przed nami perspektywa długiej zimy, bo znając twojego ojca, zaraz uciekłyby do swojego baru. Mam tylko nadzieję, że ta choroba da mu do myślenia. Trochę się wystraszył.

– Co ty powiesz? Taki twardziel i wystraszył się, że musi na kilka dni zostać w łóżku?

– To przeraziło go najbardziej.

– Mam dla niego dwa kryminały Akunina, może zatrzymają go w domu na dłużej.

– Obyś miała rację. – Róża przyśpieszyła. Szosa o tej porze była jeszcze pusta.

– Cieszę się, że do was przyjechałam. – Emilia popatrzyła na macochę, ale zaraz potem odwróciła wzrok w stronę okna i wygodnie ułożyła się w fotelu.

Doskonale znała tę drogę. Kiedy wysiadła z pociągu na dworcu w Gdańsku, czuła, że jest u siebie. Róża i Janek mieszkali czterdzieści kilometrów od Gdańska, w małej miejscowości Modrzewiowa, gdzie było tylko kilkanaście domów, w pobliżu stała stara latarnia morska, działały dwa sklepy, a na obrzeżach znajdował się opuszczony ośrodek wczasowy. Trzy pierwsze lata po ślubie mieszkali w Gdańsku. Róża miała mieszkanie niedaleko szpitala, gdzie pracowała. Nadarzyła się im jednak okazja, by kupić mały dom w wiosce, z której pochodziła Róża. Właśnie tak trafili do Modrzewiowej. W ciągu kolejnych trzech lat od przeprowadzki wyremontowali starą chałupę i teraz mieszkali w niewielkim, ale przytulnym domu tuż przy sosnowym lesie. Wystarczyło dziesięć minut spaceru przez ten las, by znaleźć się na dzikiej plaży. Odkąd przyjeżdżała do Modrzewiowej, na przynajmniej kilometrowym odcinku plaży nigdy nie spotkała nikogo. Nieco dalej, z lewej strony, był niewielki cypel. Stało tam kilka rybackich kutrów. Kierując się w prawą stronę, po dwudziestu minutach marszu można było dojść do latarni morskiej.

W Modrzewiowej wszyscy mieszkańcy znali się bardzo dobrze i zawsze służyli sobie nawzajem pomocą. Tak było od lat. Kto się nie dostosował i nie umiał żyć zgodnie z rytmem, jaki wyznaczał wiatr często wiejący od strony wydm,

wyprowadzał się. Było kilkoro takich, których przerosło marzenie o życiu w małej nadmorskiej osadzie, i wyjechali już po pierwszej zimie. Lodowaty wiatr i ostre morskie powietrze nie rozpieszczały mieszkańców, którzy zamykali się zimą w swoich domach. Ale Emilia kochała to zimowe morze. Do Modrzewiowej przyjeżdżała przeważnie po sezonie. Jej ojciec miał w tym czasie więcej wolnego. Wtedy zazwyczaj dużo czytał. Od wiosny do jesieni prowadził na obrzeżach Gdańska niewielki bar. Nie narzekał, lubił swoją pracę. To raczej Róża wciąż musiała gasić jego entuzjazm. W sezonie urlopowym Janka ogarniał szłał pracy i przestawał się kontrolować. Mógł spać kilka godzin, niewiele jeść. Róża przyjęła na siebie rolę nieznośnego dozorczy. Pilnowała męża i sprawdzała, czy zażywa leki. Już wcześniej miał problemy z ciśnieniem. Pijał zwykle po kilka filiżanek kawy dziennie, i to w końcu dało o sobie znać.

– Dojeżdżamy. – Emilia oderwała głowę od oparcia. Odkąd zamilkły, miała zamknięte oczy i starała się zasnąć.

Róża wyraźnie zwolniła. Wjechała na wąską zwirową drogę, wzdłuż której ciągnęły się krzaki dzikich róż, wciśnięte pomiędzy modrzewie. Co jakiś czas pomiędzy nimi pojawiała się wysmukła brzoza. Nie było żadnych zabudowań. Na końcu ślepej uliczki stał niebieski dom Janka i Róży, otoczony drewnianym ogrodzeniem z rzadko rozmieszczonymi sztachetami. Widać było przez nie niemal wszystkie detale niewielkiego ogródka. Właścicielom to nie przeszkadzało, gdyż i tak nikt obcy nie zaglądał w te strony, a dla sąsiadów ich dom był zawsze otwarty. Zatrzymały się przed bramą. Emilia wysiadła z samochodu. Dojrzała ojca idącego od strony domu. Róża też go zobaczyła i pośpiesznie wyskoczyła z auta.

– Miałeś leżeć – odezwała się z wyrzutem. – Zachowujesz się jak mały chłopiec.

Obie kobiety podeszły do ogrodzenia. Emilia szybko prześlizgnęła się przez otwartą furtkę, przy której stał Janek.

– Tatusiu... – Złapała go mocno za szyję, tak jak w dzieciństwie. Wtedy ojciec zazwyczaj unosił ją i kilka razy obracał się w koło, mówiąc: „Moja mała królewno, jesteś coraz cięższa”. Teraz z całej siły obejmował jej ramiona i tulił, jakby wciąż była jego małą córeczką.

– Nareszcie jesteś, moja królewno. Myślałem, że przyjedziesz dopiero na święta. – Popatrzył na córkę podejrzliwie, a potem takim samym spojrzeniem obdarzył żonę, która zdążyła już zaparkować samochód przy domu. Właśnie zamykała bramę, udając, że ich rozmowa zupełnie jej nie interesuje.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

– Bardzo się cieszę. Ale pamiętam, że podczas naszej ostatniej rozmowy mówiłaś, że na razie nie masz czasu, bo musisz pomagać Franciszkowi. Co się zmieniło?

– Nic się nie zmieniło, po prostu chciałam odpocząć...

– Od Lili? – Ojciec roześmiał się.

– Od Lili i od miasta.

Stała naprzeciw niego. Wiedziała, że znał powód jej przyjazdu. W końcu był jej tatą, najlepszym ze wszystkich, takim, z którym można było konie kraść. Oboje jednak starali się nie wydać Róży, która zainicjowała to spotkanie.

– Tato, dobrze się czujesz?

– Ja zawsze czuję się świetnie! – Janek uniósł ramiona i udał, że napręży mięśnie, rozśmieszając tym córkę. Był drobnej budowy ciała, tak jak Róża. Z jego szczupłej, pociągłej twarzy spoglądały lekko skośne zielone oczy. Gładka twarz bez zarostu, ze śladem nadmorskiej opalenizny, wciąż wyglądała młodo, choć gęste, krótkie włosy były poprzecinane siwymi pasmami.

– Wydaje mi się, że zeszczupłałeś. – Popatrzyła na jego spodnie, mocno ściśnięte skórzanym paskiem z mosiężną sprzączką, od lat tym samym. Koszule i T-shirty ojciec też nosił od dawna w taki sam sposób. Zwykle upychał je ciasno w spodniach. Wyglądał trochę komicznie, ale ona przyzwyczała się do jego stylu.

Róża stanęła przy Janku i oparła głowę na jego ramieniu. Pięknie razem wyglądali. Emilia uśmiechnęła się na widok ich czułych gestów. Tata nigdy nie wstydził się okazywać uczuć. Nie był typem twardego *macho*. Wiedziała, że to dzięki Róży nie zamknął się na miłość. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby tata mógł być z Lili. Nawet dziwiła się, że w ogóle zwrócił na nią uwagę. Janek, z wykształcenia ekonomista, zaraz po studiach podjął pracę w Urzędzie Miasta w Krakowie. To właśnie tam pierwszy raz spotkał swoją pierwszą żonę. Załatwiała jakąś pilną sprawę, a że była spora kolejka, by ją ominąć, sprytna Liliana postanowiła do tego celu wykorzystać młodego urzędnika. Janek do tej pory nie potrafił powiedzieć, co też takiego w niej zobaczył. W każdym razie na następny dzień umówili się na kawę. Potem spotkali się jeszcze kilka razy. Po pewnym czasie Janek zrozumiał, że Lili nie była tą, z którą chciałby spędzić resztę życia, ale wtedy jego „bogini” oświadczyła, że spodziewa się dziecka. To zmieniło wszystko. Ojciec Emilii zawsze był odpowiedzialnym mężczyzną. A kiedy na świecie pojawiła się jego ukochana córka, mała królewna, żył tylko dla niej.

Janek wciągnął brzuch i mocno chwycił za pasek, udając, że go zaciska.

– A moja królewna jak zawsze piękna. – Chwycił córkę za rękę i pocałował.

– Zofia przekazała ci wiele dobrych rzeczy. Jej nauka nie poszła w las. Zawsze będę jej za to wdzięczny. A co u Franciszka? Jak z jego zdrowiem?

– Pan Franciszek czuje się dobrze. Zupełnie jak ty, tato. – Popatrzyła na ojca wesoło. – Twarde z was sztuki.

– Chodźcie do domu – ponagliła ich Róża. – Zjemy coś, Emilka weźmie prysznic i trochę odpocznie po podróży. Zobacz, jaka jest zmęczona. – Trąciła Janka w bok.

– W takim razie chodźmy. – Jan objął obie kobiety i ruszyli w stronę drzwi.

Dom ojca i macochy był przytulny. Tworzyli go kochający się ludzie. I to czuło się już po przekroczeniu jego progu. Róża urządziła go funkcjonalnie, po kaszubsku. Kilka starych przedmiotów, które zabrała ze starego rodzinnego domu, potrafiła tak interesująco połączyć z wygodnymi meblami z Ikei, że efekt był naprawdę zadziwiający. Każdy, kto widział dom Róży i Janka, nie mógł odmówić jego gospodni wyczucia stylu. Urządzanie wewnątrz było jej pasją. Co jakiś czas zmieniała wystrój, zachowując jednak jego staromodny charakter. W niedużej, odnowionej stodole, w kilku zabezpieczonych pudłach leżało mnóstwo ciekawych rodzinnych pamiątek. Budynek, w którym wychowywała się żona Janka, odziedziczył jej stryj. Chałupa była już stara, więc od razu zdecydował się na rozbiórkę. Działkę sprzedał, gdyż od lat mieszkał za granicą, a część pieniędzy przekazał rodzinie.

W domu Róży czuło się kobiecą rękę. W kuchni stały kremowe drewniane meble, w kilku miejscach dekorowane kaszubskimi motywami. Przy dużym oknie, ozdobionym krótką szydełkową firanką, ustawiono prostokątny stół z ciemnego drewna. Ten stół Róża zabrała ze starego domu. Po latach tułaczki, gdyż w jej kawalerce nie było dla niego miejsca, w końcu wrócił do Modrzewiowej. Teraz stał, okazały i odnowiony, nakryty schludnym bieżnikiem, i wydawał się nie pamiętać czasów poniewierki, kiedy na blacie zalegały grube warstwy przyschniętego kurzu. Na jednej z kuchennych ścian, pomalowanych na jasnozielony kolor, wisiał kilim z kaszubskim motywem, zabrany z chałupy dziadków Róży.

W salonie też było klimatycznie. Duża bordowa sofa, obrzucona kolorowymi poduchami, ożywiała pomieszczenie. Pod jedną ze ścian stały wąska witryna i biblioteczka z jesionowego drewna, a naprzeciw nich ulokowano kominek. Nie było telewizora, bo też w tym domu nie był potrzebny. Janek i Róża mieli laptopy, które służyły im do kontaktu ze światem. W związku z brakiem telewizora w domu było cicho i nastrojowo. Róża często słuchała muzyki. Na wąskiej konsoli z giętymi nóżkami, umieszczonej w rogu pomieszczenia, stał gramofon. Wciąż działał bez zarzutu i właściciele słuchali na nim ulubionych płyt. Schowane w podniszczonych okładkach, znajdowały się na półce pod gramofonem. Wystarczyło tylko po nie sięgnąć, wybrać którąś, położyć na talerzu adaptera i włączyć go, a znajome dźwięki natychmiast przywoływały miłe wspomnienia. Emilia знаła na pamięć całą kolekcję, ale za każdym razem, kiedy była w Modrzewiowej, wciąż przeglądała ją na nowo. Stare szlagiery pasowały do tego miejsca, pasowały do taty i Róży. Niemen, Grechuta, Czerwone Gitary, Ewa Demarczyk, Kalina Jędrusik, Kasia Sobczyk i ich ukochana Ada Rusowicz. Janek miał swoich Stonesów i Beatlesów, których większość tekstów do tej pory znał na pamięć.

– Połóż się. – Róża stanęła tuż za nią, gdy Emilia opierała rękę na płytach,

jakby zastanawiała się, którą z nich wybrać. Ziewnęła i potarła oczy. W ciepłym domu poczuła jeszcze większe zmęczenie niż na dworcu w Gdańsku.

– Tak, pójdę do siebie. – Wyprostowała się i ruszyła w stronę schodów. Skrzypiały miękko. Uwielbiała po nich stąpać, czuła, że jest w prawdziwym domu.

Jeszcze w dzieciństwie wybiegała na górę i zbiegała, dopóki nie opadła z sił. Deski schodów trzeszczały wtedy wyjątkowo głośno. Emilia przeskakiwała stopnie, jakby była drewnianą pałeczką, przesuającą się po klawiszach wielkich cymbałów.

– Śpij dobrze, przygotowałam twoją ulubioną pościel w jarzębinę – powiedziała Róża, kiedy dziewczyna stała już na schodach.

Jej pokój nie zmieniał się od lat. Tylko ona była inna, dorosła. Na jasnoróżowych ścianach wisiały obrazki przedstawiające kwiaty i kolorowe motyle. Wąski tapczan, stojący pod oknem z zasłonką w tęczowe paski, wyglądał, jakby na nią cały czas czekał. Spod kremowego pledu wychylał się brzeg poduszki obleczonej w poszewkę z motywem dojrzałej jarzębiny. Kiedy była mała, w jesienne ciepłe wieczory siadywały z Różą na ławce przy domu i nawlekały dojrzałe kulki jarzębiny na długie, grube nitki. Ozdabiała jarzębinowymi koralami szyję, wplatała je we włosy i okręcała nimi nadgarstki. Zabierała je potem do krakowskiego mieszkania, ale tam usychały. Kurczyły się, czasem spadały z kordonka. Lili rozdeptywała je, narzekając na idiotyczne pomysły ojca i jego kochanki.

Emilia kiedyś spytała matkę, co oznacza słowo „kochanka”, które dla dziewczynki brzmiało dość przyjemnie. Sama wytłumaczyła sobie nawet, że „kochanka” to ktoś, kogo się bardzo kocha. „Kochanka to wredna mała, która zabiera tatusia” – usłyszała od Lili. „Ale Róża nie zabrała nam taty. Ona jest dobra i nigdy nie bierze nikomu nic bez pytania”. Lili nie odpowiedziała, nie lubiła mierzyć się z prawdą. Woląла oszukiwać samą siebie i wszystkich wokół.

Za czystą szybą Emilia dojrzała starą lipę. Podobno miała ponad dwieście lat. Jej poskręcane konary wyglądały jak spracowane ręce starego człowieka. Na wierzchołku drzewa sterczała naga gałąź, w którą niegdyś uderzył piorun. Nie wypuściła już nowych liści, ale wciąż mocno trzymała się pnia, nie mogąc się z nim rozstać.

Po szybkim prysznicu wskoczyła do łóżka, które nadal nosiło zapach jej dzieciństwa, i usnęła. Po dwóch godzinach obudziło ją chrobotanie do drzwi. Otworzyła oczy. Przez moment nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Kiedy jednak popatrzyła na znajome ściany, na regały z jej ulubionymi książkami z dzieciństwa, pamięć powróciła. Lewis, Niziurski, Siesicka, Musierowicz, ukochana *Szósta klepka*. Tak, była w domu. Usiadła i przeciągnęła się leniwie. Spojrzała w kierunku drzwi, zza których wciąż dochodził znajomy chrobot. Uśmiechnęła się i wstała. Ledwo nacisnęła kłamek, a już po chwili przy jej nogach znalazło się rozradowane

zwierzę.

– Włóczykij, nie skacz, bo mnie przewrócisz! – Starła się złapać szalejącego psa, ale on ani myślał się zatrzymać. Obszczekiwał radośnie swoją panią, dotykając w podskokach jej bioder i coraz energiczniej kręcąc ogonem. Kiedy się uspokoił, kucnęła obok niego i z czułością zaczęła go głaskać.

– Łobuzie, gdzie ty się znowu włóczyłeś? – mówiła do zwierzaka łagodnie, wyciągając rzepy z gęstej, kudłatej sierści. Pies uniósł głowę i popatrzył na nią radośnie. W tym momencie w drzwiach stanęła Róża.

– O, widzę, że już się przywitaliście. – Oparła się bokiem o futrynę, spoglądając w stronę Emilii i nieco już spokojniejszego Włóczykija. – Wiesz, że jutro będą jego urodziny? – Uśmiechała się od ucha do ucha.

– Jak mogłabym o nich zapomnieć? Kończy jutro siedemnaście lat. Trzeba przyznać, że wigoru mu nie brakuje. – Nadal wyciągała z sierści zielone pamiątki po spacerze.

– Pamiętasz tamten dzień, jak go przyniosłaś do domu? Był taki maleńki i nieporadny...

– Nigdy tego nie zapomnę. Ciągle nie mogę zrozumieć, jak ktoś mógł być tak bezlitosny, żeby kilkutygodniowego szczeniaka zostawić na pastwę losu.

– Też tego nie rozumiem. Tyle okrucieństwa jest na świecie. Na szczęście trafił do ciebie w odpowiednim momencie. – Róża przykucnęła przy dziewczynie.

Siedemnaście lat temu Emilia znalazła Włóczykija przy opuszczonej latarni morskiej. Był zbyt wycieńczony, żeby samodzielnie postawić choć krok. Leżał przed drzwiami, zamkniętymi na dwie zardzewiałe kłódki, i patrzył smutno przed siebie. Wyglądał, jakby czekał na śmierć. Wtedy zamiast chudej białej pani z ostrą kosą pojawiła się ładna dziewczynka, która tego dnia akurat wymyśliła sobie, że zbierze całą buteleczkę bursztynów. Morze po burzy wyrzuciło na plażę wiele skarbów. Emilia szła brzegiem, patrząc pod nogi, i wnet dotarła do osławionej latarni. Krążyły o niej różne opowieści. A to, że ktoś się w niej powiesił albo że zazdrosny mąż uwięził w niej żonę, skazując ją na niechybną śmierć. Mówiono też, że mieszkali w niej kiedyś piraci, postrach okolicznych wiosek. Ona nie wierzyła w te plotki. Nie bała się tam chodzić. Lubiła to miejsce, ciche i tajemnicze. Na przekór zatrwająającym opowieściom czuła, że wydarzyło się tam coś pięknego. Zresztą w najbardziej pochmurny dzień tamtej jesieni pod drzwiami opuszczonej latarni znalazła małe puchate szczęście. Od tamtej pory drobny, czarny jak węgielek kundel, o oczach równie ciemnych jak jego gęsta i długa sierść, stał się pełnoprawnym członkiem rodziny. Data znalezienia stała się oficjalnym dniem jego urodzin.

Kiedy tylko poczuł się na tyle silny, by stanąć na własnych łapach, od razu pognął w świat. Wciąż biegał po okolicznych łąkach i plaży, spędzał więcej czasu na wędrówkach niż na wylegiwaniu się w domu Janka i Róży. „Ty włóczykiju” –

powiedziała Emilia, gdy po raz pierwszy wypuścił się na długą wyprawę. Po powrocie dla wszystkich był już nieujarzmionym Włóczykijem, któremu do życia nie wystarczała dziesięcioarowa działka jego właścicieli. Włóczykij miał wielkie serce i natychmiast oddał je w całości małej wybawicielce.

– Chodźmy na dół na śniadanie. A potem proponuję mały spacer na plażę – powiedziała Róża i podniosła się. – Co ty na to?

– Z wielką przyjemnością. Brakowało mi naszego morza. Tylko w Modrzewiowej oddycham pełną piersią. – Popatrzyła na skąpane w słońcu okno i myślami już była na piaszczystym brzegu.

Śniadanie zjedli w miłej atmosferze. Janek wypytywał o Franciszka i sprawy antykwariatu, a Róża opowiadała o pracy i życiu w Modrzewiowej, starając się zrelacjonować pasierbicy ważniejsze wydarzenia od jej ostatniego pobytu. Po drugiej filiżance herbaty wyszły na dwór.

Szły przez sosnowy las, pachnący żywicą i wilgocią, wprost do wyjścia na plażę. Janek został w domu. Postanowił, że przygotuje obiad. Kiedy znalazły się na mokrym piasku, Emilia od razu skierowała się ku latarni. Włóczykij też popędził w tamtym kierunku. Róża nie miała ochoty na tak daleki spacer. Nie lubiła chodzić do latarni. Unikała tego miejsca.

– Chodźmy na cypel, posiedzimy tam chwilę! – zawołała.

Dziewczyna zatrzymała się i od razu zawróciła do macochy. Nie rozumiała, skąd jej niechęć do tego miejsca, ale nigdy nie miała odwagi, by o to zapytać.

Skierowały się ku wąskiemu cypelowi, wcinającemu się w morze na długość kilkunastu metrów. Od zachodu otaczały go masywne, ciasno ułożone bloki kamienne, oblepione wodorostami. Na piasku tuż przy brzegu stały przycumowane cztery kutry rybackie. Zwisające z nich sieci ociekały wodą po ostatnich deszczach. Spacer po mokrej plaży okazał się męczący. Na szczęście od samego rana słońce grzało mocno, piasek schnął więc bardzo szybko.

– Chodź, usiądziemy. – Róża dotknęła dłoni Emilii, kiedy przechodziły obok jednej z łajb. – Wskakuj. – Wskazała odrapane wnętrze łodzi. – Dzięki, że nie wygadałaś się tacie. – Puściła do niej oko, gdy usadowiły się w starym żółtym kutrze jak we wnętrzu łupiny orzecha.

– Przecież on i tak o wszystkim wie. – Emilia pomogła wskoczyć do łodzi Włóczykijowi i przygarnęła go do siebie.

– Oczywiście, że wie.

– Dobrze wygląda. Bałam się, że to naprawdę coś poważnego.

– Mogło być. Twój tata musi na wiosnę naprawdę przystopować...

– A ty?

– Ja?

– Nie uważasz, że też za dużo pracujesz?

– Ja to co innego!

– Przyganiał kocioł garnkowi. Narzekasz na tatę, a niedługo sama możesz znaleźć się na jego miejscu.

– Kochana, jak się wybiera zawód lekarza, to później trzeba się liczyć z konsekwencjami. Zresztą przysięga Hipokratesa do czegoś zobowiązuje. Kocham moją pracę. A tobie jak tam w tym Krakowie? – spytała po dłuższej chwili milczenia.

– Po staremu, czyli dobrze. Zawsze mogłoby być gorzej.

– Dobrze, czyli nie najlepiej... Masz jakieś kłopoty? – spytała wprost, choć domyślała się, że nie usłyszy szczerzej odpowiedzi. Od dziecka jej przybrana córka była skryta. Ufała Róży, ale zazwyczaj długo dojrzewała do zwierzeń.

– Nie – odpowiedziała od razu Emilia i odwróciła głowę w stronę morza.

Na horyzoncie pojawiła się szara plama przepływającego statku. Obie kobiety zapatrzyły się w dal.

– Co u Igi? Może byś ją kiedyś do nas zabrała? Dawno się nie widzieliśmy...

– Nic ciekawego.

– Dalej pracuje w tej agencji reklamowej na Grodzkiej? Wspominałaś ostatnio, że chciała zmienić pracę.

– Nie zmieniła.

– Pokłóciłyście się?

– Nie! – odpowiedziała ostro, wstała i zeskoczyła z łodzi. Na moment odwróciła się jeszcze w stronę macochy i dodała: – Nie chce mi się o niej mówić. Są ciekawsze tematy.

Róża знаła Igę od dziecka. Ona sama nigdy nie miała takiej przyjaciółki. Może gdyby była obok niej jakaś bratnia dusza, jej życie potoczyłoby się inaczej? Może nie podjęłaby decyzji, której skutki odczuwała do dzisiaj? Popatrzyła przed siebie. Emilia oddalała się nieśpiesznie. Tuż przy jej nogach pałętał się Włóczykij. „Przecież jestem szczęśliwa, mam Janka i Emilkę” – pomyślała i wyskoczyła z łodzi.

W niedzielę Emilia obudziła się z samego rana. Na zewnątrz panowała jeszcze jesienna szarówka, ale za linią horyzontu czerwieniło się wschodzące słońce. Zapowiadał się ciepły dzień. Kiedy zeszła do kuchni, Janek już tam był. Siedział przy stole i popijał herbatę, czytając gazetę.

– Dzień dobry. – Podeszła do niego i cmoknęła w policzek.

– Dzień dobry, królewno. – Jan odłożył gazetę, przechylił szklankę i dopił ostatni łyk herbaty.

– A gdzie twoja kawa? – spytała z półuśmiechem. Cieszyła się, że tata wziął sobie do serca zalecenia Róży, nawet jeśli się do tego nie przyznawał.

– Wypijemy ją później razem. Nie możesz spać?

– U was zawsze budzę się wcześniej. Poza tym słyszałam Włóczykija, jak domagał się spaceru.

– Tak, urządził rano rozszczękaną awanturę. Musiałem szybko wskoczyć w kaptcie i otworzyć mu drzwi.

– Róża śpi? – Popatrzyła na schody. Ich sypialnia mieściła się na piętrze, obok jej pokoju.

– Tak, ostatnio jest ciągle zmęczona. To chyba jesień tak na nią działa.

– Albo po prostu za dużo pracuje. Tak jak ty...

– Przecież ja odpoczywam. – Janek odchylił się na oparcie krzesła, założył ręce za głowę i wyciągnął przed siebie nogi.

– Teraz odpoczywasz, ale po zimie przyjdzie kolejna wiosna i wtedy pewno znów nie będzie można cię zatrzymać.

– Kochana, ostatnio nie czułem się najlepiej. Wiem, że muszę trochę zwolnić.

– A wydawało mi się, że jesteś niezniszczalny i silny jak dąb!

– Emilko, nawet dąb może się złamać podczas huraganu. Trochę się przeceniłem, nie jestem już najmłodszy.

– Dbaj o siebie. – Po słowach ojca podeszła bliżej, objęła jego ramiona i pogładziła go po skroni.

Jan długo patrzył na nią bez słowa. Odezwał się dopiero po chwili.

– Nie wybieram się na tamten świat. Chcę się jeszcze wami nacieszyć... Siadaj, zrobię ci śniadanie. – Chciał wstać, ale ona przytrzymała go za rękę.

– Nie jestem jeszcze głodna. Napiję się tylko wody i wyjdę na spacer z Włóczykijem. W końcu dziś jest jego święto. – Popatrzyła na psa, który stał przy jej nodze, radośnie merdając ogonem.

– Tak, nie zapomniałem. Dziś na obiad będzie tłusta kaszanka i duży kawał boczku. – Janek roześmiał się, spoglądając na psa.

– Mam nadzieję, że nie dla nas. – Zmarszczyła nos.

– Dla nas będzie pyszna ryba od pana Lucka. – Zobaczył, że się lekko krzywi. – Aleś ty się zrobiła wybredna! Przecież zawsze lubiłaś ryby.

– Lubiałam, dopóki na dobre nie zagościły w naszej lodówce. Lili żywi się nimi już od miesiąca. Są nieświeże, wysuszone i mają nieładny zapach... Blee. – Zatkąła sobie nos, nabierając powietrza w usta.

Janek wybuchnął śmiechem. Widocznie przypomniał sobie sytuację z Lili w roli głównej, z czasów, kiedy jeszcze byli małżeństwem.

– Jak ty z nią jeszcze wytrzymujesz? – Uspokoił się i spojrzał poważnie.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, przywykłam. Mieszkamy w jednym mieszkaniu, ale żyjemy w dwóch różnych światach. Ona sobie, ja sobie.

– Dlaczego nie zamieszkaś z Franciszkiem?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, co mnie przy niej trzyma.

Nagle Włóczykij zaczął donośnie szczekać i skakać, opierając się łapami

o jej nogi.

– Uhu, domaga się spaceru. Nie odpuści ci. Lepiej już idźcie.

– Ruszamy – powiedziała i zwróciła się do psa. – Czekał tu na mnie. Pójdę się tylko przebrać i zaraz do ciebie wracam.

Włóczykij posłuchał. Przybliżył się do drzwi wyjściowych, usiadł, opuścił głowę, głośno dysząc.

Emilia ubrała się błyskawicznie. Widok za oknem zachęcał do wyjścia. Drzewa w aureoli jesiennych liści przeglądały się w słońcu już od świtu. Wczoraj obie z Różą brnęły w mokrym piachu, dzisiaj więc włożyła buty za kostkę. Wykonane z brązowej skóry, miały cienkie, beżowe sznurówki. Do tego dzinsowa spódnica, sweter w kolorze cappuccino z miękkiej *bouclé*, ulubiona zielona sztruksowa torebka zawieszona przez ramię i wszystko było na swoim miejscu. Kilka minut spędziła przed lustrem, malując kreskę czarnym eyelinerem i tuszując rzęsy. Kocie oczy były jej znakiem rozpoznawczym. Oczywiście włosy upięła tak, jak miała to w zwyczaju.

Okrągły rubin połyskiwał w jej włosach, kiedy szła brzegiem plaży w kierunku starej latarni. Włóczykij biegł przodem, jakby to on wyznaczał trasę i tempo, w jakim powinni się poruszać. Mimo wygodnych butów nogi co chwilę nurkowały w rozmokłym piachu, ale otrzepywała je pośpiesznie, nie ustając w wędrówce. Wdychała słone, wilgotne powietrze i czuła, że jest u siebie. Gdyby ktoś kazał jej wybrać jedno miejsce do życia, nie umiałaby tego zrobić. Miała dwa domy: przytulną, pachnącą wolnością i morzem, osłoniętą sosnowym lasem przystań Janka i Róży oraz urokliwy, głośny Kraków, gdzie szum wiatru mieszał się z odgłosem przejeżdżających tramwajów i gwarem ulicy. Od lat balansowała między tymi dwoma światami.

Odcinek plaży prowadzący do latarni był znacznie czystszy niż ten przy cyplu. Na brzegu nie było wodorostów ani szczątków roślin pozostawionych przez morze. Włóczykij pędził jak szalony. Lubił tę przybrzeżną trasę tak samo jak ona. Nieraz zastanawiała się, czy pamiętał moment swojego odnalezienia. Gdy stawali pod okrągłym budynkiem latarni, pies zawsze podchodził do drzwi i dokładnie je obwąchiwał. Potem siadał w tym samym miejscu, w którym go znalazła.

Gdy doszła do latarni, Włóczykij już leżał przed wejściem. Nie zauważyła, czy tak jak zazwyczaj obwąchał drzwi, bo kiedy stanęła obok niego, odpoczywał, przytulając się do nich bokiem. Ku jej zdziwieniu drzwi miały nową klamkę i solidny zamek. Stare, pokryte rdzą kłódki zniknęły. W dwóch bocznych okienkach wisiały półprzezroczyste zasłony. Z ciekawością podeszła do jednego z nich, starając się zajrzeć do środka.

Nie mogła jednak niczego dojrzeć przez gęsty splot tkaniny. Obeszła latarnię, a potem usiadła na najniższym z siedmiu schodów, tuż przed wejściem. Stąd rozpościerał się piękny widok na morze. Poza plażą, bezmiarem wody

i ceglanym budynkiem za jej plecami nie było nic więcej. Od dziecka siadała zawsze w tym samym miejscu. Zauważyła, że z każdym rokiem skruszałych stopni ubywało. Rozsunęła torebkę i wyjęła z niej zeszyt. Zaraz potem otworzyła go i popatrzyła na białe, puste kartki. Włóczykij usiadł obok niej. Położyła dłoń na miękkiej sierści. Zmarzły jej ręce. Było chłodno, od morza wiał gwałtowny wiatr. Słońce łagodziło jego szaleńcze porywy, ale na plaży panowała zdecydowanie jesienna aura.

Nie mogła skupić się na pisaniu. Wiedziała, jak chciałaby zacząć kolejną opowieść, ale słowa nie współpracowały z jej wyobraźnią. Piękne obrazy, które miała w głowie, wciąż zagłuszał bełkot chaotycznych myśli. W pewnej chwili zaczęło wiać tak mocno, że kartki otwartego brulionu załopotwały jak drobne liście osiki. Zamknęła zeszyt, zatrzasnąwszy w środku wieczne pióro. Psa najwyraźniej znudziło jej towarzystwo, bo obwąchawszy wcześniej jej łydki, popędził na wydmy.

Nagle usłyszała szcęk otwieranego zamka. Zamarła. Nie odważyła się odwrócić.

– Dzień dobry. – Do jej uszu dobiegł ciepły męski głos.

Dopiero wtedy wstała i spojrzała w stronę drzwi. Stał tam ciemnowłosy mężczyzna. Mógł mieć nieco ponad trzydzieści lat. Przyglądała się mu uważnie. W jego twarzy było coś interesującego. I te okulary, okrągłe, w staromodnej oprawce w kolorze kości słoniowej. Jeszcze nigdy nie widziała mężczyzny o tak zajmującym spojrzeniu. „To na pewno przez te okulary” – pomyślała, wspięła się po schodach i stanęła naprzeciw niego.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

– Zje pani ze mną śniadanie? Właśnie przygotowałem.

– Nie chcę przeszkadzać – wydusiła. Była tak zaskoczona jego widokiem i propozycją, że nie wiedziała, co odpowiedzieć. Błądziła wzrokiem pomiędzy framugą drzwi a czubkiem jego głowy. W końcu odważyła się spojrzeć na niego.

– Nie przeszkadza mi pani. Cieszę się, że będę mógł spędzić czas w miłym towarzystwie. – Przyglądał się jej, przybliżył się i wyciągnął rękę. – Szymon.

– Emilia. – Podała mu rękę, niechęć zaplatając ją w długi rękaw wełnianego swetra mężczyzny.

Roześmiał się, ale nie wypuścił jej dłoni.

– Widziałem cię, zaglądałaś przez okno. – Zabawnie zmarszczył czoło i w końcu uwolnił jej rękę.

– Nie wiedziałam, że ktoś tutaj mieszka...

– Tylko chwilowo. – Odwrócił głowę, spoglądając do wnętrza. – To jak będzie? Zjesz ze mną?

Zawahała się. Szymon wyczuł to i szerzej otworzył drzwi. Wtedy do jej nozdrzy doszedł miły zapach opiekane chleba.

– Tak – odpowiedziała i wbrew zdrowemu rozsądkowi weszła do środka.

– Siadaj, rozgość się. – Szymon wskazał ławę dostawioną do długiego stołu, który wyglądał jak zwykła parkowa ławka na długich nogach.

Pamiętała ten stół, tak jak pamiętała wnętrze latarni. Kilka lat temu próbował zamieszkać w niej jakiś ekscentryczny milioner, ale szybko zrezygnował i wyprowadził się z nadmorskiego zakątka. Stronił od ludzi, mówiono, że był samotnikiem. Nikomu nigdy nie udało się go zobaczyć. Minimalista, podobno chciał żyć po spartańsku. Zostało po nim kilka prostych sprzętów i surowe drewniane meble.

– Kupiłeś tę latarnię? Wcześniej stała opuszczona. – Była ciekawa, co mężczyzna mógł robić na samotnej plaży w tym budynku, którego jedynymi mieszkańcami wydawały się tylko duchy przeszłości.

– Nie. – Uśmiechnął się, podając jej talerz ze świeżymi grzankami. – Wynająłem ją na pewien czas. Mieszkam za granicą.

– Aha – przytaknęła. Chciała zapytać go o coś więcej, ale w ostateczności zabrała się do śniadania.

– Może być kawa zbożowa? – Przysunął do niej dzbanek.

– Tak, lubię kawę zbożową.

– To dobrze, bo rano zwykle taką pijam. – Rozlał kawę do prostych metalowych kubków. Talerzyki, na których położył opiekane kromki, przypominały jednorazowe tacki. – Smacznego!

– Dziękuję, nawzajem.

Jedli w milczeniu, patrząc na siebie. Emilia nie czuła skrępowania. Mężczyzna siedzący naprzeciwko był kimś obcym, a jednocześnie bliskim, kogo spotyka się po latach nieobecności, ale wciąż doskonale pamięta się jego czarujący uśmiech.

– Nie widziałem cię tu nigdy wcześniej – odezwał się po chwili.

– Rzadko tu przyjeżdżam. – Rozejrzała się wokół. Mimo surowego wystroju było tu przyjemnie. Główny i w zasadzie jedyny element dekoracji stanowiło okazałe płótno wiszące obok wejściowych drzwi. Duży, jasnoniebieski okręt z białymi żaglami wyglądał, jakby za moment miał wypłynąć poza ciemną ramę obrazu i wtopić się w błękitne tło ścian latarni.

– Gdzie mieszkasz?

– W Krakowie. Przy samym lesie. To znaczy normalnie w Krakowie, a tu przy lesie – odpowiedziała wymijająco, choć do tutejszego lasu przytulona była większość okolicznych domostw. – A ty? – szybko odwdzieczyła się tym samym pytaniem. – Nie nudzi cię życie na takim odludziu?

– Nie. – Szymon roześmiał się. – Chwilowo nie. Kocham morze. – Zdjął okulary i położył je na stole. Miał piękne oczy o migdałowym wykroju, które za szkłem okularów wydawały się trochę mniejsze i ciemniejsze. Brązowe włosy

lekko wywijały się na końcach, jakby były nierówno przystrzyżone, i zakrywały uszy do połowy. Wcześniej, gdy miał na nosie okulary, dłuższe kosmyki zatrzymywały się na krawędziach oprawek. Teraz luźno opadały na skronie i policzki. Szymon odgarniał je kilka razy, uśmiechając się przy tym. Na jego śniadych policzkach, pokrytych lekkim zarostem, ukazywały się niewielkie dołeczki.

Nagle za niedomkniętymi drzwiami, które co jakiś czas obijały się o framugę, usłyszeli szczekanie psa. Oboje jednocześnie wstali, patrząc w kierunku wejścia.

– To mój pies – odezwała się.

– No to koniecznie muszę go zaprosić na śniadanie. Zostało jeszcze kilka grzanek.

– On już dzisiaj jadł. No, ale jak go poczęstujesz, to na pewno nie odmówi. Nie wiem tylko, czy wyjdzie mu to na zdrowie. – Podeszła do drzwi i otworzyła je na całą szerokość. Pies wbiegł do środka. Od razu zaczął ją obskakiwać.

– Włóczykij, uspokój się! – Kucnęła, gładząc psa po grzbiecie. – Nie jesteś u siebie, zachowuj się.

Szymon podszedł do nich i wyciągnął rękę w kierunku zwierzaka.

– Cześć, jestem Szymon, a ty? Obiło mi się o uszy, że Włóczykij...

Zwierzak odstaąpił od swojej pani i wlepił czarne ślepia w uśmiechniętą twarz mężczyzny. Szymon dotknął sierści psa dokładnie tak samo, jak robiła to przed chwilą jego pani. Włóczykij radośnie merdał ogonem, który wyglądał teraz jak duży wachlarz. Emilia podniosła się i z powrotem podeszła do ławy. Pies poczłapał za nią. Kiedy usiadła, położył pysk na jej kolanie, nie przestając się w nią wpatrywać. Szymon też usiadł, tym razem obok nich.

– Wydaje mi się, że jest głodny.

– O nie! – Roześmiała się. – Już ja znam ten wzrok. Na pewno nie dam się na to nabrać.

– Jest moim gościem – zauważył Szymon, udając powagę. – Chyba powinienem go poczęstować.

– Udam, że tego nie widzę. – Odwróciła głowę w kierunku okna przysłoniętego mleczną tkaniną.

– Poczęstuj się. – Włożył połowę grzanki wprost do rozwartej paszczy psa. Zwierzę połknęło ją w mgnieniu oka, jakby to była niewielka przekąska.

– Teraz nie da ci spokoju.

– Dostanie więc dokładkę. – Sięgnął po drugą połówkę grzanki i przysunął do pyska Włóczykija. Tym razem pies, zjadłszy drugi kawałek, odpuścił, usiadł grzecznie obok ławy i schylił głowę.

– Jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję. Pójdę już. – Wstała i udała się do drzwi. Pies poszedł za nią.

– Zostań jeszcze. – Szymon również się podniósł, gdy ona stała już przed latarnią, ale nie odszedł od ławy, jakby miał nadzieję, że nowo poznana dziewczyna jeszcze zawróci. Nagle spojrzął na blat. Na rogu leżał brulion w niebieskiej okładce. – Zostawiłaś coś. – Sięgnął po zeszyt i ruszył w jej stronę.

– Proszę.

Ich dłonie znów na moment się spotkały. Poczowała delikatne muśnięcie miękkiego rękawa. Szybko wyrwała zeszyt z rąk Szymona i w pośpiechu wsunęła go do torebki, jakby się bała, że mężczyzna będzie chciał się o niej czegoś dowiedzieć. Ten popatrzył na nią z zainteresowaniem, ale o nic nie zapytał.

– Odprowadzę cię.

– Nie musisz – powiedziała, schodząc ze schodów.

Przez chwilę Szymon stał nieruchomo, zastanawiając się, co powinien zrobić. Spoglądał w jej stronę. Kiedy jednak zauważył, że zaczyna się oddalać, ruszył za nią.

Gdy doszedł do niej, zatrzymała się i popatrzyła za siebie. Parę metrów dalej w ich kierunku pędził Włóczykij, ale zboczył z trasy i postanowił zamoczyć łapy w zimnej wodzie Bałtyku.

– Odwiedzisz mnie jeszcze w mojej pustelni? – rzucił jakby od niechcienia, ale ona zauważyła, że bardzo zależy mu na tym spotkaniu.

– Może – odpowiedziała cicho i ruszyła dalej.

Szli bez słowa. Przy wyjściu z plaży oznaczonym kilkoma nadłamanymi palami Emilia znów stanęła.

– Chyba powinniśmy się pożegnać. – Zaczęła szukać wzrokiem Włóczykija, który zaraz do niej podbiegł.

– Miło było zjeść z tobą śniadanie. – Szymon starał się przybliżyć, ale ona się cofnęła. – Co ty na to, żebyśmy to powtórzyli? Dzisiaj mnie nie będzie, ale może jutro... wspólna kolacja?

– Dlaczego nie. – Na myśl o wspólnym wieczorze poczuła podekscytowanie.

– Może być osiemnasta?

– Tak – odpowiedziała szybko, jakby konkretna godzina nie miała tu żadnego znaczenia.

– Wyjść po ciebie? O tej porze jest już ciemno.

– Nie trzeba. Doskonale znam drogę. Poza tym, jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko, wezmę Włóczykija.

– Niech się czuje zaproszony. – Szymon roześmiał się, schylił i pogłaskał psa po kudłatej sierści.

Emilia oparła rękę na jednym z pali. Zaraz potem skierowała się w stronę lasu. Po kilku krokach odwróciła się jeszcze i popatrzyła na Szymona.

– To w takim razie do jutra! – powiedziała i przywołała psa.

Szymon stał, wpatrując się w nikinące sylwetki zwierzaka i kobiety. Kiedy

stracił ich z oczu, ruszył z powrotem do latarni.

W kuchni pachniało świeżo zaparzoną kawą i owocową herbatą. Te dwa zapachy mieszały się, tworząc ciekawy aromat.

– Co tu tak pachnie? – spytała Emilia, siadając na krześle.

Róża krzątała się przy kuchence. Miała na sobie koszulę nocną i cienki satynowy szlafroczek. To jedyny kobiecy strój w jej szafie. Emilia nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego macocha nie chciała pokazać światu swoich zgrabnych nóg, przysłoniętych zawsze spodniami.

W odpowiedzi Róża podała jej dwie filiżanki: jedną wypełnioną aromatyczną herbatą, drugą – gorącym espresso.

– Wybieraj. – Usiadła obok i przysunęła do niej talerz z kanapkami. – Jedz, takie jak lubisz. Kupiłam ten żytni chleb, za którym tak przepadasz.

– Nie jestem głodna, jadłam już śniadanie.

– Tata mówił, że wyszłaś z Włóczykijem i nawet nic nie tknęłaś!

– Tak, rzeczywiście. Był dzisiaj wyjątkowo niespokojny ten nasz pies. Chyba dlatego, że tak rzadko chodzimy razem na spacer. Byliśmy w latarni. – Urwała, widząc zaniepokojone spojrzenie Róży.

– No tak, zapomniałam, że zawsze was tam ciągnie. – Odwróciła wzrok.

– Wiedziałaś, że ktoś tam mieszka?

– Od dawna nikt tam nie mieszka!

– Mieszka. Spotkałam dziś w latarni sympatycznego mężczyznę...

– Co takiego?! – Róża wstała. Ze zdenerwowania zaczęła przekładać naczynia stojące na stole.

Emilia zauważyła, że trzęsły się jej ręce. Zdziwiła ją reakcja macochy, ale starała się nie dać tego po sobie poznać.

– Zjedliśmy razem śniadanie. Zaprosił mnie... – Widząc bladą twarz Róży, mówiła coraz ciszej.

Róża podeszła do okna. Rozchyliła firankę, ale zanim zdążyła wyjrzeć na zewnątrz, z powrotem szybko ją zasunęła.

– Czy ty jesteś normalna?!

Emilia osłupiała, zdziwiona zachowaniem macochy. Zazwyczaj spokojna, opanowana w każdej sytuacji Róża teraz zachowywała się irracjonalnie.

– Dlaczego narażasz się na takie niebezpieczeństwo?! Przecież ten mężczyzna... On mógł cię skrzywdzić! Dobrze wiesz, że na tej plaży nie ma żywego ducha. Mewy możesz tam najwyżej spotkać! – ciągnęła wzburzona. Nie wyglądało na to, żeby miała się uspokoić.

– Różo, o co chodzi? Przecież nic mi nie jest i nie miało prawa nic złego mi się stać, bo Szymon, to... rozsądny człowiek. Przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

– Myślałam, że jesteś bardziej rozważna...

– A co wy tutaj tak dyskutujecie? – Z przedpokoju dał się słyszeć głos Janka.
– Słysząc was nawet na górze. – Kiedy stanął na kuchennej posadzce, najpierw popatrzył na córkę, potem na żonę. Od razu zorientował się, że coś było nie tak. – O co chodzi? – spytał, badając wzrokiem ich twarze.

Róża zacisnęła usta i spojrzała na Emilię. Dziewczyna tylko wzruszyła ramionami. Widząc zaciekawione spojrzenie ojca, dodała po chwili:

– Byliśmy z Włóczykijem w latarni i... – Kątem oka popatrzyła na macochę, którą nadal targwały emocje.

– I co z tego? Przecież zawsze tam chodzicie. – Janek zmarszczył czoło.

Róża nie wytrzymała napięcia. Zbliżyła się do męża i mocno szarpnęła za brzeg jego koszuli.

– Twoja córka jest nieodpowiedzialna!

– Co takiego? – Janek patrzył na żonę osłupiały. Nigdy wcześniej nie zachowywała się w ten sposób. Już samo to, że nazwała Emilię „jego córką”, było nowością. Nie wiedział nawet, o co powinien ją spytać, tak bardzo zaskoczyła go jej reakcja.

– Była w latarni z obcym mężczyzną, który podobno tam mieszka – powiedziała podniesionym głosem.

– To prawda?

– Tak, ale nie wiem, po co to całe zamieszanie – powiedziała, patrząc na ojca, a omijając wzrok macochy.

– Wyjaśnij mi to.

– Co mam ci wyjaśnić? Po prostu spotkałam w latarni mężczyznę, który teraz tam mieszka, i zjedliśmy razem śniadanie.

– Nie wiedziałem, że ktoś jest w latarni.

– Tylko tymczasowo. Szymon podobno ją wynajął.

Emilia zawsze była rozsądną dziewczyną i nigdy nie dała im powodu do zmartwień. A to, że Róża od zawsze omijała budynek latarni, nie miało teraz żadnego znaczenia. Większość miejscowych nie przepadała za tym miejscem. Wierzyli w te bajki o piratach i jakichś mrocznych sprawkach. Ale Jan nie zamierzał karcnąć przecież swojej dorosłej córki. Wiele razy udowodniła, że można jej zaufać w każdej sytuacji.

– Nic jej nie powiesz? – Róża popatrzyła na niego z wyrzutem.

– Kochanie, nie rozumiem twojego zachowania. Ona jest już dorosłą kobietą. Zawsze była rozważna i...

– Rozważna?! Przecież ten mężczyzna może być niebezpieczny! Może to jakiś zbieg albo przestępca?! Nikt normalny nie zamykałby się na odludziu w jakiejś ruderze!

Janek był między młotem a kowadłem. Nie wiedział, po czyjej stronie się opowiedzieć.

– Wiecie co? Napijmy się herbaty.

– Dziękuję bardzo – powiedziała nadąsana Róża. – Przykro mi, że nadal nie rozumiesz powagi sytuacji. Jesteś jej ojcem i powinieneś ją ochraniać. – Na chwilę przeniosła wzrok na Emilię. Zaraz potem wyszła z kuchni i udała się na górę.

– Co jej się stało?

– Sam chciałbym to wiedzieć. – Janek głęboko westchnął. – Róża rzadko się unosi. Naprawdę nie rozumiem jej zachowania. Wiesz, że traktuje cię jak córkę. Może po prostu... martwi się o ciebie.

– Ale nie ma o co!

– Ja to wiem i ty też to wiesz, ale Róża... – Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć. – To dla mnie zagadka, dlaczego tak zareagowała. Sądzę, że powinna nam to wyjaśnić.

Był koniec października. Wieczór zapadał teraz znacznie wcześniej. Cień lasu już po szesnastej objął wielką czapą mroku mały domek Róży i Janka. Emilia długo gawędziła z ojcem przy stole. Po zmierzchu wyszła na spacer z psem, ale nie oddalała się od granicy działki, ponieważ droga prowadząca do niej nie była oświetlona. Myślała o Szymonie. Już od dawna żaden mężczyzna nie zrobił na niej takiego wrażenia. Doskonale pamiętała jego twarz, choć od ich spotkania minęło już kilka godzin. Czuła, że ten mężczyzna miał do zaoferowania wiele dobrego.

Po przedłużającej się kolacji poszła do swojego pokoju. Włóczykij zajął miejsce przy jej łóżku. Ułożył się na puszystym dywaniku, mrużąc czarne ślepia. Był śpiący. Żał mu było jednak udać się na spoczynek, skoro miał przy sobie ukochaną panią. Emilia wykapała się i wskoczyła pod kołdrę. „Dobranoc” – powiedziała do psa, wychylając się z łóżka. W odpowiedzi Włóczykij uniósł łeb, pomerdał ogonem, ale zaraz znów rozciągnął się na dywanie.

Gdy już miała wyłączyć lampkę nocną, zerknęła na rozchyloną walizkę. Zrzuciła z siebie kołdrę, podniosła się i skierowała ku niej. Wsunęła rękę do bocznej kieszeni i wyjęła z niej książkę Zofii. Szary papier zsunął się na podłogę. Stała, wpatrując się w zniszczoną oprawę, jakby zastanawiała się, czy właśnie teraz jest ten właściwy moment, by znów zmierzyć się ze wspomnieniami o ukochanej niani.

Kiedy już miała otworzyć książkę, nagle na korytarzu usłyszała ruch i szybkie kroki. To Róża szła do łazienki. Emilia zaczęła nasłuchiwać. Wydawało jej się, że macocha zatrzymała się przy jej pokoju, ale zaraz odeszła. Po chwili usłyszała trzask zamykanych drzwi drugiej sypialni. Nacisnęła na klamkę i zajrzała do holu. Było ciemno. Poczowała tylko, że Włóczykij przeciska się między jej nogami, żeby pomknąć na dół do siebie. Zamknęła drzwi.

Jeszcze raz popatrzyła na książkę. Straciła ochotę na czytanie. Odłożyła ją na stolik i udała się do łóżka. Usnęła dopiero po północy. Wciąż rozmyślała o Róży. Macocha do końca dnia zachowywała się powściągliwie. Uśmiechała się, ale było

widać, że myślami błądzi gdzieś indziej. Tylko gdzie? Janek kilka razy zagadywał do niej, ale odwracała się, zmieniając temat.

Emilię obudził głośny szum wiatru. Wiało tak mocno, że kłęby powietrza wciskały się między szczeliny okna. Wyszła z łóżka, domknęła je starannie i z powrotem wskoczyła pod kołdrę. Miała ochotę poleniuchować, ale kiedy zamknęła oczy, za drzwiami usłyszała psa.

Włóczykij, jak na takiego niespokojnego kundelka, przy Emilii zachowywał się przyzwoicie. Gdy nie spał w jej pokoju, zazwyczaj rankiem stał za zamkniętymi drzwiami, uderzając w nie co jakiś czas ogonem. Gdy jednak jego pani nie reagowała, przechodził do następnego etapu – coraz głośniejszego szczekania. To zawsze działało. Ona otwierała drzwi, a Włóczykij wskakiwał na nią, jakby chciał ją przytulić. Tym razem wołała wstać od razu, gdy tylko usłyszała psa w holu. Włóczykij bez zbędnych ceregieli przywitał się z nią, odbijając na jej piżamie ślady łap.

– Uspokój się! – Popatrzyła na zwierzaka, który przytulał się do jej łydek. Potem zerknęła na górę od piżamy i starała się zetrzeć z niej ciemne plamy brudnych łap.

– Widzę, że byłeś już na spacerze. To dobrze, bo na razie nie mam ochoty wychodzić z domu. – Przeniosła wzrok na okno. Cały czas dochodziło zza niego nieprzyjemne wycie wiatru.

Kiedy zeszła do kuchni, ojciec powitał ją śniadaniem. Siedział przy stole i czytał gazetę, popijając zioła zaparzone przez Różę.

– Dzisiaj też bez kawusi? – Uśmiechnęła się do niego.

Janek westchnął i uniósł kubek.

– To jest moja „kawa”. Róża zdecydowała, że przez najbliższe tygodnie muszę się raczyć herbatą z głogu. Stwierdziła, że moje serce potrzebuje tych wysuszonych czerwonych kuleczek, bo przez lata harówki trochę przyblakło.

– Róża wie, co mówi. Dobrze, że chociaż jej słuchasz. – Pokręciła głową na myśl o upartym charakterze ojca. – A gdzie ona jest?

– O świcie pojechała do szpitala.

– Przecież miała mieć wolny dzień.

– Wolny dzień... – Janek uśmiechnął się kpiąco. – Tylko mi nie mów, że przez te wszystkie lata jeszcze jej nie poznałaś.

– Nigdy nie poznaje się drugiego człowieka do końca. – Popatrzyła na ojca uważnie. Przypomniała sobie sytuację z poprzedniego dnia. – Pytałeś ją, dlaczego tak się uniosła?

– Pytałem, ale nie powiedziała. Nawet nie starała się obrócić tego w żart, jak zwykła to robić. Kiedy położyliśmy się spać, zacisnęła usta i odwróciła się do mnie plecami. Nie miałem śmiałości jej objąć. Emilko, z nią dzieje się coś niedobrego.

– Zdarzało się to już wcześniej?

– Nie, właściwie... czasami. Dość rzadko. – Janek próbował znaleźć we wspomnieniach jakąś wskazówkę. – Przez ostatnie lata żyliśmy spokojnie. Właściwie nic nam nie przeszkadzało. Wydawało mi się, że nie ma przede mną tajemnic...

– A teraz jak ci się wydaje?

– Nie wiem. Jednego jestem pewien, gnębi ją coś. Muszę jej pomóc. Tylko czy mi na to pozwoli?

– Może ja spróbuję z nią porozmawiać?

– Nie, kochanie. Nie zrozum mnie źle, ale to sprawa między mną a nią.

– W porządku. – Uśmiechnęła się ciepło do ojca.

Przez cały dzień nie mogła sobie znaleźć miejsca. Nieustannie myślała o wieczornym spotkaniu. Czekając na macochę, co chwilę zerkała w stronę okna, które wychodziło na bramę. Minęło południe, zapadł zmierzch, ale Róża nie pojawiła się, nawet kiedy Emilia wychodziła z domu. Włóczykij nie odstępował jej nawet na krok. Gdy już miała zamknąć drzwi wejściowe, które popychane wiatrem, mocno odchyłały się na zewnątrz, w sieni pojawił się ojciec.

– Jesteś pewna, że chcesz tam pójść? – Zerkał na córkę niepewnie.

– Tato...

– Jest już ciemno, może cię odprowadzę?

– Tobie też udzielił się strach Róży? Daj spokój, proszę! Mam już dwadzieścia sześć lat i dawno temu przestałam być małą dziewczynką! – Wyprostowała się, żeby dodać sobie pewności.

– Mówiłem ci już wiele razy, że dla mnie zawsze będziesz małą dziewczynką. – Janek podszedł do córki i objął ją.

– Jesteś tego pewien? – Uśmiechnęła się, unosząc głowę. Ojciec był od niej sporo wyższy.

– Tak. Nawet jak będziesz miała tuzin zmarszczek i siwiuteńkie włosy, wciąż będziesz moją małą Emilką.

– Tatuniu, jesteś niemożliwy. – Odsunęła się od ojca i zerknęła na zegarek na rękę. – Powinnaś już iść.

– Widzę, że cię nie zatrzymam. – Odsunął się do ściany.

Emilia popatrzyła na niego pobłaźliwie.

– Niedługo wrócimy. – Schyliła głowę, dając Włóczykijowi sygnał, że wychodzą.

– Powinnaś włożyć coś cieplejszego. Rozumiem, że kochasz spódnice, ale dzisiaj jest naprawdę chłodno. Poza tym ten wiatr... Na Bałtyku sztorm. Nie mów mi, że po tylu latach pomieszkiwania w Modrzewiowej jeszcze nie potrafisz tego rozpoznać. Piraci wyruszyli na głębokie wody i znów sieją zamęt! – Zrobił zagadkową minę. Zawsze miał taki wyraz twarzy, kiedy mówił o groźnych wilkach morskich, bezkresnym Bałtyku i tych wszystkich historiach, od których

w dzieciństwie Emilii cierpła skóra. Jej ojciec był wyśmianym bazarzem. Potrafił godzinami snuć ciekawe opowieści. To po nim odziedziczyła bujną wyobraźnię. Janek nie miał talentu pisarskiego jak jego córka, ale za to pięknie opowiadał. – Proszę, ubierz się ciepłej – nie ustępował, jakby miał nadzieję, że zaraz znajdzie argument, by ją zatrzymać.

– Jestem naprawdę odpowiednio ubrana. – Przejechała ręką po grubym swetrze w kolorze mokki, zapiętym na duże drewniane guziki. – Tato, jeśli zaraz nie wyjdę, to chyba się zagotuję. Zresztą zobacz, Włóczykij aż się pali do wyjścia. – Zdecydowanie pchnęła drzwi, które chwilę wcześniej niemal się zamknęły. Teraz niecierpliwie obijały się o framugę, jakby chciały szybko uwolnić dziewczynę.

Janek dał za wygraną. Kiedy wyszła, wyłączył w holu światło i usiadł w kuchni. Długo patrzył w okno, mimo że poza czernią późnego październikowego wieczoru nie było nic widać. Kiedy jego córka była w Krakowie, nie martwił się o nią. Ale gdy zjawiała się pod jego dachem, czuł się za nią odpowiedzialny potrójnie. Podwójnie za siebie, bo przecież ona od dziecka żyła w dwóch światach, a on zawsze starał się je zrozumieć i być blisko niej, nawet jeśli nie widzieli się dłuższy czas. I za Lili, która nigdy nie ukrywała, że córka niewiele ją obchodzi.

Teraz Emilia szła środkiem plaży, a mimo to rozległe grzywy fal dobijały do jej nóg. Włóczykij biegł tuż przy niej, szybko przebierając łapami, jakby chciał uciec wodzie. Wiatr targał jej włosy, wplatając ich końce w kołnierz swetra. Włożyła dłonie do głębokiej kieszeni spódnicy. Dotknęła pęku kluczy, który przez przypadek wyjęła z zamka drzwi wejściowych i odruchowo zabrała. Nie dało się ukryć, że była zdenerwowana. Zaciśnęła klucze w dłoni.

Nagle ogromna fala wody dopłynęła do jej nóg. Odbiegła na bok, ale zamiast uchronić się przed żywiołem, upadła na mokry piasek. Włóczykij podbiegł do niej i zaczął lizać jej dłonie, wczepione w rozmokłe podłoże. Podniosła się. Czowała, że jest cała oblepiona piachem. Było ciemno, niewiele widziała. Między warkoczowy splot swetra a jeden z guzików zaczepił się duży pęk glonów. Zdjęła go i zamasyżuje odrzuciła na bok.

– Cholera, jestem cała mokra! – krzyknęła do Włóczykija, który ocierał się o jej nogi, jakby chciał osuszyć przemoczone rajstopy. Znów włożyła rękę do kieszeni.

– Klucze! Gdzie one są?! – Kucnęła i zaczęła nerwowo przeszukiwać piasek dookoła. Włóczykij robił to samo, wciskając pysk w zagłębienia po jej rękach. Po kluczach nie było śladu. Wyglądało na to, że pochłonęła je woda. Po kilku minutach bezowocnych poszukiwań z rezygnacją opuściła rękę.

– Wiesz co, Włóczykij? Chyba będzie najlepiej, jak wrócimy do domu. Jutro o świcie przyjdziemy na plażę i poszukamy kluczy. Może dopisze nam szczęście. A spotkanie z Szymonem chyba raczej nie dojdzie do skutku.

Było jej przykro, ale zdawała sobie sprawę, że w takim stanie, brudna, mokra

i zmarznięta, nie powinna się nikomu pokazywać. Zanim zdążyła zwrócić się do wyjścia z plaży, pies odskoczył od niej i szybko pobiegł do latarni.

– Włóczykij, wracaj tu!

Pies ani myślał jej słuchać. Informował ją tylko o swojej obecności głośnym szczeknięciem.

– Wracaj, nieznośny psiaku! – krzyknęła jeszcze, choć wiedziała, że uparte zwierzę i tak jej nie posłucha.

Taki właśnie był Włóczykij, kochany i przymilny, ale jednocześnie niezależny. Cóż było robić? Jeszcze raz odwróciła się w kierunku wydmy przy wyjściu z plaży i ruszyła do latarni. Wśród zawodzenia wiatru, zaplątanego w czuby wysokich fal, słyszała mało wyraźne, ale dobrze znajome szczekanie. Poruszała się powoli, gdyż woda co chwilę zalewała jej buty. Świetnie orientowała się na plaży, dlatego mogłaby pokonać tę trasę nawet z zamkniętymi oczami. Kochała morze, kochała to miejsce bez względu na porę roku i pogodę. Teraz wiatr mocno uderzał w jej ciało, jakby chciał zepchnąć ją na wydmy. Ale ona doskonale знаła jego zwyczaje, jego zmienność. Nieobcy był jej chłodny dotyk żywiołu.

Z oddali dojrzała mdławie światelko, rozjaśniające okna latarni. Poczła się pewniej. Niebo tego wieczoru całkowicie zasnuły chmury. Wyglądało jak zastygłe morze w spokojny dzień. Kiedy dochodziła do schodów budynku, Włóczykij wybiegł jej naprzeciw. Wtedy dostrzegła też Szymona. Trzymał w ręku lampę oliwną.

– O, jest nasza zguba! Już miałem pójść cię szukać. – Zrobił krok do przodu, unosząc wyżej lampę.

– Niepotrzebnie. Doskonale znam tę plażę.

– No tak. Ale pogoda taka paskudna. To już prawie sztorm – zauważył, zatrzymując wzrok na czarnych, skłębionych falach.

– Niestraszna mi żadna pogoda. – Przybliżyła się i śmiało uniosła głowę.

Mężczyzna obejrzał ją z góry na dół.

– Widzę! – Głośno się roześmiał. – Nie znałem wcześniej nikogo, komu przyszłoby do głowy brać kąpiel w Bałtyku w taki zimny dzień.

– Nie żartuj sobie! – Nie wytrzymała, choć ją rozbawił.

Nagle zrobiło się jeszcze chłodniej. Gwałtowny podmuch wiatru zawinął wokół jej głowy, burząc i tak już potargane włosy. Szymon zapatrzył się na nią i przybliżył w jej stronę lampę.

– Pewnie wyglądam jak czarownica...

– Nie. Wyglądasz pięknie, jak...

– Jak? – Popatrzyła na niego zaczepnie.

– Jak bogini wiatru – odpowiedział bez zastanowienia.

– Bogini wiatru?

– Tak. Postać z miejscowej legendy. Usłyszałem ją kiedyś od znajomego,

a jemu podobno przekazał tę opowieść ktoś z tutejszych.

– Nigdy o niej nie słyszałam.

– Jak chcesz, to ci ją opowiem, ale wejdźmy do środka. Powinnaś napić się czegoś ciepłego. – Szymon odwrócił się w kierunku wejścia do latarni i oświetlił schody. Nieśmiało dotknął ramienia Emilii. Sprawilo jej to przyjemność.

Kiedy weszli do środka, nagle zalała ich fala światła. Emilia opuściła głowę i spojrzała na swoje nogi. Przemoczone buty zostawiały mokre ślady. Gdy szła plażą, nie zwracała na to uwagi. Teraz dotarło do niej, że jest cała przemoczona.

– Co się stało?

– Przewróciłam się – odpowiedziała szybko, jakby chciała mieć to już za sobą. – Potknęłam się i przewróciłam. Domyślasz się chyba, jak w taki wilgotny, wietrzny dzień wygląda piasek. Morze zalało ponad połowę plaży. Wygląda na to, że wciąż nie ma dosyć.

Szymon drgnął i mocno chwycił ją za rękę, ciągnąc za sobą na środek pomieszczenia.

– Zaraz znajdę ci jakieś suche ubranie. Zaczekaj tutaj. – Wskazał granatową sofę stojącą przy ścianie. Emilia podeszła tam i bez zastanowienia usiadła. Zdążyła tylko pomyśleć, że musi być to jakiś nowy nabytek, bo wcześniej nie widziała kanapy w latarni.

Już po chwili Szymon stał przed nią. W ręku trzymał szeroki brązowy sweter i granatowe dzinsy.

– Mam włożyć twoje ubranie?

– Raczej nie masz wyjścia. Jesteś cała mokra. No chyba...

– Co „chyba”?

– Chyba że zaczekasz tutaj, a ja pójdę do twojego domu po coś suchego?

– Nie. To niepotrzebne. – Przestraszona, wyciągnęła rękę i wzięła od niego ubrania, oceniając ich rozmiar.

– Przy spodniach jest pasek, a sweter po prostu ma luźny fason. Będiesz w nim wyglądała uroczo.

– Na pewno.

Też chciała się roześmiać, ale poczuła się nieswojo. Przypomniało się jej, jak bardzo czekała na to spotkanie, jak długo przygotowywała się dzisiaj do niego. Wyjęła z walizki trzy pary rajstop i na przemian przymierzała je do trapezowej zamszowej spódnicy. Okazało się, że niepotrzebnie, bo te jeszcze kilkadziesiąt minut wcześniej piękne miodowe rajstopy teraz wyglądały jak warstwa brunatnej ziemi. Starannie upięte włosy wymykały się spod spinki, która smętnie zwisała nad jej ramieniem.

– Masz rację, powinnam jak najszybciej doprowadzić się do porządku.

– Tam jest łazienka. – Szymon uśmiechnął się dyskretnie i wskazał jedne z dwojga drzwi za sofą.

Nie patrzyła mu w oczy, tylko ścisnąwszy ubrania, ruszyła przed siebie. W łazience szybko zdjęła mokre ubrania, trochę osuszyła buty i po kilku chwilach stała przed Szymonem, nieśmiało podnosząc głowę.

– Wyglądasz pięknie. – Patrzył na nią z zachwytem.

Uśmiechnęła się i przyłożyła do policzka rękaw miękkiego swetra.

– Masz świetny gust, piękny ten twój sweter.

– I piękna kobieta, która go nosi. Pasuje do ciebie. – Przybliżył się do niej.

Poczuła się niezręcznie, choć zauważyła, że bliskość Szymona sprawiła jej przyjemność. „Przyzwoita dziewczyna tak się nie zachowuje” – pomyślała, ale nie była pewna, czy to jej myśli, czy twarde słowa pana Franciszka. Teraz, kiedy stała przy Szymonie, miała ochotę przybliżyć się do niego jeszcze bardziej, ale gdy tylko o tym pomyślała, przed oczami zobaczyła twarz starego antykwariusza. Odsunęła się i lekko zakasłała. Szymon nadal ją obserwował. Nie był nawet w najmniejszym stopniu skrępowany.

– Spodnie są chyba kilka rozmiarów za duże – zauważył z rozbawioną miną.

– To nic, nie przeszkadza mi to zbytnio. Na co dzień nie noszę spodni, więc ten jeden raz jakoś przeżyję.

Znów się do niej przybliżył i dotknął spinki, którą Emilia nieco wcześniej wpięła w rozczesane włosy. Teraz jej fryzura była idealna, a rubinowe oczko migotało w surowym świetle dużej lampy z mosiężnym kloszem, zwisającej z sufitu.

Znów się cofnęła, choć miała ochotę zanurzyć się w ciemnym wzroku Szymona. Nie miał okularów. Zauważyła, że leżały na brzegu stołu. Odwróciła głowę w kierunku szafek kuchennych. Dopiero teraz poczuła przyjemny zapach.

– O rany, zapomniałem! Nasza kolacja! – Jednym susem znalazł się przy kuchence. – Usiądź przy stole. Zaraz podam jedzenie. – Nie patrzył już na nią, tylko krzątał się między piecykiem a jedną z szafek.

Po kilku minutach na środku blatu położył tacę z apetyczną rybą. Emilia popatrzyła na przyrumienioną skórkę.

– Nie lubisz ryb? – spytał, widząc jej zawiedzione spojrzenie.

– Nie. Skąd ci to przyszło do głowy? Uwielbiam ryby! – Uśmiechnęła się, chcąc sprawić wrażenie, że mówi szczerze.

– To dobrze. – Szymon nadal jej się przyglądał. – Właściwie to wczoraj powinienem cię o to zapytać. Ale sama rozumiesz... Nasze spotkanie było dość krótkie.

– Ryba to świetny wybór. – Wzięła do ręki widelec i uśmiechnęła się do Szymona.

– W takim razie smacznego! – Też sięgnął po sztućce i wspólnie zabrali się do jedzenia.

– Dokładka? – zapytał, kiedy połknęła ostatni kęs.

– Dziękuję, wystarczy. Było pyszne. Ale nie krępuj się mną. Jeśli masz ochotę na więcej, to zjadaj.

Uśmiechnął się w taki sposób, jakby rzeczywiście myślał o dokładce. Skończyło się jednak na tym, że oboje uraczyli się mocną, czarną herbatą, zaparzoną przez Szymona w starym, mosiężnym czajniczku. Od razu zwróciła uwagę na ten osobliwy przedmiot, gdyż za sprawą pana Franciszka była wyczulona na piękno takich staroci.

– Piękny...

– Tak, a herbata z niego smakuje wyjątkowo. Ma podobno tyle samo lat co ta latarnia – dodał, unosząc czajnik i rozlewając do filiżanek jego zawartość.

– Skąd o tym wiesz?

– Od znajomego, który mieszkał tutaj jakiś czas, ale nie wytrzymał tempa życia, jakie narzuciły mu duchy żywiołów.

Uśmiechnęła się do Szymona. Nie potrafiła ukryć coraz większej fascynacji i oderwać od niego wzroku. Tak pięknie opowiadał. Zupełnie jakby czytał książkę. A do tego ten głos, aksamitny i męski. Chciała, żeby nie przestawał mówić.

W pewnym momencie Szymon spojrzął na wiszący na ścianie obraz, który przedstawiał statek. Przyciągał wzrok. Odnosiło się wrażenie, jakby został powieszony w tym miejscu, by skupiać na sobie uwagę. Emilia zapatrzyła się w jego niebieskie tło. Przez moment wydawało się jej, że kobaltowe fale poruszyły się, popychając masztowiec w nieznaną dal.

– Ten obraz też podobno był tutaj od zawsze. – Szymon patrzył dokładnie w ten sam punkt płótna. Po chwili odwrócił głowę i spojrzął na gościa. – Obiecałem, że opowiem ci historię pewnej pięknej kobiety. – Uśmiechnął się czarująco, a ona od razu zapragnęła usłyszeć wszystko, co miał jej do przekazania. – Bogini morskiego wiatru była podobno piękna i bardzo kapryśna. Kiedy miała zły humor, potrafiła marynarzom tak pomieszać szyki, że przez niespodziewany sztorm musieli dobijać do pierwszego lepszego portu. Była też próżna. Często przeglądała się w spokojnej toni Bałtyku i utwierdzała w tym, że jest najpiękniejszą z bogiń. Wszystkie morskie stworzenia musiały ją wielbić, a marynarze wypływający z portu prosić ją o względy i oczywiście o przychylny wiatr. Nie zawsze była łaskawa, choć bardzo schlebiali jej męskie umizgi. Ludzie mówili, że jest piękna, choć nikt jej nigdy nie widział...

Emilka nie mogła oderwać wzroku od Szymona. Gdy opowiadał, wyglądał jeszcze bardziej interesująco.

– Kiedyś znalazł się taki jeden śmiałek: uderzył się w pierś i stwierdził, że w ciągu trzech dni odnajdzie piękną boginię. A że był przystojny i butny, w pewien chłodny, wietrzny dzień, przy kuflach po brzegi wypełnionych piwem obiecał swoim kompanom, że nie tylko znajdzie zwiewną nieznaną, ale również ją w sobie rozkocha... – Nagle zamilkł.

Ona nie odzywała się, czekając na dalszy ciąg opowieści. Wydawało się, że przerwał ją w najbardziej interesującym momencie.

– Co było dalej? – wtrąciła, zwilżając usta. Sięgnęła po herbatę i wzięła kilka dużych łyków.

– Naprawdę cię to zainteresowało?

– Tak – odparła cicho.

Po chwili Szymon podniósł się, nieoczekiwanie chwycił ją za rękę i lekko pociągnął w górę. Emilia wstała. Szymon podszedł jeszcze bliżej i mocno objął jej dłoń. Potem odwrócił się w kierunku drzwi wyjściowych. Przeszli kilka kroków. Zanim zdążyła się zorientować, dokąd zmierzają, wypuścił jej rękę. Stali tuż przed obrazem. Z bliska jego tło wydawało się nieco jaśniejsze, bardziej rozmyte, a okręt sprawiał wrażenie, jakby mocno kołysały nim skłębione fale. Zakręciło się jej w głowie. Przymknęła oczy, ale słysząc ciepły głos Szymona, zaraz je otworzyła.

– Podobno tak wyglądał statek, którym Szymon wyruszył na poszukiwanie bogini wiatru.

– Szymon?

– Mówi się, że tak miał na imię. Był marynarzem i bardzo kochał morze. Rzadko pozostawał dłużej na lądzie. I tak nikt nie czekał na niego z gorącym obiadem. – Przez dłuższą chwilę nie odrywał oczu od statku. Patrzył, jakby na jego pokładzie rzeczywiście widział bohatera starej legendy.

– Odnalazł w końcu to, po co wyruszył?

– Nie wiem.

– To znaczy, że ta historia nie ma zakończenia?

– Szymon rzeczywiście wrócił po trzech dniach. Był szczęśliwy i bardzo spokojny, ale nikomu nic nie powiedział o swojej wyprawie.

– Jak to?

– Nie mógł nic powiedzieć, bo kiedy wrócił na ląd, stracił głos. Od tamtej pory podobno nie wypowiedział ani jednego słowa. Dalej wyruszał na morskie wojaże, a po powrocie spotykał się z kompanami w oberży, ale nikt nigdy nie poznał jego tajemnicy. Zachował ją dla siebie. Mówiono jednak, że od tamtej pory często chadzał w to miejsce. – Szymon zatoczył ręką koło i spojrzał pod nogi. – Patrzył w morze zakochanym, nieobecnym wzrokiem. Po jego śmierci wybudowano tu latarnię.

„Dlaczego nigdy wcześniej nie poznałam tej historii? – Odwróciła wzrok od Szymona. – Przecież tata z Różą mieszkają tutaj już tyle lat. Musieli ją znać. A Róża? Ona jest tutejsza. Niemożliwe, żeby nie знаła tej legendy. A może Szymon wymyślił sobie to wszystko?” – przemknęło jej przez myśl. Może po prostu zauważył jej zainteresowanie i wykorzystał to, chcąc zrobić na niej wrażenie. Jeszcze ta zbieżność imion...

Odsunęła się od niego. Dopiero teraz poczuła, że ciągle trzyma ją za rękę.

Uwolniła się z uścisku. Naciągnęła i tak zbyt długie rękawy swetra, żeby schować w nich dłonie. Kochała takie legendy, jak ta opowiedziana przez Szymona. Teraz świadomie starała się ukryć malujące się na jej twarzy zainteresowanie. Bezskutecznie. Szymon stał naprzeciw niej i przyglądał się jej badawczo.

– Czyli ta historia nie ma zakończenia? – powtórzyła.

– Ma piękne zakończenie...

Nie odezwała się. Stała nieruchomo. Wiedziała, że Szymon chce jej jeszcze coś powiedzieć. Czekala.

– Myślę, że marynarz ją odnalazł. – Znów się przybliżył. – I że wyglądała zupełnie tak jak ty.

– Jak ja? – odezwała się cicho. Czula, że podoba się Szymonowi. Był blisko niej, a ona zrozumiała, że nie ma siły, by uciec.

– Dlaczego tak cię to dziwi?

– Nie wiesz, jak wyglądała. To tylko bajka. – Próbowala się cofnąć, ale znów złapał ją za rękę.

– Nie da się wytłumaczyć wszystkiego słowami. Są sprawy, które po prostu się wie. – Wypuścił jej rękę, ale nie odsunął się, tylko pogładził jej włosy. – Wyglądasz jak bogini wiatru – powiedział pewnym głosem.

Nie wiedziała, co robić. Szymon zauważył jej zmieszanie i odpuścił. Zdjął rękę z jej włosów i odszedł w kierunku stołu. Poczula zawód, ale i ulgę. Była pewna, że nie umiałaby mu się oprzeć. Przyglądała się mu z oddali, ale zaraz usiadła przy stole, wpatrując się w twarz Szymona z oczekiwaniem. Spodobała się jej ta krótka gra słów, chwilowa bliskość. Jednak on nagle zaczął się zachowywać zupełnie inaczej.

– Może skusisz się jeszcze na kawałek ryby?

– Nie – odpowiedziała, nie kryjąc zawodu. Nagła zmiana tematu podziałała na nią jak zimny prysznic. – Kolacja była naprawdę bardzo smaczna. Ugościłeś mnie po królewsku, ale właściwie to chyba powinnam już pójść. – Popatrzyła w kierunku drzwi wyjściowych. Tuż za nimi usłyszała znajome szczekanie. „Włóczykij” – dotarło do niej. „Jak mogłam o nim zapomnieć?!”

Pies wydawał się tego dnia mocno pobudzony. Musiał pobiec za latarnię, często to robił. Kiedy Emilia siadywała na schodach i wpatrywała się w horyzont, odbiegał na kilkanaście minut, a potem wracał z łapami brudnymi od mokrej ziemi i pyskiem umorusanym po same uszy.

– Zapomnieliśmy przyjąć na ucztę twojego przyjaciela, a przecież był zaproszony. Co za nietakt! – Szymon wstał i szybko podszedł do drzwi.

Ona też się podniosła, naciągając brzeg obszernego swetra.

– Ja już pójdę. – Zrównała się z Szymonem w momencie, kiedy otwierał drzwi.

Za progiem siedział Włóczykij. Mimo nawoływań gospodarza nie zamierzał

wchodzić. Przyjacielsko merdał ogonem, ale odwracał łeb w stronę plaży.

– Widzisz? Nie ma ochoty na twoją kolację. Wygląda, jakby się niecierpliwił. Chyba chce wracać, dobrze go znam. – Przcisnęła się obok Szymona. Poczowała uderzenie chłodnego powietrza. Odwróciła głowę i zerknęła do środka. – Powinnam wziąć swoje ubranie – zawahała się. – No i... muszę oddać twoje. – Dotknęła luźnego swetra.

– Nie musisz. Do twarzy ci w nim – zażartował. – A po swoje ubrania możesz wrócić tutaj jutro. No... chyba że chcesz, to sam ci je przyniosę, jak trochę wyschną.

– Nie, przyjdę po nie jutro i wtedy oddam ci twoje rzeczy. – Zrobiła kilka kroków i stanęła na schodach. Włóczykij natychmiast się podniósł i stanął przy jej nodze.

– W takim razie zaczekaj na mnie, wezmę tylko lampę.

W towarzystwie psa zbiegła ze schodów i zatrzymała się na mokrym piasku. Szymon po chwili dołączył do niej.

– Powiedz mi, gdzie mieszkasz. – Mimo ciemności wpatrywał się w nią, unosząc lampę.

Chciała pozostać dla niego anonimowa, bo przecież i ona nadal nic o nim nie wiedziała. Latarnia była tylko jego tymczasową przystanią. Gdzie mieszkał na stałe? Kim był? To dziwne, ale widzieli się już drugi raz, a żadne z nich nie powiedziało o sobie nic konkretnego. Po pytaniu, jakie padło z jego ust, na moment przystanęli. Wiedziała, że musi mu odpowiedzieć.

– W takim niedużym niebieskim domu za tymi wydrami. – Uniosła rękę, z grubsza pokazując kierunek do miejsca, gdzie mieścił się dom ojca i macochy.

Szymon był jednak dociekliwy.

– Przy tym najbliższym wyjściu z plaży, za sosnowym lasem?

– Tak – odpowiedziała i odwróciła głowę. Zaraz potem ruszyła dalej.

– Znasz tę okolicę – zauważył.

– Tak, rzeczywiście doskonale znam to miejsce – odpowiedziała wymijająco, nie patrząc na niego.

– Widać, że dobrze się tutaj czujesz – starał się nakłonić ją do dalszych wynurzeń.

Nagle przystanęli. Tuż przed sobą zauważyli Włóczykija, który zaczął uparcie węszyć. Zaraz potem zabrał się do kopania dziury. Emilia na moment przykucnęła.

– Chyba właśnie w tym miejscu zgubiłam klucze. Wygląda na to, że Włóczykij natrafił na ich ślad. – Włożyła ręce pomiędzy hałdy mokrego piachu, wykopane przez psa.

– Zgubiłaś klucze?

– Tak, musiały mi wypaść, kiedy się poślizgnęłam i upadłam – powiedziała,

nie wstając. Po chwili uznała, że dalsze poszukiwania nie mają sensu, więc podniosła się i otrzepała kolana z piasku.

– To teraz już przynajmniej wiem, dlaczego dotarłaś do mnie w takim stanie.
– Próbował złapać ją za rękę, ale odsunęła się. W jego dłoni został tylko brzeg rękawa. Gdy starała się zrobić krok do przodu, sweter naciągnął się, odsłaniając jej ramię. Poczowała chłód na nagim ciele. Przybliżyła się do Szymona, a on tylko na to czekał. Wypuścił rękaw, ale w zamian objął ją w pasie. Tak bardzo zaskoczył ją tym śmiałym gestem, że nie zdążyła zareagować. Na twarzy poczuła zimne smagnięcie wiatru i ciepły dotyk ust. Objęła dłońmi jego ramiona. Chciała całować Szymona i chciała, żeby on ją całował. Nie przeszkadzały im ani chłód październikowego wieczoru, ani unosząca się w powietrzu wilgoć, ani złowrogi szum morza, próbującego dosięgnąć ich stóp.

Dopiero kiedy przy łydce poczuła miękką, mokrą sierść Włóczykija, odsunęła głowę od twarzy Szymona. Jeszcze długo nie mogła wydusić z siebie słowa. Słyszała tylko bicie swojego serca. Czuła też, że w takim samym rytmie biło serce stojącego przy niej mężczyzny. Wpatrywali się w siebie mimo ciemności, a w dole, na piasku, poruszał się nieśmiały płomień lampy. Gdyby nie niecierpliwość Włóczykija, staliby tak pewnie jeszcze długo. Pies wziął jednak sprawy w swoje łapy. Usłyszeli jego donośne zawodzenie. Emilia wiedziała, że psu skończyła się cierpliwość i że domaga się powrotu do domu.

– Pójdę już. – Odsunęła się na tyle daleko, by nie mógł jej dotknąć. Zauważyła, że chcąc ją zatrzymać, wyciągnął przed siebie rękę, ale napotkał tylko powietrze. Odwróciła się w kierunku cypla z kutrami i ruszyła szybkim krokiem w tamtą stronę.

– Zaczekaj! – krzyknął za nią Szymon.

Nie słuchała go, tylko przyśpieszyła. Włóczykij ją wyprzedził. Po chwili intensywnego marszu usłyszała szczekanie psa, dochodzące od strony wyjścia z plaży. Odetchnęła z ulgą. Wystarczyło tylko kilkadziesiąt kroków, by znaleźć się w lesie. Gdy była już przy wydmach, przyśpieszyła jeszcze. Dobięła do granicy wejścia, którą znaczyły drewniane pale, zatrzymała się i odwróciła w kierunku morza. Nie widziała dokładnie Szymona. Tylko mdławie światło lampy świadczyło o tym, że wciąż tam był. Stał w tym samym miejscu.

– Emilio! – Usłyszała jego głos, który zmieszany z pogrywaniem wiatru, miał zupełnie inną barwę. – Przyjdź jutro do latarni! Będę na ciebie czekał!

Zrobiła krok do przodu. Przez moment zastanawiała się, czy nie powinna do niego wrócić. Zatrzymała się, znów słysząc szczekanie swojego psa. Wydawało się, że Włóczykij jest już w lesie.

– Przyjdę! – krzyknęła. Potem odwróciła się i pobiegła znajomą ścieżką, znikając w sosnowym zagajniku.

Kiedy dotarła do domu, za zamkniętą bramą zauważyła samochód Róży. Nie

chciała się z nią zobaczyć. Nie po jej niezrozumiałym zachowaniu. Spotkanie z macochą wydawało się jednak nieuniknione. W kuchni paliło się światło. Emilia pomału doszła do furtki. Pchnęła ją i z ociąganiem weszła na posesję. Jeszcze wolniej zbliżyła się do drzwi wejściowych. Gdy już miała nacisnąć klamkę, przypomniała sobie o zgubionych kluczach. Odsunęła się od schodów i przeszła kilka kroków w bok, w stronę kuchennego okna. Stała za szybą i jak intruz zajrzała środka. Wyglądało na to, że wewnątrz nie było nikogo. Uniosła rękaw swetra i zerknęła na zegarek. Była dwudziesta druga. „Jest już tak późno?” – dopiero teraz dotarło to niej.

Wróciła do drzwi. Nacisnęła klamkę. Były otwarte. W przedsionku zrzuciła mokre buty i cichaczem prześlizgnęła się do przedpokoju. Na dole nie było nikogo. Widocznie ktoś zapomniał wyłączyć światło. Odetchnęła z ulgą. Kiedy weszła do kuchni, nagle na schodach usłyszała kroki. Nie były to kroki ojca. Domyśliła się, że macocha na nią czekała. Już po chwili Róża stała przed nią. Zawinięta w seledynowy szlafrok, wyglądała blado.

– Wróciłaś – stwierdziła cicho, obrzucając pasierbicę obojętnym spojrzeniem.

– Tak, trochę zmokłam po drodze.

– Odgrzej sobie kolację, zostawiliśmy ci pizzę.

Emilia patrzyła na nią jak osłupiała. Róża sprawiała wrażenie, jakby znajdowała się w stanie głębokiego snu. „Może lunatkuje?” – pomyślała, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami.

– Nie jestem głodna. Nie wiem, czy pamiętasz, ale dzisiaj byłam zaproszona na kolację. Właśnie z niej wróciłam. – Zbliżyła się do Róży. Stała tuż przed nią, jakby chciała wykrzyknąć jej prosto w twarz: „Hej, jestem tutaj. Popatrz na mnie”.

– Ach tak, rzeczywiście zapomniałam. Dzisiaj miałam zabiegany dzień.

– Byłaś w szpitalu? – spytała, choć od ojca wiedziała, że Róża skoro świt wsiadła do samochodu i popędziła do pracy.

– Tak – odpowiedziała, pomału wycofując się z kuchni.

Kiedy już była za progiem, pierwszy raz tego wieczoru popatrzyła na Emilię przytomnym wzrokiem.

– Idź już spać i... uważaj na siebie. – Odwróciła się i szybko pobiegła schodami na górę.

Emilia stała nieruchomo przy szafce kuchennej. Zaskoczyło ją zachowanie macochy. Ten jej nieobecny wzrok i lekko drżący głos... Była pewna, że z Różą działo się coś niedobrego. Przyjechała do Modrzewiowej pełna troski o ojca, a okazało się, że to jego żona ma problemy.

Rano zeszła na dół bardzo wcześnie. Chciała spotkać się z Różą, zanim ta wymknie się do pracy. Na dworze było jeszcze ciemno. Nawet Włóczykij nie miał ochoty wychodzić na dwór, tylko siedział na swoim legowisku w korytarzu. Kiedy

zobaczył Emilię, stanął na wyprostowanych łapach i pomerdał ogonem na powitanie. Dziewczyna kucnęła i przytuliła twarz do miękkiej sierści psa.

Gdy weszła do kuchni, nad okapem paliła się lampka. Na stole zauważyła kanapkę zapakowaną w woreczek śniadaniowy. Róża zawsze zabierała do pracy pierwsze śniadanie. W domu nigdy nie miała dostatecznie dużo czasu, by je zjeść. Zawsze śpieszyła się do swoich pacjentów. Emilia dotknęła zawiniątka i rozejrzała się. Tak bardzo chciała spotkać się z macochą. Późnym wieczorem wracała do Krakowa, a sprawa Róży nie dawała jej spokoju. Podeszła do okna i rozchyliła zasłonkę. Podjazd był pusty. „Chyba bardzo się śpieszyła, skoro zapomniała śniadania” – popatrzyła na kanapkę i była coraz bardziej pewna, że Róża przed czymś uciekała.

Tego ranka ojciec też był małomówny. Nie tylko nie dopytywał się o poprzedni wieczór, który jego córka spędziła w towarzystwie obcego mężczyzny, ale też dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie chce rozmawiać o dziwnym zachowaniu żony. Emilia opowiedziała mu o zgubionych kluczach, na co Janek tylko wzruszył ramionami, stwierdzając, że mają jeszcze dwa zapasowe komplety.

Po śniadaniu Janek wybrał się po ryby do Lucka. Rybak miał stary wysłużony kuter i dobrą rękę. Do jego sieci zawsze trafiały najlepsze okazy. Emilia często chodziła do niego z ojcem. Mieszkał za wydmami, na wysokości cypla, gdzie cumowały kutry. Tym razem miała zupełnie inne plany. Od wczorajszego wieczoru jej myśli nieustannie krążyły wokół Szymona. Nie mogła doczekać się momentu, kiedy znów go zobaczy. Długo przeżuwała śniadanie, popijając kromkę razowego chleba zabielaną kawą. Całkowicie straciła apetyt. Jadła tylko dlatego, że Janek badawczo jej się przyglądał. Zawsze pilnował, by do końca zjadała posiłek, zupełnie jakby nadal była dzieckiem. Gdy na talerzu córki zostały tylko okruszki, odszedł od stołu.

Gdy ojciec wyszedł z domu, popędziła na górę. Otworzyła walizkę, zastanawiając się, co włożyć na spotkanie. „Powinnam pójść do latarni jak najszybciej” – rozmyślała, w pośpiechu wkładając ciemnozielone rajstopy. Kiedy stanęła przed lustrem, wpinając we włosy spinkę, obleciał ją strach. Wspomnienia z poprzedniego wieczoru ułożyły się w jej głowie w jaskrawe slajdy. To niebywałe, że tak dokładnie wszystko zapamiętała. Postanowiła, że dzisiaj powie Szymonowi o sobie coś więcej. Przecież wieczorem wyjeżdża. Nie chciała się z nim rozstawać, ale wiedziała, że na tak wczesnym etapie znajomości nie można planować szczegółowo przyszłości. Wmawiała sobie, że spotkanie Szymona to tylko epizod bez znaczenia. W głębi czuła jednak, że się oszukuje.

Tuż przed południem znów szła plażą. Włóczył się jak zwykle pędził przodem. Szybko stawiała kroki. Nie wiedziała, jak się zachowa, kiedy stanie z Szymonem twarzą w twarz i spojrzy mu w oczy. Z każdym przebytym metrem miała coraz więcej obaw. „Może dla niego to nic nie znaczyło? Może traktuje

kobiety jak chwilowe umilenie wieczoru? Był taki pewny siebie... ” Nagle zatrzymała się, by zlokalizować miejsce, gdzie poprzedniego dnia zgubiła klucze, ale teraz nie miała do tego głowy. Wiatr popychał ją do przodu, nie mogła więc zwolnić. Morze kotłowało się nie mniej niż poprzedniego wieczoru. Spienione fale splatały się w dzikim tańcu. Słońce rozjaśniało ich czuby, przez co wydawały się łagodniejsze i niższe niż wczoraj.

Gdy doszła do latarni, Włóczykij leżał już przed drzwiami, wygrzewając się w słońcu, które oblewało front budynku. Wolniutko pokonała skruszałe schody. Kiedy stanęła naprzeciw drzwi, nie mogła się odważyć, by położyć dłoń na klamce. Włóczykij doskonale wyczuł jej nastrój, bo się odsunął. Wystarczyło tylko pchnąć drzwi. „A może Szymon widział mnie już przez okno?”

Zebrawszy się na odwagę, pociągnęła stanowczo za klamkę. Drzwi były zamknięte. Spanikowała. Szarpnęła za klamkę kilka razy, ale na próżno. Zaczęły jej drżeć ręce. Czuła, że traci grunt pod nogami. Upuściła siatkę z ubraniami Szymona, które zabrała z domu, i cofnęła się o kilka kroków. Miała ochotę zbiec ze schodów i uciec, ale ciągle jeszcze czekała, aż otworzy jej drzwi. Odwróciła się i spojrzała w morze. Ten widok zawsze ją uspokajał. I tym razem przyniósł jej chwilową ulgę. Niestety, gdy znów spojrzała na zamknięte wejście do latarni, zawirowało jej w głowie. W pośpiechu sięgnęła po pakunek z ubraniami. Nie chciała, by dowiedział się, że tutaj była.

W błyskawicznym tempie dotarła do domu. Była tak wzburzona, że nawet nie pamiętała drogi powrotnej. Ojca na szczęście jeszcze nie było. Na pewno od razu by wyczuł jej niepokój. Wbiegła na górę i cisnęła siatkę na łóżko. Z rozchylonej foliowej torebki wysunął się brzeg brązowego swetra. Podeszła bliżej i wyjęła go. Nawet nie musiała przykładać swetra do twarzy, by poczuć zapach Szymona. Pachniał wczorajszym wieczorem. Wspomnienia niosą zapach chwili, do której się odnoszą. Dopóki trzymamy je przy sobie, dopóty zapach jest ich częścią. Wiedziała to. Chociaż wspomnienie wczorajszego wieczoru ją raniło, nie miała zamiaru rozstawać się z nim. Na przekór sobie przyłożyła sweter Szymona do policzka i jeszcze intensywniej poczuła obecność chłopaka. Nagle drzwi od pokoju się otwały. Stał w nich ojciec. Emilia cisnęła sweter na łóżko i stanęła tak, aby ojciec go nie zauważył.

– Pakujesz się już? – Wszedł do środka. Patrzył na rozchyloną walizkę i wyjęte z niej, rozrzucone w nieładzie ubrania.

– Tak.

– Nie za wcześnie? Mamy przed sobą jeszcze całe popołudnie. – Był zmartwiony. Nie znosił momentu, kiedy musiał się rozstawać z córką. – Może zostaniesz przynajmniej jeszcze jeden dzień?

– Dobrze wiesz, że nie mogę. I tak mam spore wyrzuty sumienia, że zostawiłam pana Franciszka samego na tak długo.

Janek nic nie powiedział. Zdał sobie sprawę, że ona, decydując się na wyjazd do Modrzewiowej, jak zwykle przewróciła życie starego antykwariusza do góry nogami.

– Może jednak zdecydowałabyś się z nim zamieszkać?

– Z Franciszkiem? – Podeszła do ojca, który stał na środku pokoju.

– Tak, powinnaś to jeszcze raz przemyśleć. To nie taki zły pomysł. Ułatwiłoby wam to wiele spraw.

– Może masz rację... – Po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że wspólne mieszkanie mogłoby być dla nich korzystne. Franciszek proponował jej to wiele razy, ale zawsze odmawiała. Czuła się odpowiedzialna za Lili, nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy i tego nie chciała.

– Przynajmniej w końcu uwolniłabyś się od matki – wtrącił Janek. Ciągle nie mógł zrozumieć, co jeszcze trzyma Emilię przy jego byłej żonie. Liliana nie była dla niej ani dobrą matką, ani przyjaciółką. Domyślał się, że w jakiś niezrozumiały sposób uzależniła córkę od siebie.

– Teraz jest dobry czas na przeprowadzkę. – Widząc jej zainteresowanie, postanowił kuć żelazo, póki gorące. – Jesień w rozkwicie, a zima za progiem. Łatwiej byłoby wam we dwójkę. – Starał się mówić obojętnie, ale ona i tak od razu wyczuła jego podekscytowanie.

– Aż tak bardzo ci na tym zależy? – Spojrzała mu w oczy, lekko się uśmiechając.

– Nie będę ukrywał, że... – Zaczął szukać właściwych słów.

– Dobrze, przemyślę to. Pan Franciszek na pewno ucieszyłby się z tego. Rzeczywiście, zauważyłam, że ostatnio radzi sobie trochę gorzej.

– Sama widzisz... Cieszę się, że w końcu dojrzałaś do podjęcia decyzji. – Już nawet nie starał się ukryć zadowolenia.

– Jeszcze nie podjęłam żadnej decyzji.

– Ale jesteś na dobrej drodze.

– Róża zawiezie mnie wieczorem na dworzec? – zapytała ostrożnie.

– Tak. Co to w ogóle za pytanie? – Janek starał się ukryć zmieszanie. – Przecież zawsze cię odwozi. – Cofnął się do drzwi.

– Wiem, ale teraz...

– Co teraz?! Tak jak zawsze pojedziecie na dworzec do Gdańska – powiedział podniesionym głosem.

Czuła, że bardzo przeżywał zachowanie Róży. Tak dobrze się dogadywali, a teraz wyglądało na to, że w ich relacji zaszła duża zmiana. Postanowiła dać mu spokój i od razu zakończyć rozmowę.

– W takim razie pakuj się, nie będę ci już przeszkadzał. – Janek wycofał się z pokoju. – Potem zejdź na obiad – dodał już w progę.

Przy posiłku rozmowa też im się nie kleiła. Obiad był smaczny. Tata jak

zwykle stanął w kuchni na wysokości zadania. Świeżo upieczona ryba od pana Lucka rozpływała się w ustach. Emilia trzeci dzień z rzędu jadła rybne dania z apetytem.

O osiemnastej była już spakowana. Czekala tylko, kiedy pojawi się Róża. Zazwyczaj była już o tej porze w domu. Coś musiało zatrzymać ją jednak w szpitalu. Pociąg do Krakowa odjeżdżał wprawdzie o dwudziestej trzeciej, ale trzeba było jeszcze dojechać do Gdańska. Popołudnia przed wyjazdem Emilii z Modrzewiowej spędzali zawsze we trójkę. Róża starała się przestrzegać tych wspólnych rytuałów.

Tego dnia nie mogli się jej doczekać. Emilia co chwilę schodziła na dół i zerkala na podjazd, ale samochód zapracowanej pani doktor się nie pojawił. Czekala niemal do ostatniego momentu. Kiedy tuż przed dwudziestą pierwszą w progu jej pokoju stanął ojciec, oznajmiając, że Róża nie wróci do domu, z wrażenia aż opadła na łóżko.

– Jak to nie wróci do domu?!

– Musiała zostać na dyżur. – Janek ze wszystkich sił starał się zachować spokój.

Owszem zdarzały się dni, gdy macocha pracowała jak szalona, ale nigdy nie wystawiła jej do wiatru! W pewnej chwili poczuła do niej złość. Kiedy jednak przyjrzała się ojcu, zdenerwowanie od razu ustąpiło. Janek patrzył na nią tak smutno, jakby chciał, żeby go pocieszyła.

– Wiesz, jaka jest nasza Róża. Nie potrafi odmówić.

– Wiem, tato... – Przytuliła ojca. Czula, jak bardzo jej potrzebował.

Wyruszyli z domu do Gdańska dość wcześnie. Janek od ponad miesiąca nie prowadził samochodu, wolał być więc na miejscu przed czasem. Przez całą drogę mówił niewiele. Emilii też nie było śpieszno do podjęcia rozmowy. Nieustannie wracała myślami do Szymona. Tak bardzo pragnęła go zobaczyć, choćby miał to być tylko jeszcze jeden jedyny raz. Gdy znaleźli się niedaleko dworca, Janek zaczął rozglądać się za miejscem do parkowania.

– Chyba przejechałem tę jednokierunkową, przy której zwykle stawiam samochód. Ostatnio źle mi się prowadzi po zmroku. – Zręcznie wykręcił kierownicę, starając się zawrócić.

– Możesz wjechać w tę ulicę. Róża zawsze tam na mnie czeka. Nigdy nie narzekała na brak wolnego miejsca. – Ugryzła się w język. Obiecała sobie, że tego dnia nie poruszy już tematu macochy.

Janek udał, że nie dosłyszał słów córki. Za jej namową skręcił w Pobielańską. Kiedy zaparkował i wyłączył silnik, siedział jeszcze chwilę, nic nie mówiąc.

– Wygląda na to, że jesteśmy przed czasem. – Popatrzyła na samochodowy zegar.

– To dobrze, nie wybaczyłbym sobie, gdybyśmy się spóźnili. Franciszek na ciebie czeka. – Janek wrócił do wcześniejszej rozmowy. Wciąż miał nadzieję, że w końcu dojrzała do podjęcia decyzji o wyprowadzce.

– Idziemy. – Chciała wysiąść, ale nie widząc reakcji ze strony ojca, cofnęła się i zwróciła w stronę Janka. – O co chodzi? – odważyła się jeszcze raz zagadnąć, choć nadal nie była pewna jego reakcji. Czowała, że czekał na tę rozmowę, nie wiedział tylko, jak zacząć.

– A co, jeśli ona ma kogoś?

– Tato, co ty mówisz?! – Roześmiała się nerwowo. – To absurd. Róża miałaby kogoś innego? Przecież ona kocha ciebie!

– Kochanie, ja już nie jestem pewien niczego. Sama widziałaś, jak zachowywała się w ciągu ostatnich dni.

– Tato, to, że Róża zachowuje się dość... nietypowo, nie znaczy, że kogoś poznała. Może ma jakieś problemy?

– Nie wiem, jak mam jej pomóc... – Janek z rezygnacją zwiesił głowę.

Emilia złapała go za rękę, kiedy położył ją na kierownicy.

– Daj jej czas. Może sama ci powie.

– Masz rację. Przecież ten jej dziwny stan trwa zaledwie od kilku dni.

Zauważyła, że bardzo starał się uśmiechnąć.

– Wszystko będzie dobrze. – Mocniej ścisnęła jego rękę. Tylko tyle mogła mu powiedzieć, nie znając przyczyny zachowania Róży... Janek odprowadził ją na peron. Choć wiele lat żyli w rozłące, pożegnania wciąż były dla niego trudne. Nie lubił oddawać córki Lili, bo wiedział, że była żona na nią nie zasługiwała.

Kiedy Emilia wracała z Gdańska, była wyjątkowo niespokojna. Zazwyczaj pobyt w domu ojca i macochy przynosił jej ukojenie od codzienności. Tam wciąż czuła się małą dziewczynką. Poświęcano jej mnóstwo uwagi. Nie tym razem. Róża, Szymon, ojciec – zbyt wiele niezrozumiałych emocji zabrała ze sobą z Modrzewiowej. Jednego była pewna: przez te kilka dni pobytu w domu ojca i Róży udało się jej nie wracać myślami do ostatniego spotkania z Igą. Już nie była na nią zła, ale czuła, że po ostatniej rozmowie będzie im do siebie znacznie trudniej się zbliżyć.

W Krakowie powitało ją ciepłe, suche powietrze, jakże inne niż wilgotny chłód Modrzewiowej. Uśmiechnęła się, stawiając nogę na peronie. Lubiła powroty do rodzinnego miasta tak samo jak wyjazdy na Wybrzeże. Tym razem odczuwała wyjątkową tęsknotę za czasem spędzonym w chłodnej scenerii rozmokłej plaży. „Może to za sprawą Szymona?” – zastanawiała się. Rozmyślała nad spotkaniem, do którego nie doszło. „A więc Szymon był tylko incydentem?” Czuła żal i niedosyt.

Kiedy szła znajomym odcinkiem Plant do swojej kamienicy, pod stopami szeleściły liście. Zauważyła, że jest ich znacznie więcej niż przed jej wyjazdem. O tej porze zazwyczaj całkowicie wyludnione ulice odpoczywały od dziennego zgiełku. Szyny tramwajowe połyskiwały w świetle rzucanym przez latarnie uliczne. Wyglądały jak przyklejona do ziemi gigantyczna drabina. Emilia przeszła przez jezdnię, ciągnąc za sobą walizkę. Kółka utknęły w szczelinie torowiska, szybko podniosła więc bagaż i postawiła na chodniku po drugiej stronie jezdni. Chwilową ciszę przerwał odgłos przejeżdżającej taksówki. Mimo zamkniętych okien dochodziły z niej głośne śpiewy.

Gdy doszła do bramy swojej kamienicy, przystanęła. Wyjęła z walizki klucze i otworzyła drzwi. Cicho przemknęła po schodach. Kiedy znalazła się przed drzwiami, odruchowo szarpnęła za klamkę. Zauważyła, że Lili i tym razem nie przekręciła zamka. Z jeszcze większą niechęcią przekroczyła próg.

W łazience paliło się światło.

– Lili?

Matka nie odpowiedziała. Emilia usłyszała odgłos lejącej się wody. Cofnęła się do drzwi i przekręciła zasuwę zamka.

– Lili, już wróciłam! – odezwała się jeszcze głośniejszym głosem, ale i tym razem nie usłyszała odpowiedzi.

Zerknęła w stronę łazienki i weszła do swojego pokoju. Miała ochotę na kąpiel. Była piąta rano, planowała jeszcze chwilę się zdrzemnąć. Zrzuciła z siebie grube ubranie. Chciało jej się spać, ale postanowiła zaczekać na wolną łazienkę. Ziewnęła i usiadła na brzegu łóżka. Przez głowę przebiegało jej mnóstwo niepotrzebnych myśli o Szymonie, ojcu i Róży. Pomiedzy nimi pojawiał się niewyraźny obraz Igi. Nie rozmawiały od ostatniego spotkania. Emilia nie kontaktowała się z nią, a Iga, co też było dziwne, nawet w najmniejszym stopniu nie upominała się o ten kontakt. Zawsze wysyłała do niej kilka SMS-ów dziennie, a kiedy przyjaciółka była w Modrzewiowej, musiały odbyć wieczorem długą pogawędkę. „Wszyscy ostatnio dziwnie się zachowywali” – pomyślała. Potem wstała, podeszła do okna i oparła łokcie na chłodnym parapecie. Zrobiło się jej zimno. Wyprostowała się. W tym samym momencie usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Gdy weszła do przedpokoju, zauważyła, że łazienka była już wolna. Usłyszała w kuchni brzęk przesuwanych naczyń. Już miała wejść do łazienki, gdy jednak postanowiła przypomnieć Lili o sobie.

– Nie możesz spać? – Wkroczyła do kuchni i nagle się zatrzymała.

Na unik było już za późno. Przy jednej z kuchennych szafek stał obcy mężczyzna. Na oko był jej rówieśnikiem. Nie wydawał się nawet w najmniejszym stopniu speszony sytuacją, mimo że ubrany był jedynie w jaskrawozielone bokserki.

– Cześć, jestem Grześ. – Od razu podszedł i wyciągnął rękę w jej kierunku.

– Cześć – odpowiedziała niemrawo, ledwo unosząc dłoń. Czowała się niezręcznie, stojąc tylko w bieliźnie przed obcym mężczyzną. – Co robisz w moim mieszkaniu? – spytała, unikając jego wzroku.

Roześmiał się i zabawnie potrząsnął czupryną – mnóstwem małych, złocistych loczków. Z tym uśmiechem i fryzurą kilkulatka wyglądał naprawdę młodo.

– Nie wiedziałem, że tutaj jeszcze ktoś mieszka. Zostałem u Lili.

– No tak. – Uśmiechnęła się kwaśno.

– Przeszkadzam ci?

– Nie... skąd – odpowiedziała w jednej chwili, ale on od razu zorientował się, że kłamie.

– Gdybym wiedział, że... – Chyba dopiero teraz poczuł się skrępowany. – Nie wchodziłbym do kuchni.

– Daj spokój. – Wycofała się do drzwi. – Nie przeszkadzaj sobie, ja już stąd wychodzę. Myślałam, że to matka, więc sam rozumiesz...

– Lili to twoja matka? – Uśmiechnął się szeroko. – Nie wiedziałem, że ma taką fajną córkę... Że w ogóle ma dziecko.

– Lili nie lubi o mnie mówić.

Grześ patrzył w taki sposób, jakby chciał się od niej dowiedzieć czegoś więcej na temat Lili i łączącej je relacji.

– Pójdę się umyć. – Postanowiła czym prędzej wycofać się z tej niezręcznej sytuacji.

Łazienka była posprzątana. Gładkie ręczniki wisały na kaloryferze, a kosmetyki stały na bielutkiej wannie tak równo, jak na wystawie sklepowej. Emilia odkręciła kurki. „Tym razem Lili przesadziła” – pomyślała, stojąc nago naprzeciw lustra. „Powinnam się stąd jak najszybciej wynieść. Niech Lili zostanie sobie ze swoim kochankiem. Ten Grześ chyba ma zadatki na dobrą gospodynię”. Obrzuciła wzrokiem czyste wnętrze łazienki. Była pewna, że błyszczące płytki to zasługa nowego przyjaciela matki.

Po kąpieli ostrożnie otworzyła drzwi i wychyliła głowę na korytarz. Pokój Lili był zamknięty. Zza ściany dochodził przytłumiony śmiech. Kiedy zyskała pewność, że Grześ znajduje się najprawdopodobniej w łóżku matki, zdecydowała się przemknąć do swojego pokoju. Od razu zatrasnęła drzwi i wślizgnęła się pod kołdrę. Gdy tylko zamknęła oczy, usnęła.

Obudził ją uliczny gwar i znajomy odgłos tramwaju przejeżdżającego pod oknami. Usiadła na łóżku i spojrzała na zegar. Dochodziła dziesiąta. W pośpiechu zeskoczyła na dywan i starannie zaścieliła łóżko. Otworzyła walizkę, by wyjąć z niej ulubione rajstopy w kolorze ochry, które zabrała do Modrzewiowej wraz ze stertą innych ubrań. Nie zastanawiała się zbyt długo, co na siebie włożyć. Wsunęła rękę do szafy między rząd ciasno zawieszonych bluzek. Wtedy z walizki wypadła foliowa siatka. Nieśmiało wychylał się z niej brązowy sweter Szymona. Wzięła go i przyłożyła do twarzy. W jednej chwili poczuła zapach tamtego wieczoru, słonego powietrza, owianej wiatrem plaży, aromatycznej herbaty zaparzonej przez Szymona i opiekanego chleba. Zobaczyła blask lampy oliwnej, dzięki której jego twarz, tylko w połowie oświetlona, wydawała się jeszcze bardziej intrygująca. Kłębek wspomnień rozsypał się w jej głowie, a ona w ciągu zaledwie kilku sekund przeniosła się do starej latarni.

Odgłos przejeżdżającej pod oknami karetki natychmiast wybudził ją z tego letargu. Przecież się śpieszyła. Powinna jak najszybciej ruszyć do antykwariatu. Odrzuciła sweter na walizkę, skierowała się do drzwi i zdecydowanym krokiem weszła do przedpokoju. Przynajmniej miała pewność, że Lili jest na uczelni.

Łazienka była pusta. Emilia szybko się uwinęła. Na koniec przeczesła tylko włosy, wpięła spinkę i namalowała kreski na górnych powiekach. Z kocimi oczami czuła się wyrazista, bardziej pewna siebie. Postanowiła, że tym razem wyjdzie z domu bez śniadania, a kawę i tak piła w towarzystwie Franciszka. Śpieszyła się, by go zobaczyć. Mocno pchnęła drzwi od łazienki. Zatrzasnęły się z hukiem. Aż się wzdrygnęła. Wtedy w lekko uchylonych kuchennych drzwiach stanął Grześ.

– Co tam? – Uśmiechnął się do niej łobuzersko.

Była zaskoczona jego widokiem, ale ze zdziwieniem stwierdziła, że woli widzieć jego niż Lili. Nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

– Jesteś zdziwiona, że jeszcze tu jestem? – Wpatrywał się w nią dużymi, niebieskimi oczami. – Lili poszła na uczelnię, a ja mam dzisiaj później zajęcia. Poza tym nie chcemy się jeszcze razem pokazywać. – Wydawał się speszony.

– Jesteś jej studentem?!

– Nie! No co ty! – Roześmiał się. – Skąd ci to przyszło do głowy? Od października uczę w akademii grafiki warsztatowej. Jestem nowy, a twoja matka zapoznaje mnie... z uczelnią. Jestem jej za to wdzięczny. Wydaje ci się to dziwne, że ja i twoja mama... Chodzi o różnicę wieku, tak?

Współczuła mu, bo sprawiał wrażenie porządnego, sympatycznego. Co ktoś taki robił przy Lili? Wszyscy dotychczasowi partnerzy matki byli beznadziejni i nieświeży jak ryby, którymi ostatnio się żywiła. A ten cały Grześ był dla Lili za grzeczny.

– Nie, nie o to chodzi. – Wymownie zakasłała. – Nie interesuje mnie życie

uczuciowe mojej matki. Zresztą my mamy ze sobą naprawdę niewiele wspólnego. Po prostu zaskoczyła mnie twoja obecność... Dlatego tak zareagowałam.

– Czyli nie masz nic przeciwko? Nie chciałbym stawać między wami... To znaczy gdybyś ty tego nie akceptowała...

– Wiesz co? Muszę już iść. – Kucnęła, żeby włożyć buty.

– Ja wychodzę za godzinę, a wieczorem idziemy z Lili na miasto. – Zawiesił głos. – Naprawdę myślałem, że Lili mieszka sama... Postawiłem cię chyba w niezręcznej sytuacji.

Podniosła się, jednocześnie otwierając szafę. Wyjęła swój ulubiony krótki zielony płaszcz.

– Może troszkę. – Roześmiała się przekornie. Dziwne, ale przy Grzesiu nie czuła się nawet w najmniejszym stopniu skrępowana. – Już niedługo nie będę wam przeszkadzała. Wyprowadzam się. – Po raz pierwszy wypowiedziała to na głos.

– Chyba nie przeze mnie?!

– Nie, nie przez ciebie. Już wcześniej podjęłam decyzję. – Wpatrywała się w twarz mężczyzny i wiedziała, że jej nie dowierzał. – Daj spokój. – Podeszła do niego i złapała go za ramię jak dobrego kumpla. – To ja już zmykam.

Kiedy przekraczała próg, jeszcze raz odwróciła się i uśmiechnęła do Grzesia. Widać było, że potrzebował tego, bo od razu się wyprostował. Zrzucił z siebie skrępowanie, które towarzyszyło ostatnim minutom ich rozmowy.

Tego dnia błyskawicznie dotarła do antykwariatu. Chciała jak najszybciej zobaczyć się z Franciszkiem i powiedzieć mu o swojej decyzji. Wiedziała, że czekał na to od dawna. Teraz jak jeszcze nigdy wcześniej była pewna, że chce mieszkać razem z nim.

Gdy znalazła się przy kamienicy, gdzie mieścił się antykwariat, już zza szyby dojrzała Franciszka – siedział pochylony i czytał gazetę, odgradzony od całego świata. Nie zareagował nawet na odgłos dzwonka wiszącego nad drzwiami.

– Dzień dobry, panie Franciszku! Już jestem! – Dokładnie zamknęła drzwi, żeby przez dolną szparę do środka nie wślizgnęło się chłodne powietrze.

Ranek był bardzo zimny. W Tatrach spadł śnieg, a zimny front powietrza już od trzech dni bezlitośnie traktował mocno pożółkłe liście, co rusz strącając je z drzew. Franciszek najpierw spojrzał na dziewczynę nieobecny wzrokiem. Kiedy jednak szeroki uśmiech Emilii przyciągnął jego uwagę, odsunął od siebie poranne wydanie „Kuriera Warszawskiego” z listopada 1916 roku. Wstał, opierając dłonie na blacie sekretarzyka, jakby nie mógł wyprostować pleców. Emilia rzuciła okiem na stronę tytułową, na której znajdował się nekrolog Henryka Sienkiewicza. Przed jej wyjazdem do Modrzewiowej czasopismo wraz z kilkoma starymi dziennikami przyniósł do antykwariatu Teodor. Franciszek najpierw obrzucił ją ciepłym spojrzeniem, a potem powiedział to, co słyszała od niego każdego dnia, kiedy rankiem przekraczała próg antykwariatu:

– Dobrze, że jesteś.

Przez moment zdawało się jej, że wcale nie odbyła podróży do Modrzewiowej, że pobyt w domu ojca był tylko snem, z którego teraz się obudziła.

– Jak sobie pan beze mnie poradził? – Miała wielką ochotę przytulić się do Franciszka, ale tylko chwyciła jego pomarszczoną, chłodną dłoń.

On, zachęcony tym gestem, uśmiechnął się. Wiedziała, że chciał ją objąć, ale wrodzona powściągliwość jak zwykle wzięła górę. Wyprostował się, wypuszczając rękę Emilii. Chyba poczuł ból w plecach, bo na jego twarzy pojawił się grymas. Patrzył na nią przez grube szkła okularów, a druciane oprawki lśniły w słońcu, które coraz śmielej zaglądało do środka.

– Brakowało mi naszych wspólnych rozmów przy kawie. Nikt nie potrafi parzyć tak dobrej kawy jak ty. – Patrzył na dziewczynę nieśmiało, a ona wiedziała, że w tym prozaicznym wyznaniu kryły się niepokój i tęsknota.

– W takim razie zaczynamy dzień od naszej ulubionej kawy!

Zdjęła płaszcz i zniknęła na zapleczu. Już po chwili antykwariat, gdzie zwykle dominował zapach starych książek, wypełnił się aromatem kawy i przypraw korzennych. Na zapleczu pojawił się Franciszek.

– Jak było w Modrzewiowej? – spytał, nie odrywając wzroku od filiżanek wypełnionych kawą.

– Dobrze, jak zwykle – odpowiedziała i odwróciła się w stronę kuchenki. Pytanie Franciszka przywołało niechciane wspomnienia, zwłaszcza jedno, bezwstydną pocałunek. Postanowiła niezwłocznie zmienić temat. – Panie Franciszku. Proponował mi pan, żebym u pana zamieszkała... – zaczęła nieśmiało.

– Tak, wielokrotnie... I obiecałem ci, że nie będę naciskał. Decyzja należy do ciebie. Chociaż naprawdę nie rozumiem, co cię jeszcze trzyma przy matce. Powinnaś w końcu się od niej uwolnić. – Przymknął oczy. Robił tak zawsze, kiedy mówił o Lili.

– Podjęłam decyzję. Myślę, że to dobry moment, żeby z panem zamieszkać.

– Naprawdę? – Oszczędny w gestach Franciszek aż zdjął okulary, które od razu wsunął do kieszeni marynarki.

– Tak. Pan potrzebuje mojej pomocy znacznie bardziej niż moja matka. Wspólne mieszkanie wiele nam ułatwi. – Uśmiechnęła się, jakby chciała dodać sobie pewności.

Franciszek cofnął się i przyłgnął plecami do ściany.

– Nie chcę cię wykorzystywać. Kiedy proponowałem ci, żebyś przeniosła się do mojego domu, nie chciałem zrobić z ciebie pielęgniarki. – Wydawał się speszony.

– Panie Franciszku, chyba źle odczytał pan moje słowa. Myślę, że to dobry moment, żebyśmy wspólnie zamieszkali. Wieczory są coraz dłuższe, przed nami zima, będzie nam razem weselej... Mniej samotnie. – Spojrzała na Franciszka

nieśmiało.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Tak. Przecież w końcu powinnam uwolnić się od Lili.

Franciszek nie lubił przyjmować od nikogo pomocy, ale perspektywa zamieszkania z osobą, którą kochał jak własną córkę, sprawiła, że nie mógł już dłużej upierać się przy swoim. Emilia podjęła w końcu decyzję, na którą czekał już od wielu lat. Co roku miał nadzieję, że dziewczynę w końcu zmęczy mieszkanie z neurotyczną matką.

– Cieszę się – powiedział po dłuższej chwili. – Musimy teraz jak najszybciej zorganizować przeprowadzkę.

– Nic nie trzeba organizować – ostudziła jego zapał. – Nie mam zbyt wielu rzeczy. Spakuję się do trzech walizek. Przecież nie muszę zabierać wszystkiego od razu. Na początek wezmę najpotrzebniejsze ubrania i przybory toaletowe, a po resztę mogę wrócić kiedykolwiek.

– Kobieta nie powinna sobie zawracać głowy takimi sprawami. Przeprowadzką powinien zająć się mężczyzna!

– Najpierw usiądźmy i napijmy się kawy, bo zaraz wystygnie. Przeprowadzka poczeka. – Wzięła w ręce obie filiżanki, wypełnione wciąż gorącą kawą.

– Nie ma na co czekać – mruknął pod nosem, ale udał się za dziewczyną do miejsca, gdzie stało jego biurko. Tam kawa smakowała najlepiej.

Po długiej porannej rozmowie zaszył się na kilka godzin w sklepiku Teodora, z którym ostatnio spędzał więcej czasu niż zwykle, pomagając mu porządkować starocie, a ona zajęła się segregowaniem książek.

Właśnie w tym czasie do antykwariatu przyszła Iga. Przekroczyła próg powoli, bez charakterystycznego szumu, który zawsze towarzyszył jej wejściom.

– Cześć – rzuciła cicho, rozglądając się za Franciszkiem.

– Wchodź, nie ma go. – Uśmiechnęła się do przyjaciółki delikatnie, z przyzwyczajenia. – Fajnie, że jesteś. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Bo... – Iga, zawsze wygadana, teraz zacisnęła usta.

– Co ty jakaś taka... oficjalna. – Chyba pierwszy raz w życiu nie wiedziała, jak z nią rozmawiać.

– Chciałabym ci wszystko wytłumaczyć.

– Iga... ja już to sobie przemyślałam. W gruncie rzeczy to powinnam być ci wdzięczna. Chyba nigdy nie odważyłabym się na to. – Uśmiechnęła się, starając się zarazić dobrym humorem przyjaciółkę.

– Emi, ja muszę ci to wszystko dokładnie wytłumaczyć... Ostatnio nie zdążyłam. – Stała na środku antykwariatu, ale sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę wyjść. W końcu się uśmiechnęła, ale w tym uśmiechu więcej było zdenerwowania niż radości.

– Nie trzeba, naprawdę.
– To konieczne. – Niewyraźny uśmiech zniknął z jej twarzy.
– No dobrze, skoro musisz. Usiądź, zrobię ci herbatę.
– Nie, lepiej wyjdźmy na zewnątrz. Chciałabym zapalić. – Iga zrobiła krok do tyłu.

– No dobrze.

Emilia sięgnęła po płaszcz. Na dworze było chłodno, a wiatr znów przypomniał sobie o starych krakowskich uliczkach. Gdy wyszła z antykwariatu, Iga trzymała już w ręce zapalonego papierosa.

– Jak było w Modrzewiowej? – zaczęła z innej beczki.

– Dobrze. Właściwie to temat na dłuższą rozmowę...

Iga odwróciła wzrok i nie spytała o nic. Emilia wpatrywała się w koleżankę z coraz większym zdziwieniem.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tylko... – Przyłożyła papierosa do ust.

– Co „tylko”?

– Jestem beznadziejna. – Wypuściła z ust dym.

Nagle obie jednocześnie dostrzegły pana Franciszka, wychodzącego zza rogu. Człapał powoli. Kiedy jednak podszedł na tyle blisko, by rozpoznać Igę, przyśpieszył kroku.

– Na mnie już czas. – Szybko dogasiła na wpół wypalonego papierosa i wrzuciła go do kosza.

– Zaczekaj! – Emilia złapała ją za rękę. – Miałaś mi przecież coś powiedzieć.

– To może poczekać. Wpadnę do ciebie wieczorem. – Odsunęła się w momencie, gdy Franciszek zbliżył się do drzwi antykwariatu.

– Dzień dobry – przywitała się z nim oficjalnie.

– Nie wiem, czy taki dobry. – Spojrzał na zasnute chmurami niebo, które wyglądało, jakby lada moment miał spaść deszcz.

Emilia popatrzyła na niego z lekkim wyrzutem.

– Panie Franciszku, ten tydzień i tak jest znacznie cieplejszy od poprzedniego. – Starła się ratować sytuację. Zawsze to robiła. Stawała pomiędzy tą dwójką jak rozjemca i nigdy nie wiedziała, po czyjej jest stronie.

Iga od razu postanowiła ułatwić sprawę Emilii.

– To do wieczora. – Cofnęła się o kilka kroków. – Do widzenia! – odezwała się oficjalnie na koniec.

– Do widzenia – wymamrotał Franciszek.

– Dlaczego pan jej tak bardzo nie lubi? – Emilia spytała Franciszka, kiedy znaleźli się w antykwariacie sami.

Nie odpowiedział od razu, tylko pomału zdjął płaszcz, a potem powiesił go na wieszaku. Zazwyczaj w takich sytuacjach ona odpuszczała. Nie tym razem

jednak. Stała za Franciszkiem, zagradzając mu drogę, i cierpliwie czekała na odpowiedź.

– Dobrze wiesz dlaczego.

– Przecież tyle lat się przyjaźnimy i nigdy mnie nie zawiodła.

– Jesteś tego pewna? – Głęboko westchnął. Minął dziewczynę i schylił się po pęk gazet, które chwilę wcześniej położył na podłodze. Potem zrobił kilka kroków w kierunku sekretarzyka. – Podejdz do mnie, proszę. – Sięgnął do kieszeni po etui z okularami. Wyciągnął je i od razu założył na nos. Potem niedbale rozłożył kilka czasopism. – Byłem na pocście i odebrałem przesyłki. Przyszedł ostatni „Głos Literacki” – mówił niby do Emilii, ale nie podnosił oczu znad gazet.

– Nie musiał pan tego robić. Obiecałam, że wstąpię tam po pracy.

Franciszek uniósł głowę, ale nadal nie wiedziała, czy patrzył na nią, czy na czasopismo, leżące w zasięgu jego wzroku. Kiedy była w sporej odległości, nigdy nie miała pewności, czy przez grube szkła stary antykwariusz dobrze ją widzi. W końcu do niego podeszła.

– Zobacz. – Podsunął jej nowy numer „Głosu”.

Wzięła czasopismo do ręki i pobieżnie przewertowała strony. Lubiała ten magazyn za ciekawe artykuły o pisarzach i informacje o książkowych nowościach.

– Strona czternasta – powiedział jakby od niechcenia.

Nie spytała o nic, ale nie zdobyła się na odwagę, by otworzyć gazetę. Franciszek miał nietypową dla niego, bardzo poważną minę. Mogłaby przysiąc, że był zdenerwowany.

– No otwórz – ponaglił ją w końcu.

Czuła narastające napięcie. Pomału zaczęła kartkować strony, a im bliżej była czternastej, robiła to coraz wolniej. Zatrzymała się przy trzynastej i jeszcze raz zerknęła na antykwariusza. Nie ponaglał, ale było widać, że czeka na jej ostateczny ruch. Została tylko jedna kartka, z której uśmiechała się do niej sympatyczna kobieta. Tuż pod jej zdjęciem umieszczono krzykliwą reklamę opon zimowych. „Niezbýt dobre zestawienie” – przeszło jej przez myśl.

– Strona czternasta – powiedziała na głos i uśmiechnęła się do Franciszka. Nadal nie rozumiała, co chciał jej przekazać. Niestety dotarło to do niej.

Konkurs na najlepszą powieść z historią w tle rozstrzygnięty! *Intryga wojenna* Igi Chmielewskiej okazała się bezkonkurencyjna!

– przeczytała, a kolejne wyrazy zlały się w jedną czarną plamę. – Ale jak to? – odezwała się dopiero po chwili. Czując bezsilność, spojrzała na Franciszka. – Co to ma znaczyć?

– Teraz już wiesz, dlaczego nigdy jej nie lubiłem? – Franciszek poprawił okulary.

– Przecież to moja powieść – odezwała się z paniką w głosie. – Muszę jak najszybciej porozmawiać z Igą. Na pewno zaszła jakaś pomyłka. – Nie wierzyła,

żeby przyjaciółka była zdolna do czegoś takiego. „Iga na pewno mi wszystko wytłumaczy. Przecież mówiła, że wysłała moją książkę. Zaraz wszystko się wyjaśni” – myślała gorączkowo.

Franciszek przyglądał się jej ze współczuciem. Miał ochotę wtrącić swoje: „A nie mówiłem”, ale widział, że ta wiadomość spadła na Emilię jak grom z jasnego nieba. Przeczynał, że ta dziwna przyjaźń kiedyś się skończy. Czekał na tę chwilę. Było wiadomo, że nie ufał Idze. Gdy teraz patrzył na Emilię, żałował, że dał jej tę gazetę. Chociaż? Przecież i tak musiała się o tym dowiedzieć. Lepiej, że stało się to pod jego czujnym okiem.

– To na pewno pomyłka. – Zamknęła gazetę i odłożyła na biurko.

– Twoja przyjaciółka cię oszukała... – mówił cicho, starannie dobierając słowa. Chciał, żeby do dziewczyny dotarła w końcu gorzka prawda. – Powiedz mi, czy Iga miała w komputerze plik z twoim tekstem? – spytał dla pewności, choć domyślał się, że właśnie tak było.

– Wie pan doskonale, że Iga zawsze czytała wszystko, co napisałam. Mówiła mi ostatnio, że wysłała moją powieść na jakiś konkurs i że książka okazała się najlepsza, ale...

– Nie wspomniała tylko, że to ona się pod nią podpisała, tak?

– Tak – potwierdziła. Z wolna zaczynało do niej wszystko docierać. „Jaką ja jestem kretynką!” – zganiła się w duchu. Podeszła do okna, jakby obawiała się, że Franciszek usłyszy jej myśli. „Byłam zła na Igę, że wysłała moją książkę, a okazało się, że najgorsze przede mną”. Chciało się jej płakać. Czuła się tak bardzo upokorzona, jak jeszcze nigdy wcześniej. Zdradzona podwójnie, i to w najgorszy sposób.

– Co z tym zrobisz?

– Nie wiem... Spotkam się z Igą dziś wieczorem.

Wieczorem Iga nie pojawiła się u Emilii. Ona też nie miała na tyle odwagi, by stanąć z przyjaciółką twarzą w twarz. „Może to i lepiej, że nie przyszła. Muszę trochę ochłonąć” – rozmyślała. Kilka razy już trzymała telefon, ale odkładała go, zanim jeszcze zdążyła wybrać numer Igi. Do późna czekała na nią, snując się po mieszkaniu. Była zadowolona, że w domu przynajmniej nie kręciła się Lili. Zresztą Grześ poinformował ją, że wieczorem mają zamiar z matką gdzieś wyjść.

Nawet głos ulubionej Adele nie przyniósł ukojenia. Wyłączyła płytę już po odsłuchaniu dwóch pierwszych utworów. Zgasła światło i zapaliła świecę. Półmrok ogarnął zakamarki pokoju, a ona pomyślała, że teraz uda się jej lepiej zrozumieć własne myśli. Ale ani światło świecy, ani ulubiona muzyka nie były w stanie wytłumić emocji.

Rano była niewyspana. Gdy w pokoju zadźwięczał budzik, nakryła głowę poduszką. Na nic się to jednak nie zdało, bo napastliwy dźwięk i tak kąsał uszy. Emilia usiadła na łóżku i przytrzymała rękę na budziku. Zrobiło się cicho.

Zamknęła oczy, ale odgłos tramwaju przejeżdżającego pod oknami kamienicy całkiem ją rozbudził.

Przez cały poranek nie mogła wziąć się w garść. Wciąż brakowało jej czasu. Spoglądała nerwowo na zegar i jeszcze bardziej chaotycznie próbowała odnaleźć się między minutami dopiero rozpoczynającego się dnia.

Oprzytomniała wreszcie, gdy wsiadła na rower. Rzeźkie poranne powietrze od razu sprawiło, że pewnie chwyciła dużą kierownicę. Dopiero teraz, jadąc ruchliwą o tej porze ulicą, zauważyła, że z góry łaskawie spogląda na nią słońce. Mimo porannego przymrozku z każdą chwilą robiło się coraz cieplej. Kiedy dojechała do antykwariatu, było jej już całkiem ciepło. Zsiadła z roweru i jak zwykle oparła go o mur kamienicy.

W antykwariacie paliło się mdlawe światło, ale miejsce przy sekretarzyku było puste.

– Dzień dobry! – rzuciła od progu, wieszając płaszcz.

– Dzień dobry! – odpowiedziały jej dwa głosy. Jeden doskonale znajomy, drugi jakby niewyraźny i mniej bliski.

– Ty tutaj? – wyrwało się jej na widok Mikołaja, jeszcze zanim zdążyła się z nim przywitać.

– Tak, obiecałaś mi przecież spotkanie. – Uśmiechnął się ni to wesoło, ni to czarująco.

Franciszek od razu postanowił wyjaśnić jej kilka spraw.

– Poprosiłem Mikołaja, żeby pomógł ci w przeprowadzce. Ma dzisiaj wolne przedpołudnie, więc od razu się zgodził. Myślę, że po wypiciu kawy możecie się tym zająć. – Na widok miny Emilii tak umiejętnie prowadził rozmowę, by nie dać jej dojść do słowa.

– Tak, myślę, że dobra kawa załatwi wszystko. – Było widać, że Mikołaj, w odróżnieniu od niej, dobrze się bawi.

– Panie Franciszku, niepotrzebnie zawracał pan głowę Mikołajowi. Przecież mówiłam, że poradzę sobie sama.

– Kobieta nie powinna zajmować się takimi sprawami. – Franciszek odwrócił wzrok w stronę okna, a ona wiedziała, że ostatnie słowo należy do niego. W takich chwilach nigdy nie starała się mu sprzeciwić.

– Mam tylko trzy walizki. Sama dałabym radę...

– Pan Franciszek ma rację, nie powinnaś zajmować się przeprowadzką.

– Nawet się jeszcze nie spakowałam...

Po jej słowach Mikołaj tylko się uśmiechnął.

– Nie musisz wracać do antykwariatu. Świetnie dam sobie radę – odparł Franciszek.

W końcu skapitulowała.

– To ja może zrobię w końcu tę kawę – odezwała się jakby od niechcienia i

zniknęła na zapleczu.

Po antykwariacie rozszedł się zapach z egzotyczną nutą. Cała trójka bardzo szybko nadrobiła wcześniejsze milczenie. Tematy pojawiały się same, jeden po drugim, aż nie chciało się nikomu przerywać dyskusji dotyczącej ostatnich ciekawych wystaw malarskich w Krakowie. Emilia coraz przychylniej spoglądała na Mikołaja. Ciekawie opowiadał i zadziwiał inteligentnymi dygresjami. Gdyby nie nagła wizyta pana Teodora, pewnie siedzieliby dłużej, a tak w jednej chwili przypomnieli sobie o tym, co jeszcze przed momentem planowali. Przeprowadzka znów stała się tematem numer jeden.

Mikołaj pomału wkładał swoją wytartą skórzaną kurtkę. Przez cały czas przypatrywał się Emilii, która ubierała się w pośpiechu. Kiedy znaleźli się przed drzwiami antykwariatu, spojrzał na rower.

– Lepiej będzie, jak go tutaj zostawisz. Jestem samochodem. – Dotknął kierownicy i robiąc zabawną minę, przekręcił dzwonek. Potem cofnął się o krok, włożył rękę do kieszeni kurtki i wyjął telefon. – Nie masz nic przeciwko, żebym pstryknął fotkę? – Spojrzał na nią i zrobił zdjęcie.

– Nie, no skąd – odpowiedziała, gdy Mikołaj powtarzał kolejne ujęcie. – Co takiego interesującego jest w moim rowerze? – spytała, kiedy schował telefon do kieszeni.

– Łapię chwilę i zamykam ją w obrazie – odpowiedział wymijająco, ale ona i tak wiedziała, o co mu chodzi. – Robię dużo zdjęć, są mi potrzebne do pracy.

Podeszła do roweru i poprawiła kierownicę, która zsunęła się po ścianie. Odwróciła się do Mikołaja, a ten włożył rękę do kieszeni.

– Popatrz na mnie – odezwał się głośno.

Zanim zdążyła się zorientować, została uwieczniona na kolejnym zdjęciu.

– Pięknie. Doskonała harmonia niespotykanej urody i szlachetności wiekowych przedmiotów – powiedział, a ona nie była pewna, czy patrzy na nią, czy na stojący obok stary rower.

– Zostawię go. Zaparkowałeś w pobliżu?

– Tak, na Szpitalnej.

– Więc chodźmy. – Uśmiechnęła się zachęcająco, jeszcze bardziej zbliżając się do Mikołaja, a on zyskał pewność, że ostatnie lody między nimi zostały przełamane.

Kiedy znaleźli się pod bramą kamienicy, Emilia spojrzała w górę. Okno w kuchni było otwarte. Ulatniał się z niego długi sznurek dymu. Nie miała ochoty na spotkanie z Lili. Matka powinna być teraz na uczelni. No, ale cóż, na odwrót było już za późno.

Drzwi do mieszkania były otwarte.

– Wejdz.

– Dzień dobry! – Mikołaj wszedł do przedpokoju i wyczuwając czyjaś

obecność, od razu się przywitał.

Zaraz po jego słowach w drzwiach kuchennych pojawiła się Lili.

– Dzień dobry. – Oparła się o framugę, uwodzicielsko wysuwając biodro w kierunku mężczyzny.

Mikołaj poczuł się zbity z tropu, bo spojrzał na Emilię w taki sposób, jakby chciał ją spytać: „O co tu chodzi? Kim jest ta kobieta?”

– To Lili, moja...

– Jestem Mikołaj. – Uznał, że mimo niejasnej sytuacji powinien się przedstawić.

Lili od razu natrętnie chwyciła dłoń Mikołaja, a potem długo nie chciała jej wypuścić, gładząc kciukiem jej wierzch.

– Chyba powinniśmy się pośpieszyć. – W końcu udało się mu uwolnić rękę z uścisku Lili.

– Tak, chodźmy do mojego pokoju.

Kiedy weszli do środka, starannie zamknęła drzwi, choć była pewna, że Lili i tak będzie podsłuchiwać. Nie mogłaby sobie darować sytuacji, że w jej mieszkaniu znalazł się młody, przystojny mężczyzna, a ona nic o nim nie wiedziała.

– Kto to był?

– Moja matka – odpowiedziała szybko, żeby mieć to już za sobą. Widziała, że Mikołaj się zdziwił, ale był na tyle taktowny, że tego nie skomentował. – Usiądź. – Wskazała krzesło, sama zaś wyjęła zza szafy trzy walizki, do których zaczęła wkładać ubrania.

Kiedy opróżniła ostatnią półkę, znienacka wypadła z niej foliowa siatka. Na podłogę wypadł wełniany męski sweter. Speszyła się. Kucnęła i wzięła go w dłonie w taki sposób, jakby chciała go ukryć. Wrzuciła go do jednej z walizek. Miała nadzieję, że Mikołaj tego nie zauważył. Gdy na niego spojrzała, przypatrywał się jej z ciekawością. Nie zapytał o nic. Nie zdążył, bo w tym samym czasie rozległo się pukanie i w drzwiach stanęła Lili.

– Może napijecie się ze mną kawy? – Zaczepnie patrzyła na Mikołaja.

– Nie, dziękuję, niedawno piliśmy kawę. – Wstał i przesunął się w kierunku Emilii. Wyglądało to tak, jakby uciekał przed Lili.

Ta dopiero teraz spojrzała na trzy otwarte walizki, wypełnione ubraniami.

– Wyjeżdżasz gdzieś? – pytanie skierowała do córki, ale patrzyła na Mikołaja.

– Wyprowadzam się do pana Franciszka.

– Co takiego?! – Lili krzyknęła piskliwie. – Jak ty sobie beze mnie poradzisz? – Słyszała panikę w głosie matki.

– Dam radę. Będziesz miała dodatkowy pokój, przyda ci się – mówiąc to, wciąż przekładała ubrania, dzięki czemu nie musiała patrzeć na Lili.

– To do niego się przenosisz? – Popatrzyła na mężczyznę z wyrzutem, a jej

córka odniosła wrażenie, że w przypominających wąskie szparki, ledwo widocznych oczach matki malowała się zazdrość. Gdyby Lili miała pod ręką papierosa, na pewno przyłożyłaby go do ust, rozładowując napięcie, a tak jej twarz zdradzała nadmiar emocji, nad którymi nie potrafiła zapanować.

Emilia wstała i spojrzała wprost na matkę. Było jej głupio, że stawia nowego znajomego w takiej żenującej sytuacji. Wiedziała doskonale, że kontakt z Lili nie wróży nic dobrego, dlatego nigdy nie przyprowadzała do mieszkania swoich znajomych, oprócz Igi, ale ona знаła matkę swojej przyjaciółki od dziecka.

– Nie wprowadzam się do Mikołaja, tylko do pana Franciszka, tak jak ci powiedziałam. Zresztą nie zamierzam ci się tłumaczyć. – Kucnęła, szybko dopięła walizki i ustawiła je pod ścianą. Zza biurka wyjęła jeszcze ortalionową torbę z książkami i dosunęła do pozostałych bagaży. – Możemy już iść. – Obrzuciła wzrokiem blat biurka i półki wiszące na ścianie. – Nie spakowałam tylko kilku drobiazgów, ale wróć po nie. To, co najważniejsze, zabrałam. – Skierowała się w stronę drzwi.

Lili wycofała się do przedpokoju.

– Zastanów się jeszcze – odezwała się mniej pewnie, kiedy jej córka chwytiała klamkę drzwi wejściowych. – Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że będziesz musiała opiekować się tym starym człowiekiem.

– Do widzenia, Lili. – Otworzyła drzwi, ale najpierw wypuściła na korytarz Mikołaja. Zauważyła, że aż pali się do wyjścia.

Czmychnął jak kot, a potem wziął dwie największe walizki, torbę z książkami i od razu ruszył w stronę schodów. Ona też wzięła walizkę i nie patrząc na matkę, zamknęła drzwi.

Kiedy znaleźli się przed kamienicą, jeszcze raz zerknęła na okna swojego mieszkania. Tym razem były zamknięte. Lili nie znosiła świeżego powietrza. Aż dziw, że w ogóle rano zdecydowała się przewietrzyć kuchnię.

– Przepraszam. – Oparła się bokiem o fasadę budynku i spojrzała na Mikołaja nieśmiało.

On uśmiechnął się i wyjął ręce z kieszeni. Było widać, że nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić.

– Rodziców się nie wybiera.

– Twoja matka jest dość... specyficzna. – Zakaszłał i przyłożył sobie do ust otwartą dłoń. – Teraz przynajmniej rozumiem, dlaczego chcesz się wyprowadzić.

– Tak, powinnam była to zrobić już dawno temu.

– U pana Franciszka będzie ci dobrze, ma piękny dom i ogród. No i do pracy nadal będziesz miała niedaleko. Nie przenosisz się na koniec świata. – Starał się ją pocieszyć.

Podziękowała mu uśmiechem.

– Długo się znacie?

– Z Franciszkiem? – Odetchnęła, że odeszli od tematu Lili. – Od dziecka. Jego żona była moją... – Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Bo przecież Zofia nie była tylko jej opiekunką. Była kimś więcej. Była najważniejsza, oczywiście poza ojcem, Różą i Franciszkiem. – Zofia opiekowała się mną od wczesnego dzieciństwa. Kochałam ją.

– Widać, że jesteś dla Franciszka kimś wyjątkowym.

– Ona z Franciszkiem zawsze byli obok mnie, nie to, co moja matka. – Spojrzała szczerze w oczy Mikołaja. – Chodźmy już, bo Lili zaraz wyleje nam na głowę kubek zimnej wody. – Uśmiechnęła się cierpko i uniosła głowę, spoglądając na okna swojego mieszkania.

– Nie przesadzasz?

– Nie. Nie wiem. Zresztą... – Wzruszyła ramionami. – Nie mam pojęcia, co dzieje się teraz w jej głowie. Wyprowadzam się od niej pierwszy raz. Nie wiem, czy poradzi sobie beze mnie. – Westchnęła. To było dziwne, ale w jakimś stopniu wciąż czuła się za Lili odpowiedzialna.

– Twoja matka to samo mówiła o tobie. – Mikołaj chwycił bagaże postawione przy ścianie budynku. Chyba uznał, że niepotrzebnie wrócili do tego tematu.

Emilia znów westchnęła i popatrzyła na niego pobłaźliwie. Potem wzięła najmniejszą walizkę i ruszyli do samochodu.

Kiedy podjechali pod dom pana Franciszka w pobliskim kościele biły dzwony. Nieliczne żółtobrazowe liście wisiały na starych drzewach rosnących na jego posesji. Mikołaj wysiadł z samochodu i otworzył bramę.

– Dawno mnie tutaj nie było – powiedziała, głośno zatrzasnąwszy drzwiczki.

Mikołaj otworzył bagażnik i wyjął z niego walizki i torbę z książkami.

– Obiecałam Zosi, że będę dbać o jej męża, a wygląda na to, że nie dotrzymałam słowa. – Ukradkiem popatrzyła na Mikołaja. Zauważyła, że mówi mu sprawach, które do tej pory w jakimś sensie były dla niej niewygodne. Bo niby codziennie widziała się z Franciszkiem, pomagała mu, miała go na oku, ale jednocześnie w skrytości wyrzucała sobie, że mogłaby to robić o wiele lepiej. Dokładniej. Że przecież mogła być bliżej niego. Teraz dała sobie tę szansę i wydawało się, że jej wyrzuty sumienia powinny się wyciszyć.

– Jesteś najlepszą osobą, jaką poznałem. – Mikołaj dłużej zatrzymał wzrok na jej twarzy.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? Nie znasz mnie. Widzieliśmy się raptem dwa czy trzy razy i sądzisz, że wiesz o mnie dużo?

– Jesteś jedyna w swoim rodzaju...

– To miłe.

– Miejsce, w którym pracujesz, jest niesamowite i ty też jesteś taka. Mam wrażenie, że w całym Krakowie trudno by szukać takiej dziewczyny jak ty.

– Na pewno... – Roześmiała się. – Lili wie o tym najlepiej. Uwielbia mój brak gustu!

– Twoja matka jest...

– Nie mówmy już o Lili – weszła mu w słowo. – Teraz będę ją widywała naprawdę bardzo rzadko.

– Jak ty sobie bez niej poradzisz? – zażartował.

– Nie mam pojęcia. No wiesz, nie mam daleko, zawsze mogę wrócić. – Rozbawiona, odsunęła się od mężczyzny. Sięgnęła po walizkę i wspięła się po schodach. Kiedy była już pod drzwiami, włożyła rękę do kieszeni płaszcza i wyjęła pęk kluczy, które rankiem wręczył jej Franciszek.

– Piękny dom – powiedział Mikołaj i stanął przy niej.

Emilia przytaknęła. Znała go od dzieciństwa. Dla niej duża przedwojenna willa, z woskowiezielonym bluszczem wspinającym się po fasadzie, była miejscem, gdzie mieszkali bliscy jej ludzie. Za każdym razem, gdy patrzyła na front okazałego budynku z elewacją w ciepłym, ceglanym kolorze, pięknymi dużymi oknami oprawionymi w orzechowe futryny i dwuskrzydłowymi drzwiami w kolorze butelkowej zieleni, czuła, że to jej dom. Niewielkie bawole oko spoglądało na nią z czterospadowego dachu pokrytego ciemnobrązową dachówką. Przywodziło jej na myśl obraz ciemnego, pełnego tajemnic strychu. Była podekscytowana tak samo jak wtedy, kiedy jako kilkulatka starała się poznać jego kuszące sekrety, ukryte w cieniu wiekowych kufrów, niepotrzebnych starych mebli i przedmiotów, przyciągających jej wzrok tak uporczywie, jakby upominały się o chwilę uwagi.

Dwanaście szerokich kamiennych stopni prowadzących do drzwi frontowych znała na pamięć. Wszystkie miały lekko wytarte brzegi, w przedostatnim była dziurka wielkości ziarnka grochu. Doskonale pamiętała moment, kiedy się pojawiła. Zosia właśnie stawiała w tym miejscu nogę, niosąc do ogrodu metalową skrzynkę, którą znalazła na strychu. Stwierdziła, że bardziej przyda się w pomieszczeniu gospodarczym na narzędzia. Kilkuletnia Emilka zbiegała tuż przed nią. Nagle się potknęła i gdyby nie czujna opiekunka, jej upadek na pewno byłby bardzo bolesny. Zosia bez zastanowienia rzuciła skrzynkę na schody i podniosła mocno przestraszone dziecko. Siła uderzenia metalowego przedmiotu była jednak tak duża, że pozostawiła ślad. Choć od tamtej pory minęło już wiele czasu, Emilia pamiętała tamtą scenę tak dokładnie, że niemal czuła na swoim ciele troskliwe objęcie Zosi.

– Wejdziemy? – Wyrwała się z zamyślenia, przekręciła klucze w zamku i pchnęła drzwi.

Uderzył w nich duszny, ale przyjemny powiew z nutą zapachu tabaki. W domu Franciszka pachniało niemal identycznie jak w jego antykwariacie.

– Ten dom ma w sobie coś magicznego. U pana Franciszka byłem raptem

dwa razy, ale wracam tu z wielką przyjemnością – powiedział Mikołaj, stając na środku kwadratowego holu i rozglądając się.

Przypatrywała się mu, jak wodził wzrokiem po kolejnych drzwiach. Zastanawiała ją, czy miał okazję zobaczyć cały dom. Na jego twarzy widać było nienasyconą ciekawość. „Na pewno nie widział wszystkiego” – domyślała się. Ona ten dom znała doskonale. Przynajmniej parter, bo piętro nie było używane już od dawna. Stało puste. Kiedy trzy lata wcześniej ekipa remontowa wymieniła dach, pan Franciszek zastanawiał się nad tym, by dwa pokoje na górze połączyć w jeden obszerny. Miał zamiar urządzić tam bibliotekę. Do dalszego działania zabrakło mu motywacji. Książki i tak były głównym elementem wystroju jego domu. Było ich tak dużo, że leżały zamknięte w czterech podłużnych skrzyniach, znajdujących się na strychu. Kilka kartonowych pudeł z okładkami do wymiany u intrologatora zajmowało też większą część schodów prowadzących na pierwszą kondygnację. Chcąc wejść na piętro, trzeba było przeciskać się pomiędzy ścianą a wysokim stosem kartonów. Było to dość niewygodne, dlatego Franciszek coraz rzadziej wchodził na górę. Na parterze miał to, czego potrzebował do życia.

Za ciemnobrązowymi drzwiami znajdował się największy pokój – biblioteka. Przy jej ścianach stały regały z twardego bukowego drewna. Przetrwały już całe stulecie. Od podłogi po sufit wypełniały je rzędy starych książek. Przy ścianie, naprzeciw trzech dużych okien przysłoniętych marszczoną, kremową firaną, stały dwie duże etażerki z dziełami, które były Franciszkowi najbliższe: *Opowiadania Orzeszkowej*, *Lalka* Prusa, *Listy* Sienkiewicza. Przy dziełach pozytywistów ustawiono romantyków: Mickiewicz, Słowacki i ukochany Malczewski z jego ponurą i porywającą *Marią*. Obok jednej z etażerek stało masywne mahoniowe biurko, które dziadek Franciszka dostał jeszcze od swojego stryja z Austro-Węgier.

Pan Franciszek kochał książki tak samo jak swoją Zofię. Po jej śmierci została mu już tylko miłość do literatury. No, ale była jeszcze Emilia. Z opowiadań wiedziała, że Zofia do antykwariatu przyprowadziła ją jako trzyletnią dziewczynkę. Dziecko miało buzię brudną od świeżych truskawek. Kiedy po raz pierwszy spojrzała w oczy Franciszkowi, a z jego ust usłyszała dającą nadzieję opowieść o lampie Aladyna, uwierzyła, że w życiu wszystko jest możliwe. Nie traciła tej wiary nawet teraz, gdy miała za sobą spokojny, czasem burzliwy okres dojrzewania i kilka zawodów miłosnych.

Z zamyślenia wyrwało ją muśnięcie dłoni Mikołaja. Pytającym spojrzeniem wskazał kolejne drzwi. Za nimi znajdowały się pokoje Franciszka i Zofii. Od kilkunastu lat zajmowali osobne kąty i oddzielne łóżka, mimo to byli idealnym małżeństwem. W pokoju antykwariusza, urządzonego minimalistycznie, znajdowały się tylko żelazne łóżko z grubym materacem, niewielka szafka nocna ze stojącą na niej lampką, wąska szafa na odzież i secesyjny fotel z siedziskiem w szachownicę. Franciszek często siadał na nim przy oknie z książką w dłoniach.

Jego pokój wychodził na południe i był najbardziej nasłonecznionym pomieszczeniem w całym domu. Mieszcząca się obok kuchnia też była dość jasna, ale rosnący naprzeciw stary grab, z przyrośniętymi kilkoma pękami jemioly, rzucał cień na połowę okiennej szyby.

Z pokoju Franciszka przeszli do kuchni. Choć od śmierci Zofii minęło już wiele lat, wciąż dawało się tu wyczuć jej obecność. Franciszek nie chciał niczego zmieniać. Ulubiony kawowy zestaw jego żony stał na tej samej półce białego kredensu, z którego lekko zaczęła się już złuszczać farba. Na jednej ze ścian wisiał drewniany zegar z kukułką, który dostali w prezencie ślubnym od Teodora. Każdego wieczoru Franciszek siadał przy stole i stawiał przed sobą dwie białe filiżanki. Zazwyczaj puste. Tylko czasami jedną z nich wypełniała czarna herbata. Zawartość naczynia nie miała żadnego znaczenia. Ważne było, że siadając w tym miejscu i biorąc w ręce filiżankę z ulubionego kompletu żony, wciąż czuł jej obecność. Tkwił tak czasami, zamyślony, do późnej nocy. Księżyc w pełni zaglądał w okna. Srebrzysty blask oblewał poręczę krzesła, blat kredensu i wciskał się do białej, lśniącej filiżanki, a Franciszek przymykał zmęczone oczy i zapadał w kilkuminutową drzemkę. Kiedy się budził, zbierał ze stołu naczynia i odnosił je do zlewu, nie zważając na to, czy była w nich herbata.

Emilia cały czas wpatrywała się w Mikołaja. Zastanawiało ją, co myślał, spoglądając na jedne z bliźniaczo podobnych drzwi, za którymi mieścił się niewielki pokój gościnny. Oderwała od niego wzrok i spojrzała w tym samym kierunku.

– Wejdz dalej, usiądziemy. – Otworzyła drzwi do pokoju dla gości.

– Przytulnie tu – powiedział, rozglądając się, i rozsiadł się w fotelu.

W pomieszczeniu znajdowało się niewiele przedmiotów. Właściwie głównymi elementami jego wystroju były wąska kanapa w kolorze jasnej oberżyny, z dwoma dosuniętymi do niej fotelami, mały okrągły stolik i niewielka witryna z książkami. Dwa okna, do połowy przysłonięte portierami w tonacji zgniłej zieleni, wpuszczały do wnętrza niewiele światła, dlatego panował tu półmrok jak o zmierzchu. Stojący w rogu rzeźbiony zegar szafkowy pokazywał jednak godzinę trzynastą.

– Napijesz się czegoś?

– Nie – odpowiedział bez zastanowienia. – Chociaż może... Poproszę wodę.

Emilia wstała i udała się do kuchni. Kiedy wróciła, podała Mikołajowi szklankę i podeszła do okna, by je odłonić. Niewiele to dało, ale do środka wniknęło trochę światła. Bluszcz porastający ścianę pomiędzy dwoma oknami sprawiał, że była ona lekko wilgotna. Tę wilgoć czuć było też wewnątrz. Zwłaszcza że z pokoju raczej rzadko korzystano. Spali tu tylko goście. Dopiero gdy się pojawiali, Franciszek otwierał oba okna, żeby pozbyć się nieprzyjemnego zapachu. Z Emilią zazwyczaj siadywali w bibliotece lub w kuchni. Swój pokój miał tylko dla

siebie. Nawet ona już od dziecka wiedziała, że nie należy tam wchodzić. W małym wnętrzu było niewiele przedmiotów, ale musiały być zawsze na tym samym miejscu. Kiedy jeszcze żyła Zosia, udało się jej czasami namówić męża na niewielkie modyfikacje, ot, choćby nowe zasłony. Od kilku lat jednak w pokoju Franciszka nic się nie zmieniło.

Mikołaj długo popijał wodę i przyglądał się dwóm obrazom wiszącym na ścianach. Jeden z nich był reprodukcją *Plaży w Pourville* Moneta, drugi zaś to kopia *Zamku w Alnwick* Turnera. Nagle przeniósł wzrok na zegar.

– Powiniennem już iść. – Wstał, ale nie zrobił nawet kroku. Zupełnie jakby na coś czekał.

– Dziękuję ci za pomoc. Z tobą poszło o wiele szybciej. – Też się podniosła.

Nie zatrzymywała Mikołaja, tylko stanęła przy drzwiach. Podszedł do niej. Był bardzo blisko, tak blisko, że w pewnym momencie zaczęło jej to przeszkadzać. Cofnęła się, ale z tyłu napotkała ścianę. Nie miała zbyt dużo miejsca na unik.

– Jeszcze raz wielkie dzięki. Jestem ci bardzo wdzięczna – powiedziała szybko, nie zastanawiając się nawet nad słowami.

– Jesteś wdzięczna?

– Przecież mówię...

– I pewno chciałabyś mi się jakoś zrewanżować.

Poczerwieniała, ale wciąż nie miała dostatecznie dużo miejsca, żeby oddalić się od niego. Stał w drzwiach, zagradzając jej drogę. Popatrzyła na niego z żalem.

– Nie wiem, jak mogłabym to zrobić. – W końcu uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Wciąż miał wesoły wyraz twarzy.

– Ale ja wiem... Możesz umówić się ze mną na jutro – powiedział bez skrępowania. – Mój znajomy organizuje wystawę fotograficzną. Byłoby mi bardzo miło, gdybyś poszła tam ze mną.

– Czemu nie... – Dawno nigdzie nie wychodziła, więc pomysł od razu przypadł jej do gustu.

– Wernisaż zaczyna się o dziewiętnastej na Szewskiej. To właściwie rzut beretem od twojego antykwariatu. Jeśli będziesz chciała pójść trochę później, to nie ma sprawy.

– Powinnam się wyrobić.

– Cieszę się. – Mikołaj wyszedł do holu, robiąc miejsce Emilii.

Uśmiechnęła się do niego i odprowadziła go do wyjścia. Kiedy schodził ze schodów, liczyła jego kroki. Doszła do dwunastu, uniosła głowę i z oddali popatrzyła na Mikołaja.

– Przyjdę po ciebie przed dziewiętnastą, może być?

– Tak, może być.

– To w takim razie do jutra.

– Do jutra.

Odwrócił się i odszedł do samochodu. Wyraźnie słyszała szelest liści, które wymykały się spod jego butów. Kiedy stanął przy aucie, jeszcze się odwrócił i pomachał w jej kierunku. Chwilę potem odjechał, a Emilia wróciła do domu, do swojego nowego domu.

Tego dnia poszła jeszcze do antykwariatu, żeby zabrać rower. Musiała też zajrzeć na Długą, żeby wziąć kilka drobiazgów. Na myśl o ewentualnym spotkaniu z Lili tylko się wzdrygnęła, tak bardzo nie miała na nie ochoty. Kiedy znalazła się na Długiej, minęła swoją kamienicę i udała się dalej, na pobliski bazar. Potem od razu pojechała do domu Franciszka. „Miło jest wracać do siebie” – pomyślała, zapalając lampę.

Gdy Franciszek przekroczył próg, wydawał się zadowolony. Skórzane, starannie wypolerowane buty zamienił na filcowe kapcie. Rozglądnął się jeszcze i wyłączył światło w korytarzu. W odróżnieniu od Lili był bardzo oszczędny. Urodził się i dorastał w trudnych warunkach. Był wdzięczny losowi, że ma dach nad głową i gotówkę na najpotrzebniejsze sprawunki. Sam wydawał niewiele. Oszczędności, które gromadził przez lata, przeznaczył dla Emilii, ale o tym nie wiedziała. Była jego jedyną rodziną. Jedynym człowiekiem, którego kochał, oczywiście poza Zofią.

Usłyszał brzęk przekładanych naczyń i odgłos gotującej się wody. Z kuchni wyszła jego nowa lokatorka.

– Niech pan usiądzie, przygotuję kolację. Po drodze zrobiłam zakupy na Kleparzu.

Uśmiechnął się. W tym domu od tak dawna brakowało kobiecej ręki.

– Chętnie zjem z tobą kolację. Długo czekałem na tę chwilę.

– Zrobię kanapki, a na jutro przygotuję zupę z dyni. – Włożyła rękę do siatki i wyjęła z niej duży bochenek chleba.

– O, widzę, że byłeś w mojej ulubionej piekarni.

– Jak pan to poznał? Pieczywo jak pieczywo...

– Pachnie tak samo jak wtedy, kiedy byłem dzieckiem. Tę piekarnię prowadził przyjaciel mojego ojca. Teraz wypiekaniem zajmuje się chyba jego wnuk, ale zapach i smak chleba wciąż jest taki sam.

Uśmiechnęła się do Franciszka. Tak bardzo brakowało jej Zofii. Oboje czuli się bez niej samotni. W tej kuchni szczególnie. Wśród mebli, których z czułością dotykała jej ręka, wspomnienie ukochanej żony Franciszka stało się bardzo wyraźne, zwłaszcza dla niego. Popatrzył na dziewczynę i nagle posmutniał.

– Niedługo Wszystkich Świętych. Kupisz na grób Zosi wiązankę czerwonych róż?

– Nie musi mi pan o tym przypominać. Bukiet już zamówiony. Zosia dostanie swoje ulubione kwiaty.

– To dobrze...

Doskonale wiedziała, że Franciszek spytał ją o te róże bez konkretnego powodu. Jak mogłaby zapomnieć o ulubionych kwiatach Zofii? Wyglądało na to, że chciał porozmawiać o żonie, ale nie wiedział, jak zacząć. Emilia podeszła do niego, kładąc na stole talerz z kanapkami.

– Mnie też jej brakuje. – Odważyła się dotknąć ramienia Franciszka.

Czekał na ten gest. Złapał jej rękę jak żebrak czekający na odrobinę zainteresowania.

– Usiądź obok mnie. – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Nieraz się zastanawiam, dlaczego odeszła tak wcześnie...

– Nie wiem – powiedziała, czując skrępowanie. Franciszek wpatrywał się w nią tak intensywnie, że nie mogła się wycofać, choć najchętniej wcale nie poruszałyby tego tematu.

Śmierć Zofii była nagła i dla wszystkich bardzo bolesna. Zmarła na zawał. Mimo że od młodych lat chorowała na serce, nic nie wskazywało, że ta wspaniała kobieta „osieroci” dwójkę ludzi, którzy kochali ją nad życie.

– Dlaczego jej nie uratowali? Może przyjechali zbyt późno?

– Panie Franciszku, to stało się w nocy. Dobrze pan wie, że nie dało się już nic zrobić. – Starła się odsunąć od Franciszka, ale ten mocno przytrzymał jej rękę.

Najgorszy był pierwszy rok po jej odejściu. Starła się mu pomóc, jak tylko mogła. Ze wszystkich sił udawał twardego, ale nie zdało się to na nic... Jego oczy, które jeszcze częściej chował za szklami okularów, przepelniał ból. Przez pierwsze cztery miesiące żałoby chodził jak obłąkany. Wkładał przypadkowe ubrania, nie odwiedzał fryzjera, a książki kładł obok siebie na biurku tylko z przyzwyczajenia, bo wcale do nich nie zaglądał. Kiedy na moment zdejmował okulary, Emilia musiała w pośpiechu przecierać ich szkła, bo były tak brudne, że nie można było nic przez nie zobaczyć. Franciszkowi było to na rękę, bo świat bez ukochanej żony był zupełnie innym miejscem. Emilia stała przy nim jak wierny stróż, ale on odrzucał każdy przejaw jej opiekuńczości. Wtedy na poważnie brała pod uwagę przeprowadzkę, ale on na przekór wcześniejszym namowom nie tylko coraz bardziej się od niej oddalał, ale też świadomie ją odtrącał.

Teraz odsunął się na krzesło, zwalnając z uścisku jej dłoń. Skorzystała z okazji i wstała, by zaparzyć herbatę. Podała Franciszkowi kubek w szkocką kratę, taki sam jak w antykwariacie, z dużym uszkiem. Nie pytając o nic, napełniła naczynie jego ulubioną herbatą earl grey i posłodziła.

– Smacznego – dodała, widząc, że Franciszek spogląda na talerz.

Usiadła obok i położyła na talerzyku przygotowane wcześniej kanapki. Popatrzyła na niego w taki sposób, by nie zorientował się, że go obserwuje. Niby zerknęła, ale co chwilę odwracała głowę w kierunku kuchennych drzwi. Nagle zrobiło się jej go żal. Wydawał się samotny i nieporadny. W antykwariacie, w otoczeniu książek, sprawiał zupełnie inne wrażenie. Dopiero ta kuchnia go

obnażała.

Wolno przeżuwał kolejne kęsy. Nie była pewna, czy kolacja mu smakowała, choć wybrała jego ulubione produkty: szynkę, masło osełkowe i pomidory malinowe od zaprzyjaźnionej gospodyni.

– Cieszę się, że jesteś. Tak, wiem, że mówiłem ci to już dzisiaj, ale... – Przerwał i długo spoglądał na nią bez słowa.

Nie była pewna, czy jeszcze chce jej coś przekazać. Znow przesunął się na krześle.

– Teraz jest ten szczególny czas, dlatego cieszę się, że jesteś obok. Nie mówiłem ci tego wcześniej, ale we Wszystkich Świętych będziemy mieli gościa. – Wstał, pozbierał ze stołu naczynia i odniósł je do zlewu. Kiedy już wydawało się, że zabierze się do zmywania, on nagle zakręcił kurek i znow usiadł.

– Gościa?

Nie domyślała się, o kogo może chodzić, nigdy nie poznała żadnych znajomych Franciszka i Zofii. Oboje nie mieli rodziny. Mama Franciszka zginęła pod koniec okupacji, gdy był jeszcze małym chłopcem. Ojciec, historyk amator i bibliofil, cierpiał na alzheimera i wcześniej wycofał się z życia zawodowego. Zmarł lata temu. Rodzice Zofii umarli młodo. Podobno w Warszawie żyły jeszcze jakieś jej kuzynki, teraz sędziwe staruszki, z którymi nigdy nie utrzymywała kontaktu.

– Kto to taki?

– To Sara, przyjaciółka Zosi.

– Sara?

– Nie znasz jej. Ja właściwie też niezbyt wiele o niej wiem. Zosię i Sarę łączyła dziwna przyjaźń. Kiedy się poznały w okupowanym Krakowie, obie były kilkuletnimi dziewczynkami. Po 1945 roku Sara wyjechała do Stanów. Od tamtej pory spotkały się może ze trzy razy. Widziałem ją tylko przelotem. Znamy się ze zdjęć. Sara niechętnie wraca do Polski.

– Dlaczego?

– Jest Żydówką. Jej ojciec zginął w obozie w Oświęcimiu, a matka w krakowskim getcie. Wiem tylko tyle, ile powiedziała mi Zosia. A niestety mówiła o Sarze nieczęsto i niewiele. Brak spotkań nadrabiała listami. Nie było dnia, żeby Zosia nie pisała do przyjaciółki. Przynajmniej raz w tygodniu wysyłała do Sary list na kilku kartkach. Chyba wiedziały o sobie wszystko.

– Chyba?

– Szanowałem to, że Zosia nie chce rozmawiać o Sarze. Łączyła je wyjątkowa, niezrozumiała dla mnie relacja.

– Taka jak mnie i Igę? – wymówiła te słowa wbrew sobie.

Franciszek wykrzywił usta, opuścił lekko okulary, złożył dłonie w pięści i potarł nimi oczy.

– Czy w końcu do ciebie dotrze, że Iga nie jest i nigdy nie była twoją

przyjaciółką?!

– Znamy się od dziecka – wtrąciła. Nie wiedzieć czemu, chciała obronić Igę przed surową oceną.

– Otwórz w końcu oczy...

Znów wstał i podszedł do zlewu. Zabrał się do zmywania naczyń. Emilia też się podniosła i podeszła do niego.

– Niech pan to zostawi, ja się tym zajmę.

– Wiesz dobrze, że bardzo lubię zmywać. Poza tym ty przygotowałaś kolację, nie chcę cię wykorzystywać.

– W takim razie pójdę wypakować walizki. Zaniósłam je do pokoju Zosi – odezwała się niepewnie.

Niby było wiadomo, że ma zająć pokój po dawnej opiekunce, przecież rozmawiali o tym już wielokrotnie. Kiedy jednak dzisiaj stanęła w tym domu, zdecydowana, by tu zamieszkać, poczuła się jak intruz. Kochała to miejsce, tak jak ludzi, którzy tu mieszkali, jednak te znajome kąty widziane oczyma ich mieszkańców wyglądały i pachniały inaczej niż dawniej, gdy przychodziła tutaj jako gość.

– Myślałem, że już się rozpakowałaś.

– Jeszcze nie wyłożyłam ubrań. Zaniósłam tylko walizki do pokoju Zosi.

– Teraz to twój pokój.

– Wiem, tylko muszę się z tym oswoić.

– Półki w szafie są puste, oddałam ubrania Zosi na zbiórkę PCK. W szafce przy łóżku jest kilka jej przedmiotów. Zosia na pewno byłaby szczęśliwa, gdyby wiedziała, że to właśnie ty zajmiesz jej pokój. Wiesz dobrze, jak bardzo tego pragnęła.

– Wiem – odpowiedziała i cofnęła się do drzwi. – Rzeczywiście to dobry moment, żebym się w końcu wypakowała. Robi się późno.

Rozmowa w naturalny sposób się urwała, choć Emilia z wielką chęcią posłuchałaby jeszcze opowieści o Zosi. I nawet jeśli Franciszek twierdził, że o Sarze miał niewiele informacji, była pewna, że mogła się od niego dowiedzieć wielu interesujących rzeczy. W jej myślach za to znowu pojawiła się Iga. Wcisnęła się w nie nagle, jak uwierająca drzazga, którą trudno wyjąć. Od wczorajszego wieczoru nie udało się im spotkać. Iga nie pojawiła się w jej mieszkaniu. Nie odebrała także telefonu. Stchórzyła i uciekła. Emilia była na nią wściekła. Uważała jednak, że zasługuje na prawdę. Bo czym innym było dowiedzieć się o intrydze z gazety, a czym innym usłyszeć te słowa z jej ust. Może wtedy mogłaby ją zrozumieć. A tak miała w sobie po stokroć więcej niepewności niż wczoraj, kiedy rozbieganym wzrokiem błędziła po kolejnych wyrazach na czternastej stronie „Głosu”.

W pokoju dawnej opiekunki znała każdy detal. Wciąż pachniało w nim tak

jak wtedy, gdy obie siadywały na jednoosobowym łóżku przy ścianie, nakrytym wielobarwnym kocem, a Zosia czesała jej włosy. Wcześniejsze wątpliwości rozwiały się w jej głowie, gdy tylko otworzyła drzwi starej jesionowej szafy i włożyła do niej swoje ubrania. Czuła, że jest u siebie. Przez uchylone drzwi słyszała Franciszka. Szurał nogami, pomału przesuwał się po dębowym parkiecie. W tym wielkim domu był innym człowiekiem. Poruszał się wolniej i patrzył z większą uwagą, zupełnie jakby w tym miejscu obowiązywał inny czas, a przedmioty miały jakieś szczególne znaczenie. W pokoju Zosi nie było ich wiele. Tylko wąskie łóżko, dwuskrzydłowa szafa z delikatnym, ledwo widocznym kwiatowym wzorem na brzegach lśniących drzwi, mała szafka przy łóżku, niewielki kwadratowy stoliczek pod oknem, z dosuniętym do niego krzesłem z wygodnym, wyścielonym aksamitną materią siedziskiem, haftowanym w białe lilie, a obok niego nietypowa, bo bardzo wąska, rattanowa komoda. Kiedyś stał na niej gramofon, dopóki nie odmówił posłuszeństwa. Zosia wyniosła go na strych. W jednej z szuflad do dzisiaj znajdowało się kilka płyt: Irena Jarocka, Anna Jantar, Piotr Szczepanik. Emilia miała podobny gust. Iga nieraz pukała się w głowę, dziwiąc się, jak przyjaciółka może słuchać takich starych szlagierów. Lecz często za jej namową rezygnowała z wypadu do modnego klubu i wybierały się do La Rose, małego lokalu na Stolarskiej, gdzie cicho pobrzmiwały ulubione stare utwory. Na ścianach w kolorze różu indyjskiego wisały barwne mandale w ramkach, a na półkach tuż pod nimi leżały płyty winylowe. Na drewnianych okrągłych stolikach zwykle paliły się małe świece, wetknięte w szklane osłonki, przypominające rozchylone płatki róż. Kwiatowy aromat z przyjemną nutą cedru unosił się w przytulnym wnętrzu.

To Zofia nauczyła swoją podopieczną słuchać muzyki całą sobą. Od najmłodszych lat zabierała ją do krakowskiej filharmonii. Dziewczynka siedziała grzecznie na fotelu i tylko co jakiś czas popatrywała na opiekunkę, porównując się do niej i sprawdzając, czy zachowuje się odpowiednio.

Teraz kucnęła, żeby zamknąć walizkę. Wtedy z bocznej kieszeni wysunęła się siatka zabrana z Modrzewiowej. Nieśmiało wychylał się z niej brzeg brązowego swetra. Zamiast upchnąć głębiej, wyjęła go i rozłożyła przed sobą. Znowu poczuła zapach Szymona i chwili, kiedy byli razem. Smak nieoczekiwanego pocałunku. Poglądziła miękkim rękawem policzki. Wstydziła się swojego zachowania i coraz boleśniej uświadamiała sobie, jak bardzo tęskni. Jeszcze żaden mężczyzna nie całował jej w taki sposób. Zapamiętała każdą sekundę tego pocałunku. Wciąż czuła go na ustach, na policzkach, nawet na włosach.

Nagle tuż za drzwiami usłyszała znajome szuranie. W pośpiechu wrzuciła sweter do szafy i zatrzasnęła drzwi.

– O, widzę, że już się rozpakowałaś. – powiedział Franciszek, zaglądając przez szparę do pokoju.

– Tak – odpowiedziała i wyprostowała się, patrząc wprost na niego. Czuła

się tak, jakby nagle została wezwana do odpowiedzi.

– Nie wiem, czy mi się tylko wydaje, czy jesteś zdenerwowana? – Franciszek wszedł głębiej, popychając drzwi. Stał naprzeciw niej.

– Tylko się panu wydaje. – Żeby zatuszować zmieszanie, sięgnęła po walizkę i włożyła ją za szafę.

– Dlaczego mi się nie pochwaliłaś? – Uśmiechnął się szeroko, a bruzdy wokół jego ust się wygładziły.

– Czym?

– Że jutro wybierasz się z Mikołajem na wystawę. Przed chwilą do mnie dzwonił.

– Czy to takie ważne?

– Ważne. Bardzo się cieszę, że się spotkacie.

Zauważyła, że kiedy się uśmiechał, jego oczy, dotąd ukryte za grubymi szklami okularów, wydawały się większe i bardziej niebieskie.

– Mikołaj to inteligentny mężczyzna, macie ze sobą wiele wspólnego.

Podeszła do okna i otworzyła je. Silny zimny podmuch szarpnął firankę, która wplątała się w żeberka kaloryfera. Poprawiła ją i zamknęła okno. Przemilczała słowa Franciszka, mając nadzieję, że zmieni temat.

– Jutro możesz wyjść z antykwariatu wcześniej, żeby przygotować się na spotkanie.

– Nie ma takiej potrzeby – skwitowała i znów odwróciła wzrok.

Zadziało. Franciszek zdjął z nosa okulary, włożył rękę do kieszeni obszernego swetra i wyjął kawałek materiału, którym przecierał szkła. Już nie wspominał o grafiku, którego, jak się okazało, darzył szacunkiem. Często, kiedy kończył jakiś temat, na moment zdejmował okulary i mimochodem je czyścił. Czasami sięgał po tabakę, którą zwykle nosił w drugiej kieszeni, ale odkąd przestał jej używać, raczej zadowalał się podziwianiem puzderka, w którym była schowana.

Doskonale znała charakter Franciszka. Jego konserwatywne zachowanie nigdy jej nie przeszkadzało. Teraz czuła w sobie nieznaną dotychczas bunt. Coraz bardziej nie mogła znieść tego, że Franciszek tak interesuje się Mikołajem, że darzy go życzliwością. W gruncie rzeczy przystojny grafik był atrakcyjnym mężczyzną. Miał barwną osobowość i nie dało się go nie lubić. Przy pierwszym spotkaniu na pewno oceniła go zbyt surowo. Mimo kilku różnic mieli jednak ze sobą wiele wspólnego. Ale cienka nić dopiero odkrytej sympatii to za mało, by w przyszłości mogło ich połączyć coś więcej. Emilia to wiedziała: Mikołaj po prostu nie był w jej typie.

Następnego dnia drogę do antykwariatu pokonała razem z Franciszkiem. Odniosła wrażenie, że on nie był z tego powodu zadowolony. Zresztą jej też brakowało porannej jazdy rowerem, kiedy twarz szczypał powiew zimnego powietrza. Trudno było jej dostosować szybki krok do powolnego tempa

Franciszka. Wciąż wysuwała się przed niego, a potem musiała przystanąć, by mogli się zrównać. On odwracał głowę, spoglądając na znajome budynki, które mijał codziennie od ponad sześćdziesięciu lat, a wzrok Emilii uciekał ku znajomym drzewom i ławkom w parku.

Wspólny poranek w antykwariacie też nie był taki jak zazwyczaj. Ulubioną kawę wypili już w domu, ale nie smakowała dobrze. Ten dzień był inny. Czuła to przez swoją delikatną, kobiecą skórę. Tego ranka w ogóle niewiele ze sobą rozmawiali. Koło południa Franciszek zniknął gdzieś na dwie godziny, a kiedy wrócił, też był małomówny.

Od rana klientów było niewiele. Usypiająca atmosfera szarogęsiła się dzisiaj po całym antykwariacie i wyglądało na to, że jest najwierniejszym tutaj gościem. W tle tylko cicho pobrzmiwała *Historyjka* Ani Dąbrowskiej. Gdyby nie muzyka, o wiele trudniej byłoby jej przetrwać ten dzień.

– Powinnaś się już zbierać. Lada moment będzie ciemno. – Około piętnastej Franciszek podszedł do biurka, przy którym siedziała, i w końcu postanowił przełamać ciszę.

Pomału uniosła głowę znad *Domu kobiet* Nałkowskiej.

– Panie Franciszku, przyszedliśmy razem, więc razem wyjdziemy. – Zamknęła książkę i odłożyła ją.

– Powinnaś mieć więcej czasu, żeby przygotować się do spotkania z Mikołajem.

– Nie potrzebuję na to więcej czasu. Umówiliśmy się przed dziewiętnastą, zdążę się przebrać. Zresztą nie widzę potrzeby, żeby jakoś szczególnie się szykować.

– Nie musisz wracać do domu ze mną. – Zakasłał i złapał za okulary. Nie zdjął ich jednak, nabrała więc pewności, że będzie kontynuował temat.

Popatrzyła na niego uważniej. Był zmieszany. Kiedy zdjął rękę z okularów, od razu włożył ją do kieszeni swetra, który własnoręcznie zrobiła dla niego Zofia. Kardigan wykonany z ciemnozielonej wełny na grubych drutach, miał dość luźny splot. Z jednej kieszeni przebijał kształt pudełka z tabaką.

– Jak już powiedziałem, nie musisz...

Wstała, pochyliła się i oparła rękę na biurku.

– Panie Franciszku... – Na moment zamilkła. Wciąż nie była pewna, czy dobrze odczytała jego zamiary. Domyślała się, co chciał jej powiedzieć, i wiedziała, że trudno było mu to przekazać. – Panie Franciszku, to, że mieszkamy pod wspólnym dachem i jesteśmy... jakby rodziną, wcale nie znaczy, że musimy zmieniać nasze przyzwyczajenia. Będzie lepiej, jak każde z nas zachowa niezależność. – Uśmiechnęła się na zachętę.

– Czytasz w moich myślach. Doskonale mnie znasz. Byłabyś świetnym psychologiem. – Antykwariusz się zawstydził.

– Nie trzeba być psychologiem, żeby zauważać takie oczywiste sprawy. Przecież znamy się jak łyse konie, prawda? – Popatrzyła na niego z przekorą, a on przytaknął. – Będzie lepiej... przynajmniej na razie, jak będziemy chodzić do pracy osobno. Tęsknię za moim rowerem.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak – odparła nieco głośniejszym głosem. – Aha, i jeszcze jedno. – Udała, że się zastanawia. – Od jutra kawę pijemy też w antykwariacie!

– To znakomity pomysł! Kochana, w moim wieku zmieniać przyzwyczajenia to jak przesadzać stare drzewo. Nigdy nie wiadomo, czy zapuści korzenie w nowej ziemi. Skoro wszystko sobie wyjaśniliśmy, to możesz się zbierać.

– Mówiłam już, że... – Popatrzyła na niego z rezerwą, domyślała się, że i tak z nim nie wygra. Jeśli uparł się w jakiejś kwestii, to nic nie było w stanie na niego wpłynąć. Także i tym razem. Piętnaście minut później zamykała drzwi antykwariatu i żegnała się z Franciszkiem.

– Włóż tę wełnianą sukienkę Zosi w niebieskim kolorze. Pięknie w niej wyglądasz – rzucił w jej stronę na pożegnanie zamiast „do widzenia”.

Uśmiechnęła się z przymusem, zatraskując za sobą drzwi. Sukienka, którą dostała od Zosi, była jedną z jej ulubionych. Wyglądała w niej niezwykle kobieco. Tylko że nie widziała ani jednego konkretnego powodu, by tak się prezentować. Trzymała tę sukienkę na szczególne okazje, a spotkanie z Mikołajem do takich nie należało. Znów poczuła rozdrażnienie. „Franciszek nie powinien mi mówić, co mam na siebie włożyć” – rozmyślała, przemykając szarzejącą alejką Plant. „Czy teraz to już zawsze będzie tak wyglądało?” Z każdą kolejną myślą przyspieszała kroku, gdy zimne powietrze napastliwie dotykało jej policzków.

Mikołaj zjawił się tuż po osiemnastej. Przyszedł w towarzystwie Franciszka. Emilia nawet nie zdążyła się przebrać. Kiedy wróciła z antykwariatu, rozbolała ją głowa, więc położyła się na chwilę. Ledwo wstała, usłyszała w holu znajome głosy. Dla pewności wychyliła się z pokoju. Mimo że panował w nim półmrok, obaj mężczyźni od razu ją zauważyli.

– Jestem trochę przed czasem.

– Zauważyłam.

– Zjawiłem się wcześniej w antykwariacie, a pan Franciszek był na tyle uprzejmy, że zaproponował mi wspólną przechadzkę. Trochę sobie pogawędziliśmy po drodze. – Podeszedł do drzwi, zza których wyglądała Emilia.

– Aha. – Popatrzyła z zazdrością na obu mężczyzn, którzy dogadywali się aż nazbyt dobrze. Wyglądało na to, że tylko w jej towarzystwie podczas porannej wędrownki Franciszek nie ma nic do powiedzenia.

– Zaczekam z panem Franciszkiem, zaproponował mi twoją pyszną zupę.

– Tak, rzeczywiście – przytaknęła z kwaśną miną. – To ja się przebiorę. – Cofnęła się, częściowo chowając za futryną drzwi.

Franciszek wszedł do kuchni i zapalił światło. Po chwili w domu zapachniało słodką dynią.

Emilia otworzyła szafę i bez zastanowienia wyjęła sukienkę, którą wcześniej zasugerował jej Franciszek. Sukienka Zofii leżała na niej idealnie. Miękka tkanina gładko opinała biodra i luźno spływała, zatrzymując się tuż przed kolanem. Gładkie rękawy, ozdobione przy brzegach ręcznym ścięciem łańcuszkowym, kończyły się za łokciem. Łódkowy dekolt uwydatniał jej smukłą szyję.

Okręciła się w kółko i zerknęła do lustra zawieszzonego na ścianie przy szafie. Wzięła szczotkę i rozczesała włosy. Na koniec wpięła ulubioną spinkę. Gdy po kilku minutach stanęła w drzwiach kuchennych, obaj mężczyźni spojrzeli na nią z zainteresowaniem.

– Pięknie wyglądasz – powiedział Mikołaj.

– Dziękuję – odpowiedziała, kokieteryjnie poprawiając włosy, w taki sam sposób jak Zofia.

Zauważyła, że Franciszek miał zadowoloną minę. Gładził ręką kawałek stołu, jakby chciał go rozgrzać, i na nią spoglądał.

Mikołaj wstał i dosunął krzesło, patrząc na Franciszka.

– To my już pójdziemy – powiedział to tak, jakby chciał się usprawiedliwić.

– Na pewno będzie jeszcze niejedna okazja do rozmowy, wrócimy do tematu. – Franciszek uśmiechnął się do niego.

Od razu spostrzegła, że do niej uśmiechał się inaczej, bardziej pobłaźliwie.

– Istotnie, powinniście już iść. – Franciszek zatrzymał dłużej wzrok na tarczy zegara.

Po kilku minutach siedziała już w samochodzie Mikołaja. Jechali zatłoczoną ulicą Dietla. Samochody posuwały się w żółwym tempie, a ona odniosła wrażenie, że utknęła w aucie na zawsze. Jaskrawe światła miasta drażniły, próbując dopasować się do ciemności jesiennej ulicy. Gdy spojrzała na Mikołaja, zauważyła, że co chwilę mruży oczy. Mało ze sobą rozmawiali, wystarczył im bełkot włączonego radia. Mikołaj starał się znaleźć stację muzyczną, ale wciąż natrafiał tylko na bloki reklamowe. Po kilku minutach jazdy miała głowę po brzegi wypełnioną „najlepszym” proszkiem do prania i była coraz bardziej pewna, że raczej nigdy po niego nie sięgnie. Aż mdliło ją od wyimaginowanego zapachu, który mimo że niechciany, natrętnie poruszał jej wyobraźnię.

Kiedy w końcu się zatrzymali i wyszli z samochodu, wydawało się, że lada moment zacznie padać. Powietrze było gęste od nadmiaru wilgoci. Mikołaj zapobiegliwie sięgnął do bagażnika po parasol. Na deszcz nie musieli długo czekać. Pierwsze krople spadły, zanim doszli do najbliższego skrzyżowania, na którym zatrzymało ich czerwone światło. Mikołaj rozłożył parasol, starając się osłonić swoją towarzyszkę.

– Nie trzeba. – Zobaczyła, że przyjął na siebie strugi deszczu. – Zmieścimy

się oboje – powiedziała nieśmiało, bardziej z grzeczności.

Mikołaj wykorzystał sytuację i stanął bardzo blisko niej. Objął ją w pasie. Nawet nie wiedziała, jak zareagować, tak była skrępowana jego bliskością.

– Przepraszam, że zaparkowałem tak daleko od centrum, ale wiesz, że w Krakowie znaleźć wolne miejsce to cud. – Jego głos zanikał, przytłumiony ulicznym gwarem i odgłosem samochodów rozchlapujących wodę.

– Wiem – odpowiedziała, nie patrząc na niego.

– To już niedaleko. Zresztą, co ja tu... Przecież doskonale znasz Rynek.

Chcąc przejść na drugą stronę jezdni, przystanęli na chodniku. Mikołaj odsunął się od Emilii, ale znów złapał ją za rękę powyżej łokcia. Chciała być już na miejscu. Czuła, jakby do jej ręki doczepiony był spory ciężar. Zerknęła na Mikołaja. Był raczej szczupły. Wysoki i szczupły. Typ, który mógł się podobać kobietom.

– Jeszcze jeden zakręt...

Nie odezwała się, tylko tak jak on przyśpieszyła kroku. Wiedziała, gdzie się znajdowali. Na Szewskiej mieścił się ulubiony salon fryzjerski Zofii. Często tam zachodziły. W Krakowie, a zwłaszcza w okolicy Rynku, większość miejsc kojarzyła się jej z dzieciństwem. Zosia pokazała jej miasto od najładniejszej strony. Do tej pory pamiętała niemal wszystkie słowa opiekunki, którymi ta starała się opisać wiele miejskich zakątków. Robiła to pięknie i umiejętnie. Emilia była pewna, że tylko Zosia to potrafiła. Umiała przykuć jej dziecięcą uwagę. Gdy teraz widziała miejsca, do których kiedyś przychodziły, była pewna, że pełne czułości słowa Zosi osiadły na fasadach starych kamienic i pozostaną na nich już na zawsze. Że nie zmyje ich ulewny deszcz ani nie zmiecie wiatr, który wciskał się w najwęższe szczeliny budynków. Gdzie okiem sięgnąć, wszędzie czaiły się ciekawe historie, legendy i barwne wspomnienia.

Wyniosły Wawel z tajemniczym dzwonem Zygmunta był jej szczególnie bliski. Do tej pory pamiętała strach i emocje, które wywołała w niej opowieść Zosi o smoku wawelskim, a ciemna Smocza Jama wciąż budziła w niej dziwne uczucia, zupełnie jak wtedy, gdy miała zaledwie kilka lat. Z rozpalonymi policzkami przechodziła obok pałacu Krzysztofory, stojącego u zbiegu Szczępańskiej i Rynku. Zosia opowiadała jej, że pod pałacem skrywa się labirynt piwnic i korytarzy. A niektóre z nich podobno ciągną się pod całym Rynkiem, aż do kościoła Mariackiego. Mawiano, że czarnoksiężnik Krzysztof przechowywał w lochach złoto, którego strzegł diabeł. Kochała też gołębice na krakowskim Rynku. Chciała wierzyć, że są zaczarowane, jak w legendzie. „To drużyna księcia Henryka IV Prawego” – mówiła Zosia z poważną miną, a małej Emilce nawet nie przeszło przez myśl, żeby w to wątpić.

– Jesteśmy! – Mikołaj zatrzymał się przed bramą jednej z kamienic w połowie Szewskiej. – To tutaj.

Gdy weszli do bramy, złożył parasol i otrzepał go z wody. Zaraz potem udali się w dół wysokimi kamiennymi schodami. W piwnicznym pomieszczeniu panował lekki półmrok. Widać było, że bywał tu już wcześniej, gdyż doskonale orientował się w rozkładzie sal. Emilia odwiesiła płaszcz. Mikołaj też się rozebrał. Z miłym zaskoczeniem zauważyła, że w końcu pozbył się swojej sfatygowanej skórzanej kurtki, a jego czarne dżinsy pozbawione były nawet najmniejszego śladu wytarcia. Jasna koszula z ciekawym wzorem też nieźle się komponowała z popielatą marynarką o sportowym kroju.

– I jak? – powiedział z uśmiechem.

Nie wiedziała, czy chodzi mu o miejsce, w którym się znajdowali, czy o jego wygląd. Speszyla się, ale on umiejętnie odwrócił jej uwagę. Do pomieszczenia, które służyło za szatnię, weszła grupka jego znajomych. Po krótkiej prezentacji wszyscy przeszli do głównej sali.

Wystawa fotograficzna *Witamy w starym Krakowie* od razu przyciągnęła uwagę Emilii. Zdjęcia oprawione w aluminiowe ramy zajmowały niemal wszystkie ściany trzech dużych, połączonych ze sobą sal. W ostatniej znajdowała się głęboka wnęka z kiloma stolikami przy których można było wypić lampkę wina albo filiżankę kawy. Mikołaj nie odstępował swojej towarzyszki nawet na krok. Zainteresowanie dziewczyny wystawą było jednak tak duże, że nie zwracała na niego uwagi. Starał się prowadzić rozmowę, co jakiś czas zadając jej pytania. Zbywała go szybko i zatapiała wzrok w kolejnej czarno-białej fotografii. Większość miejsc przedstawionych na zdjęciach znała doskonale. Floriańska z 1901 roku, gdy jeszcze jeździły po niej tramwaje, most Piłsudskiego w 1941 roku widziany z nieregularnego brzegu Wisły i ten sam most po wysadzeniu przez wojska niemieckie w 1945 roku. Katedra wawelska w czasie restauracji na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, powódź w Krakowie w 1925 roku, kiedy zbudowano prowizoryczne kładki na Powiślu. Pompa benzynowa na Rynku w latach trzydziestych, Ratusz wraz z osiemnastowiecznym neogotyckim odwachem, zburzonym w 1946 roku, i Sukiennice przed przebudową w 1875 roku. Widziała je w książkach i rodzinnych albumach Zofii. Potrafiła z zapalem wpatrywać się w nie, a w jej głowie pęczniały świeże pomysły.

Teraz też starała się znaleźć jakiś detal, który by pobudził jej wyobraźnię. To nie było takie proste. Od dawna nie trzymała w ręku pióra i nie napisała nawet kilku zdań. Brakowało jej tego. Nowy brulion wciąż leżał pusty, z niezapisanymi stronami, niczym bezludna wyspa bez śladów stóp ludzi, którzy mogliby na niej zamieszkać. Wciąż myślała o swojej książce, która niebawem miała ujrzeć światło dzienne, dlatego nie potrafiła napisać nic nowego. Tylko że teraz to już nie jej książka.

– Emilko, chciałbym cię poznać z moim znajomym, autorem tej wystawy – Mikołaj odezwał się głośno, a kiedy nie zareagowała, złapał ją za ramię.

Zadziałało.

Z wyrazem zdezorientowania na twarzy oderwała wzrok od fotografii przedstawiającej kościół Mariacki od strony Sukiennic. Przez chwilę zdawało się jej, że ma halucynacje. Wyprostowała się i uniosła wyżej głowę, wpatrując się w stojącego przed nią mężczyznę.

– Emilia? Co za spotkanie! – Grześ spontanicznie chwycił ją za rękę.

Na moment odwróciła się, starając się wzrokiem odnaleźć Lili. Bo skoro autorem wystawy był Grześ, to obok powinna być jej matka. Nadal próbowała sobie to wszystko poukładać. Kiedy ostatnio widziała Grzesia w swoim mieszkaniu na Długiej, prezentował się trochę inaczej. Teraz w ciemnych spodniach i marynarce wyglądał zdecydowanie bardziej interesująco niż w jaskrawych bokserkach.

– Wy się znacie? – spytał Mikołaj.

– Tak. – Grześ się uśmiechnął, ale za tym uśmiechem kryło się lekkie zażenowanie.

Mikołaj wpatrywał się w znajomego, czekając na dalsze słowa wyjaśnienia. Nie doczekał się, gdyż do rozmowy wtrąciła się Emilia.

– Gdzie jest Lili? – spytała, a zaraz potem znów się rozejrzała.

– Nie ma jej tutaj. – Teraz Grześ był już całkowicie zmieszany i nawet nie starał się tego ukryć. Odwrócił głowę w kierunku jednego ze stolików. – Posłuchaj, na wystawie są moi rodzice. Przyjechali z Kalwarii, więc... – Splótł dłonie i zaczął nerwowo przebierać palcami.

– Więc?

– Moi rodzice nie mogą się dowiedzieć, że jestem z twoją matką – powiedział w końcu. Zrobił to tak szybko, jakby obawiał się, że później zabraknie mu odwagi.

– Jesteś z matką Emilii?! – Mikołaj się oburzył.

– Cii... – Grześ popatrzył na przyjaciela w taki sposób, jakby kompletnie nie rozumiał jego zdziwienia.

– Wiem, że jest ode mnie sporo starsza, ale... – Nerwowo obejrzał się przez ramię w kierunku stolika, gdzie siedzieli jego rodzice.

– Nie chodzi o to, że jest starsza. Ona jest... – Mikołaj ugryzł się w język. Zerknął na Emilię. Wydawało mu się, że ona czeka na to, co jeszcze miał do powiedzenia. Lekko się uśmiechała, ale było widać, że spotkanie partnera matki ją zaskoczyło.

– Kocham Lili – Grześ uraczył ich nagłym wyznaniem. – Ona jest kobietą mojego życia, ale póki co rodzice nie mogą się o niej dowiedzieć.

– Myślisz, że długo uda ci się to utrzymać w tajemnicy? – Zaczęła bawić ją ta sytuacja.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Trzymałem tę wystawę w tajemnicy.

Naprawdę bardzo się starałem, żeby nikt na uczelni nie dowiedział się o niej. Ale... to jest chyba niemożliwe. – Obejrzał się za siebie. – Widziałem przynajmniej dwie osoby z naszego wydziału.

– Lili ci tego nie daruje. Ona uwielbia takie imprezy.

– Kochamy się, myślę, że mnie zrozumie – odezwał się naiwnie, starając się ukryć zmieszanie.

Zagryzła wargę, nie mogła tego słuchać. Zrobiło się jej żal stojącego przed nią mężczyzny. Wyglądało na to, że ulokował uczucia w niewłaściwej osobie, choć powinien wziąć odpowiedzialność za swoje wybory. Niby kochał Lili, a jednak w najmniej oczekiwanym momencie wyparł się jej.

– Serce nie sługa – powiedziała cicho przez zaciśnięte zęby.

Nagle do Mikołaja podeszło dwóch mężczyzn.

– Przepraszę was na moment. Zaraz wrócę.

– W porządku, nie ucieknę.

– Może napijesz się kawy? – zaproponował nieśmiało Grześ. – Porozmawiamy, trochę lepiej się poznamy. W końcu jestem z twoją matką.

– Tak, zdążyłam to już zauważyć. – Starala się rozładować atmosferę, widziała, że Grześ sposepniał.

Polubiła go, mimo że ta cała sytuacja z jej matką wydawała jej się niewłaściwa. Próba ukrycia Lili ze wstydu i obaw już z góry skazana była na niepowodzenie. Matka przyzwyczajona była do tego, żeby błyszczeć. Wyglądało na to, że Grześ nie do końca zdawał sobie z tego sprawę. Naprawdę miała ochotę z nim pogadać. Byle nie o Lili. Bała się, że mogłaby powiedzieć mu o niej rzeczy, których na pewno nie chciałby usłyszeć.

– Chętnie napiję się herbaty. – Popatrzyła w kierunku jaskrawo oświetlonej wnęki.

Wybrali stolik, przy którym siedzieli rodzice Grzesia. Nie mogło być inaczej. Już wcześniej zauważyła, że jego mama niemal nie spuszcza z niej wzroku. Gdy tylko się zbliżyli, od razu ich zawołała.

– Dzień dobry – Emilia przywitała się, ujmując dłoń starszej pani.

Mama Grzesia była niska i tęga. Ładnie się uśmiechała, sprawiając wrażenie ciepłej i otwartej. Ojciec, małomówny, po szybkim powitaniu wcisnął się w krzesło. Wydawał się niezainteresowany rozmową. Wszystko wskazywało na to, że to mama Grzesia grała w tej relacji pierwsze skrzypce. Przy niej również syn stał się milczący. Podczas rozmowy pani Helena bardzo dokładnie przyglądała się Emilii, ale robiła to z widoczną życzliwością. Gdy Grześ przyniósł herbatę i usiadł obok, jego mama rozpromieniła się jeszcze bardziej.

– Taka piękna wystawa – powiedziała z dumą, nie patrząc na zdjęcia, tylko przyglądając się synowi, jakby to właśnie on był najważniejszym obiektem w tym miejscu. – Mój kochany Grzesio od dziecka interesował się fotografią. Bo wie

pani...

– Proszę mi mówić po imieniu, jestem Emilia.

– Emilia to piękne imię... Mój syn to taki zdolny mężczyzna.

– Mamo, daj spokój!

– Oj, nie bądź taki skromny, kochanie. – Pani Helena mimochodem złapała go za rękę. – Od dziecka uczył się fotografować. Nie wiem, czy Grześ ci opowiadał, ale w naszym miasteczku mamy mały zakład fotograficzny. Wcześniej prowadził go ojciec Lucjana. – Pani Helena popatrzyła na męża, jakby miała zamiar oddać mu głos, ale nie doczekawszy się z jego strony reakcji, znów zaczęła mówić. – Myśleliśmy, że nasz Grzesio zostanie z nami, ale on niestety wybrał dla siebie inne życie. Wciąż nie mogę tego zrozumieć... – Zamilkła i popatrzyła na syna z wyrzutem.

Słuchając mamy Grzesia, Emilia pomału zaczynała rozumieć powody, dla których nie chciał przyprowadzić Lili na wystawę. Helena na pewno by jej nie zaakceptowała. Lili była niewiele młodsza...

– Mamo, mówiliśmy o tym tyle razy, naprawdę nie widzę powodu, by do tego wracać.

– Ty znowu swoje. Ja wiem, że samotny mężczyzna jest niezdolny do samodzielnego życia. Nie wierzę w te twoje zapewnienia, że dobrze sobie radzisz i jesteś bardzo szczęśliwy.

– Mamo, naprawdę świetnie sobie radzę. Poza tym od jakiegoś czasu nie jestem już sam.

– Nie jesteś sam? Co to znaczy? Czy ja o czymś nie wiem?! – pani Helena podniosła głos.

Atmosfera przy stole zrobiła się gorąca. Emilia przyglądała się wszystkiemu spokojnie, ale była coraz bardziej ciekawa, jak Grześ wybrnie z tej sytuacji i czy będzie miał odwagę przyznać się matce do związku z Lili.

– Chciałem wam powiedzieć o tym wcześniej, ale jakoś nie było okazji.

Zauważyła, jak Grześ nerwowo przebiera nogami. Nie potrafił zapanować nad tym odruchem.

– A teraz jest okazja?

Odniosła wrażenie, że matka Grzesia ma ochotę wstać, podejść do syna i jak najszybciej wyciągnąć z niego informację, którą ten pomału starał się jej przekazać.

– Tak, teraz okazja jest idealna. Mamo, tato... – Grześ uniósł głowę i nabrał powietrza w usta. – Emilia to moja dziewczyna. Spotykamy się od dwóch miesięcy. – Nagle pochylił się w jej stronę, szepcząc jej do ucha: – Błagam, nic nie mów. Później ci wszystko wyjaśnię.

Jej policzki poczerwieniały tak mocno, że w jaskrawym świetle kilku jarzeniówek wyglądały, jakby rozpalala je gorączka.

– Dlaczego nie powiedziałeś nam od razu?! – Pani Helena wstała i dopadła

do przyjaciółki syna. – Tak się cieszę, kochana. Wyglądasz mi na mądrą i porządną dziewczynę. Myślałam, że nasz Grzesio już zawsze będzie sam. Jakoś nigdy nie miał szczęścia do kobiet. A tutaj proszę... Synu, muszę ci przyznać rację. Rzeczywiście wyjazd do Krakowa wyszedł ci na dobre! – Jeszcze przez chwilę głaskała jej ramię i w końcu zdecydowała się usiąść. Przez chwilę przy stoliku panowała cisza. Mama Grzesia starała się ochłonać.

– Kiedy planujecie ślub? – wypaliła.

Tego Emilia nie wytrzymała. Nagle wstała. Grześ też podniósł się z krzesła.

– Ja bardzo przepraszam, ale... muszę wyjść – odezwała się cicho. Już miała odejść od stolika, ale Grześ przytrzymał jej rękę.

– Musimy to zaplanować wspólnie – pani Helena ciągnęła niezrażona. – Wy, młodzi, tylko chcielibyście, żeby było szybko i byle jak. Ale ja dopilnuję, żeby mój jedynak miał wesele jak się patrzy. – Uderzyła ręką w stół.

– Mamo, wrócimy do tego. Emilia przyszła tylko na chwilę i musi się już zbierać.

– Tak, rzeczywiście muszę już wyjść. Do widzenia. – Odeszła od stolika. Chciała uciec z tego miejsca jak najszybciej. Byle jak najdalej od Grzesia i jego rodziców.

– Zapraszam was w niedzielę na obiad. Rodzina musi koniecznie poznać twoją dziewczynę. – Pani Helena starała się ich jeszcze zatrzymać.

Emilia odwróciła się i z oddali pomachała. Miała wszystkiego dość. Była pewna jednego: kiedy zostanie z Grzesiem sam na sam, urządzi mu awanturę. Wszystko w niej wrzało. Gdy jednak znaleźli się na osobności, zamiast zacząć wrzeszczeć i robić piskliwe wyrzuty, jak to zwykle czyniła Lili, tylko spojrzała na niego i odezwała się dyplomatycznie:

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Przecież wiesz. Poznałaś moją matkę. Ona nigdy nie zaakceptuje Lili.

– W końcu będzie musiała. No, chyba że masz zamiar ożenić się ze mną...

– Przepraszam cię. Obiecuję, że to był tylko ten jeden jedyny raz. Nie będziesz musiała spotykać się więcej z moimi rodzicami.

– Jesteś pewien? Z tego, co mi wiadomo, to chyba mamy zaproszenie w niedzielę na rodzinny obiad. Co zamierzasz z tym zrobić, hm? Może powinieneś pojawić się tam z Lili?

Grześ spuścił głowę.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Wiesz, że tak nie można. Jeśli naprawdę kochasz Lili i chcesz z nią być, twoi rodzice muszą się o niej dowiedzieć.

– Masz rację. Powiem im o niej, tylko... jeszcze nie teraz. – Grześ lekko uniósł głowę. – Muszę wyczuć właściwy moment.

– No dobrze, rób sobie, co tam chcesz. Ale dla jasności... Ja nie będę grała

dłużej tej farsy.

– Powiedziałem ci, że to był tylko ten jeden raz. Teraz moja matka da mi spokój... Przynajmniej na jakiś czas.

– Jak się wymigasz od niedzielnego zaproszenia? Podobno twoja rodzina bardzo chce mnie poznać. – Kiedy ochłonęła, ta sytuacja zaczęła ją bawić.

– Moja w tym głowa. Wiem jedno, Lili na razie musi pozostać w ukryciu.

– Moja matka na pewno nie byłaby z tego powodu zadowolona. Ona uwielbia być w centrum uwagi.

– Nie powiesz jej?

– Nie powiem – potwierdziła. – Tylko pamiętaj, więcej...

– Obiecuję, że już więcej cię w to nie wciągnę.

– Trzymam za słowo! – Przepatrywała salę, starając się znaleźć Mikołaja.

– Przepraszam cię, ale powinienem pójść do rodziców. Jak się domyślasz, matka będzie miała całą listę pytań.

– Do zobaczenia. Muszę jeszcze wpaść na Długą po kilka drobiazgow. Może uda nam się spotkać.

– Na razie nie mieszkamy jeszcze z Lili, ale mam nadzieję, że to już niebawem się zmieni.

– Naprawdę tego chcesz?

– Tak – odpowiedział bez wahania. Potem cofnął się, zahaczając barkiem o przechodzącego obok mężczyznę. Po chwili znów patrzył na Emilię. – Wiesz, może wyda ci się to dziwne, w końcu chodzi o twoją matkę, ale... Ja nigdy nikogo tak nie kochałem – powiedział to takim tonem, że Emilię przeszły ciarki.

Nagle w drzwiach zobaczyli Mikołaja. Wydawał się zmieszany.

– Przepraszam. – Złapał ją za rękę. – Nie wiedziałem, że to potrwa aż tak długo. Jestem ci winien wyjaśnienia.

– Nie jesteś mi nic winien, miło spędziłam czas. – Puściła do Grzesia oko.

– Przez przypadek spotkałem znajomych, z którymi łączą mnie ostatnio ważne sprawy. Skorzystałem więc z okazji, żeby omówić... – Mikołaj wciąż był zakłopotany. – Wyszedłem tylko na moment, nie wiedziałem, że zajęło mi to aż tyle czasu. – Uniósł rękę, na której miał zegarek.

– To ja zmykam. – Grześ, który dotąd przysłuchiwał się rozmowie z leniwym uśmiechem, nieoczekiwanie cofnął się do drzwi. Na pożegnanie lekko uniósł rękę, a zaraz potem zniknął im z oczu.

– Może my też powinniśmy już pójść? – Rozejrzała się po sali. Wciąż było sporo osób. Może nawet więcej, niż kiedy przyszli.

– Obejrzałaś już wszystko? Grześ naprawdę genialnie połączył nowe fotki ze starymi zdjęciami. Nie wiem, jak udało mu się znaleźć tyle ciekawego materiału.

– Jego ojciec jest fotografem.

– No tak... – Zawiesił wzrok na ścianie. – Nie obraż się, ale ta historia z

twoją matką wydaje mi się absurdalna. Szkoda chłopaka.

– Mnie nie musisz tego mówić. Polubiłam go już od pierwszego spotkania w moim mieszkaniu. – Uśmiechnęła się bardziej do siebie niż do Mikołaja. – Naprawdę żal mi go. Obawiam się, że Lili wyciśnie z niego to, co najlepsze, a zaraz potem wymieni na nowy, świeży owoc. – Zmarszczyła czoło, przez co jej twarz nabrała powagi.

– Może obejrzymy jeszcze raz zdjęcia? No chyba że się śpieszysz... – Poprawił marynarkę, wygładzając jej poły, a potem wyprostował się, co ona odczytała jako zachętę do pozostania.

– Właściwie to nie widziałam dobrze tych zdjęć, które wiszą na początku. Jak weszliśmy, był tam spory tłum.

Wrócili do pierwszej sali. Większość wyeksponowanych tam fotografii przedstawiała historię krakowskich zabytków z ostatnich stu pięćdziesięciu lat. Stare kamienice, kościoły, ciekawe przedmioty, wesołe i zmęczone twarze ludzi, z całą gamą ich uczuć, niedzisiejsze ulice, wyglądające tak, jakby wciąż tętniło na nich życie. Tramwaje konne i modnie ubrane w długie suknie, z okazałymi kapeluszami ozdabiającymi ich głowy, smutne gruzowiska po wojnie i odświeżone fasady starych budynków – świadectwo, że jednak to dawne życie – ubrane w nową farbę i odrestaurowane, toczy się nadal. Że na zgłiszczach bardziej i mniej odległej historii teraźniejszość wybudowała sobie wygodny dom. Stary Kraków wciąż się nie poddawał, dostosowując się do szybkiego tempa zmian. Choć zapewne większość wiekowych uliczek wolałaby odpocząć od hałasu nowoczesności.

Emilia powoli przesuwiała się wzdłuż jednej ze ścian. Spojrzała w bok. Mikołaj zatrzymał się kilka kroków przed nią. Ona też przystanęła, jakby chciała na niego poczekać. W gruncie rzeczy było jej wszystko jedno, czy Mikołaj był przy niej, czy też nie. Opuściła głowę, spoglądając na najniższy rząd zdjęć. Były niewielkie. Przysunęła się bliżej, by lepiej im się przyjrzeć. Nagle skamieniała. Na jednej z fotografii była Zosia. Jej Zosia. Tylko że ta Zosia, spoglądająca na nią ze zdjęcia, miała zaledwie kilka lat, była małą dziewczynką.

– Niesamowite! – powiedziała głośno.

Od razu ją rozpoznała. Zosia miała na sobie kwiecistą, za dużą sukienkę, a włosy związane w dwa precelki z dużymi kokardami. Na większości zdjęć z dzieciństwa ubrana była tak samo. Na fotografiach, które trzymała w albumie, przeważnie towarzyszył jej starszy brat, Stefan. Obok Zosi na tym zdjęciu stała bardzo szczupła dziewczynka z krótkimi, niemal po męsku obciętymi włosami. Też miała na sobie przydługawą sukienkę. Obie trzymały się za ręce. Miały roześmiane oczy. Nie patrzyły w obiektyw fotografa, ale spoglądały na siebie, zupełnie jakby nie miały pojęcia, że w ogóle ktoś się nimi interesował. „Czy to możliwe, że dziewczynka obok Zosi to Sara?” – przeszło jej przez myśl.

– Co tak się przyglądasz?

Obejrzała się. Tuż za nią stał Mikołaj.

– Na tym zdjęciu jest Zosia!

– Zosia?

– Żona pana Franciszka. Moja ukochana Zosia!

– Jesteś tego pewna?

Wyczuła powątpiewanie w jego głosie.

– Tak, jestem pewna. Widziałam jej zdjęcia z dzieciństwa, znam je wszystkie na pamięć. Wygląda na nich identycznie jak tutaj.

– Wiesz, kim jest ta druga?

– Niestety nie. Chociaż się domyślam.

– Może znajdziesz Zofię na jeszcze innych fotografiach?

– Raczej nie – odpowiedziała od razu w obawie, że Mikołaj będzie chciał przejść do trzeciej sali, gdzie prawdopodobnie nadal przy jednym ze stolików siedzieli rodzice Grzesia. – Wiesz co? Chyba powinniśmy już pójść. Chciałabym jak najszybciej porozmawiać z Franciszkiem.

– W porządku. – Mikołaj jeszcze chwilę stał obok. Kiedy jednak spojrzała wymownie w stronę wyjścia, zrobił krok do tyłu.

– Chodźmy – rzuciła w jego stronę.

Wyszli. Na zewnątrz powietrze było chłodne i bardzo wilgotne, chociaż deszcz nie padał już przynajmniej od godziny. Bez słowa ruszyli wzdłuż Szewskiej.

– Może dasz się jeszcze gdzieś zaprosić?

– Wolalabym już wracać – odpowiedziała skrupowana.

– W takim razie odwiozę cię do domu. Mam tylko nadzieję, że spotkasz się jeszcze ze mną. – Starał się zachowywać spontanicznie, chociaż był zawiedziony.

Gdy podjechali pod dom Franciszka, było już po jedenastej. Jaskrawe światła lamp odbijały się od mokrej ulicy, rażąc oczy. Emilia przymknęła powieki. Czuła w sobie chaos. Nie tak wyobrażała sobie to spotkanie. Choć właściwie wcale nie miała wobec niego oczekiwań. Cieszyła się, że już wraca do domu. Teraz ważna była dla niej tylko fotografia Zosi.

– Dziękuję za miłe spotkanie. – Kiedy znaleźli się przed bramą, Mikołaj wyłączył silnik i przechylił się w jej stronę.

Odruchowo złapała za klamkę i otworzyła drzwi. Do wnętrza pojazdu wdarło się zimne powietrze. Uśmiechnęła się do Mikołaja, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– To ja uciekam. – Wyskoczyła z samochodu.

Nie zamknęła od razu drzwiczek, tylko zajrzała do środka. Mikołaj patrzył na nią wyczekująco, jakby liczył na coś więcej. W pośpiechu zaczęła się zastanawiać, co mogłaby mu powiedzieć na pożegnanie. Nie chciała mu robić nadziei. Nie miała ochoty na kolejne spotkanie.

– Jak będziesz w okolicy Rynku, to wpadnij na kawę – powiedziała na

odczepnego.

– Na pewno przyjdę. – Mikołaj w jednej chwili się rozpromienił.

Następnego dnia – wbrew wcześniejszym obawom Emilii – Franciszek zachowywał się dyskretnie. Nie dopytywał o poprzedni wieczór, choć była pewna, że zżerała go ciekawość. Kiedy wyszła rano z pokoju, on wkładał już płaszcz i szykował się do wyjścia.

– Tak jak ustaliliśmy, wychodzę sam. – W jego głosie dało się usłyszeć wahanie. Nadal nie był pewien, czy drogę do antykwariatu rzeczywiście powinien pokonać w pojedynkę.

– Niech pan idzie spokojnie. Ja też już się zbieram. Obiecuję, że nasza kawa będzie o stałej porze.

– Nie musisz się śpieszyć. – Włożył jeszcze rękę do kieszeni, sprawdzając, czy zabrał etui z okularami.

Po godzinie wsiadła na swój ulubiony rower, szybko pokonała jezdnię i przemknęła dobrze znajomym odcinkiem Plant. Przelotnie spojrzała tylko na znajome drzewa i chcąc jak najszybciej znaleźć się w antykwariacie, zaczęła pedałowac ile sił w nogach.

Zapowiadało się, że dzień minie we właściwym sobie powolnym rytmie. Gdy dotarła do antykwariatu, Franciszek siedział przy biurku na zapleczu. Dzisiaj przeglądał jakiś stary numer „Tygodnika Ilustrowanego”. Stała tuż za nim, pochyliła się, starając się dostrzec treść artykułu. Franciszek czytał z wielkim zainteresowaniem. Na moment uniósł głowę znad gazety, ale już po kilku sekundach wrócił do lektury. *Promienie Roentgena. Doświadczenia krakowskie* – Emilia omiotła wzrokiem tytuł. Przysunęła się bliżej, żeby przeczytać więcej. Rozproszone światło lampy wiszącej nad biurkiem padało na fragment tekstu w górnej części gazety.

– Ciekawy artykuł. – Franciszek podniósł głowę znad „Tygodnika” i dopiero teraz uśmiechnął się na powitanie. Potem zamknął czasopismo, upewniwszy się, że przestała je czytać. Rzeczywiście, ten poranek był taki sam jak wszystkie wcześniejsze, z zapachem korzennej kawy i z wygodną powtarzalnością, której oboje nie chcieli zmieniać.

– Panie Franciszku, powinien pan zobaczyć wystawę, na którą wczoraj zabrał mnie Mikołaj.

Franciszek odłożył okulary i mocno zmrużył oczy, jakby z jej twarzy chciał wyczytać, co zamierzała mu powiedzieć. Bez okularów sylwetka dziewczyny zrobiła się niewyraźna, rozmazana.

– Byłem pewien, że z nim nie będziesz się nudzić.

– Nie chodzi o Mikołaja – powiedziała. – Na jednym ze zdjęć odnalazłam Zosię!

– Jesteś tego pewna? – Franciszek nie mógł ukryć podekscytowania.

– Tak! – Uniosła głowę. – Miała na sobie tę swoją kwiecistą sukienkę i włosy zaplecione w dwa duże precelki obwiązane kokardami. Mówiła mi, że nie znosiła tej fryzury, ale jej mama się upierała.

– Tak, rzeczywiście... – westchnął, a ona wiedziała, że myślami znów był przy żonie. – W takim razie koniecznie muszę się tam udać. Jak długo ma trwać ta wystawa?

– Podobno jeszcze dwa tygodnie. Zdjęcia można obejrzeć dopiero po szesnastej. Panie Franciszku, Zosia nie była na zdjęciu sama... Towarzyszyła jej jakaś dziewczynka. Wyglądały na równolatki. Czy to mogła być Sara?

– Nie wiem, muszę zobaczyć to zdjęcie. – Pokręcił głową. – Zresztą skąd mam to wiedzieć? Nie mam pojęcia, jak wyglądała Sara w dzieciństwie. Nawet nie jestem pewien, czy teraz ją poznam. Ma prawie osiemdziesiąt lat. Widzieliśmy się dawno temu i tylko w przelocie. Niewiele ze sobą rozmawialiśmy.

Nagle usłyszeli odgłos dzwonka. Ktoś otworzył drzwi i wszedł do środka. Franciszek wstał. Zanim zdążył zrobić krok, Emilia go ubiegła.

– Niech pan usiądzie i spokojnie dopije kawę. Ja zajmę się klientem.

Wyszła z zaplecza. Przy drzwiach stała Iga. Jej ręka spoczywała na klamce, jakby nie miała pewności, czy zostać, czy jednak uciec.

– Cześć – odezwała się cicho. – Byłam na Długiej, ale cię nie zastałam... Drzwi otworzył mi jakiś mężczyzna i powiedział, że teraz mieszkasz u pana Franciszka.

– Tak, w końcu się przeniosłam – odpowiedziała i cofnęła się w głąb pomieszczenia.

Obie kobiety spoglądały na siebie trochę tak, jak patrzy się na obcą osobę, bez zbytnej poufałości, z odrobiną oczekiwania.

– Musimy porozmawiać. – Iga spuściła wzrok, przyglądając się swoim butom na wysokim obcasie.

– To miło, że w końcu chcesz porozmawiać o „twojej” książce.

– Już wiesz...

– A co? Myślałaś, że się nie dowiem?

– Chciałam ci to wszystko wyjaśnić... Nadal chcę. Nie jest tak, jak myślisz. To wszystko wygląda zupełnie inaczej – kajała się Iga. Nie wychodziło jej to zbyt dobrze. Zazwyczaj dumna i pewna siebie, nie umiała grać roli tej proszącej o odrobinę uwagi i chwilę rozmowy. To zawsze ona była tą, której słuchano i którą podziwiano.

– Skąd wiesz, co myślę?

– Myślisz, że... – Zacięła się i spojrzała na drzwi oddzielające pomieszczenie sklepowe od zaplecza. Stał w nich pan Franciszek.

– Proszę mówić dalej, chętnie posłuchamy pani historii do końca. – Zazwyczaj trzymał się na uboczu, ale teraz najwyraźniej próbował ją wesprzeć.

– Panie Franciszku, proszę pozwolić, że sama porozmawiam z Iga. To ja muszę rozwiązać ten problem.

Iga popatrzyła na Emilię z wdzięcznością.

– I myślisz, że z ust tej pani usłyszysz prawdę?

– Posłuchaj, Emi, chyba rzeczywiście będzie lepiej, jak stąd pójde. – Nacisnęła na klamkę i otworzyła drzwi.

– Zaczekaj, wyjdziemy obie. – Podeszła do wieszaka i pośpiesznie zdjęła z niego płaszcz. – Panie Franciszku, zaraz wracam. – Szybko wyszła, chcąc uniknąć dalszej dyskusji.

Stały przy fasadzie, gdzie kończyło się okno. Emilia zerknęła przez szybę na jedną ze ścian, tuż przy wystawie. Kątem oka dostrzegła czarno-białą rycinę oprawioną w wąską ramkę z hebanowego drewna, wiszącą przy regale. „Cóż za zbieg okoliczności...” – pomyślała z sarkazmem, wpatrując się w znajomą scenkę. Przedstawiała dwie kobiety, trzymające się za ręce, z uniesionymi głowami. Jedna z nich, wyniosła i pewna siebie, miała pochmurny wyraz twarzy i groźne spojrzenie. Spod jej szczupłych stóp wysypywały się drobne monety, sznury pereł i inne kosztowności. Druga, o łagodnych rysach, patrzyła spokojnym, radosnym wzrokiem, a przy jej nogach rozkwitały kwiaty. Tyle razy widziała tę rycinę, a dopiero teraz dostrzegła jej prawdziwe przesłanie. Długo nie mogła oderwać od niej oczu. Iga sięgnęła do torebki po paczkę papierosów, ale nie zapaliła. Miętosła tylko pudełko w palcach, jakby się nim bawiła.

– Ta cała sprawa z... twoją książką... To wszystko wymknęło mi się spod kontroli.

– Z moją książką? Wydaje mi się, że teraz to jest chyba twoja książka!

– Spotkaj się ze mną dziś wieczorem, wtedy może mnie zrozumiesz. – Celowo ściszyła głos, kiedy obok nich przechodziła grupka osób.

– Iga, o co ci chodzi?! Oszukałaś mnie! W co jeszcze próbujesz mnie wciągnąć?!

– Nie próbuję cię w nic wciągnąć. Chcę ci tylko coś wyjaśnić.

– Zrób to teraz, chyba po to tu przyszłaś.

– Teraz nie zrozumiesz...

– Bzdura! Skoro teraz nie zrozumiem, to myślisz, że wieczorem będzie inaczej?

– Proszę cię, spotkaj się ze mną wieczorem w La Rose. Obiecuję, że wszystko ci wyjaśnię.

– Dobrze – powiedziała Emilia. Ale zaraz pożałowała, że zrobiła to zbyt pochopnie.

– Może być dziewiętnasta?

– Wolalabym spotkać się z tobą po siedemnastej.

– W porządku. Zapomniałam, że teraz mieszkasz trochę dalej od Rynku. To

znaczy, że jesteście umówione?

– Tak, przyjdę do kawiarni zaraz po pracy.

Emilia odeszła od Igi, nie patrząc w jej stronę. Iga ruszyła przed siebie. Po wilgotnym chodniku niósł się stukot jej obcasów.

– W końcu sobie poszła. – Franciszek stał przy witrynie. Wyglądało na to, że nie wytrzymał i im się przyglądał. – Czego chciała?

– Przecież pan wie – powiedziała smutnym głosem. Czula się rozbita. Nie miała ochoty niczego tłumaczyć.

– Nie mów mi tylko, że dałaś się nabrać na jej lisi urok i uwierzyłaś w jej marną paplaninę.

– Nie uwierzyłam, bo nic mi nie powiedziała.

– A jednak... – Miał zadowolony wyraz twarzy. – Więc moja intuicja mnie nie zawiodła.

– Umówiliśmy się na dzisiejszy wieczór. Obiecała, że wtedy wszystko mi wyjaśni.

– Co takiego?! – uniósł się. – Chcesz spotkać się z nią po tym, co ci zrobiła?! Jesteś aż tak naiwna?

Poczuła, że ją atakuje. Nigdy wcześniej nie zwracał się do niej w taki sposób.

– Ja tylko chcę poznać prawdę.

– Nigdy nie poznasz jej z ust tej kobiety. – Zdjął okulary i schował do wytartego etui, które potem jeszcze dość długo ugniatał w palcach.

Poczuła ulgę, że to już koniec dyskusji. Wystarczyła jej rozmowa z Igą, nie miała siły odpierać jeszcze ataku Franciszka.

Tego dnia godziny pracy dłużyły się bezlitośnie. Myśli wciąż uciekały do Igi i niewyjaśnionej sprawy. Im dłużej ją rozważała, tym była pewniejsza, że tej sytuacji nie da się rozwiązać. Nie miała już złudzeń.

Franciszek wyszedł około południa i wrócił dopiero kilkanaście minut przed zamknięciem antykwariatu. Zauważyła, że przyniósł kilka nowych tomów. Położył je na sekretarzyku i znów zniknął na zapleczu. Pojawił się, dopiero gdy usłyszał brzęk kluczy.

Emilia sprawdziła wszystkie kąty, odłączyła od prądu czajnik i kuchenkę, zgasiła światła i wyszła. Franciszek stał przed oknem wystawowym i strzepywał z metalowego parapetu zeschnięte liście. Czekał na nią. Nie miała pewności, czy chciał się z nią pożegnać, czy udzielić jej słów reprimendy przed spotkaniem z Igą. Przekręciła klucz w zamku. Kiedy się upewniła, że drzwi są zamknięte, zbliżyła się do roweru i chwyciła za kierownicę. Spojrzała na Franciszka.

– Czekam na ciebie w domu.

Tylko tyle od niego usłyszała. Zaraz potem odwrócił się i odszedł. Widziała, że włożył rękę do kieszeni płaszcza. Była pewna, że sprawdzał, czy zabrał okulary.

Jeszcze raz cofnęła się do drzwi i upewniła się, że są zamknięte. Była na siebie zła, że nie potrafi zapanować nad tym dokuczliwym natręctwem.

Stolarska była wyludniona, a przy wejściu do La Rose wałęsał się kot. Pomyślała tylko, że to dobry znak. Zostawiła rower za bramą i weszła do kawiarni. Od razu zajęła miejsce w zacisznym narożniku, gdzie zazwyczaj siadywały z Igą. Nie rozglądała się za bardzo, ale zdążyła zauważyć, że nie było zbyt wielu gości. Zamówiła sok pomarańczowy. Kiedy upiła kilka łyków, pożałowała wyboru, zrobiło się jej chłodno. „Dziś lepsza byłaby gorąca herbata” – pomyślała. Popatrzyła na drzwi, wypatrując Igi. „Nawet w takiej sytuacji musi się spóźnić!” Było kilkanaście minut po siedemnastej. Z drucianego stojaka wzięła jedną z gazet. Rozłożyła ją na stoliku i zatopiła w niej wzrok.

Nagle tuż za sobą usłyszała męski głos.

– Dzień dobry.

Powoli oderwała wzrok od gazety. Dopiero gdy uniosła głowę, zobaczyła przed sobą...

– Szymon? – szepnęła spanikowana. Nie była w stanie nawet podnieść się z krzesła. – To niemożliwe...

– Nie wierzę, że cię widzę! Tak szybko wyjechałaś, szukałem cię. Byłem w twoim domu, ale jakaś kobieta odprawiła mnie z kwitkiem, zanim zdążyłem o ciebie spytać.

I tak nie słyszała tego, co do niej mówił. Tylko patrzyła na jego twarz, a przed oczami znów pojawiły jej się wydarzenia z ostatniego wyjazdu do Modrzewiowej. Nie mogła w to uwierzyć. Szymon wyglądał tak samo jak wtedy. Inteligentne spojrzenie zza okularów w oprawkach w kolorze kości słoniowej działało na nią tak samo jak wówczas. Patrzyła na niego wzburzona. On też nie odrywał od niej oczu.

– Byłam w latarni, ale... cię nie zastałam – powiedziała, a w głębi poczuła rozczarowanie, takie jak wówczas, gdy stała na kamiennych schodach przed latarnią i patrzyła na zamknięte drzwi.

– Wiem. Dostałem ważny telefon. Musiałem wyjechać. To mnie bardzo zaskoczyło. – Patrzył na pełną rozczarowania twarz Emilii i czuł się jeszcze gorzej niż w momencie, kiedy nagle musiał podjąć decyzję o wyjeździe z Modrzewiowej, choć czekał na kobietę, która rozpałała jego zmysły. Nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Nic o niej nie wiedział. Zresztą teraz, gdy na nią patrzył, też był w punkcie wyjścia.

– To takie dziwne, że się spotkaliśmy. Właśnie umówiłam się tutaj z kimś. – Zerknęła na drzwi i zapragnęła, żeby Iga już się tu nie pojawiła.

– Ja też mam się z kimś spotkać. – Dopiero teraz zdecydował się zbliżyć do Emilii. Nadal nie mógł uwierzyć w ich niespodziewane spotkanie.

– Usiądź. – Wskazała wolne krzesło. Zazwyczaj siadywała na nim Iga.

– Co robisz w Krakowie?

– Przecież mieszkam tutaj.

– Myślałem, że... – Nie zdążył dokończyć, bo nagle nad sobą zobaczyli Igę.

Była w świetnym nastroju, zupełnie jakby zapomniała, w jakim celu miały się tutaj spotkać.

– Widzę, że już się poznaliście. – Popatrzyła najpierw na przyjaciółkę, a potem na Szymona.

Emilia wstała, potrącając cukiernicę.

– Zaraz, zaraz... O co tutaj chodzi? – Spojrzała na Igę skołowana.

– Szymon to mój... chłopak. Chociaż właściwie zupełnie inaczej miałam ci to wyjaśnić.

Emilia odwróciła się i rzuciła do wyjścia jak szalona. Z impetem zatrzasnęła drzwi. Potem oparła się o zimną ścianę.

– Cholera, to jakaś kpina! – krzyknęła nie swoim głosem. Potem szybko odsunęła się od muru i pędem skierowała w stronę roweru. – Muszę odjechać stąd jak najszybciej. Byle jak najdalej od tego miejsca – mówiła do siebie już nieco ciszej, ale nadal wzburzoną głosem.

Wtem jak spod ziemi wyrosła przed nią Iga.

– Zaczekaj, muszę ci to w końcu wyjaśnić, choć teraz to chyba i ja czegoś tutaj nie rozumiem.

Emilia odpięła rower od stojaka i w pośpiechu szarpnęła za kierownicę.

– Skąd znasz Szymka?

– Nieważne – odpowiedziała, nie patrząc na przyjaciółkę.

– Zaczekaj!

Zwolniła uścisk i oparła rower o ścianę. Popatrzyła na Igę beznamiętnie. W jednej chwili wszystko jej zobojętniało. Straciła grunt pod nogami. Co jeszcze mogła powiedzieć jej Iga oprócz tego, że Szymon był jej ukochanym? Teraz nic już nie miało znaczenia.

– Kiedy wysyłałam twoją książkę, nie miałam pojęcia, że to wszystko tak się poukłada. Chciałam ci zrobić niespodziankę. Wiedziałam, że ty nigdy byś się na to nie odważyła. Tylko że potem... – Iga nabrała powietrza. Było widać, że zbiera myśli. – Twojego imienia nie podałam przez zupełny przypadek. Gdy dowiedziałam się o wygranej, od razu chciałam to wszystko sprostować. Tylko że wtedy pojawił się on... Szymon. – Nie patrzyła na Emilię. Zabrakło jej odwagi.

– Co on ma z tym wspólnego?

– Szymon był w jury konkursu. Jest cenionym pisarzem, więc...

– Co takiego?!

– To Szymon Litworowski – odezwała się Iga rzeczowo.

– Niemożliwe... – Wstrząśnięta Emilia kręciła głową z niedowierzaniem. Dobrze znała to nazwisko. Przeczytała wszystkie książki Litworowskiego. Był

jednym z jej ulubionych autorów.

– Chciał się ze mną umówić na kawę. Powiedział, że „moja” książka zrobiła na nim ogromne wrażenie. I właśnie wtedy zabrnęłam w to kłamstwo. Z każdą kolejną chwilą było mi trudniej się z tego wycofać – ciągnęła niezrażona. – Zakochałam się w nim już na pierwszym spotkaniu. Nie wiem, jak to się stało, przecież nigdy nie podobał mi się tacy mężczyźni. Kiedy powiedział mi, że moja powieść go oczarowała, straciłam grunt pod nogami. Właśnie to chciałam ci wyjaśnić. Dzięki twojej książce spotkałam mężczyznę mojego życia. – Iga uśmiechnęła się, ale gdy napotkała zimny wzrok przyjaciółki, jej twarz od razu nabrała powagi.

Emilia pewnie chwyciła kierownicę i oddaliła się od Igi o kilka kroków. Nie zamierzała się już odwracać. Czowała, że do jej oczu zaczęły napływać łzy, które natychmiast starała się stłumić.

– Zrozum mnie! Kto jak kto, ale ty musisz mnie zrozumieć. Proszę! – Iga wrzeszczała jak wariatka, aż w jej stronę obejrzało się kilka osób.

Na chwilę przystanęła i przez ramię popatrzyła w jej kierunku. Była już na tyle daleko, że mogła sobie na to pozwolić. Wiedziała, że Iga nie odważy się za nią biec. Dzielila je spora odległość.

– Twoja książka zmieniła moje życie na lepsze! – Iga mówiła trochę ciszej, ale jej głos i tak napastliwie zaczepiał przechodniów, którzy spoglądali na nią z nieskrywaną ciekawością. – Proszę cię, zrozum mnie! Byłaś i jesteś moją najlepszą przyjaciółką!

Ostatnie słowa uderzyły tak mocno, jak nagły, zbyt gwałtowny wiatr. Nie była na nie gotowa. Zresztą nie była gotowa na żadne słowa z ust Igi. To wszystko nie miało sensu. Było zbyt nieprawdopodobne i bolesne. Czowała się zdradzona potrójnie. W krótkim czasie straciła ukochaną książkę, przyjaciółkę i mężczyznę, który przez zbieg różnych okoliczności mógł stać się dla niej kimś bliskim. A może już nim był? Bo przecież zdążyła poczuć rodzące się między nimi uczucie. Znała smak jego ust. Pamiętała jego dotyk. „To okropne” – pomyślała, wsiadła na rower i nie oglądając się już za siebie, odjechała. Wciąż starała się zapanować nad sobą. „Franciszek nie może mnie zobaczyć w takim stanie”. Kłębiące się myśli, niczym wielkie zwały śniegu, z każdą minutą przygniatały ją coraz bardziej.

Postanowiła pojechać do domu matki. Wolą spotkać się z Lili niż z Franciszkiem. Pędziła, nie zwracając uwagi na to, co działo się obok niej. Starła się tylko omijać przechodniów. Zjechała z parkowej alejki i bez namysłu wtargnęła na jezdnię na czerwonym świetle. Kiedy w odpowiedzi usłyszała odgłos klaksonów, opamiętała się. Zeszła z roweru i przez dłuższy odcinek drogi po prostu go prowadziła.

Gdy dotarła na miejsce, zostawiła rower za bramą i ruszyła schodami na górę. Stała naprzeciw drzwi i włożyła rękę do kieszeni. Wciąż miała swój

komplet kluczy, ale gdy po drugiej stronie usłyszała odgłos kroków, zapukała. To było dziwne, nigdy wcześniej tego nie robiła. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły. Stał w nich Grześ. Ucieszyła się, że to właśnie on przywitał ją w progu.

– Cześć! – Mimo podłego nastroju przywitała się z nim entuzjastycznie.

– Cześć. – Mężczyzna smętnie zwiesił głowę, szerzej uchylając drzwi.

– Coś się stało?

– Lili dowiedziała się o wystawie. – Chwycił się za głowę, a potem przez dłuższy czas gładził włosy. – Chodź do kuchni, napijemy się czegoś.

– Nie chcę ci przeszkadzać. – Stała przy drzwiach swojego pokoju i położyła dłoń na klamce.

– Cieszę się, że przyszedłaś. – Grześ uśmiechnął się, choć nadal nie wyglądał na szczęśliwego.

Po chwili usiedli w kuchni. Emilia przyglądała się znajomemu wnętrzu. W kamienicy na Długiej nie było jej zaledwie od kilku dni, a w tym czasie jej dawne mieszkanie zrobiło się obce. „To zupełnie tak jak z ludźmi” – pomyślała. Wystrój kuchni też się zmienił. Słoiki z przyprawami i kilka drobiazgów leżało na innym miejscu. Na parapecie pojawiła się doniczka z nowym kwiatkiem.

– To twoja zasługa? – Zawiesiła wzrok na jaskrawozielonych liściach geranium.

– Tak, mama przywiozła go ostatnio z Kalwarii. W dzieciństwie często kurowała mnie tymi liśćmi. – Spoglądał ponuro w okno.

– Jak się dowiedziała? – Postanowiła w końcu zapytać, kiedy stawiał przed nią kubki z herbatą.

– W „Gazecie Krakowskiej” pojawiła się relacja z mojej wystawy. Tego niestety nie przewidziałem. Lili zazwyczaj nie czyta takiej prasy. Trafiła na nią u fryzjera. Dwie godziny temu wpadła do domu i zrobiła mi awanturę. Nie chciałabyś wiedzieć, jakich słów używała. – Ukradkiem popatrzył na Emilię, jakby sprawdzał, czy go słucha.

– Domyślam się.

Wyglądało na to, że nowy ukochany matki zaczął odkrywać jej prawdziwe oblicze. Grześ patrzył w okno, nic nie mówiąc. Słysząc tylko brzęk łyżeczki, którą starał się rozmieszać cukier.

– Nie mogę jej stracić w taki bezsensowny sposób. Nie zniósłbym tego!

– Nie stracisz jej – powiedziała bez przekonania.

– Wydaje mi się, że czekałem na nią całe życie...

– Tego życia masz jeszcze przed sobą całkiem sporo...

Kłopoty partnera matki przez chwilę pomogły jej zapomnieć o własnych problemach.

– Wiem, że bez Lili ono nie będzie miało dalej sensu.

– Na jednej osobie świat przecież się nie kończy – wypaliła nagle.

Nie mogła zrozumieć, jak młody, mądry, całkiem przystojny mężczyzna zadrecza się z powodu kobiety, której młodość przeminęła już jakiś czas temu, a niezdolny charakter coraz bardziej daje o sobie znać.

– Mówisz tak, jakbyś nigdy nikogo nie kochała – oburzył się Grześ. Zaraz potem podniósł się, stanął w drzwiach i zajrzał do przedpokoju. – Wydawało mi się, że słyszę kroki na klatce. – Po chwili wrócił do stołu i usiadł z powrotem.

– Dlaczego akurat moja matka?

– Przecież wiesz...

– Właśnie chodzi o to, że nie wiem! – Wzruszyła ramionami i zagryzła wargi, zastanawiając się, czy rzeczywiście powinna pytać o to Grzesia.

– Lili jest niepowtarzalna...

– Zauważyłam – powiedziała z przekąsem.

– I taka nieodgadniona.

– Coś w tym jest... – Pokręciła głową, przypatrując się Grzesiowi, ciekawa, co jeszcze ma jej do powiedzenia.

– Codziennie odkrywam w niej coś nowego. Życie z nią przypomina mi jazdę na rollercoasterze. Podoba mi się to. – Uśmiechnął się z satysfakcją, tak jakby odłonił przed nią ostatnią kartę.

Po jego słowach straciła ochotę na rozmowę. Grześ był bez wątpienia zakochany w jej matce i widział w niej coś, czego jej nie udało się dostrzec przez wszystkie lata życia pod wspólnym dachem. Jego maślany wzrok tylko to potwierdzał.

– Pójdę do siebie. Chciałam zabrać kilka drobiazgów.

Gdy znalazła się w swoim pokoju, podeszła do biurka, wysunęła szufladę i wyjęła z niej gruby notes, niewielki skórzany piórnik z ulubionym piórem oraz kilka drobiazgów, bez których każdy inny człowiek mógłby się obyć, ale ona musiała je mieć przy sobie. W ciągu kilku następnych minut do lnianej torby trafiły dwa ulubione tomiki poezji Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, złote pudełko po szwajcarskich pralinkach, w którym przechowywała najbardziej bliskie jej sercu zdjęcia, i stary kałamarz – prezent na dziesiąte urodziny od pana Franciszka. Już wtedy pisała, ale nie zachowała tych notatek. Przepadły. Na koniec zdjęła ze ściany obrazki, które dostała od Zosi. Uznała, że nie mogą zostać u Lili. Była pewna, że matka szybko by się ich pozbyła. Kiedy skończyła się pakować, usiadła na łóżku i rozejrzała się po pokoju. To dziwne, ale nie czuła się szczególnie przywiązana do tego miejsca. Może troszeczkę. Nie na tyle jednak, by za nim tęsknić i do niego powracać. Teraz, gdy zabrała stąd ulubione przedmioty, poczuła, jak rwie się cieniutka nić łącząca ją z rodzinnym domem. Choć nie był to typowy ciepły dom. Nigdy nie tuliły jej tu matczyne ramiona.

– Mogę wejść? – W drzwiach pojawił się Grześ.

– Wchodź. – Wskazała głową wolne miejsce obok siebie.

– Może pomogę ci to zanieść?

– Nie trzeba, dam sobie radę. Przyjechałam na rowerze. – Ale miło, że zaproponowałeś. Dzięki.

– Trudno się rozstać? – Omiótł wzrokiem puste ściany. Bez obrazków Zosi zrobiło się tu bezosobowo.

– Nie bardzo. – Zrobiła obojętną minę. W tej chwili było jej już wszystko jedno. Właściwie mogłaby się znaleźć gdziekolwiek. Mieszkanie u Franciszka miało teraz na pewno jedną wielką zaletę, odgradzało ją od Igi. Była pewna, że przyjaciółka tam nie przyjdzie.

Spojrzała na okno przesłonięte ażurową firanką. Przez splot tkaniny dojrzała zarys ciemnego nieba. Tego wieczoru nie było na nim gwiazd, tylko kłęby puchatych chmur, które opadały tak nisko, jakby chciały przysłonić szczyty dachów. Uświadomiła sobie, że mimo wszystko wciąż nazywa w myślach Igę swoją przyjaciółką. Nie chciała tego, broniła się przed tym, starając się wymyślić na poczekaniu jakieś zastępcze określenia. Nie umiała jednak znaleźć słowa, które pasowałyby teraz do niej. „Czy wciąż jest moją przyjaciółką?” – pomyślała smutno i westchnęła.

– O co chodzi? – Grześ przybliżył się do niej i niby przez przypadek trącił ją w ramię.

– O nic. – Odwróciła głowę. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać.

– Przecież widzę, że coś cię trapi.

Odwróciła głowę w jego kierunku, przez moment zastanawiając się, czy nie opowiedzieć mu o wszystkim. Tylko od czego miałyby zacząć? Teraz już sama nie była pewna, co raniło ją najbardziej. Zdrada Igi była podwójna, a mimo wszystko, choć bezskutecznie, wciąż starała się ją zrozumieć. Pech chciał, że pokochały tego samego mężczyznę. Tylko że to Iga miała do Szymona większe prawo, była bliżej, najbliżej. Emilia czuła się, jakby stała na samym środku rozległego pola, wystawiona na gradobicie. Duże lodowe kulki boleśnie wbijały się w jej ciało, a ona nie miała się gdzie schronić. Mogła tylko czekać, aż z kieszeni fartucha ciemnej chmury wypadnie cała zawartość.

– Powiedzmy, że... ostatnio nie układa mi się najlepiej.

– Tak to już jest – odparł Grześ, robiąc zabawną minę. Starł się ją rozśmieszyć. – Zaczekaj. – Zeskoczył z łóżka, a chwilę później był już za drzwiami.

Popatrzyła obojętnie w kierunku przedpokoju. Luka między framugami znów się wypełniła. Grześ trzymał w ręku talerz wypełniony małymi ciasteczkami, obficie obsypanymi cukrem pudrem. Znów usiadł obok niej, a na jej wyprostowanych nogach położył talerzyk ze słodką zawartością.

– Trzymałem je dla Lili, ale skoro przyszłaś, to... – Znów trącił ją lekko, tym razem w rękę. – Poczęstuj się, są pyszne. Według przepisu mojej mamy.

– Przywiozła je dla ciebie? – Sięgnęła po ciastko.
– Nie przywiozła, sam upiekłem – powiedział po prostu, jakby robił to niemal codziennie.

– Potrafisz piec ciastka?

– Nie tylko potrafię, ale lubię to robić – odezwał się z dumą.

– No, no. – Uśmiechnęła się do Grzesia, przegryzając ciastko. Wciąż patrzyła na niego z zadziwieniem.

– Mama zawsze marzyła o córce – rzucił Grześ.

Kiedy opróżniła talerz, wstała i odłożyła go na biurko.

– Dzięki, były pyszne.

Podeszła do wypakowanej torby.

– Myślę, że wszystko zabrałam. – Wstała, zawiesiła torbę na ramieniu i skierowała się do drzwi.

– Przecież w każdej chwili możesz tu wrócić. Pracujesz niedaleko. – Grześ też się podniósł i ruszył za Emilią. – Trzymaj się!

– Chciałabym – odezwała się z kwaśną miną i wyszła na korytarz. – Nie przejmuj się, Lili wróci. – Zapragnęła go pocieszyć, choć nie miała pojęcia, co zrobi matka.

Gdy wyprowadziła rower, na zewnątrz było cieplej. Wiatr przegonił chmury, a powietrze wydawało się bardziej przejrzyste. Zza dachu najbliższej narożnej kamienicy, niczym jasna wskazówka kompasu, wychylał się szczupły rożek księżyca. Odruchowo spojrzała na swój dawny dom. Przez okno kuchenne wychylał się Grześ.

– Szerokiej drogi! – krzyknął, machając do niej obiema rękami. – Jedź ostrożnie!

– Zawsze jeżdżę ostrożnie!

Wpakowała torbę wypełnioną szpargałami do koszyka z przodu roweru. Założyła na uszy słuchawki i odjechała w kierunku domu Franciszka. Pedalując, ze wszystkich sił starała się skoncentrować tylko na jeździe. Kiedy mogła, przyśpieszała, czując w ustach rześkie powietrze. Słyszała cichy stukot objadających się o siebie przedmiotów, które zabrała z mieszkania, i bardziej donośny odgłos przejeżdżających obok samochodów. Chciała być już na miejscu i schronić się w ciepłym domu. W pewnym momencie jechała tak szybko, że aż zachłysnęła się powietrzem. Zakaszła i od razu zwolniła. Na ulicy zrobiło się pusto. Kolejne światła sygnalizatora nie zatrzymały jej, tylko pozwoliły swobodnie przejechać.

Znalazła się na ulicy, przy której końcu stał dom Franciszka, zatrzymała się i zeszła z roweru. Znow powróciły wspomnienia z ostatnich godzin. Aby od nich uciec, pomyślała o Róży i ojcu. Od przyjazdu z Modrzewiowej z ojcem rozmawiała zaledwie dwa razy, ale nie udało się jej wciągnąć go w dyskusję o żonie. Czowała, że cierpiał. Była pewna, że to przez macochę. Na domiar złego podświadomie

wiedziała, że Róża cierpi o wiele bardziej. W ciągu ostatnich tygodni nagromadziło się zbyt wiele niejasności i nierozwiązanych spraw.

Gdy znalazła się za furtką, wyłączyła muzykę w telefonie.

– Dobry wieczór – przywitała się z Franciszkiem, gdy wkroczyła do środka.
– Byłam jeszcze na Długiej po kilka drobiazgów – wyjaśniła, widząc pytające spojrzenie.

– Martwiłem się o ciebie – powiedział, kiedy weszli do kuchni.

– Zupełnie niepotrzebnie. – Za wszelką cenę chciała uniknąć odpowiedzi na niewygodne pytanie. Była prawie pewna, że zazwyczaj stonowany Franciszek tym razem będzie chciał poznać wszystkie szczegóły spotkania z Igą.

Nie pomyliła się. Zauważyła, że sięgnął do kieszeni po tabakę. Otworzył puzderko i umieścił je na skraju stołu. W kuchni zapachniało słodkim tytoniem. Emilia usiadła obok niego z miną aresztanta tuż przed przesłuchaniem.

– Zostawiłem ci kolację, powinnaś coś zjeść. Jest już późno. – Spojrzał w stronę zegara z kukułką.

Zmusiła się do uśmiechu. Franciszek i Zofia przestrzegali, żeby kolację zjadać najpóźniej przed siódmą.

– Chyba nie zmieściłam się w czasie – powiedziała, też zerkając na tarczę drewnianego zegara, który wskazywał kwadrans po ósmej. – Zrezygnuję dzisiaj z kolacji, nie jestem głodna. – Odwróciła głowę od ściany, na której wisiał zegar.

– To przez nią straciłaś apetyt, tak?

– Nie, nie przez nią – nieumiejętnie próbowała kłamać.

– Mówiłem, że niepotrzebnie tam idziesz. – Franciszek wpadł w moralizatorski ton, którego tak nie lubiła.

Teraz było jej już wszystko jedno. Jakby nagle przywołane z jakiegoś horroru, stanęły jej przed oczami ostatnie wydarzenia. Posmutniała jeszcze bardziej. Już nawet nie starała się przywołać uśmiechu.

– Wyjaśniła ci chociaż, dlaczego... – Zamilknął w połowie zdania, zaskoczony reakcją dziewczyny.

– Wyjaśniła – odpowiedziała szybko, po czym gwałtownie podniosła się z krzesła i pędem rzuciła w stronę drzwi. Zatrzymała się jednak i odwróciła do niego. Zdawała sobie sprawę, że Franciszek zasługiwał na słowa wyjaśnienia. Tylko że ona w tej chwili nie była w stanie niczego mu opowiedzieć. Sama nie potrafiła wytłumaczyć sobie sytuacji z Igą i Szymonem. – Panie Franciszku, przepraszam, ale nie dam rady teraz o tym rozmawiać.

– Moja droga, ja tylko staram się ciebie zrozumieć – odparł i znowu sięgnął po tabakierę, zamknął ją i włożył do kieszeni.

Weszła do dawnego pokoju Zosi. Rzuciła na podłogę torbę przywiezioną z Długiej. Zbliżyła się do okna i jednym szarpnięciem otworzyła je na całą szerokość. Do wnętrza gwałtownie wtargnęło wilgotne powietrze. Jak na końcówkę

października nie było aż tak zimno, ale i tak po kilku minutach zrobiło się jej chłodno. Wychyliła się przez okno i przeciągnęła ręką po zewnętrznej, zimnej płycie parapetu, zgarniając opuszkami palców kilka kropel wody. Zaraz potem zamknęła okno. Poczowała wzbierającą falę złości, którą usilnie starała się stłumić, koncentrując się na innej czynności. Przecież ona nie mogła się złościć! Nigdy wcześniej nie pokazywała emocji. Denerwować się mogła Lili, u której stany euforii przeplatały się z fazami irytacji. Co powiedziałaaby Zosia, gdyby widziała ją teraz z zaciśniętymi pięściami, pochylającą się nad stertą pomieszanych ze sobą drobiazgów, chaotycznie rozkładającą te przedmioty na dywanie?

– Co ja robię? – powiedziała do siebie na głos.

W pośpiechu przeniosła przedmioty na szafkę, usiadła na brzegu łóżka i zakryła twarz dłońmi. Zbierało się jej na płacz, ale nie mogła uronić nawet jednej łzy. Złość wciąż przeważała nad żalem. Najchętniej stanęłaby teraz na środku pokoju i wykrzyczała całemu światu, jak bardzo jest zła i nieszczęśliwa. Nie mogła tego zrobić. Znajdowała się w pokoju dawnej opiekunki, która właśnie przyglądała się jej ze zdjęcia zawieszzonego na ścianie, a kilka metrów dalej stary Franciszek prawdopodobnie w ciszy i skupieniu pochylał się nad książką. Zawsze przed snem czytał. Twierdził, że na świecie jeszcze nikt nie wynalazł i zapewne nigdy nie wynajdzie lepszego środka nasennego niż książki.

Zatrzymała wzrok na twarzy młodej Zosi, spoglądającej na nią ze zdjęcia w złotej ramce ozdobionej zygzakiem. Na tej fotografii wyglądała na rówieśnicę Emilii.

– Zosiu, dlaczego nie ma cię teraz przy mnie? Może powiedziałaabyś mi, co mam robić? – Podniosła się z łóżka i stanęła naprzeciw dawnej opiekunki, spoglądającej na nią łagodnie z portretowego zdjęcia. – Zosiu, nie mogło mi się przydarzyć nic gorszego... Zakochałam się w mężczyźnie, który kocha inną kobietę. – Ostatnie słowa powiedziała cichutko, odwracając wzrok w stronę drzwi.

„Czy jestem zakochana?” Wciąż wsłuchiwała się w słowa, które wypowiedziała na głos, wpatrując się w uśmiechniętą twarz Zofii. Broniła się przed nimi, ale walczyła z... prawdą. Zdawała sobie sprawę, że to walka nierówna, bo przeciwnik po drugiej stronie był niewidoczny. Rozkołysał jej serce, wywołał w jej życiu zawirowanie i teraz nie umiała tego zatrzymać. To serce łomotało, przy każdym uderzeniu przypominając imię ukochanego mężczyzny. Szymon Litworowski... W pośpiechu podeszła do stolika. Pierwszy raz od przeprowadzki włączyła laptop. Usiadła i gorączkowo wpisała w Google znajome imię i nazwisko pisarza.

– O Boże, jak to możliwe? – jęknęła, kiedy na ekranie pojawiły się zdjęcia. Zatrzymała wzrok na jednym z nich. Szymon uśmiechał się w taki sposób, jak to zapamiętała. Uwodzicielskie ciemne oczy też brały udział w tym uśmiechu. Poczowała, że świat wokół niej zaczął kołysać się we wszystkich kierunkach. A

potem zapragnęła dowiedzieć się o Szymonie jak najwięcej.

Od dawna mieszkał w Szwajcarii, w pobliżu jeziora Thun. Ukończył studia w najstarszym uniwersyteckim mieście Szwajcarii – Bazylei. Był autorem cyklu o tematyce fantastycznej, który przyniósł mu światową sławę. Jego książki przetłumaczono na wiele języków. Kilka z nich zekranizowano. Emilia siedziała jak zahipnotyzowana. Nagle znów poczuła smak pocałunku, wilgotne usta Szymona, słone od morskiego powietrza. Boleśnie zaczęło docierać do niej, przed czym tak usilnie się broniła. Kochała Szymona. Pokochała go już w momencie, gdy znalazła się w jego ramionach na plaży w Modrzewiowej. A może zakochała się w nim już przy pierwszym spotkaniu, gdy spojrzała w jego mądre, brązowe oczy? Może pokochała zapach Szymona, wplątany w miękki sweter? Przecież wciąż go miała. Leżał spakowany w foliową siatkę. Poczowała pokusę, by go wyjąć i choć na chwilę przywołać w pamięci tamten czas. Wstała i ruszyła do szafy. W połowie drogi zatrzymała się jednak, przewyciężając słabość. „Nie będę się zachowywała jak ostatnia kretynka” – w duchu przywołała się do porządku. Wróciła do stolika i wyłączyła laptop. „Dość tego! Obudzę się rano i zacznę wszystko od nowa... Bez Igi i Szymona” – pocieszała się w duchu.

Poszła do łazienki. Przez uchylone drzwi pokoju pana Franciszka na korytarz wpadał podłużny snop światła, rzucający przez lampkę nocną stojącą od niepamiętnych czasów na stoliku przy łóżku. Kusiło ją, by do niego zajrzeć i powiedzieć „dobranoc”, ale przeszła dalej i schowała się w łazience.

Odkręciła kurek. Myślała, że ciepła kąpiel zmyje z niej wspomnienia dzisiejszego dnia. Popatrzyła w lustro, a w jego owalnym oku natychmiast ujrziała swoje rozczarowane spojrzenie i wbrew sobie znów przywołała obraz Szymona. Przymknęła powieki i w pośpiechu zdjęła ubranie. Weszła do wanny. Z kranu nadal ciekła woda. Rozpryskujące się krople znów pobudziły jej wyobraźnię. Poszybowała myślami do plaży w Modrzewiowej. Po kąpeli natarła ciało balsamem migdałowym. Uwielbiała go. Miał miękką konsystencję i przyjemny zapach, który od razu poprawiał jej nastrój. Jednak nie tym razem. Woń migdałów zmieszała się z parą wodną unoszącą się z wanny. Emilia włożyła flanelową piżamę w duże czerwone kropki i wyszła z łazienki. Migdałowy aromat snuł się za nią aż do pokoju.

Obudziła się rano. Pan Franciszek już krzątał się w kuchni. Wstawał wcześniej, czasami nawet o piątej przemierzał pokoje z kubkiem ciepłego mleka. Twierdził, że starsi ludzie nie potrzebują już tyle snu co młodzi.

Po wspólnym śniadaniu rozstali się w holu. Kiedy zniknął jej z oczu za ogrodzeniem, zamknęła drzwi wejściowe i wyjęła rower z niedużego pomieszczenia gospodarczego, schowanego za domem. Zza chmur przedzierało się słońce. Była duża szansa na ładną pogodę w świąteczny dzień.

Wyjechała rowerem na podwórko. Gdy znalazła się przy furtce, zatrzymała

się, poprawiła szalik w kolorze dojrzałej pomarańczy, założyła słuchawki i nastawiła ulubioną muzykę. Już miała odjechać, gdy zza najbliższego cyprysu wyszła Iga. Najpierw wychyliła głowę, jakby chciała się upewnić, że Emilia jest sama. Zorientowała się, że droga jest pusta, a oprócz przyjaciółki nie ma nikogo. Odważyła się do niej podejść.

Emilia zdjęła słuchawki, które zaplątały się w brzeg szalika.

– Po co tutaj przyszłaś? – Po raz pierwszy w życiu była dla Igi nieprzyjemna.

– Musisz mi coś wyjaśnić. Skąd znasz Szymka?

Zachwiała się na rowerze, ale postanowiła z niego nie schodzić. Pewnie złapała kierownicę i stabilniej oparła się na nogach.

– Nieważne – bąknęła, nie patrząc na Ige.

– Mylisz się, to jest bardzo ważne. – Iga przybliżyła się, a Emilia dojrzała w jej oczach błysk irytacji.

– Dlaczego sama go o to nie zapytasz?

Iga nie odpowiedziała od razu, tylko długo wpatrywała się w koła roweru. Nagle uniosła głowę.

– Pytałam, ale wyraźnie unikał tematu. – Iga z każdą chwilą była coraz bardziej zdenerwowana. Przebierała nogami, ubranymi w czarne, lśniące legginsy, i jak zwykle stuknęła obcasami. Na jej ustach, pokrytych jaskrawoczerwoną szminką, nie pojawił się nawet cień delikatnego uśmiechu.

– Dlaczego myślisz, że to ode mnie coś usłyszysz? – Poczła się pewniej. Nadal trzymała kierownicę roweru niczym ster okrętu. To dawało jej poczucie siły. Mogła przynajmniej bez obawy spojrzeć Idze w oczy, choć tymczasowa przewaga nie była zbyt duża.

– Jesteś moją... przyjaciółką. – Głos Igi brzmiał cicho i niewyraźnie, jak nieczyste nagranie w starym magnetofonie.

– Jesteś tego pewna?

Iga przemilczała jej słowa. W pewnym momencie nawet odwróciła głowę, spoglądając za przejeżdżającym luksusowym samochodem.

– Powiedz mi po prostu, jak się poznaliście. A może masz coś do ukrycia?

– Może mam, a może nie... – Czula, że jej przewaga nad Igą cały czas rosła.

– No, porozmawiajmy jak za dawnych czasów. – Iga chwyciła za pasek torebki i zaczęła się nim bawić, ciągnąc go raz w górę, raz w dół.

– Właśnie, sama to powiedziałaś. To są dawne czasy. Im szybciej o nich zapomnimy, tym lepiej. Nie przychodź tutaj więcej. Wiesz, że Franciszek za tobą nie przepada. Aha... W antykwariacie też się nie pojawiaj. – Zdjęła rękę z ogrodzenia, położyła stopy na pedałach i odjechała pustym chodnikiem, nie oglądając się za Igą. Kiedy znalazła się na ulicy, kusiło ją, by się obejrzeć za siebie, ale stłumiła ciekawość i skoncentrowała się na jeździe. Wystarczyło jej, że widziała w oczach Igi zdumienie. Poczła satysfakcję.

W antykwariacie Franciszek niewiele się odzywał. Ona знаła przyczynę jego niedostępności. Zofia. Nazajutrz miał spędzić cały dzień w towarzystwie wspomnień o żonie. Przez cały czas były w nim obecne i ożywały przy każdej dyskusji o utraconej ukochanej. Kawa w kubku pana Franciszka zniknęła bardzo powoli, jakby wcale nie miał na nią ochoty. Od wejścia do antykwariatu nie założył nawet okularów i nie sięgnął po tabakierę. Kiedy Emilia kończyła już swoją porcję kawy, przy drzwiach rozległ się dzwonek. Wyszła z zaplecza. Przy jednym z regałów stał Mikołaj.

– Cześć! Mówiłaś, żebym wpadł na kawę, jak będę w pobliżu.

– Tak, rzeczywiście. – Ze wszystkich sił starała się uśmiechnąć.

Powiedziała to na odczepnego, ale Mikołaj albo tego nie zauważył, albo tylko udawał, że nie widzi. W każdym razie teraz stał przed nią z rozanieloną miną i domagał się kawy.

– Przeszkodziłem ci w czymś? – spytał z grzeczności, ale raczej liczył, że Emilia zaprzeczy.

– Nie, no skąd. W dzbanku jest jeszcze kawa. Mam nadzieję, że nie wystygła.

Ostatnie słowa zachęciły Mikołaja. Zdjął kurtkę i odłożył na wieszak. Z niesmakiem zauważyła, że znów miał na sobie wytarte dzinsy, które wyglądały, jakby zaraz miały się rozpaść.

– Usiądź. – Odsunęła się od biurka, robiąc Mikołajowi miejsce. Potem przysunęła drugie krzesło.

Z zaplecza wyjrzał Franciszek. Trzymał swój kubek w szkocką kratę, nadal wypełniony kawą. Gdy zobaczył Mikołaja, na jego pochmurnej twarzy od razu pojawił się uśmiech.

– Mikołaju, jaka miła niespodzianka! – Wydawał się już wcale nie zauważać Emilii. Teraz patrzył tylko na gościa. Wszystko wskazywało na to, że i kawę zamierzał dokończyć w jego towarzystwie.

Znów poczuła ten specyficzny rodzaj irytacji, który pojawiał się zawsze, kiedy Franciszek dokazywał Mikołajowi nadmiar sympatii. A może z jego strony było to normalne zachowanie? Może ona odbierała to opacznie?

– Jest jeszcze gorąca. – Postawiła przed Mikołajem filiżankę, do której wcześniej nalała kawę.

– Dziękuję. – Wziął naczynie, ogrzewając sobie palce.

– Zmarzłeś?

– Może trochę. Przyszedłem pieszo w półtorej godziny. Wczoraj oddałem samochód do naprawy. – Odchylił brzeg rękawa swetra i zerknął na zegarek.

– Musiało ci bardzo zależeć, żeby się tutaj pojawić. – Franciszek nie krył zadowolenia.

Mikołaj cały zwrócił się w stronę Emilii. Długo nie spuszczał z niej oczu.

– Przecież jest jeszcze komunikacja miejska – wtrąciła kąśliwie, poirytowana jego zbyt długim spojrzeniem.

– Chciałem się przejść – powiedział krótko i od razu przeniósł wzrok na antykwariusza.

Po chwili rozmowy z Mikołajem Franciszek najwyraźniej postanowił zabawić się w swatkę i dyplomatycznie wycofał się na zaplecze.

Zauważyła, że Mikołaj przyglądał się jej.

– Nie obraż się, że to powiem, ale nie wyglądasz dziś najlepiej. – Nadal nie spuszczał z niej wzroku. – Źle się czujesz?

– Nie – skłamała bez zastanowienia. Nie czuła się dobrze, ale nie chciała informować o tym całego świata.

– Przecież widzę, że coś jest nie tak.

Gdy na niego spojrzała, dotarło do niej, że chciał jej tylko pomóc, martwił się o nią.

– Jesienna chandra.

– Dopadła cię? – Patrzył na nią tak, jakby jej nie dowierzał.

– Na to wygląda. – Podjęła temat i przez moment naprawdę zaczęła się zastanawiać, czy jej kiepski nastrój to nie efekt nieciekawej pogody. Kiedy jednak kątem oka na najbliższym regale dostrzegła ostatni numer „Głosu Literackiego”, od razu poczuła się, jakby ktoś wylał na nią kubek lodowatej wody.

– Może mógłbym cię jakoś rozweselić?

– Nie sądzę, by komukolwiek to się udało – odpowiedziała, oddalając się od biurka, w obawie, że Mikołaj nie poprzestanie na jednej propozycji. Co gorsza, była pewna, że już układał sobie w głowie scenariusz ich następnego spotkania. Tak jak myślała, nie dał za wygraną. Wstał i podszedł do niej. Żeby odwrócić jego uwagę, zaczęła układać książki na regale z literaturą francuską.

– Zaproponowałem panu Franciszkowi pomoc i z ochotą zgodził się ją przyjąć.

Oderwała wzrok od książek i, chcąc nie chcąc, popatrzyła na Mikołaja.

– Obiecałem, że jutro z samego rana przyjadę po was i pojedziemy na cmentarz.

– Co takiego? To naprawdę zbyteczne. Przecież zawsze dawaliśmy sobie radę, więc i w tym roku...

– W tym roku pojedziemy moim samochodem. Po południu odbieram go z warsztatu. Nie będziecie się tłuc autobusem. Przecież macie do przewiezienia kilka rzeczy.

– Nie musisz...

– Wiem, że nie muszę. Ja chcę. To już ustalone. Po ósmej jestem u was.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Była pewna, że prawdopodobnie trudno będzie się jej uwolnić od Mikołaja. Chociaż był sympatycznym mężczyzną, ta

znajomość zaczynała jej ciążyć. On pojawiał się zawsze tam i zawsze wtedy, kiedy powinien. A może nie powinien?

– Nie chcę ci przeszkadzać. Widzę, że masz sporo pracy. – Obrzucił wzrokiem półkę, na której w ciągu kilku ostatnich minut większość książek zmieniła swoje miejsce.

Nie próbowała go zatrzymać. Wyczuł to albo tak jej się zdawało, bo sięgnął po kurtkę i zaczął zbierać się do wyjścia. Na chwilę wszedł na zaplecze, żeby pożegnać się z Franciszkiem. Gdy wrócił, odłożyła książkę i zwróciła się do niego. Czuła, że jest mu winna przynajmniej tyle.

– To ja idę. – Zasuwał zamek od kurtki i złapał za klamkę. – W takim razie do jutra.

– W porządku. – Starła się obdarzyć go uwagą. Wszystkie znaki na ziemi i niebie mówiły przecież, że na nią zasługiwał.

W dzień Wszystkich Świętych od samego rana świeciło słońce, a z nieba znikły chmury, które je ostatnio zasnuwały.

– Zosia zamówiła nam ładną pogodę. Musi mieć „tam” wysoką pozycję – powiedział Franciszek, zaglądając rano do ogrodu przez kuchenne okno. Nie opuszczał go dobry humor. Sądziła, że to zasługa Mikołaja. Było widać, że czekał na niego już od rana, ponieważ co chwilę spoglądał w kierunku drewnianej tarczy zegara.

Emilia była na nogach od piątej rano. Denerwowała się, gdyż po południu mieli gościć w domu Sarę Walewską, przyjaciółkę Zosi. Upiekła na tę okazję szarlotkę i kruche ciasteczka z różaną konfiturą, oczywiście według przepisu Zofii. W domu unosił się słodki zapach jabłek i cynamonu.

Przy cmentarzu Rakowickim, jak zwykle o tej porze, panował duży ruch. Franciszek i Emilia wysiedli z samochodu w pobliżu głównej bramy, a Mikołaj odjechał na parking. Wrócił szybko z dużym bukietem czerwonych róż na grób Zosi i dwoma paczkami zniczy, które Franciszek kupił już wcześniej.

Przy grobie Zofii stali najdłużej. Tak jak w poprzednich latach Zosia otrzymała swoje ulubione kwiaty, które w jesiennym, nadal ostrym słońcu wyglądały niezwykle. Zresztą Franciszek często tu zaglądał. Nigdy nie chciał, żeby towarzyszyła mu Emilia. Później odwiedzili też miejsce spoczynku rodziców Franciszka i Zosi oraz niewielki grób jej brata Stefana. Ona nie miała tutaj nikogo z bliskich. Jedyni dziadkowie ze strony ojca, których znała, spoczywali na parafialnym cmentarzu w podkarpackiej Hoczwi. Zazwyczaj udawała się tam dopiero drugiego listopada. Wtedy i tłok był mniejszy, i jakby więcej przestrzeni na refleksję. Choć właściwie wspomnień związanych z dziadkami nie miała zbyt wiele. A te, które usilnie przechowywała w pamięci, podsycając widokiem niewielu czarno-białych fotografii, były niewyraźne, bez emocji.

Kiedy wrócili do samochodu, Mikołaj wcale nie sprawiał wrażenia, że ma

zamiar się z nimi rozstać. A gdy pan Franciszek zaproponował wspólny obiad w restauracji, w której zazwyczaj jadał z Emilią, grafik nie krył zadowolenia.

Wystrój głównej sali restauracji nawiązywał do wnętrza gospody. Usiedli przy kwadratowym, drewnianym stoliku na grubych nogach przypominających stemple, w pobliżu kominka, gdzie igrał ogień. Miejsce było ciepłe i przytulne. Mimo słonecznej aury kilka godzin spędzonych na świeżym powietrzu wszystkim dało się jednak we znaki. Emilii nie ochronił przed zimnem nawet jej ciepły strój: jasnoszara tweedowa spódnica z dwiema plisami z przodu kończąca się przed kolanem i czarny, wełniany sweterek oraz narzucone na to zielony płaszcz i chusta z etnicznym wzorem.

– Fajne miejsce – powiedział Mikołaj po skończonym obiedzie. – Na pewno jeszcze tutaj wrócę.

– Przychodzimy do tej restauracji od dawna. Kiedyś pracowała tu moja żona, jeszcze jako młoda dziewczyna. Po ślubie zdecydowała się pomagać mi w antykwariacie. Z zawodu była cukiernikiem. Kochała piec i gotować. Nigdy nie zrezygnowała ze swojej pasji. Przyjaźniliśmy się z pewnym małżeństwem, które miało niewielką kawiarenkę niedaleko naszego domu. Zosia zaglądała do nich kilka razy w tygodniu, żeby coś w przepisach zmienić, ulepszyć. Oj, miała wielu kulinarnych wielbicieli, a ja byłem największym z nich! – Uśmiechnął się na to wspomnienie.

Emilia zauważyła, że przy Mikołaju nawet w takim szczególnym dniu był radosny i wyjątkowo ożywiony. Ona natomiast wycofała się z rozmowy. Od rana jej myśli krążyły wokół Sary. Była ciekawa popołudniowego spotkania z tą kobietą, a jednocześnie obawiała się go. Sara była nieznaną częścią historii z życia Zofii. Emilia wiedziała o Zosi bardzo dużo, bo ta, kiedy jeszcze żyła, chętnie dzieliła się opowieściami z przeszłości. Wydawało się więc, że nie miała nic do ukrycia. A jednak... Rzadko mówiła o okupacji, zupełnie jakby tamte dziecięce wspomnienia włożyła do jednej z szuflad swojego biurka, a potem zgubiła do niej kluczyk. Emilia miała nadzieję, że gdy Sara pojawi się w starej willi pana Franciszka, będzie miała przy sobie zapasowy klucz i być może uda się im wspólnie otworzyć tę „zakurzoną szufladę”. Wciąż miała przed oczami dwie dziecięce buzie z niedużej fotografii, którą zobaczyła na wystawie Grzesia. Coś jej mówiło, że dziewczynką, która tak ufnie wczepiała dłoń w rękę Zosi, była Sara, jej przyjaciółka. Chciała, żeby jej przecucia okazały się prawdziwe.

– Panie Franciszku, myślę, że powinniśmy się już zbierać. – W końcu zdecydowała się przerwać dyskusję, która teraz z tematu ksiązek zesłała na pracę. – O szesnastej spodziewamy się przecież Sary. Co będzie, jeśli pojawi się wcześniej? – Jej gesty były pełne zniecierpliwienia. Co chwilę odwracała głowę w kierunku wieszaka, gdzie zostawiła płaszcz.

– Tak, rzeczywiście będzie lepiej, jak już wyjedziemy.

Pod dom Franciszka dotarli po czterdziestu minutach. Gospodarz z grzeczności i chęci spędzenia jeszcze czasu z Mikołajem zaproponował mu kawę, on jednak odmówił.

– Będzie jeszcze niejedna okazja – mówiąc to, Mikołaj znów patrzył tylko na nią.

– Oj, na pewno. – Franciszek poczuł się w obowiązku, by odpowiedzieć za nią. – Mikołaju, pamiętaj, że zawsze jesteś mile widziany w naszym domu. Prawda, Emilko?

– Panie Franciszku, bardzo miło to usłyszeć. Na pewno o tym nie zapomnę. – Uścisnął jego dłoń i odruchowo złapał ją za rękę.

Wyślizgnęła się mu, zanim zdążył ją objąć.

– Dzięki, że poświęciłeś nam dzisiejsze popołudnie. – Pod wpływem spojrzenia pana Franciszka postanowiła w końcu wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu na koniec spotkania.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Po tych słowach Mikołaj wrócił do samochodu.

Franciszek poczekał, aż grafik wsiądzie i odpali silnik, a ona ruszyła przed siebie. Kiedy weszła do domu, drewniana kukółka właśnie wyskoczyła z zegara ściennego, informując o nadejściu godziny trzeciej. Odchyliła firankę i zerknęła na dróżkę prowadzącą od furtki do drzwi domu. Szedł nią Franciszek. Przyglądała się mu, ale on tego nie widział. Człapał, spoglądając na swoje buty, do których przykleiło się kilka wilgotnych liści. Poruszał się tak nieśpiesznie, jakby opuściły go siły. Gdy był w połowie drogi do wejścia, zatrzymał się i włożył ręce do kieszeni, czegoś w nich szukając. Domyśliła się, że chodziło mu o okulary albo tabakę, ale przecież zostały w marynarce, którą jeszcze przed wyjazdem odwiesił w pośpiechu na oparcie krzesła. Teraz też szybko wyjął ręce z kieszeni wełnianego płaszcza i znów ruszył do przodu, spoglądając w stronę okna. Zauważył Emilię. Pomachała mu. Wyprostował się i uśmiechnął powściągliwie.

Sara Walewsky zjawiła się dokładnie o szesnastej. Pod posesję przyjechała taksówką, która zatrzymała się naprzeciw furtki. Franciszek celowo jej nie zamknął. Kobieta otworzyła bramkę i znalazła się w ogrodzie. Potem ruszyła zdecydowanym krokiem w kierunku schodów.

– Przyjechała. – Odwróciła głowę od okna i popatrzyła na Franciszka nerwowo.

– Jest punktualna. – Znów zapatrzył się na tarczę zegara ściennego. Zaraz potem pośpieszył do holu i otworzył gościowi drzwi.

– Dzień dobry – Sara przywitała się ciepło, z typowym amerykańskim akcentem.

Franciszek z Emilią wyszli do przodu, ale starsza pani była znacznie szybsza i już po chwili ścisnęła ich dłonie.

– Tak się cieszę, że w końcu tu dotarłam... Że w ogóle jestem w Polsce.

– Saro, miło mi, że mogę cię gościć w moim... naszym domu. – Sara i Franciszek długo się w siebie wpatrywali. Widzieli się w młodości przelotnie, a swoje dojrzałe rysy znali tylko ze zdjęć.

– Spóźniłam się kilka lat... A pani pewno jest Emilia? – Przysunęła się bliżej.

– Proszę mi mówić po imieniu.

– Saro, proszę, rozbierz się i przejdźmy do pokoju. Nie będziemy przecież tak stać w holu. – Franciszek wziął jej płaszcz i powiesił na wieszaku.

Sara wygładziła fałdy bordowej sukienki i rozejrzała się po holu. Franciszek otworzył drzwi do salonu, przepuszczając kobiety przodem.

– Bardzo gustowny pokój. – Usadowiła się na kanapie, cały czas rozglądając się wokół.

Miała całkiem siwe, krótkie, bardzo ładnie ułożone włosy, które wyglądały, jakby dopiero wyszła od fryzjera. Już na pierwszy rzut oka można było ocenić, że należy do kobiet z klasą, ale skromnych.

– Czego się pani napije?

– Herbaty.

Po chwili Emilia podała herbatę, szarlotkę i kruche ciasteczka z konfiturą różaną. Sara natychmiast się poczęstowała, nakładając na swój talerzyk jeden z większych kawałków ciasta.

– Wspaniale – odezwała się, gdy przełknęła pierwszy, zbyt duży kęs.

– Szarlotka upieczona przez Emilię według starego przepisu Zosi!

– Naprawdę pyszna.

– Dziękuję.

– Jesteś bardzo podobna do Zofii, zupełnie jakbyście były spokrewnione.

Emilia uśmiechnęła się, ucieszyły ją te słowa.

– Wiesz, że byłaś dla niej bardzo ważna? – Sara spojrzała na pusty fotel stojący naprzeciwko w taki sposób, jakby siedziała tam Zofia.

– Wiem. Zosia była, jest i na zawsze pozostanie mi bliska.

– Bardzo cieszyła się, że ciebie miała. Byłaś dla niej największą niespodzianką od losu. – Obie kobiety poczuły, jakby w tym momencie połączyła je bardzo bliska więź. Zupełnie jakby miały wspólną tajemnicę.

Franciszek był zakłopotany tą niejasną damską relacją, bo na zawołanie zakasłał, a potem, jak to miał w zwyczaju, włożył rękę do kieszeni swetra w poszukiwaniu tabakiery.

– Mogłabym zobaczyć pokój Zosi... Stolik, przy którym pisała do mnie listy? – Sara była zakłopotana.

– Tak, oczywiście. – Poderwała się, gotowa, by w każdej chwili zaprowadzić gościa do pokoju swojej dawnej opiekunki. Franciszek uśmiechnął się pod nosem.

Czuł, że kobiety chcą pobyć ze sobą sam na sam.

Kiedy Sara przekroczyła próg sypialni przyjaciółki z dzieciństwa, stanęła na środku i popatrzyła na okno. Sprawiała wrażenie głęboko zadumanej.

– To dziwne, nigdy wcześniej tu nie byłam, a znam to miejsce doskonale. Zofia opisała mi je w takich detalach, że czuję, jakbym już odwiedzała ją tu wiele razy. Jej listy to poezja. Zawsze za nimi tęskniłam. Byłam od nich uzależniona. Zofia pomogła mi przetrwać w życiu wiele trudnych chwil. Brakuje mi jej. Często podchodzę do skrzynki, czekam na wiadomość. Ona nigdy nie nadejdzie. – Uśmiechnęła się smutno.

Emilia przyglądała się jej z ciekawością. Twarz zdradzała, co grało jej w duszy. Ona zresztą nawet nie próbowała tego ukryć. Patrzyła na dziewczynę w taki sposób, jakby chciała powiedzieć coś bardzo ważnego.

– Jak się poznałyście?

Sara westchnęła. Długo nic nie mówiła.

– To smutne. Minęło już tyle lat, a nadal trudno mi o niej mówić.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska. – Naprawdę żałowała pytania, które zadała, ale znajomość Zofii z Sarą coraz bardziej rozpaliała jej ciekawość. Chciała powiedzieć Sarze o zdjęciu, ale po jej reakcji zgasła wcześniejszy zapał.

– Nie jesteś, to normalne, że zapytałaś. Chodzi tylko o to, że ja... – Sara oderwała dłonie od ściany, a potem podeszła bliżej. Odważyła się spojrzeć dziewczynie prosto w oczy. – Może kiedyś ci o tym opowiem. Na pewno nie teraz. – Opuściła głowę i mocno zmrużyła powieki. Po chwili znów popatrzyła na Emilię. Było widać, że od tego momentu rozmowa zaczęła sprawiać jej trudność. Można było odnieść wrażenie, że starsza pani chce wyjść z pokoju Zofii, mimo że nawet nie zdążyła jeszcze dokładnie go zwiedzić.

– Może chce się pani jeszcze czegoś napić?

– Tak, chętnie. – Po tych słowach od razu znalazła się przy drzwiach.

Wydawało się, że czmychnęła przez nie jak mysz. Gdy weszła do salonu i rozsiadła się znów na kanapie, ochoczo wdała się w rozmowę z Franciszkiem. Poruszali wiele błahych tematów, a starsza pani sprawiała wrażenie nieobecnej. Dość szybko zakończyła też wizytę. Gdy opróżniła drugą filiżankę herbaty, wstała, wygładzając sukienkę.

– Powinnam już jechać. Mam jeszcze jedno ważne spotkanie.

– Nie będę cię zatrzymywać, choć nie ukrywam, że chętnie dłużej bym cię gościł. – Franciszek wstał, podszedł do Sary i przepuścił ją przodem. – Długo zabawisz w Polsce? – spytał, kiedy włożyła już płaszcz i była gotowa do wyjścia.

– To zależy... – przerwała wymownie, licząc na to, że Franciszek nie zapyta o nic więcej.

Rzeczywiście, po słowach Sary zamilkł. Przez moment kobieta poczuła się niezręcznie.

– Przyjechałam na dwa miesiące, ale nie wiem, ile zostanę.

Gdy Franciszek otwierał drzwi, Emilia sięgnęła po swój płaszcz, a zaraz potem w pośpiechu wkładała na nogi krótkie kozaki.

– Pani Saro, proszę zaczekać. Odprowadzę panią do bramki.

Starsza kobieta uśmiechnęła się do niej, zatrzymując się w drzwiach. Kiedy wyszły przed dom, rozglądała się wokół z zainteresowaniem.

– Piękna jest polska jesień... – Zaszurała butami, ciągnąc pod podeszwą kilka zeschniętych liści. – Najpiękniejsza pora roku. Z Zosią poznałyśmy się właśnie jesienią. – Nadal się uśmiechała, ale z każdą chwilą jej usta kurczyły się, przypominając prostą kreskę.

Popatrzyła na Emilię przenikliwie, zatrzymując wzrok na jej włosach. Zbliżyła się do niej. Nie patrzyła w oczy dziewczyny, tylko w jaskrawe oczko srebrnej spinki.

– Pięknie ci. Jak Zosi. Dobrze, że ci ją podarowała.

Emilia odruchowo chwyciła rubinowe oczko i przypadkiem pociągnęła spinkę w dół. Zatrzymała się tuż nad jej uchem.

– Skąd pani wie, że to od Zosi? – Znów złapała spinkę, starając się poprawić fryzurę.

Sara zrobiła zagadkową minę.

– Dostała ją ode mnie – odezwała się. Jej uśmiech zbladł, jakby dotknęła znów niemiłych wspomnień. Włożyła rękę do skórzanej torebki. Po kilku sekundach trzymała w otwartej dłoni niewielki błyszczący przedmiot. Uniosła wyżej rękę. – Zobacz, mam taką samą. – Jej oczy roziskrzyły się wewnętrznym uśmiechem, ale usta pozostały nieruchome.

– Jest identyczna. – Emilia nie była w stanie oderwać wzroku od niewielkiego błyszczącego rubinu zdobiącego srebrną spinkę.

– Tak. Zawsze mam ją przy sobie. W młodości wpinałam ją we włosy, ale teraz... – Przejechała drugą ręką po włosach. – Jak bym ją założyła, wyglądałabym jak stara wariatka. – Uśmiechnęła się. Potem zamknęła spinkę w dłoni i schowała z powrotem do torebki. – Nie mam jej komu dać. Zosia miała ciebie, a ja... – Na jej twarzy malował się smutek. – Ja mam tylko wspomnienia, i to niezbyt dobre – dodała, patrząc w stronę furtki.

– Pani Saro. – Czują, że teraz jest właściwy moment, by poruszyć temat intrygującego zdjęcia. – Chciałam panią zapytać, czy macie z Zosią jakieś wspólne zdjęcia z dzieciństwa. – Zamilkła, widząc reakcję starszej pani.

Sara zacisnęła dłonie na brzegu płaszcza i głośno westchnęła.

– Nie, nie mamy. Ja zaraz po wojnie wyjechałam. – Ciemnobrązowe oczy Sary patrzyły spokojnie i uważnie na Emilię. – Ale... dlaczego mnie o to pytasz?

– Ostatnio byłam na wystawie fotograficznej i... przypadkowo natrafiłam na zdjęcie Zofii.

Sara wyprostowała się. Wiedziała, że dziewczyna chce jej przekazać coś więcej.

– Na tej starej fotografii Zosia ma zaledwie kilka lat i... jest w towarzystwie innej dziewczynki. Pomyślałam, że być może to pani.

Przyjęła tę wiadomość niezwykle spokojnie. Wyglądało na to, że zbagatelizowała sprawę. Chyba nawet nie wierzyła w tę całą fotografię, a pomysł uznała za niedorzeczny.

– To niemożliwe! Jak już powiedziałam, nie miałyśmy żadnych wspólnych zdjęć. Może ze dwa... Ale te zrobione były, gdy byłyśmy po trzydziestce. – Roześmiała się głośno, jakby chciała ukryć zmieszanie.

– Może jednak chciałyby ją pani zobaczyć?

– Nie. Nie wydaje mi się...

– Myślę, że powinna pani zobaczyć tę fotografię. Jest na niej pani przyjaciółka. – Ze wszystkich sił starała się namówić Sarę. Wiedziała, że zachowuje się nachalnie, ale nie mogła przestać.

– No nie wiem... – Sara wydeła policzki, wciąż zwlekając z podjęciem decyzji.

– To niedaleko, na ulicy Szewskiej, przy Rynku. Mogłybyśmy się tam wybrać razem.

– Widzę, że bardzo ci na tym zależy...

– Tak. Bardzo chciałabym, żeby zobaczyła pani to zdjęcie.

– No dobrze. Poza dzisiejszym spotkaniem nie mam w Polsce wiele do roboty. Przyjechałam tutaj, bo... – Przerwała, ale zaraz umiejętnie zmieniła temat. – A więc zgoda. Wyznacz termin, ja się do niego dostosuję.

– Bardzo się cieszę! – Emilia rozpromieniła się. Teraz nie chodziło już tylko o zdjęcie. Czuli, że Sara ma jej coś do przekazania. Łączyła je z Zosią tajemnica. Fragment wspólnej, bardzo odległej historii, do którego poza nimi nikt nigdy nie miał dostępu. – Może jutro, godzina siedemnasta? Akurat kończę pracę, więc mogłybyśmy się umówić gdzieś w Rynku?

– Mogę przyjść do antykwariatu. Nadal tam pracujesz? – spytała Sara, choć wiedziała od Zosi, że rodzinny antykwariat Franciszka był równie ważny dla Emilii, jak dla niego.

– Dobrze. Gdzie się pani zatrzymała?

– Novotel na Kościuszki. – Sara nagle się ożywiła. Wydawała się zupełnie inną osobą niż przed chwilą. – Chyba jeszcze odwiedzę dzisiaj fryzjera. Może znasz jakiś salon? – Przejechała ręką po ładnie ułożonych włosach.

– Dzisiaj wszystko jest już zamknięte. Ale Zosia miała ulubiony salon fryzjerski na Szewskiej, niedaleko miejsca, gdzie jest wystawa ze zdjęciami.

– Ach, rzeczywiście. Cesała się tam przez całe życie. Miała piękne włosy. Na pewno tam zajrzę.

Tuż za bramą zauważyły taksówkę, po którą Sara zadzwoniła kilkanaście minut wcześniej.

– Moja karoca – zażartowała. Złapała rękę Emilii i mocno uścisnęła. – W takim razie do zobaczenia, moja droga. Jutro jestem w antykwariacie około siedemnastej.

– Cieszę się bardzo, że będę mogła spędzić z panią trochę więcej czasu.

– Też się cieszę – odpowiedziała Sara, a po chwili była już po drugiej stronie furtki. – Do zobaczenia! – krzyknęła, zanim zamknęła drzwi taksówki.

Nazajutrz Emilię przywitało światło wpadające do środka przez oszronione szyby. W domu było cicho i chłodno. Czym prędzej zarzuciła na siebie szlafrok i wyszła do holu. Franciszek jeszcze spał. Wczorajszego wieczoru uzgodnili, że dzisiaj zostanie w domu. Po wizycie Sary poczuł się gorzej. Wyglądał, jakby się przeziębził, ale ona podejrzewała, że to znów odezwała się tęsknota za ukochaną żoną. Przeczynała, że gdy tylko wyjdzie do pracy, Franciszek od razu popędzi na cmentarz.

Tego dnia ubrała się cieplej niż zazwyczaj. Wyjęła z szuflady grubsze rajstopy i zakładaną spódnicę w popielato-granatowe paseczki. Zazwyczaj sięgała po nią dopiero wówczas, kiedy temperatura oscylowała w granicach zera. Śniadanie zjadła sama, nie chciała budzić Franciszka. Przed wyjściem do antykwariatu zajrzała do jego pokoju, by się pożegnać. Leżał na łóżku i czytał książkę. Gdy ją zobaczył, zsunął lekko okulary, które zatrzymały się na czubku nosa.

– Chciałam tylko powiedzieć, że wychodzę.

– Na pewno dasz sobie radę?

– Przecież już to uzgodniliśmy. Dobrze pan wie, że radzę sobie doskonale. Nie musi się pan obawiać. Kocham ten antykwariat tak samo jak pan.

Franciszek usiadł na łóżku.

– To dobrze. Wiem, że już wielokrotnie ci to mówiłem, ale powiem jeszcze raz: cieszę się, że jesteś. – Zdjął okulary i odłożył na stolik przy łóżku. Potem zamknął książkę i nadal trzymał ją w dłoniach.

– Jest tylko jeden problem. Nie mamy na dzisiaj obiadu. Wrócę trochę później. Mówiłam panu już, że po pracy umówiłam się z Sarą. Mogę coś kupić, jak będę wracała.

– Nie ma takiej potrzeby, obiad zjem w naszej restauracji przy cmentarzu. – Franciszek spojrział w okno. Stracił ochotę na rozmowę.

– Naprawdę czuje się pan na siłach, żeby tam pojechać? Wczoraj nie wyglądał pan najlepiej.

– Czuję się dobrze – zakończył rozmowę i znów otworzył książkę.

I tak wiedziała, że bez okularów nie jest w stanie nic zobaczyć.

– W takim razie wychodzę. Życzę panu miłego dnia. – Popatrzyła z troską na

Franciszka i wyszła.

Na dworze mróz był niewielki, zaledwie dwa stopnie na minusie, ale chłodne powietrze, poruszone zachodnim wiatrem, drażniło twarz nieprzyjemnym szczypaniem. Poza tym od ponad dwóch tygodni nad Krakowem unosił się gęsty smog, który znacznie utrudniał oddychanie. Emilia postanowiła, że tego dnia nie pojedzie do pracy na rowerze, tylko pójdzie na piechotę. Szła szybko. Po kilkunastu metrach zrobiło się jej gorąco. Gdy znalazła się na ulicy Świętego Sebastiana, zdjęła czapkę, a kiedy doszła do Świętej Gertrudy, rozchyliła szalik. Na Plantach zwolniła. Chociaż było już przed dziesiątą, ulice wydawały się uśpione. Lekki mróz, który rano zostawił na trawnikach biały szron, teraz ustąpił miejsca mgłę. Nie była już pewna, czy to rzeczywiście mgła, czy nieprzyjemny smog. W każdym razie pogoda nie zachęcała do spaceru.

Gdy dochodziła do antykwariatu, zauważyła, że przed jego drzwiami czekała jakaś kobieta. Przyśpieszyła kroku, podniosła rękaw płaszcza i zerknęła na zegarek. Było kilka minut przed dziesiątą. Rzadko, ale jednak czasami się zdarzało, że klienci stali przed antykwariatem, czekając na otwarcie. Kobieta zwrócona była twarzą do szyby wystawowej, z uwagą wpatrując się w zniszczone metalowe klawisze kontinentalą, zabytkowej maszyny do pisania stojącej na niedużym drewnianym podwyższeniu. Gdy Emilia znalazła się mniej więcej trzy metry przed wejściem, wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła z niej pęk kluczy, które głośno zabrzęczały. Stojąca przed wystawą klientka nagle się odwróciła.

– Pani Sara? Przecież umówiliśmy się dzisiaj o siedemnastej... Czy coś pomieszałam?

– Nie. Nic nie pomyliłaś. To ja... Po prostu musiałam cię zobaczyć wcześniej. – Na twarzy Sary malowały się jaskrawoczerwone rumieńce. Wszystko wskazywało na to, że musiała stać tutaj już jakiś czas. Pocierała ręce, które miały niemal identyczny odcień jak jej policzki.

– Wejdzmy. – Zbliżyła się do wejścia i wsunęła klucz do zamka. – Zapraszam.

Sara weszła szybko i stanęła przy oknie wystawowym. Sprawiała wrażenie zagubionej.

– Tutaj mamy dość chłodno. Nie wiem, czy zdecyduje się pani zdjąć płaszcz. Zaraz włączę piecyki.

Przeszył ją dreszcz. W takie dni w antykwariacie było naprawdę bardzo zimno. Trzem elektrycznym piecykom trudno było nagrzać sześćdziesiąt metrów kwadratowych.

– Proszę usiąść. – Wysunęła krzesło zza biurka.

– Emilia, na tym zdjęciu jestem ja. – Sara wydawała się nie zwracać uwagi na słowa dziewczyny. Podeszła jednak do niej i położyła dłoń na oparciu krzesła. Drugą ręką wolno rozpięła guziki płaszcza.

– Widziała pani to zdjęcie? Przecież miałyśmy iść na wystawę dopiero dzisiaj.

– Tak, wiem. Trafiłam tam przez przypadek. Sama mówiłaś, że ta galeria jest na tej samej ulicy co salon fryzjerski. Coś mnie tam ciągnęło. Pojechałam, chociaż salon był zamknięty – mówiła bardzo głośno, była poruszona. – Chciałam po prostu przejść się tą uliczką i obejść Rynek. Kiedy byłam na Szewskiej, przede mną szła grupka młodych ludzi. Głośno rozmawiali. Z ich słów wynikało, że chcą obejrzeć wystawę zdjęć starego Krakowa. Znajdowałam się kilka kroków za nimi. Kiedy się spostrzegłam, stałam przed bramą galerii... – Głośno przełknęła ślinę, jakby była spragniona.

– Może zrobię pani coś do picia? Kawa, herbata? – Cofnęła się do drzwi zaplecza.

Sara kilka razy zamrugnęła oczami, jakby dopiero się obudziła.

– Tak, chętnie napiję się kawy.

– Mam nadzieję, że będzie pani smakowała. Niestety, trzeba będzie na nią trochę poczekać.

– Nigdzie mi się nie śpieszy. – Głos Sary nadal brzmiał dźwięcznie, zagłuszając monotonną ciszę poranka.

Emilia wyszła na zaplecze, ale nie mogła się skupić. Jej myśli były po drugiej stronie ściany, przy tej nieznanym, ale bliskiej kobiecie. Gdy wyszła z zaplecza, Sara siedziała przy biurku, opierając łokcie na blacie. Patrzyła w okno nieobecny wzrokiem. Dopiero kiedy postawiła przed nią filiżankę z kawą, Sara uniosła głowę i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Dziękuję. – Zamieszała napój. – Ładnie pachnie, cynamonem.

– Tak, cynamonem. – Uśmiechnęła się. – Jest pani pewna, że ta dziewczynka na zdjęciu to pani?

– Tak, jestem pewna – odpowiedziała zdecydowanie, a po tych słowach zaczęła jej drżeć broda. – Nie wiem, jak to się stało... To znaczy, kiedy zrobiono to zdjęcie. – Było widać, że ze wszystkich sił stara się zebrać myśli. – Krótco po tym wyjechałam z moją ciotką do Stanów.

Przyglądała się Sarze. Nie miała śmiałości, by spytać ją o cokolwiek. Starsza pani ostrożnie wzięła do ręki filiżankę i powoli upiła kilka łyków. Zaraz potem odłożyła ją i wstała. Podeszła do okna.

– To niewiarygodne, że jedna fotografia potrafi przywołać tyle wspomnień – mówiła cicho do szyby.

Zdawała sobie sprawę, że tak było jej łatwiej. Nie musiała patrzeć jej w oczy, choć właściwie w szybie widziała swoje.

– Właśnie po to tutaj przyjechałam. Jestem coraz starsza, może nie będzie następnej okazji. Powinam wszystko poukładać, zobaczyć... – Urwała. Jej ciemne oczy lekko się zaszklily. – Nie wiem tylko, czy dam radę – dodała bardzo cicho.

– Czego pani się boi? – Patrzyła miękko, jakby chciała jej dodać otuchy, przeczuwając, że to, co od niej usłyszy, nie będzie piękną, ckliwą historią.

– Im dłużej jestem w Krakowie, tym silniejsze mam poczucie, że nie powinnam tu wracać. Zwłaszcza teraz, kiedy nie ma już Zosi. Sama nie wiem, czemu zdecydowałam się przylecieć akurat teraz... Jest tyle miejsc, tyle przykrych wspomnień, którym nie powinnam się przyglądać. Tyle gorzkości. Po co mi to?

– Saro, mogę pani jakoś pomóc?

Sara z trudem uniosła powieki.

– Nie, nie sądzę, by ktokolwiek mógł mi jeszcze pomóc. – Zmusiła się do uśmiechu. – Ale dziękuję za te słowa. Emilia, jesteś taką dobrą dziewczyną. Jest w tobie tyle z Zofii.

– To miłe, co pani mówi, ale...

– Może gdybym zrobiła to wcześniej, tak jak sugerowała Zosia. Gdybym odważyła się komuś o tym opowiedzieć, byłoby mi łatwiej, a tak czuję, że cała ta przeszłość... Ona mnie zabija. Jestem już taka stara... – Skrzyżowała ręce na ramionach. – Mam wrażenie, że moje ciało mnie nie słucha, moje myśli mnie oszukują i tylko wspomnienia są wyraźniejsze niż zwykle. Dlaczego wciąż jest we mnie ta mała dziewczynka? Przecież jej nie powinno tam być już od dawna – powiedziała z wyrzutem.

– Naprawdę nie wiem, co mogłabym dla pani zrobić, ale jeśli...

– Dla mnie słońce zaszło już dawno temu. – Sara zacisnęła usta i znów odwróciła się do szyby.

Walczyła z pokusą, by podejść do Sary, może ją objąć, sprowokować do zwierzeń. Wyrzucała sobie, że nie potrafi z nią rozmawiać. Kiedy wydawało się, że Sara powie coś więcej, jednak nagle zamykała się, a Emilia czuła wówczas jeszcze większy niedosyt. Nie sądziła, że jedna ulotna chwila, zatrzaśnięta przez przypadek w starej niepozornej fotografii, może mieć dla kogoś tak duże znaczenie.

– Przepraszam cię za moje... za to, co mówię, ale... – Złapała się za głowę w taki sposób, jakby nagle poczuła uporczywy ból. Oparła się o ścianę tuż przy oknie.

Stała nieruchomo, obserwując zachowanie kobiety. Ogarniało ją coraz większe przerażenie. W końcu nie wytrzymała i podeszła do Sary, lekko trącając jej dłoń.

– Pani Saro, wszystko w porządku?

Gdy Sara otworzyła oczy, Emilia odruchowo cofnęła się. W oczach starszej pani zobaczyła strach.

– Jeszcze raz cię przepraszam. Nie powinnam wracać do Polski. Są miejsca... Wspomnienia o nich na zawsze powinny zostać zamknięte. Sama nie wiem, dlaczego właśnie teraz zdecydowałam się na powrót... – Zamilkła i znów odwróciła się do okna. – Skąd ta fotografia? Kto ją znalazł?

– Nie wiem.

Ta odpowiedź nie zadowoliła Sary. Przypatrywała się Emilii z wyrazem oczekiwania.

– Tę wystawę organizował mój znajomy, ale szczerze mówiąc, nie wiem, skąd wziął te wszystkie fotografie. Nie pytałam go.

– Mogłabyś to zrobić? – Sara stanęła przed Emilią i złapała ją za rękę.

– Chyba tak – odpowiedziała zdezorientowana dziewczyna. – Mogę pójść do niego, mieszka niedaleko.

– Naprawdę mogłabyś to zrobić?

– Tak. Byłyśmy umówione na dzisiejsze popołudnie, ale rozumiem, że skoro zobaczyła pani już fotografię, to nie zechce tam pani iść ponownie.

– Pójdę, ale... – Uciekła wzrokiem w stronę drzwi wyjściowych. – Pójdę, jak będę wiedziała coś więcej na temat tego zdjęcia.

Emilia poczuła, że nie może jej zawieść. Że za wszelką cenę musi dowiedzieć się wszystkiego od Grzesia. Uśmiechnęła się do Sary niepewnie, a ta skierowała się do drzwi.

– Przyjdę do ciebie jutro z samego rana. Może uda ci się czegoś dowiedzieć.

– Będę się starała, ale... – Wystraszyła się, że może nie będzie miała dla Sary pomyślnych wiadomości. Że wcale nie będzie ich miała.

Kiedy Sara znalazła się przed antykwariatem, jeszcze jakiś czas stała, wpatrując się w wystawę. Emilia zbliżyła się do szyby. Wtedy tamta kobieta uśmiechnęła się do niej smutno, a zaraz potem odwróciła się i odeszła w kierunku Rynku.

Franciszek nie pojawił się tego dnia w antykwariacie. Tuż przed siedemnastą Emilia wyłączyła piecyki i zaczęła zbierać się do wyjścia. Gdy w rękę trzymała już czapkę, zerknęła na witrynę, oświetloną tylko nikłym blaskiem jesiennej ulicy. Za szybą mignęła jej męska sylwetka. Wysoki mężczyzna, ubrany w krótki, ciemnobrązowy płaszcz, zbliżył się do drzwi antykwariatu. Poczowała mocne uderzenia serca.

– Szymon, co tu robisz? – zapytała, gdy wszedł do środka i stanął przed nią.

– Znalazłem cię. – Uśmiechnął się i zdjął zaparowane okulary.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? Iga ci powiedziała?

– Iga? – Przetarł okulary kawałkiem irchy, który wyjął z kieszeni. – Nie, nie Iga. Nie chciała mi nic powiedzieć na twój temat. Moja przenikliwość pisarska okazała się w tym przypadku jednak niezawodna. Wiem, że się przyjaźnicie, a w którejś z wcześniejszych rozmów Iga wspominała coś o przyjaciółce, która pracuje w krakowskim antykwariacie. – Nie krył zadowolenia, że jego śledztwo zakończyło się pomyślnie.

– W Krakowie jest kilka antykwariatów.

– Wiem, obszedłem wszystkie. Już niemal straciłem nadzieję. Ten był ostatni. Myślałem, że już cię nie znajdę.

– Po co chciałeś się ze mną spotkać? – Cofnęła się, kiedy zauważyła, że Szymon wyciąga rękę w jej stronę.

– Jak to po co? Musimy porozmawiać.

– O czym? – Znów cofnęła się o krok.

– O nas – odezwał się głośno i stanął przy niej.

Odwróciła głowę, jakby sprawdzała drogę ucieczki. Szymon mocno ją objął.

– Puść mnie. – Starła się mu wywinąć.

Nie posłuchał. Wtedy zebrała wszystkie siły i mocno go odepchnęła. Była wściekła i to dodało jej odwagi. Szymon wyprostował się i poprawił okulary, a ona odsunęła się na bezpieczną odległość.

– Przepraszam. – Szymon zmieszał się. – Nie powinienem, ale... bardzo stęskniłem się za tobą. Bałem się, że już nigdy cię nie zobaczę.

– Naprawdę? – Popatrzyła na niego kpiąco. „Jesteś aż takim hipokrytą?!” – pomyślała, ale nie odważyła się wypowiedzieć tego na głos.

– Chciałbym ci wyjaśnić... – zaczął poważnym tonem.

– Na przykład to, co łączy ciebie i Igę?

– Myślę, że odebrałaś to inaczej, niż wygląda w rzeczywistości.

– A jak wygląda? Iga jest twoją dziewczyną. Czy chcesz jeszcze coś dodać?

– Starła się tłumić emocje. Zawiódł ją i zranił tak dotkliwie, że teraz bała się nawet spojrzeć mu prosto w oczy. Tylko dlaczego się bała? Dlaczego on ją tak upokorzył? Dlaczego teraz udowadnia, że coś do niej czuje?

– Iga nie jest moją dziewczyną. Zbyt krótko się znamy, żeby łączyła nas taka

relacja.

Zauważyła, że kiedy mówił o Idze, peszył się.

– Czyli coś was łączy – odparła z wyraźnym rozczarowaniem w głosie.

– Poznałem Ige...

– Daruj sobie szczegóły. – Ruszyła do wyjścia i położyła rękę na wyłączniku światła. – Wychodzisz? Chcę zamknąć antykwariat, jest już po siedemnastej – odezwała się oficjalnie.

– Tak, już się zbieram.

Wyminął ją. Kiedy przechodził obok, odniosła wrażenie, że chciał się zatrzymać. Już nawet podnosił rękę. Ona wtedy szybko nacisnęła wyłącznik, a całe pomieszczenie zalała ciemność. Emilia wzięła pęk kluczy, po czym wsunęła do zamka właściwy i zamknęła drzwi.

Szymon stał oparty o ścianę i cierpliwie się jej przyglądał. Gdy po którymś szarpnięciu przekonała się, że metalowe drzwi ani drgną, w końcu odwróciła się i ruszyła przed siebie. On poszedł za nią i po chwili się zrównali.

– Nienawidzisz mnie? – spytał, kiedy akurat mijali jasno oświetloną wystawę sklepową i mógł zobaczyć jej twarz.

– Nie, to nie to – odpowiedziała i zatrzymała się. – Jestem tylko zawiedziona, że mnie oszukałeś.

– Nie oszukałem cię! – Szymon mówił podniesionym głosem. – Ige poznałem przez przypadek i... zauroczyłem się.

– A jednak...

– Nie zrozum mnie źle. Ja zauroczyłem się książką Igi. Tylko że ona odebrała to inaczej. Zresztą na początku ja też pomyślałem, że ktoś, kto napisał tak świetną powieść, musi być wspaniałym człowiekiem.

– A teraz?

– Teraz... – Szymon poprawił okulary w taki sam sposób, jak czynił to Franciszek.

Ten gest ją rozculił. Obaj mężczyźni mieli ze sobą coś wspólnego. Nosili się z identyczną staromodną elegancją. I nie chodziło tutaj o ubiór, ale raczej o styl bycia. Obaj mieli podobne inteligentne spojrzenie, spokojne, wyważone gesty i to coś, co odróżniało ich od reszty mężczyzn, a czego nie potrafiła określić.

– Nie czuję nic do Igi. Nie mógłbym być z kimś takim. Nie mam pojęcia, w jaki sposób ona napisała tę swoją książkę. Joanna, ta jej bohaterka, przypomina mi bardziej ciebie.

– Miło mi, że tak o mnie myślisz. – Przerwała mu i znów poczuła zawód, taki sam jak w chwili, gdy zastała zamknięte drzwi latarni. – To przecież tylko fikcja – odparła, choć wiedziała, że to nieprawda. Joanna była taka jak ona.

– Nie, każdy twórca opisuje świat, który go otacza. Ale o tym wie tylko on...

– Ty wiesz o tym najlepiej, tak? – Śmiało spojrzała mu w oczy.

– Co nieco wiem na ten temat.

– Przeczytałam twoje wszystkie książki. Są niesamowite. – Włożyła rękę do kieszeni i wyjęła z niej zwiniętą czapkę. Była podekscytowana rozmową. Mężczyzna z plaży w Modrzewiowej był nieodgadniony, miał tylko imię, piękne ciemne oczy, najładniejsze, jakie widziała. Kiedy nie miała pojęcia, kim jest, wszystko było możliwe. A teraz?

– Naprawdę znasz moje książki?

– Tak. Każdą przeczytałam od deski do deski, a po *Gniew Heliany*, *Ludzi z kamienia* i *Cień Kasjopei* sięgałam kilka razy.

Chciał ją o coś zapytać, ale zauważył, że drży, więc zmienił temat.

– Jest ci zimno. Może usiądziemy i napijemy się czegoś ciepłego? – Zależało mu, żeby nie odmówiła.

– Bardzo chętnie, ale dzisiaj się śpieszę.

Szymon przybliżył się do niej i poprawił jej szalik. Na policzku poczuła muśnięcie jego dłoni.

– Włóż czapkę...

Gdy nie zareagowała, wyjął czapkę z jej dłoni i delikatnie odchylił jej włosy, które zatrzymały się na kołnierzu płaszcza. Znowu poczuła na policzku jego ciepłe palce. Wiedziała, że zrobił to specjalnie. Ten dotyk był niemal tak samo przyjemny jak pocałunek na wyludnionej plaży.

– Chciałbym spędzić z tobą więcej czasu, ale jutro wyjeżdżam. – Wyraźnie się zmartwił.

– Do Modrzewiowej? – spytała z ciekawością.

Chociaż sytuacja z Igą nadal nie była dla niej do końca jasna, czuła, że każda kolejna minuta, każde następne słowo zbliżały ją do Szymona. Znowu był dla niej tajemniczym człowiekiem z latarni. A Iga? Może długonoga, blondwłosa przyjaciółka była tylko krótkim epizodem? Niestety, epizodem, który nadal trwał.

– Pójdę już. – Nasunęła głębiej czapkę. Zaraz potem odwróciła się i szybkim krokiem skierowała się w stronę parku.

– Zaczekaj, nie znam tak dobrze Krakowa jak ty! Zgubię się!

Nie zwracała na niego uwagi. Kiedy czuła, że jest już kilka kroków za nią, jeszcze bardziej przyśpieszała. Zapach rozmokłych liści uspokoił ją na tyle, że zatrzymała niewygodną gonitwę myśli.

– Zaczekaj! – Szymon znajdował się tuż za nią.

W końcu zatrzymała się. Nie odwróciła się jednak do niego. Mężczyzna obszedł ją i stanął naprzeciw.

– Emilko, nie chciałem cię skrzywdzić. – Nieśmiało chwycił ją za rękę.

Czuła, że się wahał. Bał się, że w każdej chwili może go odtrącić. Zaciśnęła palce na jego dłoni.

– Posłuchaj... Nasze spotkanie było takie nieoczekiwane. – Uśmiechnął się,

zmieszany, zastanawiając się nad kolejnymi słowami. – Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się coś takiego, dotąd nie mogę w to uwierzyć. Myślałem, że już nie poznam takiej kobiety jak ty. Bardzo bym chciał, żeby... żebyś ty i ja... żebyśmy spróbowali lepiej się poznać. Chciałbym... To znaczy... Jesteś dla mnie kimś bardzo ważnym.

– Też chciałabym cię lepiej poznać. Prawie nic o tobie nie wiem...

Szymon dotknął jej policzka. Znów poczuła lekkie łaskotanie w brzuchu. Równie szybko uświadomiła sobie, że nie powinna była pozwolić na coś takiego. Odsunęła się od niego i znacząco zakaszła.

– Emilio... Nie potrafię tak wprost... Chodzi mi o to, że bardzo zależy mi, żebyśmy kontynuowali to, co nas połączyło. Chciałbym być z tobą, tylko...

– Tylko w tym wszystkim jest jeszcze Iga, tak?

– Nie, nie chodzi o nią. Rozstaliśmy się, choć ona najwyraźniej nie chce tego przyjąć do wiadomości. Nigdy niczego jej nie obiecywałem. Spotkaliśmy się kilka razy, przeważnie w biegu. Pomyślałem: jest atrakcyjna, pociągająca i na dodatek świetnie pisze. Jak przeczytałem jej powieść, oniemiałem. Wydawało mi się, że musi być kimś wyjątkowym. Widzieliśmy się ostatecznie raptem kilka razy, ale bardziej z inicjatywy Igi. Ona nie dawała mi spokoju. Wydzwaniała do mnie, zjawiała się wtedy, kiedy nie powinna. To się stało bardzo uciążliwe.

– Mogła się w tobie zakochać – szepnęła.

– Nie dałem jej ku temu powodu. Niczego jej nie obiecywałem. Nie zbliżyliśmy się do siebie zbyt mocno. Nie tak jak z tobą. – Znów dotknął policzka Emilii i przysunął się do niej.

– Skoro twierdzisz, że nie chodzi o Igę, to o co? – Głos Emilii lekko drżał, choć wiedziała o tym tylko ona. Podmuchy wiatru porywały z jej ust słowa, zaraz gdy tylko je wypowiadała.

– Zimno w tym twoim Krakowie. – Szymon uśmiechał się, ale teraz trzymał się na dystans. – Słuchaj, chodzi o to, że jestem w Polsce tylko przez jakiś czas. Poproszono mnie, żebym zasiadł w jury konkursu. Skorzystałem z okazji, bo w jednym z wydawnictw na wiosnę ma się ukazać moja książka. Chciałem się spotkać z wydawcą osobiście. Zazwyczaj tego typu sprawami zajmuje się mój menedżer, ale skoro znalazłem się w Polsce, sam postanowiłem to dograć. Na co dzień mieszkam w Szwajcarii. – Przy ostatnich słowach ściszył głos, jakby sądził, że nie spodoba się to Emilii. – Do Polski przyjadę znów w grudniu. Bardzo chciałbym się z tobą zobaczyć. – Złapał ją za płaszcz i przyciągnął do siebie.

– Mam twoje ubrania. Chyba powinnam ci je oddać. – Starła się uśmiechnąć, żeby rozładować narastające napięcie.

– Możesz je zatrzymać. Ładnie wyglądałaś w moim swetrze. – Pochylił się i czule pocałował ją w policzek. Zatraciła się i rozpułyła w jego zapachu i miękkich ustach.

Nagle usłyszała odgłos skrzypiec. Znajdowali się kilkanaście metrów od Akademii Muzycznej, niedaleko ulubionej ławki Emilii. Widocznie ktoś w budynku otworzył okno. Wcześniej słyszała tylko ciche pociągnięcia smyków. Gdy dźwięk skrzypiec stał się na tyle wyraźny, że ułożył się w liryczną melodię, oderwała swoje usta od ust Szymona.

– Spotkasz się ze mną, jak tu wrócę?

– Tak – odpowiedziała cicho i nieśmiało.

Szymon uśmiechnął się i poprawił jej szal, naciągając go niemal na policzki.

– Jesteś zmarznięta. – Dotknął jej ręki. – Nie masz rękawiczek?

– Zostawiłam w antykwariacie. Nie będę już po nie wracać. – Znow dotarło do niej, że powinna jak najszybciej iść na Długą. Przecież nie miała pewności, że zastanie Grzesia. Musiała dowiedzieć się o tej fotografii jak najwięcej.

– Szymon, ja... powinnam już pójść. – Poczowała się skrępowana. Nie chciała się rozstawać, ale ta sytuacja ją zawstydziała. Pierwszy raz nie potrafiła zapanować nad uczuciami. Przerazało ją to.

– Rozumiem. Odprowadzę cię – powiedział zdecydowanie, jakby to była najbardziej oczywista sprawa. – Gdzie mieszkasz? – Zwrócił wzrok w tym samym kierunku co Emilia, czyli w stronę lekko oświetlonej parkowej alejki, która teraz wyglądała jak tunel.

– Mieszkam... Nie tam, gdzie właśnie teraz się wybieram.

– Mogę cię odprowadzić? – spytał, kiedy w jej głosie wyczuł brak zdecydowania.

– Jeśli nie masz ciekawszych zajęć.

Od razu wykorzystał sytuację i złapał ją za rękę. Potem ruszyli przed siebie. Szli bardzo wolno, jakby chcieli przedłużyć tę chwilę albo zamknąć ją w zegarze, a potem wyrwać z niego wskazówki, wrzucić do głębokiej wody, żeby spadł na dno, gdzie nikt nigdy go nie znajdzie. Idąc obok Szymona, czuła, że ma przy sobie bratnią duszę. Człowieka, który myśli jak ona. To dziwne, ale jego słowa wydawały się jej znajome. Domyślała się, że je wypowie, zanim otwierał usta. „Czy tak wygląda miłość?” – zastanawiała się, gładząc wierzchnią stronę jego dłoni.

– To już niedaleko – powiedziała, kiedy dostrzegła znajome szyldy sklepowe.

– Dobrze mi z tobą...

Zatrzymali się na chodniku, gdzie jedna z bocznych alejek parkowych wychodziła na ulicę Basztową.

– Też to czujesz, prawda? – Ujął delikatnie jej brodę i zmusił ją, by na niego spojrziała.

– Tak – odpowiedziała zawstydzona, ale szczęśliwa.

Pachniało późną jesienią i Szymonem. Po chwili znow ruszyli przed siebie.

Im bardziej zbliżali się do kamienicy, w której jeszcze nie tak dawno mieszkała, tym mocniej zaciskała rękę na jego dłoni. On szedł tuż przy niej, celowo spowalniając tempo. Gdy znaleźli się przed bramą, Emilia się zatrzymała. Odruchowo spojrzała w górę, na okna mieszkania. W kuchni paliło się światło. „To dobry znak, ktoś jest w domu” – pomyślała. Jak zdążyła zauważyć, Grześ lubił siedzieć przy kuchennym stole.

– Czy to oznacza, że musimy się rozstać?

– Na to wygląda – starała się mówić naturalnie, ale z marnym skutkiem.

– Kto tutaj mieszka?

– Moja matka i jej partner – odpowiedziała szybko, jakby to była nieistotna informacja.

– Emilko, powinienem być w Polsce koło dwudziestego grudnia, ale ten termin może jeszcze się zmienić. Musimy wymienić się telefonami. Chcę mieć z tobą kontakt. Inaczej po powrocie znów musiałbym cię szukać w antykwariacie. Dobrze, że chociaż wiem, gdzie pracujesz. – Uśmiechnął się z ulgą. Uświadomił sobie, że przez ten krótki czas, kiedy znów mogli ze sobą porozmawiać, dowiedzieli się o sobie czegoś więcej.

Starali się przedłużyć rozmowę. Rozstanie było jednak nieuniknione, z czego dobrze zdawali sobie sprawę. Gdy Emilia wyjęła z kieszeni klucze, Szymon złapał ją za rękę mocniej niż poprzednio.

– Będę tęsknił. – Patrzył na nią magnetyzującym wzrokiem. Nie przeszkadzały mu w tym nawet zaparowane okulary.

– Też będę...

– Nie powinno być czegoś takiego jak rozstania. Nie wiem, kto w ogóle to wymyślił. Ludzie, którzy są sobie bliscy, powinni być zawsze blisko siebie.

– Rozstanie powinno być zakazane w świecie, gdzie uczucia są ważniejsze od rozumu. Szymon odsunął się od niej i popatrzył przenikliwie.

– Mówisz tak, jak... – Nie dokończył, tylko odtwarzał w głowie jej ostatnie słowa. Wydawało mu się, że już gdzieś je czytał. A może słyszał?

Emilia zagryzła wargi. Tego nie dało się uniknąć. To cytat z jej powieści. Tylko że teraz to była książka Igi. Postanowiła asekurować się ucieczką. Odwróciła się do bramy i włożyła klucz do zamka. Potem szybko przekreśliła go i pchnęła drzwi.

– Do zobaczenia – powiedziała, stojąc jedną nogą w korytarzu.

– Do zobaczenia. – Zbliżył się do niej i pocałował ją w policzek. Odszedł, dopiero gdy zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Emilia! – Grześ ucieszył się, a na dowód tego klasnął w dłonie. – Fantastycznie, że wpadłaś! – Szeroko otworzył drzwi, jakby witał długo oczekiwanego gościa.

Weszła do mieszkania z impetem. Szybko zdjęła płaszcz i buty. Nie mogła

opanować emocji.

– Co ci się stało?

– Nic mi się nie stało. – Starła się zachowywać zwyczajnie. Nie było łatwo, jej roziskrzona oczy rozglądały się po całym holu, a ciało wydawało się tańczyć. – Jest Lili? – Zerknęła na drzwi od pokoju matki.

– Minęłyście się. Pół godziny temu wyszła do kosmetyczki.

– To znaczy, że jej przeszło? Między wami jest dobrze? – ściszyła głos.

– Nie możemy bez siebie żyć! – powiedział ni to żartem, ni serio.

– Nie poznaję jej! Zmieniła się przy tobie.

– Nie wierzyłaś w nasze pogodzenie? – Oparł się bokiem o drzwi dawnego pokoju Emilii.

– Nie... nie wiem. Lili czasem jest... nieobliczalna.

– Chcesz wejść do swojego dawnego pokoju?

– Nie, wolę usiąść w kuchni.

– To dobrze, właśnie piję herbatę. Napijesz się ze mną?

– Chętnie, trochę zmarzłam.

Kiedy weszli do kuchni, Grześ popatrzył na nią uważnie.

– Wracasz z antykwariatu?

– Tak... Stęskniłam się za tobą. – Chciała zażartować, ale mimo to zrobiła poważną minę.

– Słuchaj, cieszę się, że polubiłaś mnie aż tak bardzo, żeby brać na swoje nogi dodatkowe kilometry, ale... Teraz mów serio, co cię do mnie sprowadza.

– Ważny powód. – Uśmiechnęła się lekko.

– Co takiego? Mam nadzieję, że będę mógł ci pomóc, bo jeśli nie, to...

– Chodzi o jedno ze zdjęć, które widziałam na twojej wystawie – weszła mu w słowo.

– Wisi ich tam całe mnóstwo. – Odwrócił się, żeby zalać herbatę wrzątkiem. Podał jej kubek, z którego ulatniał się aromat owoców. – Które to zdjęcie? – Na jego twarzy malowała się powaga, jakby w myślach przeglądał wszystkie fotografie.

– Chodzi o to z dwiema małymi dziewczynkami. Okazuje się, że znam je obie. Jedna z nich to Zofia, zmarła żona pana Franciszka, antykwariusza, u którego pracuję i mieszkam. A druga to... Sara, jej koleżanka. To właśnie ona prosiła mnie, żebym dowiedziała się czegoś więcej o tej fotografii. – Patrzyła na Grzesia wyczekująco.

Położył rękę na głowie i zaczął miarowo obstukiwać skroń palcami.

– Gdzie wisi ta fotografia? – Kojarzył to zdjęcie, ale spytał, żeby się upewnić.

– Zaraz na początku, w pierwszym pomieszczeniu, po lewej stronie. To zdjęcie jest niewielkie, wisi na samym dole.

– Tak, rzeczywiście. To jedna z tych starych fotografii, które dostałem od mojego ojca z jego zakładu.

– Iii?

– Nie wiem. – Rozłożył ręce na stole. – Tych fotografii był cały plik. Może ojciec wie coś więcej. Może pamięta, jak trafiła do jego zakładu.

– Mógłbyś go o to zapytać jak najszybciej? Zależy mi na czasie.

– Mógłbym, ale obawiam się, że tata będzie chciał zobaczyć to zdjęcie osobiście. On jest bardzo drobiazgowy. Jeśli coś wie, na pewno nam powie. U niego każda fotografia to odrębna historia. Nigdy nie pozbywa się starych zdjęć. Trzyma je wszystkie dokładnie opisane w kartonach.

– Musimy do niego jak najszybciej pojechać – wypaliła bez zastanowienia. – To znaczy... jeśli się zgodzisz.

– Pewnie. Mam wolne wszystkie popołudnia. Kiedy chcesz jechać?

– Choćby jutro.

– Aż tak bardzo ci zależy?

– Tak. Właściwie chodzi o to, że obiecałam Sarze. Ta fotografia ma chyba dla niej duże znaczenie. – Zamilkła, a kiedy dostrzegła pełen pytań wzrok Grzesia, dodała: – Sara jest Żydówką. Zaraz po wyzwoleniu wyjechała do Stanów. Sam rozumiesz, ta fotografia może mieć ważny związek z jej życiem, z jej dzieciństwem w Polsce.

– W takim razie jedziemy. Dasz radę wyrwać się jutro z antykwariatu? – Było widać, że perspektywa wyjazdu go ucieszyła.

– Tak, myślę, że nie będzie z tym problemu. Pana Franciszka nie było dzisiaj przez cały dzień. Jutro na pewno stawi się w antykwariacie z samego rana.

– To dobrze. Przyjdiesz tutaj czy umówimy się w innym miejscu?

– Przyjdę do ciebie. Lili cię puści?

– Nie musi wiedzieć wszystkiego. – Puścił oko do Emilii.

– Chyba żartujesz?

– Powiem jej prawdę, że jedziemy razem.

– Nie będzie zazdrosna?

– O własną córkę?

– Lili potrafi być zazdrosna nawet o swój cień. – Uśmiechnęła się. Nie była pewna, czy nie powiedziała za dużo.

– O pierwszej kończę zajęcia i właściwie jestem już wolny. Muszę tylko skombinować samochód.

– Tylko narobiłam ci kłopotu...

– Nie narobiłaś. Fajnie będzie znów odwiedzić Kalwarię. Rodzice się ucieszą. – Na ustach Grzesia pojawił się dwuznaczny uśmiech. – Zapomniałaś już, jak moja mama bardzo cię polubiła?

– Zadbaleś o to, żeby mi przypomnieć.

– I jak? Gotowa na przygodę?

W tej chwili było jej wszystko jedno. Nie mogła jej wystraszyć pani Helena. Dla fotografii była gotowa zrobić wszystko, nawet udawać jego narzeczoną.

– Lepiej miej się na baczności, bo jak Lili się dowie, to... – Pogroziła palcem.

– Nie dowie – odparł, a Emilia, obserwując go, odniosła wrażenie, że się zaniepokoił. – O której mam być u ciebie?

– Myślę, że możesz przyjść tutaj około wpół do drugiej.

– W porządku, czekaj na mnie. Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

Nazajutrz zjawiała się w antykwariacie przed Franciszkiem. Nie wiedziała dokładnie, kiedy przyjdzie Sara.

Przyjaciółka Zofii pojawiła się dopiero przed południem. Weszła spokojnie, witając się najpierw z Franciszkiem, później z Emilią. Nie była pewna, czy Franciszek wie o zamieszaniu ze zdjęciem. Wiedział doskonale. Poprzedniego wieczoru Emilia zdała mu dokładnie relację ze spotkania z Sarą. Wtajemniczyła go w najbliższe plany. Sara tak jak poprzednio rozmawiała z Franciszkiem na błahe tematy. Przechadzała się po antykwariacie i przeglądała kolejne książki. Emilia miała niejasne przeczucie, że żadna z nich tak naprawdę jej nie interesowała. Odkąd przyszła, ani razu nie zapytała o fotografię.

– Jeśli chcesz, możesz już wyjść. Nie mam dzisiaj dla ciebie żadnych dodatkowych zajęć. – Franciszek postanowił pozbyć się obu kobiet z antykwariatu. Wiedział, że znajdą sobie jakieś przytulne miejsce, gdzie będą mogły porozmawiać.

Ruszyły w kierunku Rynku, spoglądając na wieżę kościoła Mariackiego. Długo szły w milczeniu. W końcu Emilia nie wytrzymała.

– Pani Saro, nie interesuje pani, czego dowiedziałam się o zdjęciu, na którym jest pani z Zosią?

– Nie – odpowiedziała, nawet nie spoglądając w jej stronę.

– Nie rozumiem, przecież wczoraj...

– Wczoraj było inaczej, a dzisiaj... Emilia, nie zrozum mnie źle. Ja wszystko sobie przemyślałam i postanowiłam więcej nie grzebać w przeszłości. Zostawmy to.

– Ale dlaczego? – Opuściła bezradnie ręce. Nie umiała ukryć rozczarowania.
– To tylko fotografia.

– Tak, ale przypomniała o przykrych sprawach. Nie chcę wracać do przeszłości.

Emilia postanowiła się nie poddawać. Stawała na głowie, żeby dowiedzieć się o tym zdjęciu czegoś więcej, a Sara tak nagle zmieniła zdanie. Nie mogła się z tym pogodzić.

– Przepraszam i zapraszam na kawę. Co powiesz? Trochę namieszałam.

Głupio mi.

Akurat stały przed kafejką z ładnymi dużymi oknami. Za szybą z kilku okrągłych doniczek wychylały się ozdobne słoneczniki.

Ładne kwiatowe główki, otoczone pióropuszcami jaskrawożółtych płatków, pochylały się z parapetu w ich kierunku, kiedy siedziały już w środku. Pachniało kawą, ciastkami i latem. Choć przez chwilę można było zapomnieć o zbliżającej się zimie, która ostatnio coraz częściej dawała o sobie znać.

– Jeszcze raz przepraszam. Tak będzie lepiej. Postanowiłam, że zostawię wszystko tak, jak jest. Niedługo wyjadę i zapomnę. To jest i tak mój ostatni pobyt w Polsce. – Sara starała się uśmiechnąć, zamawiając u kelnera espresso i ciastko dnia.

– Nic nie szkodzi. I tak wczoraj niczego się nie dowiedziałam.

– Naprawdę?

Widząc jednak zaciekawienie malujące się na twarzy starszej pani, postanowiła przybliżyć jej sprawę. Opowiedziała o dzisiejszym planowanym wyjeździe. Gdy skończyła opowieść, czuła, że po wczorajszym entuzjazmie nie pozostał nawet najmniejszy ślad. W ciągu następnych kilku minut siedziały bez słowa, jedząc ciastka i popijając kawę. W pewnym momencie Emilia zerknęła na zegar. Było już sporo po pierwszej. Dotarło do niej, że powinna odwołać spotkanie z Grzesiem, ale nie miała do niego telefonu. Widzieli się już wiele razy, ale wciąż nie udało się im wymienić numerami.

– Pani Saro, miło mi się z panią gawędzi, ale powinnam już pójść. Czeka na mnie znajomy, z którym miałam jechać do Kalwarii. Muszę jak najszybciej odwołać to spotkanie. – Podniosła się i dosunęła krzesło do stolika. Jej wzrok powędrował w kierunku wieszaka, gdzie zostawiły płaszcze.

Sara też wstała i mocno chwyciła dziewczynę za rękę.

– Czekaj! – odezwała się głośno. – Niczego nie odwołuj, pojedziemy tam razem. Jeśli będzie dla mnie miejsce w samochodzie – dodała nieco ciszej, ale było widać, że już zdecydowała.

– Jest pani pewna? – Nie mogła uwierzyć w nagłą zmianę decyzji. Sara zachowywała się nieprzewidywalnie. Była tak samo zagadkowa jak wyblakła fotografia z jej podobizną.

Po kwadransie stały przed bramą kamienicy na Długiej. Spóźniły się kilka minut. Emilia rozejrzała się, sprawdzając, czy przypadkiem z którejś strony nie nadchodzi Grześ. Kiedy jednak nie dostrzegła przyjaciela matki, nacisnęła na przycisk domofonu, chcąc oszczędzić sobie i Sarze wizyty na górze. Nikt nie odpowiedział. Nagle brama otwarła się i z klatki schodowej wyszło dwóch mężczyzn.

– Cześć! – rzucił Grześ. Dopiero po chwili zauważył Sarę. – Dzień dobry – przywitał się ze starszą panią. – Obiecałem, że załatwię kierowcę, i dotrzymałem

słowa. – Uśmiechał się czarująco, a zza niego nieśmiało wychylił się Mikołaj.

– Dzień dobry! Samochód czeka, więc jeśli jesteście gotowi, możemy ruszać w drogę. – Mikołaj uściskiem dłoni przywitał się z obiema kobietami, a zaraz potem podszedł do stojącego obok auta i otworzył drzwiczki.

– Pani Sara chciała pojechać z nami – Emilia poinformowała Grzesia, choć ten o nic nie dopytywał. Gdy zobaczył starszą kobietę, natychmiast się domyślił, że prawdopodobnie wyruszą razem.

Kiedy wszyscy znaleźli się w samochodzie, Emilia napotkała w lusterku wzrok Mikołaja. Chłopak był zadowolony. „No tak, znów zjawiał się w odpowiednim miejscu i czasie, jak zawsze skłonny do pomocy” – pomyślała i odchyliła się na oparcie fotela. Ulokowała się tuż za Mikołajem. Obok siedziała Sara, która wydawała się tryskać dobrym humorem. Wdała się w pogawędkę z Grzesiem.

– Oj, zmienił się Kraków...

– Na gorsze czy na lepsze? – dopytywał się Grześ.

– Nie wiem. Musiałabym tutaj pomieszkać, żeby ocenić.

– A jak jest u was w Ameryce?

– Dobrze. W Nowym Jorku można się zgubić w tłumie. – Odwróciła głowę w stronę bocznej szyby.

Właśnie zjeżdżali z zakopianki. Zrobiło się ciszej. Tego dnia pogoda im sprzyjała. Było wprawdzie chłodno, ale na bezchmurnym niebie od wczesnych godzin rannych paradowało słońce.

Sara nagle znów straciła ochotę do rozmowy. Uśmiechała się wprawdzie i odpowiadała na pytania Grzesia, ale było widać, że robiła to bardziej z grzeczności niż z chęci prowadzenia dyskusji. Grześ był w świetnym nastroju, więc co chwilę zagadywał współpasażerów. Nie doczekawszy się odpowiedzi, postanowił sam ich zabawiać opowieściami. Emilia wyłączyła się całkowicie. Monotonny rytm jazdy ukołysał ją i uspokoił. Przez moment wydawało się jej nawet, że zaraz uśnie. Znajomy głos Grzesia był jedynym łącznikiem z rzeczywistością. Jej myśli poszybowały do Modrzewiowej. Znów była w starej latarni i na chłodnej, ogarniętej żywiołem plaży.

– No i dojeżdżamy! Jak widzę z oddali wieże kościoła Bernardynów, czuję, że jestem w domu.

Emilia rozejrzała się. Wokół rozpościerał się nastrojowy pejzaż. Wniosłe mury świątyni, skąpane w blasku słonecznych promieni, górowały nad kolumnadą drzew i dachami zabudowań niewielkiego miasteczka. Patrzyła w jakiś punkt w oddali, a jej myśli znów uciekły do Modrzewiowej. To dziwne, ale wspomnienie Szymona w scenerii dzikiej plaży, choć bardziej odległe, było w jej głowie wyraźniejsze niż to wczorajsze, kiedy znów stanęła z nim twarzą w twarz. Przecież poczuła jego usta. Miały ten sam smak. Spojrzała w jego oczy, schowane za

okularami. Czemu więc pamięć tamtej dalekiej chwili zdominowała świeże wspomnienie wczorajszego dnia? Znała odpowiedź. Szymon z Modrzewiowej był jej bliższy, bo wówczas nie stała obok niego Iga.

– Gdzie mam teraz jechać? – Po raz pierwszy od kilkunastu minut usłyszała głos Mikołaja. Zatrzymał się przy znaku stopu i popatrzył na Grzesia.

– W prawo – Grześ odpowiedział z zadowoleniem. – W prawo, potem kawałek prosto i lada moment będziemy na miejscu. – Wyprostował plecy i przykleił twarz do szyby.

Mikołaj ruszył. Zanim dotarli na miejsce, minęli zaledwie trzy samochody jadące z naprzeciwka i jeden rower.

– Gdzie mam zaparkować?

– Możesz stanąć tuż przy zakładzie fotograficznym. – Grześ wskazał ręką starodawny szyld składający się z kutych liter, umieszczonych na dużej mosiężnej tablicy. – Zakład Fotograficzny Ambrozja – przeczytał Mikołaj i skierował samochód w tamtym kierunku.

Zaparkowali naprzeciw wejścia. Gdy tylko wysiedli z samochodu, w drzwiach zakładu pojawił się ojciec Grzesia. Nie był zaskoczony widokiem gości, gdyż czekał na ich odwiedzinę.

– Zapraszam! – Szerzej otworzył drzwi swojej pracowni, a w progu przywitał się kolejno ze wszystkimi.

W pomieszczeniu panował lekki półmrok. Przez jedno niezbyt duże okno do środka wpadało niewiele światła, a lampa z energooszczędną żarówką, zwisająca z wysokiego stropu, nie była w stanie dokładnie oświetlić ścian pomalowanych szarozieloną farbą. Ojciec Grzesia włączył jeszcze dwie lampki. Po chwili w pomieszczeniu zrobiło się znacznie jaśniej i przyjemniej. Większość ścian pokrywały fotografie oprawione w identyczne drewniane ramki. Przeważnie były to portrety, czarno-białe i kolorowe, a także pozowane zdjęcia rodzinne. Kilka przedstawiało scenki z miejskiego życia i zabytkowe budynki.

Stanęli na środku, a każdy rozglądał się w innym kierunku. Jednak największe zainteresowanie widać było na twarzy Sary. Wzrok starszej pani tak szybko przeskakiwał od jednej fotografii do drugiej, że niemal nie mogła zapanować nad ruchem głowy. W końcu zwróciła się w stronę Emilii i popatrzyła na nią długo i przenikliwie, jakby chciała odpocząć od widoku tyłu nieznanych twarzy. Ona uśmiechnęła się do Sary, chcąc dodać jej otuchy. Zauważyła, że starsza pani się denerwuje.

Ojciec Grzesia, Lucjan, okazał się bardzo konkretny. W swoim zakładzie fotograficznym był bardziej pewny siebie niż na wernisażu. zaproponował gościom herbatę, a potem od razu przeszedł do rzeczy.

– Podobno interesuje was jedno z moich zdjęć?

Grześ włożył rękę do skórzanego neseseru i wyjął z niego fotografię. Sara z

każdą chwilą wydawała się coraz bardziej zdenerwowana. Błądziła wzrokiem bez celu, jakby zastanawiała się, po co właściwie znalazła się w tym miejscu.

Ojciec Grzesia długo wpatrywał się w zdjęcie. Po czym podszedł do jednej ze ścian. Przyłożył je do ramki innej czarno-białej fotografii. Sara nie wytrzymała napięcia i stanęła tuż przy nim. Od razu popatrzyła na miejsce, które interesowało Lucjana. Stara fotografia w oprawie, której właśnie dotykał ojciec Grzesia, nie wyróżniała się niczym szczególnym. Przedstawiała fragment Barbakanu.

Lucjan odwrócił się do Sary, która była tak blisko niego, że ich ramiona się stykały.

– To pani jest na tej fotografii? – Umieścił zdjęcie z wystawy Grzesia na wysokości oczu Sary, aby dokładnie je widziała.

– Tak – odparła i zwilżyła usta językiem.

– Dostałem tę fotografię i jeszcze kilka innych zrobionych w Krakowie od pewnej starszej pani z Kalwarii. Kiedyś mieszkała w Krakowie, ale los rzucił ją w inne miejsce. Po wyzwoleniu wyjechała, a fotografie, które nam podarowała, są pamiątką po jej dawnym życiu. – Lucjan patrzył na Sarę wymownie, jakby czekał na jakieś pytanie. Ona jednak milczała jak zaklęta. Wpatrywała się w fotografię w taki sposób, jakby zaglądała pod jej powierzchnię. – Proszę mi powiedzieć, czego pani właściwie ode mnie oczekuje?

Sara oderwała oczy od zdjęcia i wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. – Bardzo szybko oddychała i otwierała usta, jakby chciała zaczerpnąć więcej powietrza.

– Kobieta, która jest autorką tych zdjęć, jeszcze żyje, chociaż liczy sobie już sporo ponad dziewięćdziesiąt wiosen. Mogłaby pani spróbować z nią porozmawiać... Jeśli oczywiście by pani chciała. – Lucjan spoglądał na Sarę niepewnie.

– Ja... nie wiem, czy tego chcę. – Sara odwróciła się do Emilii i utkwiała w niej wzrok, jakby czekała na jakieś wskazówki.

– Pani Saro, skoro już tutaj przyjechaliśmy, to może powinna pani...

– Tak, może rzeczywiście powinnam – powiedziała zgaszonym głosem.

Lucjan przyglądał się całej sytuacji z dystansem, teraz jednak i jemu udzieliły się emocje.

– Nie będę pani do niczego namawiał. Gdyby zdecydowała się pani odwiedzić Walerię, to napiszę wam adres. W każdej chwili można się tam udać, to niedaleko stąd. Pani Waleria mieszka ze swoją wnuczką i jej rodziną, a z tego, co wiem, to zawsze jest u nich ktoś w domu.

Lucjan wyszedł na zaplecze, gdzie znajdowały się ciemnia i pomieszczenie gospodarcze. Wrócił z kartką z adresem. Sara nie czekała, aż do niej podejdzie, tylko sama zbliżyła się do niego i wyjęła papier z jego rąk.

– Dziękuję – powiedziała cicho. Zmięta kartkę i wcisnęła ją do kieszeni

płaszcz. Zaraz potem wyszła na ulicę i ruszyła szybkim krokiem przed siebie.

– Saro!

Starsza pani nie odwróciła się, ale na chwilę przystanąła. Dziewczyna popędziła w jej kierunku.

– Saro, dokąd się pani wybiera?

– Po prostu muszę się przejść. – Odwróciła się w kierunku zakładu fotograficznego, jakby zastanawiała się, czy powinna tam wrócić.

Przed drzwiami wyszli wszyscy mężczyźni i teraz patrzyli na Emilię i Sarę, ciekawi, jaki obrót przybiorą sprawy.

– Chce pani pójść do tej kobiety, Walerii?

– Tak – odpowiedziała bez przekonania.

– Może napijemy się wcześniej herbaty?

– Nie, nie ma na co czekać.

Po dziesięciu minutach stali przed niewielkim domkiem na obrzeżach miasteczka. Z komina ulatywał dym, a po niedużym ogródku, otoczonym drewnianym, niskim płotem przechadzały się kury i kaczki. Emilia chwyciła Sarę za rękę. Grześ został w zakładzie ojca, a Mikołaj czekał w samochodzie.

Furtka była licha, zbita z kilku deszczulek i stanowiła właściwie tylko prowizoryczną granicę posesji. Emilia otworzyła w końcu bramkę, przepuszczając Sarę przodem. Zanim zdążyły podejść pod drzwi, te otworzyły się i stanęła w nich niewysoka, około pięćdziesięcioletnia kobieta. Emilia przywitała się z nią serdecznie i od razu przeszła do sedna sprawy.

– Mają panie szczęście – powiedziała gospodyni po usłyszeniu opowieści. – Babcia właśnie się obudziła i ma dzisiaj dość dobry humor.

Sara i Emilia popatrzyły na siebie z niepokojem. Mieszkanka domu od razu to zauważyła i otworzyła drzwi na oścież, zapraszając je do środka.

– Drogie panie, w tym wieku to człowiek już jak dziecko miewa swoje kaprysy i dziwactwa. Ale odpukać, zdrowie naszej babci nadal dopisuje, a i z pamięcią też nie jest najgorzej.

Weszły do maleńkiej sieni, z której na strych prowadziły drewniane schodki. Stało na nich kilka glinianych naczyń i cynkowe wiaderka.

– Proszę, niech panie wejdą. – Gospodyni otworzyła jedno z trojga drzwi wychodzących z sieni.

Sara mocno złapała Emilię za rękę.

– Wejdiesz ze mną? – spytała z paniką w głosie.

– Tak, oczywiście. – Emilia uściśnęła jej dłoń. Trzymała ją, gdy przekroczyły próg i znalazły się w małej, dusznej izbie, gdzie pod ścianą, na drewnianym łóżku, pod grubą pierzyną leżała nieduża, wysuszona staruszka.

– Na pewno nie przeszkadzamy? – szepnęła Sara, oglądając się na gospodynię.

– Mówiłam, że nie przeszkadzacie. – Podeszła do staruszki, odsunęła pierzynę, złapała babcię za rękę i pomogła wstać.

– Babciu, masz gości. Panie przyjechały do ciebie aż z Krakowa.

Waleria przy pomocy wnuczki wstała i pomału przesuując stopy, podeszła do stolika, na którym stały mosiężny lichtarzyk i dwie białe nadpalone świece.

– Niech panie usiądą. – Gospodyni odsunęła krzesła przy stoliku.

– Dzień dobry – odezwały się jednocześnie Emilia i Sara, patrząc na staruszkę. Potem usiadły bardzo blisko siebie.

Wnuczka Walerii wyszła przygotować herbatę, choć nie chciały sprawiać kłopotu i zarzekały się, że nie trzeba. Waleria, zanim się odezwała, długo przyglądała się przybyłym. Łagodnie się uśmiechała i gładziła brzeg wykrochmalonej serwety.

– Ja cię znam – odezwała się w końcu, patrząc na Sarę, która po tych słowach gwałtownie pobladła.

Staruszka uśmiechnęła się szeroko, ukazując bezzębne dziąsła. Miała mocno pomarszczoną twarz, ciemne oczy i siwiuteńkie, krótkie, rzadkie włosy, spod których prześwitywały różowe placki skóry. Wyglądała jak rodzynka.

W tej chwili do pokoju weszła jej wnuczka, niosąc tacę z herbatą.

– Ja ją znam – powtórzyła i wycelowała wykrzywiony palec w twarz Sary.

– Proszę się nie przejmować. – Wnuczka pani Walerii zdjęła z tacy szklanki i cukiernicę. – Babcia czasami ma zaniki pamięci. Widzi ludzi i wydarzenia z przeszłości, które nijak się mają do dnia dzisiejszego.

Sara uśmiechnęła się powściągliwie.

– Babciu, panie chciałyby z tobą porozmawiać. – Pogładziła staruszkę po wierzchniej stronie dłoni.

– Lubię rozmawiać. – Waleria się rozpromieniła.

– Proszę pokazać babci tę fotografię. Niech panie dadzą jej trochę czasu, może coś sobie przypomni.

Sara włożyła rękę do torebki i wyjęła z niej zdjęcie, które kilkanaście minut wcześniej dostała od Grzesia. Wysunęło się z jej dłoni i upadło tuż obok kryształowej cukierniczki. Staruszka od razu je zauważyła. Wyciągnęła w stronę fotografii szczupłą rękę. Znów się rozpromieniła. Przysunęła zdjęcie do siebie. Nie wzięła go do ręki, tylko popatrzyła na nie z góry. Uśmiechnęła się, jeszcze wyraźniej ukazując gładkie dziąsła.

– One... Też znam! – Postukała palcem po fotografii. – Takie małe, a takie sprytne. Zwłaszcza ta z włosami na chłopaka. – Waleria położyła palec wskazujący na główce małej Sary z szarej fotografii.

Sara zamarła. Chyłkiem spojrzała na Emilię. Sprawiała wrażenie, jakby chciała wstać i uciec.

– Kochały gołębnie. Biegały między nimi i głośno się śmiały. Skakały na

jednej nodze i udawały ptaki. – Waleria nie przestawała się uśmiechać. – Potem odeszły, a ja nadal szłam za nimi. Były takie wesołe. Cały czas trzymały się za ręce.

Sara zagryzła górną wargę.

– One były wtedy takie szczęśliwe. – Twarz bezzębnej Walerii sposepniała.

– Babciu...

Waleria popatrzyła do góry na ozdobny żyrandol w kształcie rozety.

– Ona nie miała prawa na nie tak krzyczeć. – Staruszka odezwała się tonem zbuntowanego dziecka.

– Kto, babciu? – Wnuczka podała Walerii herbatę.

Staruszka przechyliła szklanę, ale zanim zdążyła się napić, trochę herbaty wylało się jej na kołnierzyk. Wytarła usta i przejechała dłonią po mokrym fragmencie odzieży.

– Nikt nie może krzyczeć na dzieci! Nie wolno! Podeszłam i powiedziałam jej, ale chciała mi wyszarpać z ręki aparat. Dziewczynka z fryzurą na chłopca bała się, ale poszła z tamtą. Ta druga z warkoczykami została i długo za nimi patrzyła. Płakała.

Sara nie wytrzymała napięcia. Podniosła się. Przez chwilę stała przy stole, zaciskając rękę na ostrym kancie blatu.

– Będzie lepiej, jak już pójdziemy – odezwała się sucho.

Emilia też się podniosła. Waleria znów się uśmiechnęła.

– Takie ładne dziewczynki, taka ładna przyjaźń. Często je widywałam. – Waleria przeniosła wzrok na pobladłą Sarę. – Ta z włosami na chłopaka miała smutne oczy. Ale tamta druga była dla niej słoneczkiem.

– Ja bardzo przepraszam, ale... – Sara wzięła ze stołu zdjęcie, włożyła je do kieszeni płaszcza i w jednej chwili znalazła się przy drzwiach. – Do widzenia! – Odwróciła się z wysiłkiem i zniknęła w sieni.

– Ja też już pójdę. – Emilia uśmiechnęła się do Walerii. – Miło było panią poznać.

Staruszka popatrzyła na drzwi.

– Dlaczego poszła? – Przeniosła wzrok na Emilię.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– To nic. – Babcia zamachała ręką, jakby odganiała od siebie muchy. – Jutro wróci, przyjdzie po jajka. Nasze kurki znoszą najlepsze w okolicy.

– Babuniu. – Wnuczka Walerii nachyliła się nad nią i pogładziła po włosach, które pod wpływem dotyku jeszcze bardziej przykleiły się do jej głowy. – Zaczekaj, zaraz do ciebie wrócę. Odprowadzę tylko naszych gości, dobrze?

– Tak, idź. One i tak przyjdą jutro po jajka. – Waleria patrzyła na swoją wnuczkę, jakby właśnie wyjaśniała jej wyjątkowo zawiłą sytuację.

– Dobrze, babciu. – Znów pogładziła ją po głowie, a potem z zakłopotaniem

popatrzyła na Emilię.

Kiedy wyszły do sieni, odezwała się cicho:

– Mówiłam, że babcia miewa różne dni. Mam nadzieję, że paniom pomogła.

– Tak, dziękujemy. – Emilia się uśmiechnęła i w pośpiechu zaczęła szukać wyjścia.

Wnuczka pani Walerii od razu ją wyręczyła, otwierając najbliższe drzwi. Emilia wypadła na zewnątrz i w panice zaczęła rozglądać się za Sarą. Ta stała skulona przy domu. Patrzyła przed siebie. Wydawało się, że jest zatopiona w myślach. Emilia zakaszła, mając nadzieję, że starsza pani na nią spojrzy. Rzeczywiście, odwróciła twarz, ale już po chwili znów spoglądała w dal.

– I co mi to dało? Po co tutaj przyjeżdżałam?

– Chce pani stąd odejść?

– Tak, chodźmy już. – Odsunęła się od ściany i skierowała się do wyjścia z posesji. Gdy przechodziła przez trawnik, jedna z kur weszła jej w drogę. Sara schyliła głowę, ale nie zatrzymała się, tylko szła w stronę furtki. Odwróciła się w kierunku gospodyni, która wyszła przed dom, żeby się z nią pożegnać. – Do widzenia. Dziękuję. Przepraszam za kłopot – powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

– Jak będziecie kiedyś w okolicy, zapraszamy ponownie. – Wnuczka pani Walerii natychmiast wyczuła, że Sara straciła ochotę na rozmowę. Nie zatrzymywała więc kobiet, tylko z grzeczności otworzyła furtkę. – Do zobaczenia. – Sara jeszcze raz odwróciła się do gospodyni.

Gdy wyszły z posesji, zauważyły idącego z naprzeciwka Mikołaja. Widocznie znudziło go czekanie, więc poszedł rozprostować kości. Stały przy samochodzie. Sara unikała wzroku Emilii, obawiając się pytań. Wyjęła z kieszeni kartkę z adresem i aby zająć czymś ręce, zaczęła ją składać.

– Przeszedłem się – poinformował je Mikołaj, kiedy znalazł się przy samochodzie. – Możemy już jechać? – spytał rzeczowo, patrząc tylko na Emilię. Natychmiast zauważył, że Sara była w kiepskim nastroju. Odkąd rozpoczęli wspólną podróż, zamienił z nią zaledwie kilka słów. Czuł, że celowo odgradzała się od reszty, i nie chciał naruszać tej granicy.

– Tak. – Emilia odpowiedziała za siebie i za Sarę.

Mikołaj przysunął się, żeby otworzyć kobietom drzwi, ale Emilia ubiegła go i sama wpuściła Sarę do środka. Atmosfera była tak gęsta i niejasna, że nikt nie kwapił się do rozmowy. Gdy znaleźli się pod zakładem fotograficznym, Sara odwróciła twarz od bocznej szyby. Ukradkiem spojrzała na Emilię i znów odwróciła głowę w bok.

– Zostanę w samochodzie – poinformowała sucho.

Mikołaj wyszedł na ulicę, przeczuwając, że obie kobiety w końcu będą chciały ze sobą porozmawiać.

– Na pewno nie chce pani wyjść?

– Nie. Chcę już wracać.

– Dobrze, w takim razie pójdę i pośpieszę chłopaków. – Przechyliła się w bok, chcąc wydostać się z samochodu, ale Sara złapała ją za rękę.

– Ona mówiła prawdę. – Sara mocniej zacisnęła spoconą z nadmiaru wrażeń rękę na dłoni Emilii.

– Kto?

– Ta stara kobieta, Waleria. Nie wiem, jak mogła to zapamiętać. – Rozluźniła lekko uścisk. – Tamtego dnia widziałyśmy się z Zosią ostatni raz. To znaczy później kontaktowałyśmy się jeszcze. Ale wtedy... nagle musiałyśmy się rozstać. Kontakt nawiązałyśmy dopiero po kilku latach, jako nastolatki. Znałam adres Zosi. Napisałam do niej list. Gdyby nie Zosia, to... nie przeżyłabym wtedy, jak jeszcze byłam dzieckiem, i teraz, kiedy jestem już starą kobietą.

– Nie rozumiem. – Czuliła, że Sara układa w myślach strzępki wspomnień.

– Tego nie da się zrozumieć. – Pochyliła głowę, a jej ramiona lekko się zaokrągliły. – Gdyby nie jej ciepłe słowa w listach, moje życie wyglądałoby marnie. Zosia zawsze wiedziała, jak mnie podnieść na duchu. Miała w sobie dużo mądrości, no i tę książkę...

– Jaką książkę?

– Zofia miała taką swoją starą książkę. Traktowała ją jak wyrocznię. W razie kłopotu tam szukała rozwiązania. Listy, które do mnie wysyłała, zawierały wiele cytatów z tej książki. Ale... to podobno była bardzo dziwna książka.

– Tak, to rzeczywiście nietypowa książka – potwierdziła, skupiając na sobie wzrok Sary. – Dostałam ją od pana Franciszka niedawno, ale nie udało mi się jej przeczytać. Ledwie do niej zajrzałam.

– Zosia pisała, że ta książka kiedyś uratowała jej życie. – Oczy Sary na moment się rozszerzyły.

– Co takiego?

– Nieważne. Byłyśmy blisko, ale nie wszystko o sobie wiedziałyśmy.

Temat książki zaintrygował ją do tego stopnia, że w myślach zaczęła wertować jej pożółkłe strony. Co zawierały, że były dla Zosi opoką, dzięki której mogła żyć i jeszcze dzielić się chęcią do tego życia z innymi, z Sarą?

– Słowa, nieważne, wypowiedziane czy zapisane, mają wielką moc. Potrafią niszczyć lub budować. Mogą cię utulić lub zaciągnąć na dno rozpacz. – Sara sprawiała wrażenie, jakby miała się rozplakać.

– Pani Saro... – zaczęła nieśmiało. Wiedziała, że nie powinna o to pytać, ale jednak jakiś wewnętrzny impuls ją do tego popychał. – Pani Saro, kim była kobieta, o której wspominała pani Waleria? Czy ją też sobie pani przypomniała? – Niepewna reakcji, odruchowo odsunęła się w stronę drzwi.

Sara zyskała więcej przestrzeni. Przechyliła się do przodu i położyła ręce na

zagłówek przedniego fotela.

– Tak. To moja ciotka Krystyna. – Emilia zauważyła, że wymówienie imienia krewnej sprawiło Sarze dużą trudność.

– Czy ona...

– Nie pytaj już o nic!

– Przepraszam.

W tym samym momencie obie popatrzyły przez przednią szybę. Zauważyły Grzesia i jego ojca, wychodzących z zakładu fotograficznego. Sara znów złapała Emilię za rękę i popatrzyła na nią błagalnie.

– Proszę cię, ja już chcę wracać.

Ojciec Grzesia zareagował żywo, zbliżając się do Emilii, która wysiadła z samochodu.

– Zapraszam was na obiad! – Rozłożył ręce, jakby po raz kolejny chciał się z nią przywitać.

– Przepraszam, ale niestety będę musiała odmówić. Sara nie czuje się najlepiej.

– Co się dzieje? – spytał Grześ, jednocześnie zaglądając do samochodu.

– Chce już wracać.

– Ale Helena mi nie wybaczy, jak was wypuszczę. Od świtu przygotowywała obiad, jeszcze zanim zdążyliśmy usiąść do śniadania. Tak bardzo na was czekała.

– Tato, daj spokój. – Grześ poklepał ojca po plecach.

– Ja to rozumiem, ale znasz mamę. Wiesz, że bardzo będzie to przeżywać. Chciała przyjść do zakładu, żeby się przywitać, ale postanowiła zostać w domu i dopiąć wszystko na ostatni guzik.

– Tato, przyjedziemy innym razem. Dzisiaj naprawdę nie możemy zostać. Wiesz, w jakim celu tu się zjawiliśmy. – Starał się obłaskawić ojca, ale Lucjan już odpuścił.

– Wiem, że nie macz zbyt wiele czasu, ale dobrze byłoby, żebyście kiedyś do nas wpadli. Mama tak bardzo chce lepiej poznać twoją dziewczynę. – Lucjan uśmiechnął się do Emilii, która po jego słowach oblała się rumieńcem.

Odwróciła głowę, napotyając wzrok Mikołaja. Patrzył na nią, jakby nic z tego nie rozumiał.

– Na pewno odwiedzimy was w najbliższym czasie – kłamał Grześ.

– Trzymam za słowo! – Lucjan odwrócił głowę w kierunku zakładu fotograficznego. Przed drzwiami zauważył jakąś kobietę. – Muszę wracać, ale przed mamą sam się musisz wytłumaczyć. Zadzwoń do niej. – W pośpiechu pożegnał się ze wszystkimi.

Sara na pożegnanie uniosła tylko rękę. Kiedy ojciec Grzesia stał już na schodach przed drzwiami swojego zakładu, jeszcze raz odwrócił się w ich stronę.

– Będziemy na was czekać! Mam nadzieję, że kolejnym razem już nic wam nie wypadnie.

Emilia zerknęła na Grzesia, który w tej chwili jawił jej się jako mistrz kłamstwa. Nie chciała go już nawet pytać, co też wymyśli, żeby wymigać się od rodzinnego obiadu. Miała tylko nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie musiała uczestniczyć w tej szopce.

Powrotna droga dłużyła się. Była popołudniowa pora, więc nie uniknęli ulicznych korków. Gdy dotarli do Krakowa, było już po dziewiętnastej. Najpierw pojechali pod hotel, w którym zatrzymała się Sara. Emilia wysiadła razem z nią. Chciała ją odprowadzić, ale starsza pani dała jej wyraźnie do zrozumienia, że sobie tego nie życzy.

– Zostaw mnie – odezwała się trochę arogancko, a Emilii zrobiło się przykro. Przecież nie zrobiła nic złego. Sara zauważyła to zmieszanie i szybko dopowiedziała: – Dziękuję za wszystko. Jutro odwiedzę cię w antykwariacie. Do widzenia. – Odwróciła się i odeszła.

– Do zobaczenia! Będę na panią czekała! – Sara już jej nie usłyszała. Emilia martwiła się o nią. Bała się, jak poradzi sobie w towarzystwie upiórów przeszłości.

Gdy wróciła do samochodu, Grześ stał na chodniku, oparty o drzwiczki.

– Pójdę piechotą – poinformował, odsunął się i przepuścił ją na przednie siedzenie.

– Przecież to kawał drogi. – Odchyliła głowę i spojrzała w kierunku ciemnej szosy, za którą rozpościerały się bulwary wiślane.

– Zanim wrócę na Długą, pójdę jeszcze do galerii. – Starał się ukryć zmieszanie.

– Wydaje mi się, że coś kręcisz.

Roześmiał się w taki sposób, jakby rzeczywiście coś go zdenerwowało i chciał to ukryć.

– No dobrze, przejrzałaś mnie. Chodzi o Lili. – Zaczął bawić się zamkiem od kurtki.

– Co znowu?

– Nie chcę, żeby dowiedziała się, że byłem z wami – powiedział z rozbrajającą szczerością.

– Oj, Grzesiu, stąpasz po kruchym lodzie. Uciekaj i nie każ Lili zbyt długo na siebie czekać. Może uschnąć z tęsknoty.

– Wielkie dzięki! – rzucił w stronę Mikołaja.

– Nie ma sprawy! Przysługa za przysługę – odpowiedział grafik, odpalając silnik. Było widać, że już się niecierpliwił.

Kiedy Grześ zatrzasnął drzwiczki, Mikołaj od razu ruszył. Próbowwała do niego zagadać, ale wówczas odpowiadał jakby od niechcienia i zaciskał ręce na kierownicy. Odpuściła. Skupiła wzrok na bocznej szybie i po prostu spoglądała na

ulicę, jaskrawą od świateł. Znów pomyślała o Sarze. O tym, jak bardzo starsza pani musiała się teraz czuć samotna. Jak bardzo się bała. Bo tego, że Sara się bała, była niemal pewna. Co też takiego musiało stać się w jej życiu, że przygniótł ją tak zatrważający lęk? Myśli o Sarze przerwało dopiero gwałtowne hamowanie samochodu. Złapała odruchowo za uchwyt w drzwiach i odwróciła głowę w kierunku Mikołaja.

– Cholera! – zaklął, gdy czarne audi wymusiło pierwszeństwo. – Przepraszam. – Spojrzał na Emilię.

– Właśnie dlatego nie zrobiłam prawa jazdy. – Chciała rozładować atmosferę. Od wyjazdu z Kalwarii Mikołaj był spięty, a sytuacja na drodze jeszcze pogorszyła atmosferę w samochodzie.

Ruszył, podejrzliwie spoglądając w boczne lusterka. Po dziesięciu minutach stali już pod posesją Franciszka. Gdy zaparkował, od razu wyszła z samochodu. Zanim zamknęła drzwi, zajrzała jeszcze do środka.

– Dzięki, Mikołaj! – Myślała, że te słowa załatwią sprawę. Niestety, on poczuł się w obowiązku, by osobiście odprowadzić ją do furtki.

Już po chwili stał przy niej. Od bramki dzieliło ich zaledwie kilkanaście kroków. Pokonali je w milczeniu. Kiedy wyjęła z torebki klucz, on nagle położył dłoń na jej ramieniu. Odsunęła się, a jego ręka zatrzymała się na drewnianych sztachetach bramki.

– Powiedz mi, o co chodzi z tobą i Grzesiem. – W głosie Mikołaja słychać było napięcie.

– To głupia sprawa. – Zawstydzila się. – Nic nas nie łączy. To partner mojej matki, przecież wiesz. – Zarumieniła się, ale ponieważ było ciemno, on tego nie zauważył. – Słuchaj... – Chwyciła rękaw jego kurtki. – Chyba nie myślisz, że Grześ i ja... To głupie. – Roześmiała się nerwowo. – Cała sytuacja jest absurdalna.

– Dlaczego? – Nie dawał jej spokoju.

– Nie wiem, dlaczego w ogóle tłumaczę się przed tobą. – Odsunęła się od niego.

Od razu zmienił taktykę. Znów zaczął zachowywać się jak dawniej, po przyjacielsku. Tak jej się przynajmniej wydawało, do momentu aż przybliżył się do niej i mocno objął jej ramiona, tym samym zmuszając ją, by na niego patrzyła.

– Nie zauważyłaś tego? – Jego głos brzmiał ciepło, ale jednocześnie stanowczo.

– Czego? – Grała na zwłokę. I tak trudno byłoby jej się wyrwać. Czekwała więc, żeby ją wypuścił.

– Tego, że bardzo mi się podobasz.

Na policzku poczuła gorące powietrze, wydychane przez Mikołaja, a gdy później jego usta dotknęły jej ust, nie wytrzymała. Zmobilizowała siły i wyrwała się.

– Zwariowałaś?!

Nie odezwał się. Patrzył na nią oszołomiony. Chyba sam nie wierzył w to, co stało się przed chwilą.

– Przepraszam, nie chciałem. To znaczy chciałem, ale myślałem, że ty też...

– Dzielilo ich kilka kroków. Mikołaj nie mógł się odważyć, by do niej podejść. Widział, że była wściekła. – Wydawało mi się, że też jesteś mną zainteresowana.

– Nie wiem, dlaczego pomyślałaś sobie, że ja... – Zaczęła wolno, czując w ustach uporczywą suchość. – Nie dałam ci powodu. – Nieumiejętnie starała się mu wytłumaczyć położenie, w którym oboje się znaleźli. Ta głupia sytuacja nie powinna się była wydarzyć. Mikołaj był fajnym mężczyzną, ale nie mogła udawać, że między nimi może coś być.

– Przepraszam. – Mikołaj wszedł jej w słowo. – Teraz przynajmniej wiem, na czym stoję. Wygłupiłem się.

– Nie, to ja... Umówiłam się z tobą, więc mogłaś sobie pomyśleć, że...

– Słuchaj. – Odważył się i podszedł do Emilii. – Zaczniemy wszystko od nowa. Co ty na to? – Wpatrywał się w nią, czekając na odpowiedź. – Skoro wiem, że między nami nic nie będzie, to po prostu zostanmy przyjaciółmi. Jesteś fajną dziewczyną. Chętnie spotkałbym się z tobą od czasu do czasu. – Mikołajowi powoli wracał dobry humor.

– W porządku. – Uśmiechnęła się do niego, ale ta sytuacja nadal wydawała się jej niekomfortowa. Lubiła Mikołaja, ale nie wierzyła w jego nagłą zmianę. Kobięca intuicja podpowiadała jej, że w takich wypadkach mężczyznom nie można wierzyć.

– Zaczekaj. – Podszedł do samochodu, wyciągnął coś ze środka i wrócił. – Proszę, to dla ciebie. – Wsunął jej do ręki zdjęcie.

Było ciemno, więc nie mogła się mu dokładnie przyjrzeć. Podeszła do najbliższej latarni, a kiedy jasny snop światła rozświetlił kontury fotografii, nasycając je barwami, dostrzegła na niej siebie.

Mikołaj zrobił kilka kroków w jej kierunku.

– Pamiętasz? Zrobiłem ci to zdjęcie przy antykwariacie.

– Tak, rzeczywiście. – Uśmiechnęła się tak samo jak na zdjęciu. – Jest i mój rower. – Wodziła wzrokiem po kolejnych elementach. – Dziękuję, jest ładne. Często fotografujesz?

– Lubię czasem pstryknąć kilka fotek. Zwłaszcza jak mam przed sobą ładną modelkę. – Zorientował się, że użył niewłaściwych słów. – To jak, puścimy to w niepamięć?

– Tak, zapomnijmy o tym – odparła, choć wiedziała, że od słów do czynów daleka droga i na pewno trudno będzie jej wymazać z pamięci to wydarzenie. Potem jeszcze raz spojrzała na fotografię i wsunęła ją do torebki.

– Dzięki! – Skierowała się do furtki.

– Nie będę cię już zatrzymywał, jest dość chłodno. – Chwycił jej rękę, ale zaraz się wycofał.

Mimo wszystko znów poczuła się niezręcznie. Zupełnie jakby wtargnął na jej prywatne terytorium. „Czy tak zachowuje się przyjaciel? Bo jeśli tak, to wcale mi się to nie podoba” – pomyślała. Wyjęła klucz i otworzyła bramkę.

– Cześć! – rzuciła, znalazłszy się po drugiej stronie ogrodzenia.

– Cześć! – Mikołaj stał i patrzył za nią, aż dojdzie do drzwi. Widział ją dokładnie, gdyż zapaliła się lampa nad wejściem. Potem, wpatrując się w prawie łyse wierzchołki drzew, których cienie oblepiały trawnik jak macki gigantycznych ośmiornic, starał się przełknąć gorycz porażki.

Pan Franciszek siedział w kuchni nad talerzem z nadgryzioną kanapką, posmarowaną pastą z tuńczyka. Było widać, że czekał na Emilię. Przed nim stała filiżanka z ulubionej zastawy Zofii, więc domyśliła się, że antykwariusz znów jest myślami przy swojej żonie.

– Jak minął dzień? – zaczął nieśmiało. Był ciekaw historii Sary.

– Dobrze – westchnęła. – Tylko umyję ręce i wszystko panu opowiem. – Zniknęła w łazience, a kiedy wróciła, dosiadła się do stołu naprzeciw Franciszka.

– Nie będziesz nic jadła? – zdziwił się, widząc, że ominęła lodówkę i szafkę, gdzie trzymali pieczywo.

– Nie jestem głodna.

– To napij się chociaż. – Przysunął do niej dzbanek, w którym była wciąż gorąca herbata. Nie pytając o zgodę, napełnił jedną z filiżanek i podał Emilii.

– Powiedziała, że jutro przyjdzie do antykwariatu. Bardzo przeżyła ten wyjazd. Sama nie wiem, czy dobrze zrobiłam, namawiając ją do niego – zaczęła tajemniczo. Była blada, wyglądała na zmęczoną.

– Przecież sama tego chciała...

– Niby tak, ale gdybym nie pokazała jej tego zdjęcia, Sara nie musiałaby wracać do przeszłości. Widzę, jak jest jej ciężko.

– No właśnie, co ze zdjęciem, dowiedzieliście się czegoś?

– Tak. Ojciec Grzesia dał nam adres starszej kobiety, autorki tej fotografii. Pojechaliśmy tam. – Westchnęła, a potem odwróciła się do okna i na chwilę zamilkła.

– I?

– Ta staruszka, Waleria, poznała Sarę. To znaczy dziewczynkę na zdjęciu. Podobno zrobiła je tuż przed wyjazdem Sary do Stanów.

– Czy Sara mówiła coś na ten temat?

– Niewiele. Była bardzo przejęta. Pani Waleria przypomniała sobie też kobietę, która podobno krzyczała na Sarę. Dziewczynki bały się jej. Kiedy byliśmy już w samochodzie, Sara przyznała się, że ta kobieta to jej ciotka Krystyna. Martwię się o nią... – Dotknęła brzegu talerzyka, na którym leżała kanapka

Franciszka.

– Może jednak zjesz?

– Nie. – Odsunęła talerz i uśmiechnęła się. Nagle przypomniała sobie coś istotnego, o czym mówiła Sara, a w jakimś sensie miało to związek z Franciszkiem.

– Panie Franciszku, Sara wspominała mi, że Zosia bardzo ceniła sobie tę starą książkę, którą mi pan podarował – zaczęła niepewnie, ale dokładnie wiedziała, o co chce zapytać.

– Tak, myślałem, że wiesz o tym. Zresztą sam ci mówiłem. Były nierozłączne.

– No tak... Sara mówiła też, że Zosia często z niej korzystała. Wiele sentencji z książki znalazło się w listach, które wysyłała do niej. – Przyglądała się Franciszkowi badawczo.

– Nie dziwi mnie to – odparł, a jego wzrok zrobił się czujniejszy. – To bardzo mądra, choć nietypowa książka. Zawiera wiele cennych wskazówek. Trzeba tylko umieć się w nie zagłębić. Zosia była mistrzynią czytania między wierszami.

– Chodzi o coś jeszcze. – Znow uśmiechnęła się niepewnie. – Sara powiedziała mi, że ta książka uratowała Zosi życie. – Widząc gwałtowną reakcję Franciszka, przerwała.

Mężczyzna wstał i od razu ruszył do drzwi. Odwrócił się. Wydawało się, że zaraz jej coś wyjaśni, ale on, spoglądając niewidzącym wzrokiem, powiedział tylko: „Dobranoc”. Zaraz potem wyszedł, szurając nogami po podłodze głośniejsz niż zazwyczaj.

„Co ja takiego powiedziałam?” – Emilia gorączkowo próbowała sobie wyjaśnić zachowanie Franciszka. Niestety, żadne wytłumaczenie nie przychodziło jej do głowy. Żałowała, że w ogóle poruszyła ten temat. Myślała, że skoro Zofia była dla niej kimś tak bliskim, ma prawo dowiedzieć się o jej życiu wszystkiego. Od najmłodszych lat obserwowała Zosię i Franciszka. Myślała, że Franciszek nie ma przed nią żadnych tajemnic. A jednak...

„O co w tym chodzi?” – główkowała, zbierając ze stołu naczynia. Delikatnie umyła ulubione filiżanki Zosi, ostrożnie ułożyła je na jednej z półek, by się nie stłukły. Franciszek nie darowałby jej tego.

Gdy kładła się spać, kusiło ją, by zaglądnąć do niego. Weszła do holu i przez uchylone drzwi zajrzała do pokoju. Nie zobaczyła nic. Lampa była wyłączona.

Franciszek nie sądził, że wraz z pojawianiem się Sary wróci do niego wstydliva przeszłość. „Przecież każdy człowiek ma na swoim koncie jakieś drobne grzeszki. Jesteśmy tylko ludźmi” – starał się uśpić rozbudzone na nowo wyrzuty sumienia. „Zosiu, moja kochana, dlaczego nie ma cię przy mnie?” – wtulił się w poduszkę i zapłakał.

Kolejnych kilka dni zeszło Emilii na czekaniu. Czekwała na Sarę, która mimo że obiecała, nie pojawiła się w antykwariacie. Czekwała na telefon od Szymona i

sama nie mogła się przełamać, by do niego zadzwonić. Czekwała na dobry humor swojego ojca, którego głos w słuchawce telefonu wciąż brzmiał ponuro. I mimo jego zapewnień, że wszystko jest w porządku, przeczuwała, że sytuacja z Różą nie przedstawiała się najlepiej. Franciszek snuł się między regałami w antykwariacie jak duch, a w domu zamykał się w swoim pokoju. Dawniej przeważnie zostawiał lekko uchylone drzwi, dlatego zawsze mogła do niego zajrzeć. Teraz zamknął się w sobie przed nią i przed całym światem. Za to Mikołaj pojawiał się w antykwariacie codziennie. Wpadał zwykle na chwilę, ale i tak musiał zaznaczyć swoją obecność. W gruncie rzeczy nie mogła mu nic zarzucić. Zachowywał się poprawnie, jak przyjaciel. Rozmawiali głównie o jego pracy. Przygotowywał właśnie serię plakatów promujących spektakl teatralny o życiu w wojennym Krakowie, dlatego często kontaktował się też z Grzesiem, u którego szukał inspiracji. Podczas jednego z takich spotkań Grześ wyjaśnił mu sprawę fikcyjnego związku z Emilią. Mikołaj przeprosił ją potem za swoje głupie pytanie, czekając któregoś dnia przed antykwariatem z bukietem maleńkich pachnących różyczek.

Szymon wciąż był obecny w jej życiu, ale tylko w myślach. Choć minęło już wiele dni od ich ostatniego spotkania, nadal się nie odezwał. Przez pierwsze dwa dni oszukiwała się, że prawdopodobnie nie ma czasu, że w Szwajcarii zapewne pochłonęło go życie zawodowe. Tylko że im więcej o nim rozmyślała, tym większe pojawiały się obawy. Rysa na jej sercu wydłużała się, podsycana myślami pozbawionymi nadziei. Bez Szymona, bez jego ciepłych słów, bez gestów i dotyku oczekiwanie zamieniało się w wieczność. Wiele razy trzymała w ręku telefon z jego numerem wstukanym na klawiaturze. Kiedy jednak w końcu odważyła się do niego zadzwonić, Szymon nie odebrał i nie oddzwonił.

Cały listopad przeplatały dni, w których nadzieja wciąż mieszała się ze strachem. W życiu Emilii wszystko się zapętliło. A teraz przypominało motek wełny, rozwinięty przez ciekawskiego kociaka. Musiała dokładnie rozplatać nić, by potem mogła zwinąć ją znów w kulkę. „Czy z moim życiem rzeczywiście jest wszystko w porządku?” Nie było... Najbardziej nie dawała jej spokoju sprawa związana z Sarą. Franciszek też nie zachowywał się normalnie. Od rozmowy w kuchni, dotyczącej książki Zofii, czuła, że całkowicie straciła z nim kontakt. Wciąż miała go na oku. Kontrolowała leki, które zażywał, dbała, by jadł o właściwych porach. Od Sary nie miała żadnych wieści. Obawiała się, że starsza pani mogła wyjechać bez pożegnania. Przecież podczas wizyty w domu Franciszka coś nawet o tym wspominała. Im częściej rozmyślała o Sarze, tym większy niepokój ją ogarniał. W końcu postanowiła sama pofatygować się do niej. Wiedziała przynajmniej, gdzie starsza pani się zatrzymała.

Zaraz po pracy, kiedy tylko zamknęła drzwi antykwariatu, poszła w kierunku Novotelu. Miała do przejścia spory kawałek, ale nigdzie jej się nie śpieszyło. Sytuacja między nią a Franciszkiem wciąż była napięta, dlatego uznała, że nie

powie mu wszystkiego. Poinformowała go tylko, że wybiera się na spotkanie. Po jej słowach uśmiechnął się, a ona wyczuła, że podejrzewa ją o randkę z Mikołajem. Nie wyprowadzała go z błędu. Było jej obojętne, co sobie pomyślał. Denerwowała się tylko spotkaniem z Sarą. Najbardziej bała się tego, że może jej nie zastać.

Szybko szła chodnikiem, co chwilę zerkając na wystawy sklepowe. Większość z nich była już świątecznie udekorowana. Mieszkańcy miasta pomału oswajali się z nadchodzącymi świętami, choć do Wigilii pozostał jeszcze ponad miesiąc.

Nawet się nie spostrzegła, a już stała przed hotelem. Z obawą weszła do środka. Rozejrzała się. Tutaj też czuło się świąteczny nastrój. Od razu skierowała się do recepcji. Coraz bardziej się denerwowała. Już miała otworzyć usta, gdy nagle obejrzała się przez ramię. Do hotelu właśnie weszła Sara. Gdyby Emilia zjawiała się kilka minut wcześniej, zapewne spotkałyby się w drzwiach.

– Pani Saro! – odezwała się podniesionym głosem, wychodząc jej na spotkanie.

Sara wolno stawiała kroki, a kiedy zauważyła znajomą, zatrzymała się. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Znalazłaś mnie. – Uściskała ramiona witającej się z nią dziewczyny.

– Nie miałam wyboru. Czekałam na panią. Dlaczego nie przyszła pani do antykwariatu?

– Musiałam sobie wszystko poukładać. – Sara rozchyliła szal. – Odwiedziłam kilka miejsc – powiedziała cicho i uciekła wzrokiem w kierunku recepcji.

– Bałam się, że pani wyjedzie.

– Nie wyjechałabym bez pożegnania. Polubiłam cię.

– Miło to słyszeć. Ja też panią polubiłam.

– Może usiądziemy w bufecie? Masz czas? – Sara rozpięła płaszcz. Była pewna, że Emilia nie odmówi.

– Tak, chętnie.

Usiadły przy stoliku. W rogu pomieszczenia pyszniła się sporych rozmiarów choinka, roztaczając wokół migotliwy blask z jaskrawych lampek.

– Niedługo święta. – Sara popatrzyła na niewielkiego słomianego aniołka, którego ustawiono na stoliku. – Tutaj w Polsce bardziej je się odczuwa. U nas te święta jakoś szybko mijają. Niby wszyscy o nich mówią, ulice przyciągają efektownymi ozdobami. Niby jest uroczyście, kolorowo, ale jakoś tak nieprawdziwie. Ludzie wydają się w tej całej scenerii zagubieni, jakby ich to wcale nie dotyczyło. Cieszę się, że wróciłam do Polski właśnie teraz. Nigdy zresztą nie byłam religijna. Nie jestem związana z Kościołem katolickim, nie czuję się też religijną Żydówką. Święta Bożego Narodzenia mają jednak pewien specyficzny charakter, który przyciąga każdego. To jak magia...

Emilia wpatrywała się w twarz starszej kobiety. Idąc na to spotkanie, obiecała sobie, że o nic jej nie zapyta. Liczyła, że Sara w końcu otworzy się przed nią.

– Wiesz co, Emilia? Wydaje mi się, że nie przez przypadek trafiłam tutaj właśnie teraz. Miałam przyjechać na wiosnę, ale byłam chora. Przełożyłam podróż. Kiedy spotkałyśmy się z Zosią po raz pierwszy, też był listopad. – Zamilkła i spojrzała na swoją towarzyszkę, jakby sprawdzała, czy jej słucha. – Mówiłam ci już, że gdyby nie Zosia, nie przeżyłabym sama w tym mieście? Byłam zupełnie sama. – Przymrużyła oczy. – Chce ci się tego słuchać?

Przytaknęła. Czowała, że zaschło jej w ustach.

– Jak miałam pięć lat, z mamą dostałyśmy się do krakowskiego getta. Tatę już wcześniej wywieźli do Oświęcimia, mimo że nie był Żydem, tylko Polakiem. Podobno zginął od razu. Potem dołączyła do niego większość rodziny. Zostałyśmy same. Mama bardzo się starała, żebyśmy przetrwały... żeby mi niczego nie brakowało. – Sara zamilkła. Czowała, że nie da rady. Sięgnęła po filiżankę z herbatą, którą wcześniej zamówiły. Gdy upiła kilka łyków, odłożyła naczynie.

– Nie musi pani... – odezwała się Emilia, zauważając, że z Sarą dzieje się coś niedobrego. Ta na moment zakryła twarz dłońmi.

– Muszę – odparła po chwili. – Jesteś właściwą osobą. W końcu powinnam to komuś opowiedzieć. Nie będę mówiła o getcie. To było straszne, ale... udało mi się przeżyć. To jest najważniejsze. Mama robiła wszystko, żebym przetrwała. Nie wiem, jak jej się to udało. – Sara popatrzyła na sufit i znów przymknęła oczy. – Pomogła mi uciec z getta. Ona została... – Złożyła dłonie jak do modlitwy i przyłożyła do twarzy. – Matka jest dla własnego dziecka zdolna zrobić naprawdę wiele, uwierz mi – powiedziała podniesionym głosem. – Miałam wiele szczęścia. Z ośmiorga osób, które uciekły tamtego dnia, przeżyłam tylko ja. Pamiętam tyle, że siedzieliśmy w jakiejś zatęchłej dziurze. Do tej pory nie wiem, gdzie to było. Nagle wpadło tam kilku esesmanów. Nie zastanawiali się długo, zaczęli strzelać na oślep. Trzymała mnie starsza kobieta, która wyglądała dokładnie tak jak moja babcia. To właśnie ona miała się mną zająć po ucieczce. Obiecała to mojej mamie. Niestety, kula trafiła ją w plecy, kiedy starała się mnie osłonić. To był cud, że uniknęłam śmierci. Naprawdę nie wiem, jak to się stało. Gdy Niemcy sprawdzali, czy żyjemy, leżałam na wznak. Byłam tak bardzo brudna od krwi, że musieli pomyśleć, że nie żyję. A ja chyba naprawdę straciłam ze strachu przytomność. Jak się ocknęłam, zobaczyłam wokół siebie kilka martwych osób. Byłam przerażona.

Twarz Sary wyglądała teraz jak gipsowa maska.

– Kiedy wyszłam stamtąd na ulicę, było ciemno. Wałęsałam się po mieście jak bezpańskie szczenię. W zaciśniętej ręce trzymałam dwie spinki, jedyne pamiątki po mojej mamie, i kartkę z adresem krewnej, która miała się mną zaopiekować. Kartka była brudna od krwi, tak jak moje ubranie. Chciałam pić, jeść,

było mi zimno. Nie czułam strachu. W końcu udało mi się wejść do jakiejś kamienicy. Znalazłam miejsce na strychu. Usnęłam na starych deskach. Pamiętam, że wbiłam sobie drzazgę. Nawet jak było już zupełnie jasno, długo nie wychodziłam. Trzęsłam się, chciałam umrzeć. Modliłam się, żeby Bóg zabrał mnie z powrotem do mamy albo do siebie. Nagle usłyszałam kroki i mieszaninę różnych głosów. Skuliłam się i schowałam za szafkę, na której stały jakieś rzeczy. Była bardzo ciężka. Do tej pory nie wiem, jak ją przesunęłam. Na strych weszły trzy kobiety i mała dziewczynka. Kobiety trzymały w rękach kosze z mokrą bielizną. Od razu zabrały się do rozwieszania prania. Dziewczynka bawiła się i biegała po całym strychu. Domyślasz się, kim ona była?

– To Zosia, tak? – powiedziała Emilia, choć wzruszenie odbierało jej głos.

– Tak, mój mały aniołek. – Usta Sary rozszerzyły się w uśmiechu. – Zosia bardzo... dużo się ruszała. Od razu mnie zauważyła. Na początku stanęła i wpatrywała się wystraszona. Zastygła krew wydawała się moim jedynym ubraniem. Zosia stała tak i patrzyła na mnie, a kobiety zajęte rozmową i praniem nie zwracały na nią uwagi. Kiedy zaczęły zbierać się do wyjścia, Zosia podbiegła do matki, objęła ją w pasie i powiedziała, że jeszcze chwilę chce się pobawić na strychu. Tak bardzo chciałam, żeby nie odchodziła. Modliłam się o to. Bo skoro śmierć nie nadeszła, to teraz modliłam się o życie. Mama Zosi nie pozwalała, ale w końcu zgodziła się i zostawiła córkę samą. Kiedy zostałyśmy tylko we dwie, znów do mnie podeszła. Wiedziałam, że już się mnie nie boi. Odważyłam się wyjść z za szafki. „Kto ty jesteś?” – spytała. „Jestem Sara”. Wyciągnęłam w kierunku Zosi rękę brudną od zaschniętej krwi. Nie zraziło jej to. Złapała mnie mocno, a ja poczułam, że mam przyjaciółkę i że teraz już nic mi nie grozi. „A ja jestem Zosia”. Wtedy uśmiechnęła się do mnie, a mi od razu zrobiło się lżej na sercu. Jak patrzyłam na Zosię, przez chwilę nie pamiętałam ani getta, ani miejsca pełnego zabitych, w którym dostałam nowe życie. Wtedy ważna była tylko ona... Moja przyjaciółka, pierwsza i jedyna, jaką miałam. Zosia była bardzo sprytna. Gdy jej mama wyszła z domu, a w mieszkaniu był tylko brat, Stefek, przyprowadziła mnie tam. Nalała pełną wannę wody i dała swoje ubranie. Byłam trochę wyższa od niej, ale i tak obie nosiłyśmy za duże rzeczy. Stefan miał trzymać język za zębami. Dostał od Zosi kilka kostek czekolady. Ale myślę, że i tak nie puściłby pary z ust. Porządny chłopak z niego był. Kiedy Zosia pomogła mi doprowadzić się do porządku, dała pić i nakarmiła, z powrotem odprowadziła mnie na strych. Wzięła ze sobą grubą koc i poduszkę. „Musisz tu zostać. Będę o ciebie dbała, ale nikt nie może się dowiedzieć, że tutaj jesteś” – powiedziała. „Mamusia nie zgodzi się, żebyś u nas była, bo miesiąc temu zabili naszego sąsiada, u którego mieszkał żydowski chłopiec”. Rozumiałam to doskonale. Zresztą powiedziałam Zosi, że jestem Żydówką. Nie musiałam, bo bystra Zosia natychmiast się tego domyśliła. Mama Zosi niemal od razu przejrzała intrygę swojej córki. Początkowo była

przerazona, ale potem sama postanowiła mnie ochronić. Nie było to łatwe. O moim istnieniu nie mogli dowiedzieć się nawet sąsiedzi. Czasem pomieszkiwałam u Zosi, czasem na strychu, a czasem w piwnicy. Kiedy rodzina Zosi dostawała cynk o kontroli gestapo, musiałam radzić sobie sama. Zosia wyprowadzała mnie na miasto. Doskonale znała wiele kryjówek. Nie chciałam się z nią rozstawać. Niestety, mama Zosi cały czas szukała Krystyny, mojej jedynej krewnej. Nie wiem, dlaczego moja mama dała mi wtedy kartkę z jej adresem. Nie wiem, dlaczego jej wtedy nie zgubiłam. Przecież lepiej byłoby, gdybyśmy się nie spotkały. – Sara zacisnęła usta.

– Odnalazłyście Krystynę, tak?

– Tak. – Bardzo głośno westchnęła. – Mieszkała pod adresem, który miałam zapisany na kartce. Mama Zosi była tam kilka razy. W końcu się spotkały. – Odwróciła się w kierunku choinki, do której akurat podszedł ktoś z personelu hotelowego, by poprawić opadający łańcuch.

– Krystyna to pani ciocia, tak?

– To siostra mojego ojca. Jedyna krewna, która przeżyła wojnę. – Sara zmarszczyła czoło i machinalnie poprawiła włosy. Znowy wyglądały idealnie, zupełnie jakby dopiero wyszła od fryzjera. Sprawiała wrażenie, że już nic więcej nie ma do dodania.

– Dziękuję, że mi to pani opowiedziała.

– To ja dziękuję, że mnie wysłuchałaś do końca i nie uciekłaś. Nie każdy by wytrwał.

– Jest pani bardzo dzielna – stwierdziła Emilia, patrząc Sarze prosto w oczy. Nie było w nich strachu, ale nie było też nadziei.

– Nie jestem dzielna – powiedziała smutno. – Boję się życia. Każdego dnia od nowa się boję.

– A pani ciotka, Krystyna?

Sara gwałtownie wstała.

– Emilia, powinniśmy się już pożegnać – oznajmiła sucho.

– Ma pani rację, rzeczywiście jest już późno. – Zaczęła rozglądać się po ścianach w poszukiwaniu zegara. – Pani Saro, przepraszam, jeśli powiedziałam coś, co panią uraziło.

– Dziękuję, że byłaś dziś ze mną. Potrzebowałam tego. – Chwyciła ją za rękę.

– Przyjdzie pani do mnie do antykwariatu? – Nie wyobrażała sobie, żeby Sara miała teraz wyjechać. Zresztą wspominała coś w rozmowie, że ma zamiar spędzić w Polsce święta.

– Tak, przyjdę. – Sara uśmiechnęła się i uwolniła z uścisku dłoni dziewczyny. – Pojawiłaś się w życiu Zofii w bardzo ważnym momencie. Los zesłał jej ciebie, kiedy straciła wiarę w sens życia. – Popatrzyła przed siebie, jakby uciekała od jej

wzroku, przeczuwając, że ta będzie chciała zapytać o coś więcej.

– Czy to ma związek z tą książką?

– Emilia, ja... To stare dzieje. Zosia była mi bliska, ale... nie wiedziałyśmy o sobie wszystkiego – wykręcała się.

– Pani coś wie, tylko nie chce mi powiedzieć. Proszę mi wyjaśnić, o co chodzi z tą książką? Co stało się w życiu Zofii?

– Są sprawy, o których nie wolno mi mówić. Myślę, że powinnaś porozmawiać z Franciszkiem. Ja nie mam prawa dokonywać przeglądu ich przeszłości. Nie mogę. Mówiliśmy sobie sekrety, znałyśmy niejedną tajemnicę, ale zawsze dyskretnie. To, że Zofia nie żyje, niczego nie zmienia – mówiła takim tonem, jakby chciała się wytłumaczyć.

Emilia doskonale ją rozumiała, ale jeśli chodziło o Zofię, mogłaby złamać wszystkie reguły. Wiedziała, że od Franciszka nic nie wyciągnie. Nawet nie miałaby śmiałości. Zauważyła, że coś go gryzło. Nie chciała zaognić sytuacji.

– Pójdę już. – Cofnęła się do drzwi.

– Dobranoc, Emilia – odparła Sara na pożegnanie.

– Szósty grudnia – Emilia powiedziała głośno. Kolejne dni niczego nie zmieniły w jej życiu. Tylko pogoda była inna. Jesienną szarówkę zastąpiły słońce i lekki mróz, który nie tylko ozdabiał szyby wymyślnymi witrażami, ale też zmuszał do włożenia cieplejszego ubrania. Już od miesiąca nosiła czapkę i gruby szalik, ale teraz zimowa odzież była koniecznością. Na ulicach i w sklepach pojawiała się coraz więcej świątecznych akcentów.

Gdy zaczął się grudzień, czas jakby przyspieszył. Ludzie mimo bieganiny i obowiązków myśleli już o Bożym Narodzeniu. Magia świąt udzielała się wszystkim. Do antykwariatu trafiało coraz więcej klientów w poszukiwaniu książek kucharskich, a niewidzialne sanie Świętego Mikołaja krążyły nad miastem, choć jego mieszkańcy dopiero zaczynali myśleć o mikołajkowych podarkach.

Była rozdarta. Nie wiedziała, jak spędzi tegoroczne święta. Marzyła, żeby pojechać do Modrzewiowej, do ojca i Róży, ale przypuszczała, że Franciszek nie zgodzi się jej towarzyszyć. Z każdym dniem był coraz bardziej posepny i zamyślony. Czasem nie słyszał nawet, kiedy coś do niego mówiła. Nie mogła go teraz zostawić samego. Była jeszcze Sara. Ona też nie powinna być w święta samotna. Z Sarą spotykały się głównie poza antykwariatem. Zauważyła, że pośród starych książek, pod okiem Franciszka ich rozmowa jakoś się nie kleiła. Umawiały się głównie wieczorami, gdy kończyła pracę. Czasem do ich damskiego duetu dołączał Mikołaj, który był bardzo ciekaw Sary. Mimo że w czasie okupacji miała zaledwie kilka lat, pamiętała całkiem sporo szczegółów z tamtego okresu.

Szymon nadal się nie odzywał, a ona z każdym dniem czuła się coraz bardziej sfrustrowana. Zaczęła wyrzucać sobie infantylność. Odrzuciła zaloty wartościowego mężczyzny, a oddała serce temu, który na to nie zasługiwał.

Walczyła z miłością do Szymona codziennie. Starła się wymazać jego obraz, który wciąż natrętnie powracał, kiedy tylko zamykała oczy i próbowała usnąć. Nie знаła lekarstwa na ten dziwny stan, nie miała na niego recepty. Nigdy wcześniej nie cierpiała na taką przypadłość. Jej serce zawsze było zdrowe. Biło jak dzwon we właściwym rytmie. Teraz jednak na najmniejsze wspomnienie Szymona przyspieszało. Podchodziła wówczas do okna, otwierała je szeroko i studziła emocje zimnym powietrzem. Pomagało, ale tylko na chwilę. Wspomnienia dotyczące Szymona były tak wyraźne, że nie potrafiła ich zastąpić innymi. Wciąż wierzyła, że do niej zadzwoni. Że na pewno w jego życiu musiało się coś wydarzyć.

– Szósty grudnia – powtórzyła, tym razem ciszej, zrywając z kalendarza kolejną kartkę. – Imieniny Mikołaja. – Uśmiechnęła się. Miała już dla niego prezent. Umówili się na dzisiejszy wieczór. W spotkaniu miała uczestniczyć również Sara. To ona doradziła, jaką książkę o drugiej wojnie światowej wybrać. Prezent Emilia zapakowała już wcześniej. Przynajmniej miała pewność, że się mu spodoba. Wiedziała o nim więcej niż o Szymonie. Znała go lepiej. Był przy niej, kiedy miała gorsze dni i kiedy tryskała humorem. Od pamiętnego wieczoru, kiedy otworzył się przed nią, ani razu nie dał jej odczuć, że oczekuje czegoś więcej.

Tego dnia śniadanie zjedli wspólnie z Franciszkiem, ale do pracy jak zawsze poszli osobno. Kilka dni wcześniej odstawiła rower do pomieszczenia gospodarczego, a teraz drogę do antykwariatu pokonywała na piechotę. Mikołajkowy dzień napełniał ją optymizmem. Była na nogach od wczesnych godzin porannych. Gdy wyszła za próg domu, powitał ją cudowny widok. Nad ranem poproszył śnieg, który teraz pokrywał trawniki cienką pierzynką. Oblepione szadzią gałęzie drzew błyszcząły w słońcu, przywodząc na myśl bożonarodzeniowe lampki.

Idąc do furtki, spoglądała pod nogi na świeże ślady butów na chodniku. Stojąc już poza posesją, jeszcze raz odwróciła się, omiatając wzrokiem dach domu pana Franciszka. Wyglądał jak duża śnieżna czapa. Mimo że śnieg nie padał bardzo długo, zdążył dokładnie pokryć wszystkie dachówki.

– Cześć! – usłyszała za sobą.

Odwróciła się wolno. Dobrze znała ten głos.

– Po co tutaj znowu przysłaś? – Z rezygnacją opuściła ręce. Nie miała siły na kłótnię. Ten dzień zapowiadał się tak miło.

– Proszę. – Iga włożyła do jej ręki niewielki pakunek, owinięty czerwonym papierem i przewiązany satynową niebieską tasiemką.

– Co to jest? – Oszłomiona Emilia uniosła zawiniątko.

– Prezent. Nie pamiętasz? Przecież zawsze...

– Zabierz to. – Odrzuciła paczkę, jakby parzyła ją w ręce.

– Myślałam... – Iga, rozczarowana, w pośpiechu szukała słów, które

skupiłyby na niej uwagę przyjaciółki.

– Co takiego sobie myślałaś?

– Miałam nadzieję, że mnie zrozumiesz.

– Najwyraźniej się pomyliłaś. Otóż informuję, że cię nie rozumiem. Jeśli to już do ciebie dotarło, to proszę cię, zejź mi z drogi. – Przeszła obok Igi, przypadkiem trącając jej ramię.

– Zaczekaj! Nie możesz być taka niesprawiedliwa! Jak się kiedyś zakochasz, to mnie zrozumiesz.

– Co takiego?

– Jak się zakochasz, to mnie zrozumiesz – powtórzyła pewniej Iga, zadowolona, że jej słowa zatrzymały Emilię. – Człowiek z miłości robi różne rzeczy. – Opuściła wzrok. Miała czerwone policzki. Emilia nie potrafiła rozstrzygnąć, czy ich kolor był skutkiem mroźnego powietrza, czy wyrzutów sumienia, które starała się ukryć.

– Naprawdę go kochasz? – Nie spuszczała z Igi oczu i wolno zbliżała się do niej. Kiedy stanęła naprzeciw przyjaciółki, ta uniosła głowę.

– Tak.

– A on?

– Co on?

– Jesteś pewna, że on też cię kocha?

– Co za pytanie... Oczywiście, że tak. – Iga była zdenerwowana. Przez chwilę obserwowała przyjaciółkę, badając, czy ta przypadkiem czegoś przed nią nie ukrywa. – Szymon za kilka dni wraca do Polski i wtedy... – Na siłę starała się uśmiechnąć.

– Skąd wiesz, że wraca?

– Jak to skąd? Przecież to mój mężczyzna. Dzwonił do mnie.

– Dzwonił do ciebie? – Ledwo wymówiła te słowa.

– No tak. Często ze sobą rozmawiamy. Brak spotkań nadrabiamy rozmowami przez telefon. Ale niedługo wraca, więc znów będę go miała tylko dla siebie – powiedziała z satysfakcją.

Emilia czuła, że za chwilę się rozplacze. Odwróciła się pośpiesznie, żeby Iga nie zauważyła zmiany w wyrazie jej twarzy. Niestety, nie umiała udawać. Przyłożyła do oczu dłoń, ubrane w grube wrzosowe rękawiczki z jednym palcem, i mocno je potarła. Powieki od razu zaczerwieniły się i lekko nabrzmiały.

– Emilia!

Nie zatrzymała się. Obejrzała się jednak w stronę Igi przez ramię.

– Muszę już iść, bo spóźnię się do antykwariatu – rzuciła niby od niechcenia, ale tylko ona wiedziała, że te słowa przesycone były silnymi emocjami.

Iga skapitulowała. Nie zamierzała iść za przyjaciółką. Stała na środku chodnika z opuszczonymi dłońmi. W jednej z nich trzymała prezent, lekko nim

kołysząc.

Emilia pędziła jak szalona. Kiedy stanęła przed drzwiami antykwariatu, była mocno zdyszana, a serce waliło jej jak młotem. „Nie mówił mi prawdy, nie mówił prawdy, nie mówił prawdy...” Ukryła twarz w dłoniach. Usiadła przy biurku i spoglądała na drzwi wejściowe, modląc się w myślach, by w tym dniu klienci omijali szerokim łukiem antykwariat. Jak na złość było ich więcej niż zwykle i każdy oczekiwał od niej fachowej porady. Musiała wkładać sporo wysiłku, by tego dnia zaangażować się w pracę.

Pan Franciszek przyszedł pół godziny po niej. Na stole czekała na niego filiżanka wypełniona korzenną kawą. Uśmiechał się, jakby miał ochotę na rozmowę, ale nie wiedział, jak zacząć. Na jednym z regałów, w kąciku, przy starym atlasie, oprawionym w przetartą skórę, leżał jej prezent. Jak co roku, tak i tym razem zostawił go w tym samym miejscu. I tak jak zawsze była to książka. Gdy dostrzegła niewielki pakunek, owinięty w połyskującą, szafirową folię, uśmiechnęła się. To było miłe, że niezmiennie od ponad dwudziestu lat wciąż o niej pamiętał. Gdy była mała, musiała podstawiać sobie taboret, żeby sięgnąć na półkę. Teraz prezent znajdował się na wysokości jej oczu.

Gdy miała kilka lat, myślała, że Święty Mikołaj wszystkim dzieciom przynosi tylko książki. Gdy jednak zorientowała się, że koleżanki z przedszkola dostawały lalki i zabawki, którymi zwykle bawią się dziewczynki, wcale nie była zawiedziona. Nie chciała bawić się lalkami. Od dziecka wydawały się jej sztuczne. To książki były całym jej światem. Żyły, zmieniały się, przedstawiały różne światy. Mogła w nich widzieć wszystko tak, jak chciała. A że od najmłodszych lat miała bujną wyobraźnię, wyczytane historie przeżywała wyjątkowo mocno. Mimo to wiedziała, gdzie leży granica. Zdawała sobie sprawę, gdzie kończył się świat książkowych fantazji, a zaczynał ten, w którym żyła. Teraz stała naprzeciw regału z wiśniowego drewna i uśmiechała się tak samo jak co roku. Franciszek stał kilka kroków za nią i przyglądał się jej. Zawsze to robił. Uwielbiał moment, gdy Emilia otwierała prezent.

– No, rozpakuj – ponaglił ją w końcu, gdy uznał, że zbyt długo spogląda na półkę.

– Dziękuję! – krzyknęła radośnie, mocno ściskając tom wierszy Emily Dickinson. – To doskonały prezent! – Uniosła książkę wyżej, jakby chciała nacieszyć nią wzrok. – Pan zawsze wie, co sprawi mi prawdziwą radość. – Na moment udało się jej zapomnieć o przykrym poranku. – A pan znalazł już prezent, który zostawił dla pana Święty Mikołaj? – Spojrzała zagadkowo na przeciwny regał, gdzie na najniższej półce, przy równo ułożonych książkach historycznych, było miejsce na mikołajkowy podarek dla Franciszka. Podrzuciła go tam już poprzedniego dnia.

Uśmiechnął się i z kieszeni swojego swetra wyjął pudełko z tabaką.

– Jest taka, jak lubię. – Otworzył wieczko i przyłożył do nosa puzderko z aromatycznym proszkiem.

W antykwariacie zapachniało, a woń tabaki zmieszała się z aromatem kawy. Zrobiło się tak jak dawniej, kiedy jeszcze była z nimi Zofia. Ona też miała swoją „mikołajkową” półkę. Tylko że ta półka od kilku lat była pusta. Nawet książki nie chciały na dłużej zagrzać na niej miejsca.

– Emilko, chciałem cię o coś zapytać. – Franciszek odezwał się w momencie, gdy wzięła filiżanki po wypitej kawie, żeby zanieść je do zlewu.

Popatrzyła na niego uważnie.

– Zbliżają się święta. Domyślam się, że chciałabyś je spędzić z Jankiem i Różą, ale... – starannie dobierał słowa – mam pewien pomysł – powiedział po chwili, wkładając rękę do kieszeni swetra.

– Tak? – Odłożyła filiżanki z powrotem na blat biurka. Pragnęła spędzić te święta z ojcem i macochą, ale jednocześnie chciała być z Franciszkiem. Nie miała pojęcia, jak je zaplanować. Zwłaszcza że w tym roku była jeszcze Sara, która oprócz niej nie miała w Polsce nikogo.

– Co ty na to, żebyśmy w tym roku do wigilijnego stołu zaprosili również Sarę? Często się spotykacie. Wydaje mi się, że zbliżyłyście się do siebie. Zofia na pewno nie chciałaby, żeby jej przyjaciółka była sama w takim ważnym dniu. – Franciszek zerknął na Emilię badawczo.

– To świetny pomysł!

– Co z Jankiem i Różą? Może w tym roku zaprosilibyśmy ich do nas?

– A to chyba nie jest dobry pomysł. – Spojrzała w sufit i zamyśliła się.

Franciszek nie miał pojęcia, co się u nich dzieje. Zresztą ona sama ostatnio niewiele wiedziała o relacji ojca i macochy. W rozmowach telefonicznych Janek wyraźnie ją zbywał, a z Różą nie miała kontaktu od ostatniej wizyty w Modrzewiowej. Kiedy raz do niej zadzwoniła, rozmowa nie kleiła się i macocha od razu wymówiła się obowiązkami. Była pewna, że w związku ojca i jego żony nie działa się dobrze. Tęskniła za nimi. Marzyła, żeby magiczny świąteczny czas spędzić razem w tamtym domu, pachnącym wypiekami i gałązkami świerku, który co roku stał w rogu salonu. Róża wieszala na nim słomiane ozdoby. Ozdabiała go również wypiekanymi przez siebie pierniczkami.

– W tym roku nie pojedę do Modrzewiowej na święta – powiedziała głośno, jakby chciała zagłuszyć zbierającą w niej tęsknotę za tym, co nie miało nadejść.

– Jesteś tego pewna? Nie będzie ci żal? – Franciszek był zakłopotany.

– Nie – skłamała. – To dobre rozwiązanie.

– To w takim razie cieszę się bardzo. Przekażesz tę wiadomość Sarze? Może ona ma jednak inne plany.

– Raczej nie. Dziś po południu mamy się spotkać. Porozmawiam z nią zatem o Wigilii.

– Widziałem, że przygotowałaś prezent dla Mikołaja. Dobry wybór. Na pewno będzie zadowolony. – Odwrócił się i wyszedł na zaplecze, a ona odczuła wielką ulgę, że nie zdecydował się ciągnąć dłużej tego tematu.

Potem znów ogarnął ją kiepski humor. W takim też nastroju wychodziła z antykwariatu. Gdy dotarła do kawiarni, w której umówiła się z Mikołajem i Sarą, było już po siedemnastej. Był to ten sam lokal w Rynku, do którego po raz pierwszy wybrały się z Sarą. Teraz było tam świątecznie i nastrojowo. W dwóch rogach sali stały żywe choinki, udekorowane kolorowymi bombkami, a wszystkie stoliki ozdobiono stroikami. Ze stropu nad bufetem zwisał ogromny pęk jemioli z drobnymi białymi kuleczkami.

Sara i Mikołaj siedzieli już przy stoliku, popijając herbatę. Emilia zdjęła płaszcz i dosiadła się do nich. Po krótkim powitaniu wszyscy wymienili się upominkami. Dla Sary również wybrała książkę.

– Dziękuję – szepnął Mikołaj głosem pełnym entuzjazmu.

– Cieszę się, że ci się podoba. – Położyła rękę na opakowaniu skrywającym jej prezent.

– No zobacz to w końcu. Nie wiemy, czy przypadnie ci do gustu.

Wsunęła rękę do podarunkowej torebki i wyjęła z niej dwie książki, zawinięte w kremowy papier. Uśmiechnęła się do Sary i Mikołaja, zdejmując opakowanie. Nagle z jej twarzy zniknął uśmiech. Trzymała w ręku dwie grube powieści i nie mogła oderwać wzroku od jaskrawej okładki jednej z nich.

– Nie trafiliśmy...

– Ja... – Uniosła głowę znad książki i spojrzała na Mikołaja.

– Nie lubisz *fantasy*?

– Lubię, nawet bardzo... – Przekładała książki jedna na drugą, jakby bawiła się nimi. – Szymon Litworowski to jeden z moich ulubionych pisarzy, a serię o klanie z Montavila lubię szczególnie. – Uśmiechnęła się smutno.

– W takim razie czegoś tutaj nie rozumiem... Nie wyglądasz na zachwyconą. – Mikołaj rozłożył ręce na stoliku. Chyba chciał coś powiedzieć, bo już otwierał usta, ale ona go ubiegła.

– To piękny prezent. Bardzo wam dziękuję. – Spojrzała z wdzięcznością, a potem od razu wpackowała książki z powrotem do papierowej torebki. Chcąc uciąć dalszą rozmowę o mikołajkowych prezentach, postanowiła zmienić temat i w imieniu swoim i pana Franciszka zaprosić Sarę na wigilijną kolację.

Sara wzruszyła się tym gestem. Jej oczy się zaszklily.

– Naprawdę nie będę wam przeszkadzać?

– Ależ skąd. Pan Franciszek i ja nie wyobrażamy sobie tych świąt bez pani.

– Dziękuję. – Włożyła rękę do torebki i wyjęła z niej małą haftowaną chusteczkę. – Przepraszam, wzruszyłam się. Myślałam, że te święta spędzę samotnie w hotelu.

Emilia co chwilę zaglądała do papierowej torebki z książkami. Nie mogła do końca skupić się na rozmowie, bo jej wzrok, chcąc nie chcąc, wciąż uciekał, żeby choć przeczytać znajome imię i nazwisko. Kiedy wyszli na Rynek, zaczął przyszyć śnieg. Spojrzała w niebo, po którym przesuwwały się drobne chmury, jasne na tle ciemnego nieba. Nad Sukiennicami migotały gwiazdy.

– Wygląda na to, że w tym roku będziemy mieli białe święta – powiedział Mikołaj, stając przy Emilii i spoglądając w ten sam punkt nieba co ona.

Opuściła głowę i zerknęła na niego.

– Święta powinny być mroźne i śnieżne. – Znów uniosła głowę, zastanawiając się, ile jeszcze śniegu może spaść z kilku chmur wiszących nad nimi. Z każdą chwilą było go coraz więcej. Osiadał na butach, płaszczach, chłodził twarz. Przystrojony Rynek wyglądał zjawiskowo.

Tego dnia Emilia wróciła późno do domu. Najpierw poszli odprowadzić do hotelu Sarę, co zajęło im ponad pół godziny, a później drogę powrotną pokonali z Mikołajem w wolnym tempie. Udzielił się jej świąteczny nastrój, który tego dnia można było odczuć na krakowskich ulicach. Śnieg nie przestawał padać. Łyse dotąd drzewa, które już jakiś czas temu pozbyły się ostatnich liści, teraz wyglądały niezwykle uroczyście.

Gdy dotarła do domu, Franciszek już spał, przynajmniej miała takie wrażenie. W jego pokoju nie paliła się lampka, a okno zasłane było kotarą. Po cichutku weszła do kuchni i odgrzała zapiekankę ziemniaczaną, która została z poprzedniego dnia. Zjadła ją błyskawicznie, a potem równie szybko zmyła naczynia.

Nie mogła usnąć. Wierciła się, przekręcając z boku na bok. Wpadający do pokoju podłużny snop światła księżycy oświetlał część stolika, na którym położyła mikołajkowe prezenty. Spojrzała na książkę Szymona i znów poczuła ból i zazdrość. Tak bardzo chciała o nim nie myśleć. Po porannej rozmowie z Igą, która rozbiła ją na małe kawałki, sądziła, że już nic jej nie zaskoczy. A jednak... Prezent Sary i Mikołaja sprawił, że jej spokojny dotąd świat znów zawirował. Musiała przyznać, że ostatnio los nieustannie płatał jej figle.

Kolejne dni grudnia mijały w pośpiechu. Tydzień przed Wigilią Emilia zaczęła planować świąteczne menu. Sara zaoferowała jej pomoc. Cieszyła się, że może spędzić te święta w towarzystwie życzliwych osób. Od śmierci Zosi jej samotność się spotęgowała. Bardzo bała się wracać do Polski. Myślała, że już nigdy więcej tu nie przyłeci. A jednak... Coś nieustannie ciągnęło ją do miejsca, gdzie była szczęśliwa tylko przez chwilę. A może nigdy nie była? Za sprawą tej młodej dziewczyny udało się jej spojrzeć na pewne sprawy z innej perspektywy. Gdy opowiedziała jej historię, którą znały tylko Zofia i ona, coś w niej pękło. Pokruszyło się i rozpadło.

Kiedyś, jeszcze jako dzieci, obiecały sobie z Zosią, że nigdy nie zdradzą

nikomu tajemnicy początku ich przyjaźni. To Sara była strażniczką przeszłości. Wymusiła na Zofii dyskrecję. Zupełnie jakby milczenie miało uśpić demony. Zofia przez te wszystkie lata strzegła ich sekretu. Sara w którymś momencie uznała, że Emilia może być i jest godną następczynią Zofii. Zaufała jej. Coś ciągnęło ją do tej dziewczyny. Może jej „niedzisiejszość”, brak przebojowości? A może szczerłość jej mądrych zielonych oczu?

Dzień przed Wigilią rozpoczęły wspólne gotowanie. Sara zjawiała się już o siódmej. Franciszek też od wczesnych godzin porannych był na nogach. Cieszył się, że w tym roku będą gościć przyjaciółkę jego ukochanej żony. Kiedy kobiety udały się na bazar, on zajął się świątecznym drzewkiem. W starej willi od niepamiętnych czasów zawsze musiała być żywa choinka. Ozdoby, ręcznie wykonane, też były te same od niemal stu lat. Trzymał je w dwóch pudłach na strychu. Niektóre były pięknymi, ogromnymi bańkami, precyzyjnie pomalowanymi złotą farbą, które babcia Franciszka podarowała swojemu mężowi. Inne, mniej doskonałe, zachwycały dziecięcą fantazją.

Okazała choinka stała na środku salonu. Właśnie w tym miejscu umieścił ją Mikołaj. Przytaszczył ją już wcześniej, bo dzisiaj wyjeżdżał na Podhale, żeby spędzić święta z rodziną. Franciszek długo przyglądał się srebrzystemu świerkowi, w myślach planując rozmieszczenie ozdób. Kusiło go, żeby zabrać się od razu do przystrajania drzewka, ale był tradycjonalistą, więc postanowił poczekać do następnego dnia. Nie lubił łamać zasad, które w tym domu i w tej rodzinie obowiązywały od zawsze.

Kiedy kobiety wróciły z zakupów, udał się do antykwariatu. Emilia dostała na dziś wolne, żeby w spokoju mogła oddać się gotowaniu. Sara też wydawała się pełna świątecznego zapału. Franciszek był pewien, że w tym roku święta w ich domu będą wyjątkowe.

Przed południem w kuchni zapachniało wypiekami: makowcem i piernikiem. Na stole studził się sernik wiedeński. Emilia z Sarą, ubrane w fartuszki, krzątały się przy kuchence, na zmianę mieszając bigos.

– Myślałam, że już nigdy nie poczuję ducha świąt. – Sara odłożyła łyżkę i zwróciła się w kierunku okna. Zamyśliła się.

Przed oczami stanęła jej niewyraźna twarz dziadka Dawida. To dziwne, od tamtego czasu minęło już ponad siedemdziesiąt lat, a ona nadal czuła emocje towarzyszące temu dniu. Właśnie zaczynała się Chanuka, Święto Świeteł. Był początek grudnia i tak jak dzisiaj krakowskie ulice pokrywała gruba warstwa białego puchu. Chanukija stała w oknie, a każdego dnia przybywała na niej kolejna zapalona świeca. Babcia Estera przygotowywała najlepsze sufganijot z kremem, a w ciepłej kuchni unosił się zapach smażonych latkes. Nigdy później jadła równie smacznego placków ziemniaczanych. Wieczorami dorośli grali w karty, a ona i jej kuzynostwo w drejbla. Wciąż z nimi wygrywała i starsi o dwa lata bliźniacy,

Benjamin i Natan, musieli oddać jej wszystkie monety czekoladowe, które były stawką w grze. Kuzyni mówili, że Sara ma szczęście, ponieważ ciocia Rachel urodziła ją w czepku, i że jak tak dalej pójdzie, to oni nie będą z nią grać, bo zbankrutują. To ostatnie i właściwie jedyne święta spędzone z rodziną, które zapamiętała. Może właśnie dlatego tak dokładnie wryły się jej w pamięci. Spokój, bezpieczeństwo i magię chwili – to czuła w tamtym momencie. Potem już zawsze było bezosobowo, zimno i nijako.

– Cieszę się, że te święta spędzimy razem. – Emilia wstała i wysunęła drugie krzesło. – Niech pani przy mnie usiądzie. Należy się nam odpoczynek – powiedziała, zabawnie mrużąc oczy.

Sara podeszła do stołu i usiadła naprzeciwko. Od rana często się uśmiechała. Było widać, że nawet poranne zakupy sprawiły jej przyjemność.

– Dawno nie byłam z nikim tak blisko. Nikt nie wie o mnie tego co ty. Kiedy opowiedziałam ci swoje życie, dzieciństwo, to poczułam się tak, jakbym... – Nie wiedziała dokładnie, jak przekazać to, co czuła. Wciąż była więźniem. Więźniem smutnej przeszłości, której część zostawiła w Polsce, a część wzięła ze sobą w świat.

Emilia pochyliła się nad stołem i wzięła ją za rękę. Wydawało się, że tylko na to czekała. Objęła mocno dłoń dziewczyny.

– Cieszę się, że zaufała mi pani. To dla mnie bardzo wiele znaczy. Była pani przyjaciółką Zofii, a ona...

– Jesteś taka jak Zofia. Wiem, mówiłam ci. Ciągłe się powtarzam, ale wasz, wasze... – Szukała odpowiedniego słowa. – Wasze podobieństwo jest tak bardzo widoczne... – Uśmiechnęła się i lekko zwolniła uścisk.

– Ona też wiedziała o pani wiele. Aż trudno to sobie wyobrazić, żeby dwie małe dziewczynki połączyła taka silna więź.

Sara nagle wypuściła jej rękę i wstała. Podeszła do piecyka, wzięła łyżkę i włożyła ją do garnka z bigosem. Długo się nie odwracała, zajęta czynnością, która była tylko ucieczką przed tym, co chciała zrobić. Pragnęła rozmowy, ale jednocześnie bała się otworzyć na tyle, by pozwolić sobie na całkowitą szczerość. By wyrzucić z siebie to, co ją bolało. Balansowała między wspomnieniami, wyciągając tylko te, o których mogła mówić.

– Mówiłam ci już, że Zosia była bardzo odważna. – Odłożyła łyżkę i wolno podeszła do stołu, ale nie usiadła... – Wtedy była Wigilia... – Uśmiechnęła się, ale już po chwili jej twarz sponsepniała. – Też padał śnieg. Było go bardzo dużo. Więcej niż dziś. – Zerknęła na okno, za którym wciąż przybywało białego puchu. – Przed kolacją rodzice Zosi dostali wiadomość, że w kamienicy będzie rewizja. Dostałam ciepłe ubranie i coś do jedzenia. Zostałam wyprowadzona na miasto. Zosia nie chciała mnie wypuścić. Trzymała mnie mocno za rękę i płakała. Powiedziała, że jeśli ja wyjdę, ona pójdzie razem ze mną. Mama Zosi wyrwała rękę córki z mojej, a

mnie wystawiła za drzwi. – Miała w oczach łzy. – Znalazłam się na pustej ulicy. Jedzenie zjadłam, zanim doszłam do Grodzkiej. Nie wiedziałam, gdzie pójść. Co chwilę pokazywali się niemieccy żołnierze. Znow byłam sama. – Nie odważyła się spojrzeć na Emilię, tylko patrzyła na rząd szafek znajdujący się za nią. – Wiedziała, że nie może mnie nikt zobaczyć. Szłam i zaglądałam do okien, w których paliło się światło. Widziałam szczęśliwych ludzi, słyszałam kolędy. Jak dziewczynka z zapawkami. A potem nagle przypomniałam sobie o mamie. Dotarło do mnie, że pewno teraz jest bardzo smutna i samotna. W swojej dziecięcej naiwności pomyślałam, że odnajdę ją, że ona nie powinna być teraz sama. Po latach dowiedziałam się, że wtedy już nie żyła. Szłam cały czas przed siebie. Doskonale znałam Kraków, ale w pewnym momencie straciłam orientację. Teraz wiem, że kręciłam się w kółko. Byłam na moście. Zatrzymałam się na samym środku. Przechyliłam się i popatrzyłam na Wisłę. Na moment straciłam chyba przytomność. Nagle ocknęłam się. Ktoś z całej siły trzymał mnie za kark i szarpał za rękaw płaszcza, który dostałam od mamy Zosi. Tuż za mną stał stary mężczyzna. Mocno czuć było od niego alkoholem. Miał oczy z takimi czerwonymi żyłkami... Taki widok... – Zamilkła.

W kuchni słychać było tylko tykanie zegara. Śnieg na zewnątrz nieco rozjaśniał krajobraz, ale ogród spowiła już ciemność.

– Czy ten mężczyzna... Czy to był niemiecki żołnierz? – Emilia nie wytrzymała już dłużej napięcia. Musiała zadać to pytanie. Słuchając, czuła się, jakby oglądała jakiś film, a jednocześnie grała w nim drugoplanową rolę.

– Nie. Zresztą nie wiem. Nie miał na sobie munduru. Mówił, a właściwie to bełkotał po polsku i niemiecku.

– Co on pani zrobił?

– Nic, bo... – Sara uśmiechnęła się smutno. – Wrzeszczał, że takie szczeniaki nie powinny pałętać się po ulicy. Chwycił mnie za płaszczyk i poniósł. Domyślasz się, co chciał zrobić. – Nie była w stanie nawet ruszyć głową. – Byłam przerażona, nie dałam rady krzyknąć. I właśnie wtedy pojawiła się Zosia. Nie wiem, skąd ona się tam wzięła. Nigdy nie chodziłyśmy na ten most, to było daleko od domu. Biegła w naszym kierunku i strasznie krzyczała. Potem dopadła do nóg tego... nawet nie wiem, jak go nazwać, i pięściami zaczęła mocno okładać jego nogi. Wtedy mnie wypuścił, ale... – Odchyliła głowę i oparła się na krześle. W głębi niej trwała zacięta walka emocji.

– Co ale?! – Niby niechący trąciła Sarę w rękę. – Pani Saro, proszę mi powiedzieć, co stało się potem!

– On... spadł z mostu. – Sara miała pusty wzrok, jakby w tym, co powiedziała, nie było uczuć.

– Jak to spadł z mostu?! Utopił się?!

– Część rzeki była skuta lodem, ale gdzieniegdzie woda płynęła. Na pewno

nie przeżył upadku – powiedziała spokojnym głosem. – Boisz się mnie? – zapytała, nie patrząc na nią.

– Nie. Dlaczego pani tak pomyślała?

– Nie musisz przede mną udawać. Wiem, że to, co mówię, jest straszne. Wiedziałyśmy o tym tylko Zosia i ja. Teraz wiesz o tym jeszcze ty.

– To rzeczywiście dość... – Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Bała się. Na dodatek doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że strach ma wypisany na twarzy.

– Widzisz. – Sara podeszła do Emilii i zmusiła ją, żeby na nią spojrzała. – Jestem taką czarną księgą niepowodzeń. Przyciągam do siebie niewłaściwych ludzi. Na tym moście kolejny już raz uniknęłam śmierci, ale...

Emilia cofnęła się o krok. Miała już dosyć tej rozmowy. To, co usłyszała od Sary, wystarczyło na dzisiejsze popołudnie zwierzeń.

– Pójdę odśnieżyć chodnik – wymyśliła na poczekaniu.

Musiała wyjść. Musiała złapać oddech. Czuła, że zaczyna jej brakować powietrza. Nie patrzyła już na Sarę, tylko wyszła do holu i w pośpiechu zaczęła wkładać ubranie. Wypadła na podwórko i stanęła przy ścianie. Mroźne powietrze odcięło ją od ciepłego domu i ostudziło jej myśli. Po chwili złapała łopatę do odśnieżania, która stała z boku schodów. W jednostajnym rytmie zaczęła przesuwać nią po chodniku, kierując się do bramki i odrzucając śnieg na trawnik. Po dziesięciu minutach odcinek chodnika, który prowadził od furtki do drzwi wejściowych, był idealnie odśnieżony. Skierowała się do domu, ale kiedy wspięła się po schodach, nie miała śmiałości, by nacisnąć klamkę i przekroczyć próg. Stała tak przed drzwiami, zastanawiając się, czy wejść. Te nagle się otworzyły się. Zobaczyła w nich Sarę.

– Wydaje mi się, że to, co najważniejsze, już przygotowałyśmy. Jeśli chcesz, jutro mogę zjawić się nieco wcześniej, ale zrozumieć, gdy zmienisz zdanie i nie będziesz mnie chciała widzieć. – Wyszła przed drzwi zdecydowanym krokiem.

– Proszę jeszcze zostać.

– Nie, lepiej już sobie pójść. Lepiej było tego nie rozgrzebywać. – Popatrzyła smutno przed siebie.

– Pani Saro, ja nie wiem, co mam pani powiedzieć. Naprawdę nie wiem.

– Kochana, ty nie mów nic. Jeszcze raz przepraszam. To miasto, święta, śnieg... To wszystko sprawiło, że znów poczułam... Nigdy później nie rozmawiałyśmy o tym z Zosią.

– Jak ona wtedy panią znalazła?

– Wymknęła się z domu. Długo szukała mnie w miejscach, które dobrze znałyśmy. A jak mnie nie znalazła, szła przed siebie, zupełnie tak samo jak ja. Wiesz co, Emilia? Po tym wszystkim, co przeżyłam, ciężko mi jeszcze wierzyć w Boga, ale mimo to myślę, że ktoś nade mną czuwał tamtej nocy. Choć może lepiej

byłoby, gdybym wtedy... – Przeszła próg i przeszła szybko obok, jakby bała się, że dziewczyna zaraz ją zatrzyma.

– Pani Saro, proszę jeszcze nie odchodzić. Powinniśmy porozmawiać. – Starła się zastąpić Sarze drogę, ale ona była szybsza i już po chwili schodziła ze schodów.

– Nie, Emilia. Nie powinniśmy. To znaczy... ja nie powinnam. To zbyt wiele.

Gdy zorientowała się, że nie zatrzyma już Sary, powiedziała głośno:

– Czekamy na panią jutro po południu. – Wystraszyła się, że Sara nie żartowała i może rzeczywiście nie pojawić się na wigilijnej kolacji.

Sara zatrzymała się. Była w połowie drogi do furtki. Obróciła się w kierunku domu.

– O której?

– Zwykle zaczynamy około siedemnastej, ale oczywiście będzie nam bardzo miło, jeśli zjawi się pani u nas wcześniej.

– Dobrze, przyjdę koło piętnastej. Pomogę ci jeszcze w przygotowaniach. Trzeba przecież upiec karpia i ugotować żurek. – Uśmiechnęła się i znów zrobiło się miło.

W życiu Emilii ostatnio wszystko działo się nie tak, jak trzeba. Burzyło się i plątało, a potem pędziło do przodu. Niczego nie była w stanie zaplanować. Jej plany zależały teraz od innych osób. A tych osób w ciągu ostatnich kilku tygodni pojawiło się wiele. Szymon, Mikołaj, Sara, która miała chyba największy wpływ na jej życie. Szymon był wspomnieniem, przepelnionym smutkiem i tęsknotą. Wciąż zdręczała się z jego powodu, ale przestała już czekać na telefon. Ostatnia rozmowa z Igą uświadomiła jej, że to, co dopiero się zaczynało między nimi, natychmiast się skończyło. Wszystko wskazywało na to, że odpowiedzialność za ten stan ponosił Szymon...

Kiedy wieczorem w dzień przed Wigilią rozeszli się z Franciszkiem do łóżek, zadzwoniła do ojca. Rozmawiali bardzo krótko, ale po tym telefonie miała rozdarte serce. Janek był tak smutny, że nawet nie starał się tego ukryć, jak to zwykle miał w zwyczaju. „Czekam na ciebie w sylwestra” – powiedział na zakończenie. „Czekam” – to brzmiało tak pojedynczo i samotnie. Zawsze przecież czekali na nią wspólnie, on i Róża. „Co tam się dzieje? Dlaczego tata nie chce mi nic powiedzieć?” Nie wiedziała, jak mu pomóc. Pocieszała ją tylko myśl, że do sylwestra zostało już niewiele czasu. „Wszystkiego się dowiem, jak pojedę do Modrzewiowej” – starała się uspokoić, przewracając się w łóżku z boku na bok.

W Wigilię od samego rana świeciło słońce. Śnieg przestał padać już poprzedniego dnia, ale wszędzie i tak było biało. Lekki mróz głaskał drzewa oblepione śnieżnymi drobinkami, kuszące wymyślnymi wzorami, i nie przestawał dobijać się do szyb. Emilia wstała bardzo wcześnie, tak jak sobie to zaplanowała,

mimo że w nocy nie spała zbyt dobrze. Od razu zaszyła się w kuchni. Nie zostało jej zbyt wiele pracy, ale chciała uporać się z tym przed dwunastą. Potem miała zamiar iść do Lili. Po drodze trzeba było jeszcze odebrać chleb z piekarni.

Gdy zjrzała do salonu, zdziwiła się, że i pan Franciszek był już na nogach, a choinka w pełnej krasie stała na samym środku. Stare ozdoby, wczepione w igielki drzewka pachnącego lasem, wyglądały, jakby zostały przeniesione z innej epoki. Kilka porcelanowych aniołów zwisało z drobnych gałązek. Sprawiały wrażenie, jakby chciały rozpocząć świąteczny taniec. Wierzchołek, ozdobiony dużą słomianą gwiazdą, oprószoną połyskliwym pyłem, sięgał niemal sufitu.

– Piękna jak zawsze. – Wodziła wzrokiem po gałęziach drzewka. – Tylko pan potrafi tak ją ozdobić.

– Jest taka sama jak w czasach, kiedy byłem mały. Wtedy też zawsze dotykała sufitu. Trzeba przyznać, że Mikołaj się postarał. Piękną zieloną pannę nam przyniósł. – Franciszek miał świetny humor. – Co to za zapachy? – Odwrócił się do drzwi i długo wciągał nosem powietrze.

– Żurek, barszcz, kapusta, może groch... – Z zabawną miną zaczęła wyliczać. – Ryby też są gotowe. Wystarczy je tylko upiec.

– Świetna z ciebie gospodyni, zupełnie jak Zofia.

– Dziękuję – powiedziała skromnie.

– Cieszę się, że te święta spędzimy we trójkę. Wiem, mówiłem ci to już, ale dzisiejszy dzień... – Pochylił się w stronę choinki i poprawił jedną z ręcznie malowanych bombek. – Wigilia to najpiękniejszy dzień w roku...

Ona też spojrzała w stronę choinki. Była cudna. Ten dzień zawsze wydawał się jej magiczny, wyjątkowy. Tylko że dzisiaj przed jej oczami nieustannie stała mała przestraszona dziewczynka, spoglądająca w oczy swojego oprawcy. Opowieść Sary zburzyła jej wyidealizowane spojrzenie na to, co przechowywała w sobie przez lata. Podczas gdy jedni zasiadali przy obfitych stołach, ciesząc się bliskością, inni w tym samym czasie przeżywali chwile pełne gorczy albo umierali, zapomniani przez świat.

Współczuła Sarze. Chciała być przy niej. Mimo że czuła przedświąteczne ożywienie, odbierała święta inaczej niż wcześniej. Teraz wydawały się jej niekompletne. Od samego rana coś jej nie pasowało. Wciąż myślała o Sarze, o tym, co wczoraj odważyła się jej opowiedzieć. A za ojcem i Różą tęskniła tak mocno jak nigdy przedtem.

Przed jedenastą wyłączyła palniki i wyszła z kuchni. Zjrzała do Franciszka...

– Wychodzę. Idę do Lili.

– Kiedy wrócisz? – spytał, gdy już miała wycofać się do holu.

– Nie zajmie mi to więcej niż dwie godziny. Koło pierwszej powinnam być z powrotem.

Ubrała się odświętnie. Włożyła swoją najładniejszą spódnicę, jasnobezową, z kaszmiru, kremową, jedwabną bluzkę i wysokie kozaki. Piękny, sięgający kolan, ciemnozielony płaszcz dopełnił skromnej, ale uroczej całości. Odwiedzając Lili, chciała wyglądać pięknie. Nie miała pojęcia, dlaczego w tym dniu stała przy lustrze dłużej niż zwykle i wyjątkowo uparcie wpinała we włosy ulubioną spinkę. Może chciała pokazać Lili, że potrafi o siebie zadbać? Ale przecież nie musiała matce niczego udowadniać. Zawsze radziła sobie sama. Po jej wyprowadzce to Lili została bez dodatkowej pary rąk do pracy, choć właściwie od razu zastąpiły ją męskie dłonie Grzesia.

Idąc zimą opustoszałą ulicą, zastanawiała się, w jakiej kondycji zostanie matkę. Gdy doszła do kamienicy na Długiej i stanęła naprzeciw bramy, wyjęła klucze. Wciąż je miała, choć nie były jej już potrzebne. Zadomowiła się u Franciszka i nie sądziła, by kiedykolwiek miała tu wrócić. Owszem, mieli z Franciszkiem niewielkie starcia wynikające z jego konserwatywnego podejścia do życia, ale doceniała, jak bardzo się starał, by czuła się w jego domu jak u siebie.

Otworzyła bramę i szybko przemierzyła znajomy odcinek klatki schodowej. Gdy stanęła przed drzwiami do mieszkania, postanowiła zapukać. Nie czekała zbyt długo. W drzwiach zobaczyła Lili.

– Emilia?

– Nie przeszkadzam? – spytała, stojąc już w przedpokoju i rozglądając się po znajomych kątach. Mieszkanie lśniło czystością. Znać było sprawną rękę. Jak się domyślała, nie kobiecą.

– Nie. Chodź do kuchni, napijemy się kawy.

Spojrzała na matkę ze zdziwieniem. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej Lili proponowała jej kawę. To był chyba pierwszy raz. Mimo zdziwienia udała, że ta sytuacja jest dla niej całkowicie normalna. Ale nie była. Kawa wypita razem z Lili nie była czymś typowym.

Lili zagotowała wodę, a potem podała córce kubek z kawą rozpuszczalną. Od lat miała ekspres, ale albo nie chciała, albo nie potrafiła go obsługiwać.

– Nie pojechałaś na święta do ojca i tej jego...?

– Nie. W tym roku święta spędzam z Franciszkiem. Gościmy też przyjaciółkę Zosi, Sarę, która przyjechała ze Stanów.

– Tatulek będzie zawiedziony...

– Pewno tak. – Emilia postanowiła, że mimo wszystko nie da się sprowokować. – A ty gdzie spędzasz święta?

Lili uśmiechnęła się i włożyła łyżeczkę w sam środek cukiernicy.

– Jedziemy z Grzesiem do jego rodziców – oznajmiła z dumą, starając się rozmieszać nadwyżkę cukru.

– Co takiego? – Roześmiała się i niemal od razu ujrzała oczami wyobraźni panią Helenę goszczącą przy wigilijnym stole potencjalną synową. Ten widok

rozbawił ją do żywego.

– Co ci tak wesoło?

– Po prostu się cieszę!

– Niby z czego?

– Z twojego szczęścia. – Emilia spoważniała.

– Nie wiem, czy to znowu takie szczęście siedzieć przy stole z bandą staruszków. – Lili przybrała pogardliwą minę. – Naspraszali podobno na tę kolację jakieś ciotki i jakichś wujków. Wszyscy chcą mnie poznać. – Silła się na obojętny ton, ale córka i tak zauważyła, jak bardzo się denerwowała. – Grześ wymyślił sobie, że w te święta zaręczy się ze mną. Żeby nie ośmieszyć się przed rodziną, spytał mnie o to już wcześniej. Chce to zrobić oficjalnie przy stole i w towarzystwie tej całej zgrai. A mnie marzyły się Seszele. – Kapryśnie wyduła usta.

– To po co się na to godzisz?

– Bo go kocham! – Popatrzyła na córkę takim wzrokiem, jakby dopiero się obudziła.

Emilię zamurowało. Skłonna byłaby uwierzyć w najbardziej wierutne kłamstwo z ust Lili niż w te proste słowa. „Ona potrafi kogokolwiek kochać?” – myślała, patrząc matce prosto w oczy. Przez tyle lat żyła obok i nigdy nie zauważyła, by ta kogoś kochała. A może rzeczywiście zadurzyła się w Grzesiu? Może to on był posłańcem, który przyniósł Lili miłość?

Wtedy w drzwiach wejściowych zachrobotał zamek.

– Jestem! – usłyszały obie. W przedpokoju stanął Grześ.

– Emila! – ucieszył się. – Fajnie, że nas odwiedziłaś. Gdzie spędzasz święta?

– U tego starego człowieka, do którego się przeprowadziła. – Nawet w takim dniu matka nie szczędziła uszczypliwości.

Grześ nie zareagował na słowa ukochanej, za bardzo był szczęśliwy.

– Wszystko dopiąłem na ostatni guzik. Kupiłem prezent dla wujka Gienka. Kochanie, właściwie możemy się zbierać.

Po jego ostatnich słowach Lili przewróciła oczami.

– Gdzie ci się tak śpieszy? Do wieczora jest jeszcze dużo czasu.

– Nie chcę, żeby na nas czekali. Wolę być wcześniej. W końcu jesteśmy honorowymi gośćmi! – zauważył z dumą. Potem popatrzył na Emilię, jakby chciał jej przekazać coś bardzo ważnego.

– Nie wysilaj się, już jej powiedziałam. – Ze wszystkich sił starała się udawać znudzoną, ale w środku aż kipiała, tak denerwowała się spotkaniem z przyszłymi teściami.

– Nie będę wam przeszkadzała. Wpadłam tylko na chwilę. Cieszę się, że mogliśmy się zobaczyć. – Uśmiechnęła się do matki, a potem przeniosła wzrok na Grzesia i wstała z krzesła.

Lili znów przewróciła oczami i ziewnęła teatralnie. Grześ odprowadził

Emilię do drzwi.

- Widzę, że w końcu się odważyłeś. Słuszna decyzja – szepnęła mu do ucha.
- Nie ma na co czekać – mówił też ściszym głosem.
- Oni wiedzą? – Przysunęła się bliżej drzwi.
- Co?
- Wiesz co. To, że Lili... Nie jest już... No, nie jest twoją rówieśnicą, mówiąc delikatnie.
- Daj spokój. – Machnął ręką i jeszcze bardziej ściszył głos.
- Wiedzą czy nie? – dopytywała.
- Coś tam wiedzą.
- Coś tam? – Nie spuszczała z niego oczu.
- Powiedziałem im, że już nie jestem z tobą. Mama nie mogła tego przeżyć.
- Co za wielka szkoda. I to wszystko, co miałeś im do powiedzenia?
- Oznajmiłem, że przyjadę z nową dziewczyną, z którą wkrótce chcę się ożenić. I że ona... jest trochę starsza ode mnie. – Grześ westchnął. Chyba też bał się spotkania z rodzicami.
- Trochę?
- Trochę... – Zerknął na kuchenne drzwi, chcąc sprawdzić, czy w pobliżu nich nie kręci się Lili.
- Mogą się trochę zdziwić. – Mimo że Grześ był zdenerwowany, ją zaczęła bawić ta sytuacja.
- Dobra, daj już spokój. Nie musisz mnie dołować. – Położył ręce na głowie i głośno odetchnął.
- Nie miałam takiego zamiaru. – Uśmiechnęła się przyjaźnie. – W takim razie już zmykam. – Otworzyła drzwi. – Wesołych świąt! – powiedziała głośno, żeby usłyszała ją również Lili.
- Matka pojawiła się w drzwiach do kuchni.
- Wesołych świąt – odpowiedziała.
- Na dworze wciąż było słonecznie, a mróz jakby zelżał. Było dość ciepło, ale mimo to mocniej naciągnęła czapkę, a rękawiczki wsunęła głęboko pod rękawy płaszcza. Uliczny gwar się spotęgował. Zza zamkniętych okien mieszkań dobiegały odgłosy kuchenne. Przesuwane talerze i stukot łyżek, którymi mieszano w garnkach wigilijne potrawy.
- Gdy od posesji Franciszka dzieliło ją zaledwie kilka minut drogi, poczuła podekscytowanie i przyspieszyła kroku. Wstąpiła jeszcze do piekarni po ulubiony chleb i od razu popędziła do domu. Zdziwiła się, widząc przy furtce Sarę. Starsza pani stała do niej tyłem i patrzyła w okna.
- Dzień dobry, pani Saro – powiedziała, kiedy dzieliła je odległość dwóch metrów. Sara wzdygnęła się i odwróciła w kierunku dziewczyny.
- Dzień dobry, Emilia. – Uśmiechnęła się, aby ukryć zmieszanie.

– Dlaczego pani nie zadzwoni?

– Dopiero co przyszedłam – skłamała, poprawiając wełniany kapelusz. Tak naprawdę stała tu już od dobrych kilku minut i wciąż nie mogła się zdecydować, żeby nacisnąć przycisk domofonu.

– Zapraszam. – Emilia wyjęła klucz od bramki i otworzyła ją.

Sara powoli weszła. Co jakiś czas oglądała się za siebie, jakby nie była do końca pewna, czy rzeczywiście ma ochotę na tę wizytę. Gdy znalazły się w domu, od razu zdjęła płaszcz i odłożyła go na wieszak.

– Witaj, Saro. – Franciszek wyciągnął rękę w jej kierunku. Był bardzo radosny. – Wejdźcie do kuchni, zrobię herbatę. Widzę, że strasznie zmarzłyście. – Popatrzył na czerwone twarze obu kobiet.

Sara sprawiała wrażenie zakłopotanej, ale kiedy usiadła przy stole w kuchni, odzyskała śmiałość. Emilia krzątała się między szafkami, starając się przypomnieć sobie, co akurat chciała zrobić.

– Emilko. – Franciszek złapał się za głowę, jakby właśnie przypomniał sobie coś ważnego.

Popatrzyła na niego roztargnionym wzrokiem, ale nadal nie przestała przeszukiwać szafki.

– Co ja takiego miałam zrobić? – szeptała do siebie.

– Emilko, jak cię nie było, twój telefon dzwonił kilka razy. Sprawdź, może to coś pilnego.

– Wiem... – Uśmiechnęła się, spoglądając na jedną z dolnych szafek. – Jak mogłam to przeoczyć? – Otworzyła szafkę i wyjęła duży szklany pojemnik wypełniony suszem. – Jaka byłaby to wigilia bez kompotu z suszonych owoców? – Odetchnęła z nadzieją, że teraz już wszystko jest na właściwym miejscu. Wyjęła jeszcze duży emaliowany garnek i położyła go na blacie obok kuchenki. – Zaraz się tym zajmę. Sprawdź tylko telefon.

Komórka leżała na parapecie w jej pokoju. Od razu po nią sięgnęła i spojrzała na wyświetlacz. Siedem nieodebranych połączeń od ojca. Poczula, że serce zaczyna jej bić mocniej. Drżącymi rękoma wybrała jego numer. Odebrał niemal natychmiast.

– Emilko... – Usłyszała jego cichy głos. Od razu wiedziała, że coś się stało.

– Tato...

– Róża zniknęła. – Janek głośno oddychał.

– Jak to zniknęła?! Gdzie jest?! – Natychmiast próbowała dokonać w myślach przeglądu miejsc, do których mogła się udać macocha.

– Nie wiem. – Jankowi załamał się głos. – Nie mam pojęcia, gdzie jej szukać.

– Może jeszcze wróci. Skąd wiesz, że...

– Zostawiła list. Prosiła, żeby jej nie szukać. Że musi sobie wszystko

poukładać.

– Ale jak to... Jak mogła cię zostawić w takim dniu?! – wybuchnęła do słuchawki. Była wściekła na Różę. W tej chwili nie interesowało jej, z jakiego powodu uciekła. Czy miała jakieś problemy? Czy był to przejaw zwykłego tchórzostwa? Teraz liczyło się tylko to, że skrzywdziła ojca. – Tato, postaram się przyjechać do ciebie tak szybko, jak tylko się da. – Musiała być teraz przy ojcu. Potrzebował jej.

– Kochanie, nie musisz...

– Muszę. Przyjadę pierwszym pociągiem. – Popatrzyła na zegar. – Jest wpół do drugiej. Z tego, co pamiętam, to najbliższy pociąg do Gdańska odjeżdża chyba o piętnastej. Jeszcze to sprawdzę. A jeśli tak, to powinnam być na miejscu koło dwudziestej. Wyjedziesz po mnie?

– Oczywiście, kochana. Jesteś pewna, że to rozsądne?

– Tato, teraz nie ma czasu na myślenie. Powinniśmy jak najszybciej zacząć działać. Trzeba odnaleźć Różę.

– Może ona nie chce, żebyśmy jej szukali. – Te słowa sprawiły Jankowi ból.

– Może i nie chce, ale my i tak ją znajdziemy. Nie uważasz, że jest ci winna wyjaśnienia? Nie można sobie tak po prostu zniknąć bez słowa i bez ponoszenia odpowiedzialności zostawić ukochanego człowieka! Poznamy prawdę. Obiecuję ci to.

– Dziękuję – szepnął Janek do słuchawki. Zaraz potem skończyli rozmowę.

Wyjęła zza szafy walizkę, kucnęła i w pośpiechu zaczęła pakować do niej najpotrzebniejsze przedmioty. Właściwie to bez zastanowienia wrzucała do środka wszystko, co wpadło jej w ręce. Była bardzo zdenerwowana. W chwili gdy zamykała walizkę, do pokoju weszli Sara i Franciszek.

– Wybierasz się gdzieś? – Franciszek spoglądał na nią ze zdziwieniem.

– Jadę do Modrzewiowej.

– Coś się stało? – Sara od razu zauważyła jej zdenerwowanie.

– Róża zniknęła. Muszę jak najszybciej jechać do ojca.

Sara podeszła i ją przytuliła. Emilia położyła głowę na jej ramieniu okrytym miękkim moherowym swetrem.

– Jak to zniknęła? – zapytał Franciszek zdecydowanym głosem.

– Nic nie wiem. – Odsunęła się od Sary. – Jak będę na miejscu, to może poznam jakieś szczegóły. Nie mówiłam nic wcześniej, bo to osobiste sprawy taty i Róży, ale ostatnio nie układało im się najlepiej.

Franciszek sposepniał. Jemu i Sarze też udzieliło się zdenerwowanie.

– O której masz pociąg?

– O piętnastej. Właściwie zaraz powinnam wyjść. Dacie sobie beze mnie radę? – spytała i poczuła rozczarowanie, że ich wspólna kolacja wigilijna nie dojdzie do skutku. Przynajmniej nie w takim składzie, jak planowali.

– Co za pytanie? Oczywiście, że damy radę. Jedź do ojca. On potrzebuje cię teraz najbardziej.

– Na pewno wszystko dobrze się skończy. – Franciszek, starał się ją pocieszyć, jak tylko umiał, choć wyraz twarzy zupełnie przeczył jego słowom.

Na dworzec dotarła przed czasem. Chciała jeszcze kupić bilet. Nie miała pewności, czy będą wolne miejsca. Na szczęście dostała go bez problemu. Prosto od kasy biletowej udała się do kawiarni w Galerii Krakowskiej. Zamówiła mocną kawę, a potem jeszcze herbatę. Wciąż patrzyła na zegar. Wydawało się, że jego wskazówki rozplynęły się i wtopiły w cyferblat. Potarła oczy i spojrzała na zegar jeszcze raz. Była czternasta trzydzieści. Zdenerwowanie coraz bardziej dawało o sobie znać.

Zapłaciła rachunek i wyszła. Po chwili zorientowała się, że nie zabrała walizki i szybko po nią wróciła. Na peronie zjawiała się jako jedna z pierwszych pasażerek.

Mocno wiało. Nie miała się gdzie schronić, więc tylko szczelnie opatuliliła się szalikiem. Tym razem trafili się jej małomówni współtowarzysze podróży, z którymi wymieniła tylko „dzień dobry”. Zapadał zmrok. Przez pierwsze dwie godziny jazdy widziała tylko wirujące w powietrzu płatki śniegu, które uparcie dobijały się do szyb. Odgłos pociągu sunącego po szynach wydawał się mniej drażniący niż poprzednio. Wprawdzie myśli w jej głowie wciąż się kotłowały, ale próbowała nad tym zapanować. Ostatnia podróż jawiła się jej jak niezbyt przyjemny sen, więc tym razem nie chciała tracić czujności. Denerwowała się, a pokłady adrenaliny sprawiały, że nie chciało się jej spać. Często zerkała na zegarek. Już nawet nie zakrywała rękawem nadgarstka. Trzy razy wychodziła na korytarz, a potem wracała i znów wpatrywała się w okno. Przed dwudziestą była już na miejscu.

Ojciec czekał w przejściu, z którego wychodziło się na perony. Zdawał się na nic nie zwracać uwagi. Kiedy jednak dostrzegł córkę, od razu się wyprostował, jakby wstąpiła w niego nadzieja.

– Tato! – Rzuciła się mu na szyję. Emocje tak mocno nią targały, że miała ochotę się rozplakać, ale wiedziała, że dla niego musi być silna. – Jedziemy do Modrzewiowej czy... – Urwała, przyglądając się ojcu uważnie.

– Jeśli chodzi o to, to... nie ma jej w Gdańsku. Dwa razy byłem już w szpitalu. Podobno wzięła urlop. Zaplanowała go jakiś czas temu. Gdyby się tam pojawiła, w co wątpię, to mają się odezwać. – Janek wziął walizkę i pociągnął ją za sobą. – Chodźmy – powiedział niepewnie, przyglądając się przechodzącym obok ludziom. Chyba miał nadzieję, że wśród nich zobaczy Różę.

Gdańsk też był przyprószoney śniegiem. Nie było go tak dużo jak w Krakowie, ale wystarczyło, że pokrywał większość drzew i trawników, by wyraźnie dało się poczuć świąteczną atmosferę. Ostatni przechodnie przemykali

cichymi uliczkami. Emilii nie było do śmiechu. Wyglądało na to, że jej wigilijną kolację w tym roku stanowiły tylko mocna kawa i czarna herbata. Czekając na pociąg, całkowicie straciła poczucie czasu. Nie myślała, gdzie jest i gdzie będzie za chwilę. Święta wydawały się jej tylko kolorową pocztówką z pięknie napisanymi na niej życzeniami. Te życzenia oczywiście nie miały szansy na spełnienie. Bo jak Wigilia bez Róży mogła być spokojna i pełna miłości? Zamiast kolorowych bombek i cukierków zawiniętych w błyszczące papierki przed oczami miała tylko obraz smutnej twarzy macochy. „Co musiało się stać, że Róża odważyła się na coś takiego?”

Gdy wyjechali poza granicę Gdańska, zaczął padać śnieg. Spojrzała w niebo przez samochodową szybę i pomyślała, że to dobry znak. Ostatnie święta były bezśnieżne i bardzo wietrzne. Nawet nie chciało się wyjść z domu na pasterkę. W tym roku było inaczej: magiczna sceneria, ale niestety bardzo smutno. Napięła mięśnie, mocno zaciskając palce na zagięciach fotela, kiedy wjechali na wąską drogę, na której końcu stał dom taty i Róży. Patrzyła przed siebie z nadzieją, że za kilka sekund zobaczy w oddali światelko, świadczące o tym, że Róża wróciła, a teraz zdrowa i szczęśliwa czeka na nich przy wigilijnym stole. Właśnie takie życzenie miała Emilia. Pragnęła, żeby było tak jak dawniej. Żeby wspólnie zasiedli do wigilijnej wieczerzy, a potem niemal do rana snuli rodzinne opowieści.

– Nie licz na to, że ją zastaniesz – powiedział Jan, widząc, jak jego córka wpatruje się w przednią szybę.

Zagryzła wargi. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czowała, że czekał na słowa otuchy, ale ona nie potrafiła mu ich dać. Sama potrzebowała pocieszenia. Gdy podjechali pod dom, z jego wnętrza od razu rozległo się szczekanie Włóczykija. Emilia wyszła z samochodu i wyjęła z bagażnika walizkę.

– Zaczekaj, ja wezmę. – Złapał ją za rękę.

– Tato. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Co się właściwie z wami stało?

– Sam chciałbym to wiedzieć. – Ojciec spuścił głowę. – Od twojego ostatniego pobytu nic się nie zmieniło. Róża unikała rozmowy i z każdym dniem coraz bardziej zamykała się w sobie. Myślałem, że to może inny mężczyzna, ale teraz...

– Teraz co? – Przytuliła się do niego.

– Kochanie, teraz to ja już nic nie wiem.

– Wejdźmy do domu, zdecydujemy, co robić dalej. – Słyszając coraz głośniejsze szczekanie Włóczykija, postanowiła otworzyć drzwi. Janek podał jej klucze.

– Otwórz, a ja zaparkuję pod wiatą. Coraz bardziej pada.

Zanim zdążyła włączyć światło w środku, poczuła na sobie pacnięcie łap Włóczykija. Pies doskakiwał do niej z taką zwinnością, że myślała, że się przewróci.

– Ty wariacie, przestań! – Kucnęła i zaczęła głaskać zwierzaka.

Trochę się uspokoił, przylgnął do jej nóg i czekał na jeszcze więcej pieszczot.

– Stęskniłam się za tobą! – Gdy popatrzyła w wierne oczy psiaka, zapomniała na moment o problemach.

Do przedśionka wszedł Janek. Zdjęli płaszcze i udali się do kuchni, a Włóczykij nie odstępował swojej pani nawet na krok.

– Tato, jak to się właściwie stało? Kiedy zauważyłeś, że zniknęła?

– Wczoraj rano...

– Wczoraj?! To dlaczego dopiero dzisiaj mi o tym mówisz?!

– Co by to zmieniło?

– Jak to co?!

– Wiesz co, Emilko? Ja... już właściwie przestałem wierzyć, że ona wróci. Może powinniśmy jednak dać jej odejść w spokoju. Przecież tego chciała. – Włożył rękę do kieszeni spodni i wyjął z niej zmiętą kartkę. Podał ją córce.

Janek,

to nie ma dalej sensu. Odchodzę. Proszę cię, nie szukaj mnie. Tak będzie lepiej dla nas obojga.

Kocham cię i zawsze będę cię kochała.

Tvoja Róża

– Nic z tego nie rozumiem. – Odłożyła kartkę na środek stołu. Wpatrywali się w nią z ojcem jednocześnie, ale żadne z nich nie chciało już po nią sięgnąć.

– Mówiłem, że nie warto jej szukać. Ona tego nie chce.

– Nie warto jej szukać?! Co ty mówisz?! – Wstała i zaczęła się nerwowo rozglądać po kuchni. – Ona cię kocha. Czy to nic dla ciebie nie znaczy? Jesteś tylko ty. Nie pomyślałeś, że może chodzić o coś innego? Że Róża może mieć jakieś kłopoty?! – Podeszła do ojca i złapała go za rękaw.

– Pomyślałem, ale żadna sensowna odpowiedź nie przychodzi mi do głowy.

– Ta ucieczka to krzyk desperacji. Musimy ją odnaleźć!

– Gdzie chcesz jej szukać? – Z każdą chwilą Janek wydawał się coraz bardziej bezradny. – Od wczoraj zjeździłem cały Gdańsk, a w Modrzewiowej nie ma dziury, do której bym nie zaglądnął. Zaalarmowałem wszystkich sąsiadów. Wydaje mi się, że teraz możemy tylko czekać – powiedział to głosem pozbawionym nadziei.

– Nie będziemy czekać! – krzyknęła. – Jeśli ty nie chcesz, sama pójde jej szukać.

– Emilko, usiądź i ochłoń. Nie chodzi o to, że nie chcę. Myślę tylko, że dalsze poszukiwania nie przyniosą efektu.

– Jak chcesz. Pójde więc sama.

W ostatnim momencie zmieniła plany. Wsiadła do pierwszego pociągu. Przejechała prawie sześćset kilometrów, a ojciec zachowywał się, jakby nagle wszystko przestało się dla niego liczyć.

– Gdzie chcesz pójść? – spytał łagodnie.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Pójdę na plażę. Może zacznę od cypla z kutrami. Róża często chodziła tam na spacer.

– Myślisz, że tam nie byłem? – Janek potarł czoło.

Zerknęła na niego z boku. Był bardzo blady, na pewno nie przespał poprzedniej nocy.

– Jak się czujesz? – Zrobiło się jej go żal.

– A jak mam się czuć? – Odwrócił głowę w stronę okna.

– Niedawno byłeś w szpitalu, więc...

– Nic mi nie będzie – odparł sucho.

Uśmiechnęła się do niego i ruszyła schodami na górę. Wiedziała, że teraz ojciec chce być sam. Otworzyła drzwi do swojego pokoju. Włóczyki wszedł przed nią, przeciskając się między jej nogami. Zapaliła światło i usiadła na łóżku. Głęboko westchnęła. Sytuacja była jeszcze gorsza, niż początkowo sądziła. Wydawało się, że Róża rzeczywiście nie chciała, żeby jej szukali. Na domiar złego wszystko wskazywało na to, że ta ucieczka była zaplanowana. Ojciec stracił nadzieję. A ona? Ona chyba też nie bardzo wiedziała, co robić. Siedziała tak, wpatrując się w okno. W końcu wstała.

– Włóczyki, co powiesz na mały spacer?

Pies zaszczekał i pomierdał ogonem. Już miała wyjść z pokoju, kiedy nagle jej wzrok spoczął na stoliku. Leżała na nim książka Zofii. „Musisz tu leżeć, przecież zostawiłam ją w tym miejscu” – pomyślała i zbliżyła się do niej. Była otwarta. Gdy widziała ją po raz ostatni, na pewno była zamknięta. Chciała ją wówczas schować do walizki, ale ostatecznie zapomniała. Ktoś musiał więc ją otworzyć i czytać. Wzięła książkę w dłonie i przesunęła wzrok po fragmencie tekstu, który był podkreślony ciemną kreską. „Kto to podkreślił?” – wyszeptała.

Jesteś silna i mądra. Dasz radę przejść ten odcinek drogi. Nie patrz tylko w dół, bo stąpać będziesz nad przepaścią. Ale tylko wtedy możesz powrócić do przeszłości.

– przeczytała. „O co tutaj chodzi?” Nie mogła oderwać oczu od zaznaczonego fragmentu. Wtem tuż obok zobaczyła pióro Róży. Zawsze wypisywała nim recepty, zanim wprowadzono ich elektroniczną wersję. Teraz wszystko stało się jasne. Potraktowała ten krótki fragment dokładnie jak receptę. Wyglądało na to, że wystawiła ją sobie sama. A może to ta dziwna książka przyciągnęła ją do siebie i zachęciła do otwarcia? Skoro to, co powiedziała Sara, było prawdą, a ten tomik w jakiś niewiadomy sposób uratował życie Zofii, to może teraz z takich samych względów przyciągnął do siebie Różę? Trzymając książkę w

rękach, zwróciła się w kierunku drzwi i zbiegła ze schodów do kuchni.

– Zobacz.

Janek wolno uniósł głowę, o nic nie pytając. Córka w skrócie powiedziała mu, co o tym myśli.

– To rzeczywiście wygląda jak podkreślone piórem Róży. Zawsze używała takiego nietypowego koloru atramentu w morskim odcieniu.

– Sam widzisz...

– Nic mi to nie mówi. – Spojrzał z powątpiewaniem. Był typem człowieka, który twardo stąpa po ziemi.

– To ma związek z Różą. – Położyła palec wskazujący na podkreślonym fragmencie tekstu. – To nie bajka – dodała z naciskiem, zirytowana zachowaniem ojca.

Popatrzył obojętnie, a potem zamknął książkę.

– To jest bajka i nie ma nic wspólnego z moją żoną. Nie szukaj czegoś tam, gdzie tego nie ma. Wiem, że zawsze miałaś bujną wyobraźnię, ale...

– Przestań! – Podeszła do niego i wyjęła mu książkę z rąk. – Nie jestem pewna, czy w ogóle chcesz ją odnaleźć.

– Emilko, źle mnie zrozumiałaś.

– Zrozumiałam cię doskonale – powiedziała nadąsana, a zaraz potem zaczęła rozglądać się za Włóczykijem. – Włóczykij, chodź. Idziemy na spacer!

– Pójdę z wami. – Janek się podniósł.

– Nie. – Zatrzymała go. – Lepiej zostań, gdyby Róża... – Nie dokończyła, tylko od razu skierowała się do przedpokoju.

Było jasno, tuż po pełni, więc księżyc wciąż zakreślał na bezchmurnym niebie wielkie koło. Wyłaniało się ono zza wierzchołków drzew i oświetlało leśną ścieżkę. Emilia głęboko wciągnęła powietrze. Było bardzo mroźne, drażniło nozdrza. Włóczykij biegł tuż przed nią. Co chwilę oglądał się, sprawdzając, czy jego pani nadaża za szybkim tempem. Nadażała, choć czuła lekkie zmęczenie. Chciała jednak jak najszybciej znaleźć się na plaży.

Dotarli tam już po dziesięciu minutach. Włóczykij od razu skierował się w stronę cypla z kutrami, zupełnie jakby rozumiał jej wcześniejszą rozmowę z ojcem i wiedział, że od tego miejsca miała zacząć poszukiwania. Właściwie to przychodził jej do głowy tylko cypel. Do latarni nawet nie planowała pójść, mając na uwadze awersję Róży do tego miejsca.

Kiedy doszła do kutrów, nie zdziwiła się, że miejsce zionęło pustką. Stanęła przy jednym z nich i oparła się o jego burtę. Uniosła głowę i popatrzyła w niebo, obsypane niezmierną ilością gwiazd. Tak jak zazwyczaj w mroźne dni, gwiazdy jaskrawo migotały, hipnotycznie przyciągając uwagę. Nie mogła oderwać od nich oczu. Wspięła się, weszła do kutra i usiadła na desce. Jej wzrok znów uciekł w stronę nieba. Było piękne. Odsunęła rękaw płaszcza i zerknęła na zegarek. Była

dwudziesta trzecia trzydzieści. Uśmiechnęła się. Wkrótce pasterka. Pomyślała o panu Franciszku i Sarze, ciekawa, jak minął im wigilijny wieczór. Nagle jej wzrok zatrzymał się na niewielkim czerwonym przedmiocie leżącym koło jej nóg. Kucnęła i wzięła do ręki zgubę.

– Rękawiczka Róży – powiedziała głośno. Tak głośno, że od razu zwróciła uwagę Włóczykija. Pies podskoczył do łodzi, bezskutecznie próbując się na nią dostać. – Rozumiesz, co to znaczy? – Wyskoczyła z kutra, stanęła przed psem i pomachała mu przed nosem czerwoną rękawiczką. Pomerdał ogonem i zaszczekał, jakby ucieszyły go te słowa. Zaraz potem zwrócił się w stronę, z której przyszli. – Zaczekaj! – krzyknęła, nie mogąc nadażyć za psiakiem. – Gdzie tak pędzisz?! – Włożyła rękawiczkę Róży do kieszeni płaszcza i przyśpieszyła kroku. W pewnym momencie zaczęła nawet biec. – Włóczykij, stój! – krzyczała.

Pies ani myślał się zatrzymać. Biegł jak szalony. Błyskawicznie minął otoczone stemplami wejście do lasu, miejsce, z którego przyszli, i pobiegł w stronę latarni. Emilia zatrzymała się. Była zmęczona.

– Włóczykij, wracaj! – krzyknęła. – Wiem, że latarnia to twoje ulubione miejsce, ale dzisiaj tam nie pójdziemy. – Jej głos, najpierw dźwięczny, osłabł i stał się ledwo słyszalny. – Stary uparciuchu, wracaj mi tu szybko!

Pies ani myślał się cofnąć. Co kilkanaście sekund słyszała tylko jego szczenie, które zresztą z każdą chwilą stawało się mniej wyraźne. Skapitulowała i choć wcześniej nie miała zamiaru iść do latarni, zwróciła się w tamtym kierunku. Podeszła blisko brzegu, tak że fale niemal obmywały jej buty. Miło było znów słyszeć szum morza. Poczuc jego słony zapach, inny o każdej porze roku. Ten zimowy, zmieszany z mroźnym żywicznym powietrzem z pobliskiego lasu, podobał się jej najbardziej. Gdy tak szła, wpatrując się w bezmiar wody, otoczona lasem, piaskiem i czernią zimowej nocy, było jej cudownie. Przestała nawet odczuwać zimno. Powietrze, które wydychała, było gęste jak mgła, oblepiało jej policzki. W oddali majaczył już budynek latarni. Zbliżała się do schodów prowadzących do wejścia. Nagle z boku wyskoczył Włóczykij. Zaczął głośno szczeleć i merdać ogonem, jakby chciał ją poinformować o czymś ważnym.

– Uspokój się! – Starła się go pogłaskać, ale umknął jej i pobiegł po kolejnych stopniach. – Włóczykij, jesteś okropny – marudziła, idąc za psem.

Gdy była w połowie schodów, spojrzała na front budynku. W środku paliło się światło. Ktoś był w latarni. Na wspomnienie ostatnich chwil spędzonych w tym miejscu serce waliło jej jak młotem. Zbyt mocno, by mogła nad nim zapanować. Waliło jak oszalałe, gdy pomału pokonywała kolejne stopnie. Kiedy weszła na górę, Włóczykij stał przed drzwiami i głośno szczeleć.

– Cicho! – krzycząc, starała się uspokoić psa.

Nic to nie dało. Włóczykij zachowywał się jak opętany. Skakał na drzwi, jakby chciał je otworzyć. Emilia podeszła najbliżej, jak tylko mogła, i chwyciła

klamkę, ale nie miała śmiałości, by na nią nacisnąć. Wtem drzwi się otwarły, a ona zobaczyła przed sobą mężczyznę, który w ciągu dwóch ostatnich miesięcy spowodował w jej sercu istną galopadę uczuć.

– Szymon? – Czują, że traci grunt pod nogami. – Jak to możliwe? – Miała ochotę rzucić się mu na szyję i jednocześnie uciec od niego jak najdalej.

On patrzył na nią jak na zabłąkanego wędrowca, który może zjawić się tylko w taką magiczną wigilijną noc.

– Jak mnie znalazłaś? – Uśmiechnął się i wyciągnął rękę w jej kierunku.

Cofnęła się.

– Zaczekaj. Nie zbliżaj się do mnie. Ja... jestem tutaj przez przypadek. Szukałam kogoś, ale Włóczykij wyprowadził mnie w pole.

– Kochany psiak. – Kucnął i pogłaskał zwierzaka. – Przyprowadziłaś swoją panią tam, gdzie trzeba. Wchodźcie. – Szerzej rozchylił drzwi.

– Nie, nie będę ci przeszkadzać.

– Co ty... Mam ci tyle do opowiedzenia. Dopiero po południu przyleciałem do Gdańska.

Włóczykij, nie czekając na swoją panią, wbiegł do środka.

– Chyba nie masz wyboru.

Zagryzła wargi i weszła. Wewnątrz paliła się lampa. Najpierw spojrzała przed siebie. Naprzeciw niej stał stół ociosany z surowego drewna, który doskonale zapamiętała. Na jego blacie migotał płomień lampy, roztaczając wokół subtelne światło.

– Co to ma znaczyć? – odezwała się zduszonym szeptem, przez moment spoglądając na Szymona. Zaraz jednak jej wzrok znów powędrował do miejsca, które jak magnes przyciągało jej uwagę.

Na ławie siedziała skulona Róża. Owinięta w koc, z pochyloną głową, wydawała się nie zauważać nikogo. Pustym wzrokiem patrzyła w podłogę. Z potarganymi włosami, zazwyczaj ułożonymi w elegancką fryzurę, teraz wyglądała jak siedem nieszczęść. Dolna część nogawek jej beżowych spodni była zabrudzona, a zamszowe botki, leżące w nieładzie pod stołem, oblepiało błoto.

– Znalazłem ją pod latarnią, kiedy zjawiłem się tu dzisiaj. Siedziała oparta o drzwi. Trudno mi z nią nawiązać kontakt. Trochę dziwnie się zachowuje.

– Róża – powiedziała głosem pełnym emocji, nadal nie mogąc uwierzyć w to, co widziała. – Ostatnio zachowywała się dziwnie.

– Co się stało? Kim ona dla ciebie jest?

– To moja macocha. Tata zadzwonił dziś do mnie, że Róża zniknęła. Wsiadłam do pierwszego pociągu i przyjechałam. Boże... Nie sądziłam, że ją tutaj znajdę. – Zdarła czapkę z głowy. Potem głośno odetchnęła. – Szczęście, że jest tutaj... Że przyjechałaś akurat w momencie, kiedy tu trafiła. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby... – Czują, że lada chwila się rozplacze. Łzy zaczęły spływać

po jej policzkach. Podbiegła do macochy.

– Rózo, kochana moja. Tak się cieszę, że cię znalazłam. – Objęła ją mocno.

Macocha odepchnęła ją lekko i spojrzała obojętnie.

– Co ty tu robisz? – Pytanie zabrzmiało, jakby wypowiedziała je przez przypadek.

– Jak to co?! Szukałam cię! Jak tylko dowiedziałam się o twoim zniknięciu, od razu przyjechałam.

– Niepotrzebnie. – Róża odwróciła głowę w stronę obrazu przedstawiającego żaglowiec. Patrzyła tak zachłannie, jakby zaraz miała wskoczyć na jego pokład i wyruszyć na bezkresne wody. Chyba naprawdę tego pragnęła.

Emilia nie miała pojęcia, jak z nią rozmawiać. Czuła, że i tak nie dowie się od niej najważniejszego. Że nie pozna powodu, który skłonił ją do ucieczki. Cofnęła się, zdjęła płaszcz, rękawiczki i przewiesiła je przez ławę. Zastanawiała się, jakie pytanie powinna zadać, by nawiązać z nią kontakt. Nie chciała jej spłoszyć.

– Zauważyłam, że czytałaś książkę, którą ostatnio u was zostawiłam...

Róża drgnęła. Wyglądało to tak, jakby ktoś z boku nią potrząsnął.

– Tak, czytałam ją.

– Rózo, o co chodzi? Proszę, powiedz mi.

– O nic i o wszystko. Ale raczej o nic. Teraz nie ma już nic, a wystarczyło zachować się jak człowiek. Wystarczyło się tylko sprzeciwić – mówiła to rozedrganym głosem. Oparła głowę na zgiętych kolanach, owiniętych grubym kocem.

– Pójdiesz teraz ze mną do domu?

Róża nie odpowiedziała, pogrążona w swoich myślach.

– Nie mam pojęcia, co z nią zrobić – powiedziała Emilia do Szymona, oddaliwszy się od Róży.

– Na razie może zostać u mnie. Wyjeżdżam dopiero w drugi dzień świąt.

– Nie zostawię jej tutaj. W każdej chwili może przecież znów próbować uciec. Co wtedy? Nie darowałabym sobie tego. Nie wiem tylko, jakiego argumentu użyć, żeby zachęcić ją do powrotu.

– Zaczekaj, usiądziemy i napijemy się czegoś. Jesteś przemarznięta. – Złapał ją za rękę. – Tak bardzo za tobą tęskniłem. Nawet nie mogłem do ciebie zadzwonić.

Odsunęła się od niego.

– No właśnie, dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? – spytała z wyrzutem. Kłębily się w niej emocje wywołane sytuacją z Różą, ale mimo to poczuła złość. Taką samą jak wtedy, gdy po kilka razy dziennie łąpała za telefon, czekając, aż Szymon się do niej odezwie.

– Usiądź, wszystko ci wyjaśnię.

- Nie muszę siadać, żeby usłyszeć to, co masz mi do powiedzenia.
- No, właściwie nie... – Patrzył na nią z czułością. – Straciłem numer do ciebie. Przejechałem samochodem po telefonie...
- Co takiego? – Popatrzyła na niego, czekając na dalsze wyjaśnienia.
- Po powrocie do Szwajcarii. Do domu dotarłem z lotniska późnym wieczorem. Spieszyłem się. Chciałem przeparkować samochód, żeby zwolnić podjazd. Przez nieuwagę położyłem telefon na dachu. Potem wsiadłem, uruchomiłem silnik i... trach. Nie dość, że go zmiażdżyłem, to jeszcze wpadł w największą kałużę. Domyślasz się chyba reszty? – Miał rozczarowaną minę. Nie czekał na jej reakcję, choć spodziewał się, że usłyszy od niej cokolwiek. Podszedł blisko i chwycił ją za rękę. Szybko odwróciła głowę w kierunku Róży. Wydawało się, że śpi, z głową przytuloną do kolan.
- Powinam jak najszybciej powiadomić ojca o znalezieniu Róży, tak bardzo się martwi... – Starła się odsunąć od niego. – Zostaw mnie. – Lekko odepchnęła Szymona.
- Jesteś na mnie zła?
- Chodzi o Różę. Ta sytuacja z jej zniknięciem... Wciąż nie mogę uwierzyć, że ją odnalazłam. Spadłeś nam z nieba. A ta latarnia przyciągnęła nas tutaj jak Gwiazda Betlejemska trzech króli. – Popatrzyła na zegarek. Było kilka minut po północy. Uśmiechnęła się do siebie. Jadąc do Modrzewiowej, nie sądziła, że czeka ją tutaj taka niespodzianka. – Szymon, powiedz mi, czy kiedy byłeś w Szwajcarii, kontaktowałeś się z Igą? – Starła się ukryć podejrzliwość.
- Dlaczego o to pytasz? Wyjaśniłem ci ostatnio, że nic mnie z Igą nie łączy. To już skończona sprawa. Naprawdę od tamtej pory nie wydarzyło się nic, o co musiałybyś się martwić.
- Naprawdę? – spytała, patrząc na niego ironicznie. Zupełnie jakby mu nie dowierzała.
- Emilio, powiedz po prostu, o co ci chodzi. Wydaje mi się, że chcesz mnie o coś zapytać.
- Po twoim wyjeździe przyszła do mnie. Dowiedziałam się, że kontaktowałeś się z nią. Jak to możliwe?
- Szymon zrobił zadowoloną minę, jakby wszystko było dla niego jasne.
- Dlaczego tak się uśmiechasz?
- Po prostu numer do Igi miałem w notatniku, gdzie zapisuję wszystkie służbowe dane. Poniekąd łączą nas sprawy zawodowe.
- W porządku. Rozumiem, że miałeś jej numer. Interesuje mnie raczej to, po co do niej dzwoniłeś. – Patrzyła na niego bez mrugnięcia. Chciała wierzyć, że zaraz wyjaśni jej wszystko.
- Szymon nadal nie tracił dobrego humoru.
- Ona jest okropna. Nie wiem, jak możesz się przyjaźnić z kimś takim.

– Nie przyjaźnimy się już. – Odwróciła wzrok.
– Kiedy opowiedziałem jej o tobie i o mnie... Rozumiesz, całą tę historię o naszym spotkaniu w Modrzewiowej, stała się strasznie natrętna.

– Powiedziałeś jej o nas?

– Skoro ty tego nie zrobiłaś... Zresztą ona tak uparcie drążyła temat, że po prostu miałem już tego dość. Tylko że jak do Igi dotarło, że między nami nic nie ma, oszalała. Zaczęła wydzwaniać do wydawcy i wypytywać o mnie. Znalazła również dane mojego szwajcarskiego wydawnictwa. Niestety, zaczęła się naprzykrzać. Musiałem więc zareagować. – Miał nadzieję, że wszystko jej wyjaśnił. Ona jednak nadal patrzyła na niego nieufnie.

– Co jej powiedziałaś?

– A to niech już pozostanie moją tajemnicą. Nie sądzę, żebyś chciała usłyszeć słowa, których użyłem podczas naszej rozmowy. – Uśmiechnął się do niej. – Hej, o co chodzi? Nie wierzysz mi?

– Nie wiem. Nie miej mi tego za złe. Długo czekałam na telefon od ciebie.

– Przepraszam cię za tę sytuację. Szkoda, że akurat musiałem wyjechać. Inaczej nie doszłoby do tego całego zamieszania. – Mocniej ścisnął jej rękę.

– Nie przepraszaaj, to nie twoja wina. – Uśmiechnęła się nieśmiało. Czuła, że nieufność zaczyna w niej gasnąć i robi miejsce nowemu. Nie wiedziała, gdzie to „nowe” ją zaprowadzi.

– Może uznasz, że to nieodpowiedni czas na takie wyznania, ale ja... nigdy wcześniej nie czułem do nikogo tego, co czuję do ciebie. Zresztą mówiłem ci to ostatnio w Krakowie... – Szymon pochylił się do jej policzka.

– Szymon, zaczekaj. – Starła się od niego odsunąć.

Nie wypuścił jej ręki, ale cofnął się o krok.

– O co chodzi? Nadal mi nie wierzysz? Jesteś na mnie zła?

– Nie. Wierzę ci. Chodzi o Różę. Zrozum, ja nie mogę tak tutaj z tobą... kiedy ona tam na tej ławce... Zresztą, powinnam jak najszybciej wrócić do ojca.

– Przepraszam. Poniosło mnie. To wszystko przez to, że jak zobaczyłem cię dzisiaj, stojącą w drzwiach latarni, to...

Poczuła, że płonie na zewnątrz i od środka. Nie potrafiła znaleźć słów, którymi mogłaby się odwdziaczyć Szymonowi za to wyznanie. Odważyła się jednak i przysunęła się do niego. Uniosła rękę i pogładziła jego policzek. Złapał ją za czubki palców, przyłożył je do ust i czule pocałował.

– Wesółych świąt – powiedział ciepłym głosem.

– Wesółych. – Patrzyła mu prosto w oczy i była pewna, że to, co powiedział, było prawdą.

Nagle oboje spojrzeli w kierunku miejsca, gdzie siedziała Róża. Kobieta wstała i niezgrabnie włożyła buty. Patrzyła na nich obojętnym wzrokiem.

– Chcę wracać do domu. Zbyt długo mnie tam już nie było – odezwała się

stanowczo, spoglądając w kierunku drzwi. Potem znów utkwiała wzrok w obrazie z żaglowcem.

Emilia od razu do niej podeszła. Gdy spróbowała ją złapać za rękę, Róża się cofnęła.

– Nie wiem, po co tutaj znowu przyszedłam...

Przyglądała się jej i bezskutecznie próbowała się domyślić, z czym ona się siłowała. Jaki rodzaj smutku trawił jej duszę, zmuszając do ucieczki? W jej oczach widziała nie tylko obojętność, ale też strach, taki sam jak u Sary. Wtem Róża drgnęła i wolno ruszyła w kierunku drzwi wyjściowych.

– Zaczekaj! – krzyknęła Emilia. Obawiała się, że macocha może jej zaraz zniknąć z oczu.

Róża zatrzymała się, dopiero kiedy doszła do obrazu. Stała naprzeciw i znów zaczęła się w niego hipnotycznie wpatrywać. Emilia stanęła tuż za nią. Nie chciała jej przeszkadzać. Bała się jej reakcji.

– Nigdy nie opowiadałam ci pięknej historii... legendy związanej z tym miejscem. – Spojrzała na żaglowiec unoszący się na niebieskich falach. – Jest zbyt baśniowa, by mogła być prawdziwa. W tym miejscu nie mogło się wydarzyć nic pięknego. To niemożliwe. – Zaciśnęła usta i napięła mięśnie twarzy.

– Co to za historia?

– To zwykła bajka o bogini wiatru i żeglarzu Szymonie, który podobno ją odnalazł i zakochał się w niej. – Róża uciekła wzrokiem w chwili, gdy Emilia chciała na nią popatrzeć.

– Ja chyba znam tę opowieść...

Róża zatrzymała na niej wzrok.

– Skąd? Na pewno nie od Janka. Nigdy w nią nie wierzył. On wolał raczej rozpowiadać te całe brednie o bitwach morskich i piratach, którzy później dzielili się tutaj łupem.

– Nie od ojca – odparła, sądząc, że ta odpowiedź macochę zadowoli.

– Powinnyśmy już pójść – zmieniła temat Róża.

– Odprowadzę was – powiedział Szymon, gdy obie kobiety stały już ubrane przy wyjściu.

– Będzie lepiej, jak pójdziemy same. – Emilia przechyliła się w stronę Szymona i szepnęła mu do ucha: – Może jak będziemy tylko we dwie, uda mi się coś z niej wyciągnąć.

– W porządku. Weźcie chociaż lampę.

– Nie trzeba, zobacz, jak dzisiaj jest jasno.

Róża włożyła rękę do kieszeni kurtki i wyjęła z niej rękawiczkę. Przez moment zastanawiała się, co z nią zrobić.

– To chyba twoja zguba. – Emilia podała jej czerwoną rękawiczkę znalezioną w kutrze przy cyplu.

Róża wzięła ją, o nic nie pytając. Od razu ubrała obie. Potem dosunęła suwak kurtki po samą szyję.

– Idziemy? – spytała, znów pomijając Szymona, zupełnie jakby go tam nie było, jakby nie istniał.

– Idziemy.

– Zobaczymy się jutro? – Kiedy była już za progiem, Szymon w ostatniej chwili dotknął jej dłoni.

– Tak – odpowiedziała i znów zerknęła w stronę Róży, która jak lunaticzka szła w stronę sosnowego lasu i wyjścia z plaży. – Przyjdę do ciebie jutro, zgoda? Jak się to wszystko ułoży...

– Będę na ciebie czekał. – Uśmiechnął się do niej na pożegnanie. Chciał ją odprowadzić, choćby do granicy schodów, ale umknęła mu, zbiegając po stopniach.

– Do zobaczenia! – krzyknęła z oddali, pędząc w kierunku Róży, która zaczęła się oddalać niebezpiecznie szybko.

Gdy dotarli pod dom, w kuchni paliło się światło, a w oknie widać było zarys sylwetki ojca siedzącego przy stole. Róża otworzyła furtkę i na chwilę się zatrzymała.

– Nie mów Jankowi, gdzie mnie znalazłaś, dobrze? – Odwróciła się do pasierbicy, patrząc na nią przenikliwie.

– Dlaczego? – spytała. Była pewna, że jeśli ojciec spyta ją o miejsce, gdzie się spotkały, trudno jej będzie ukryć prawdę.

– Bo... to miejsce nie kojarzy mi się zbyt dobrze.

– Zauważyłam.

Róża udawała, że te słowa nie wywarły na niej wrażenia. Ruszyła w kierunku drzwi. Włóczykij wbiegł tam przed nimi, szcękając zaciekle. W progu stanął Janek. Patrzył na żonę, nie mogąc wyjść z zadziwienia. Długo się nie odzywał. Zresztą Róża też milczała.

– Kochanie, gdzie byłaś?! – odezwał się w końcu i zrobił krok w jej stronę. Potem ją objął. Nie protestowała. Zachowywała się jak szmaciana lalka, którą można przytulać do woli, a ona i tak pozostanie nieruchoma. On głaskał ją z czułością, nie oczekując nic w zamian. Teraz było widać, jak bardzo ją kocha. Ukrył twarz w puchowej kurtce Róży, ale Emilia była pewna, że miał w oczach łzy. Może nawet płakał...

Po emocjonującym powitaniu weszli do domu. Janek pomógł żonie zdjąć ubranie. Weszli do kuchni. Róża usiadła przy stole i popatrzyła w okno, za którym i tak była tylko ciemność.

– Gdzie ją znalazłaś? – wyszeptał Janek w kierunku córki.

– Sam ją o to zapytaj. – Odwróciła się od niego, starając się uniknąć dalszych pytań. Potem usiadła obok macochy. – Jesteś głodna?

– Nie, i nie chcę nic do picia – odpowiedziała Róża, ubiegając kolejne pytanie.

Janek też dosiadł się do stołu.

– Kochanie, dlaczego uciekałaś? – Próbował wziąć Różę za rękę, ale wymknęła się mu. Nagle wstała i bez słowa wyszła z kuchni. Szybkie kroki świadczyły o tym, że właśnie wbiegła na górę.

– Niepotrzebnie pytałeś. Tylko ją spłoszyłeś – odezwała się z wyrzutem.

– Nie chciałem. Nie pomyślałem, że... Kretyn ze mnie. Naprawdę nie wiem, jak z nią rozmawiać. Kiedyś dogadywaliśmy się idealnie. – Smutno zwiesił głowę.

– Kiedyś... Nie zapominaj, że Róża ma jakieś kłopoty. Musimy jej pomóc.

– Tylko jak? – Janek popatrzył bezradnie w oczy córki.

– Nie wiem, może w końcu sama nam powie. Może poczuje się ze swoim problemem na tyle opuszczona, że nie będzie miała już więcej siły, by dalej dźwigać go w pojedynkę. Myślę, że powinniśmy poszukać pomocy u specjalisty.

– Chodzi ci o psychiatrę? – Zmrużył oczy. Nie spodobała się mu propozycja

córki.

– O psychiatrę, psychologa, terapeutę. Chodzi mi o osobę, która pomoże Róży skontaktować się z samą sobą.

– No nie wiem...

– Może ta jej koleżanka ze szpitala, Urszula... Może ona mogłaby jej pomóc?

– Rzeczywiście, Ula jest świetnym psychiatrą. Znają się od lat, przyjaźnią ze sobą. Jednak ze względu na łączącą je relację nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł... Ale na pewno mogłaby polecić kogoś zaufanego.

– Sam widzisz. – Ucieszyła się, że udało się jej przekonać ojca.

– Z samego rana zadzwonię do Urszuli. W szpitalu też wszyscy bardzo niepokoją się zniknięciem Róży. – Janek postukał ręką w blat stołu, jakby chciał przypieczętować podjętą decyzję. – Gdzie ją znalazłaś? – spytał znów, a tym razem córka naprawdę nie wiedziała, jak się wykręcić. Długo się nie odzywała, główkując nad odpowiedzią.

– Na cyplu. Siedziała w łodzi – skłamała, nie patrząc ojcu w oczy.

– Przecież tam byłem. Obszedłem całą Modrzewiową kilka razy. Jak to możliwe, że jej nie zauważyłem?

– Pewno się minęliście. – Musiała w końcu na niego popatrzeć. Za bardzo był jej bliski. Niestety, ulegając prośbie Róży, oszukała go, po raz pierwszy w życiu.

– Najważniejsze, że ją odnalazłaś, całą i zdrową. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby coś jej się stało. – Janek ukrył twarz w otwartych dłoniach.

– Nie myśl o tym. Róża jest z nami i teraz najważniejsze, żeby jej pomóc.

– Masz rację, kochana. – Popatrzył na zegar. – A teraz powinnaś się położyć. Jest już druga. – Wstał i przesunął zasłonę w oknie.

– Pójdę na górę. Ty też powinienes...

– Będę jej pilnował, nie bój się. Nie pozwolę jej już uciec.

Na piętrze paliło się światło. Przed zamkniętymi drzwiami od pokoju ojca i Róży siedział Włóczykij. Gdy zobaczył swoją panią, podniósł łeb i popatrzył na nią, jakby chciał powiedzieć: „Nie martw się. Już moja w tym głowa, żeby znów nam nie uciekła. Na mnie zawsze możesz liczyć”. Kucnęła i pogłaskała go.

– Dzięki. To ty ją znalazłaś, mój ty bohaterze.

Podniosła się. Tuż za nią stał Janek. Objęła go i pocałowała w policzek.

– Wesółych świąt, tato.

– Wesółych świąt, kochanie. – Mocno utulił córkę. – Wierzę, że będą naprawdę dobre. Najważniejsze, że jesteśmy razem.

– Idź do niej. Ona teraz na pewno bardzo potrzebuje twojej bliskości. Tylko znów jej nie spłusz – ostrzegła Janka, kiedy ten otwierał już drzwi. – Dobranoc – szepnęła na koniec.

– Dobranoc – odpowiedział i zniknął za drzwiami.

W ciszy uspiętego domu długo nie mogła zapaść w sen. Udało się jej to dopiero nad ranem. Obudziła się koło dziewiątej. Na szyby padały drobne śniegowe gwiazdki. Kiedy jedne topniały, zaraz pojawiały się następne.

Na rogu łóżka ujrzała Różę. Siedziała skulona i patrzyła na swoje dłonie, które zaplotła i położyła na kolanach. Emilia szeroko otworzyła oczy i usiadła.

– Obudziłam cię? – odezwała się cicho Róża.

– Nie. – Wciąż miała wrażenie, że nie przebudziła się do końca. Patrzyła na Różę i tylko uśmiechała się do niej. Nie chciała jej wystraszyć, tak jak zrobił to Janek w nocy.

– Emilko, pewnie myślisz, że zwariowałam, tak? Że mam jakiś trudniejszy okres w życiu, depresję czy coś w tym stylu?

– Nie wiem, co myśleć.

– Słuchaj, ja wiem, że chcecie z Jankiem dla mnie jak najlepiej, ale... To nie ma sensu.

– Co nie ma sensu?

– Nie pomożecie mi, jeśli sama nie będę tego chciała.

– A nie chcesz?

– Nie wiem. Jestem pewna jednego, nie zmienię przeszłości. A skoro nie mogę na nią wpłynąć, to albo po prostu odpuszczę, albo nadal będę się zadręczać. – Położyła rękę na łóżku i mocno ścisnęła skrawek pościeli. – Dlaczego najtrudniej jest wybaczyć sobie? – Utkwiła wzrok w dywanie. – Janek ma wobec mnie tyle ciepłości. Tak bardzo mnie kocha. Dlaczego sama nie mogę dać sobie tego, co każdego dnia dostaję od Janka? Wiele kobiet marzy o takim mężczyźnie, a ja... Ja tak bardzo go zawiodłam...

– Tata zawsze będzie cię kochał. Może powinnaś mu jednak...

– Opowiesz bzdury! Nic o mnie nie wiesz!

– Jak to nic o tobie nie wiem? Zawsze byłaś przy mnie, kiedy cię potrzebowałam. To ty i Zosia mnie wychowywałyście. Jesteś dla mnie jak matka. Myślałam, że wiesz... – Nadal nie miała śmiałości, by zbliżyć się do Róży, choć bardzo tego pragnęła.

– Wiem, kochanie. Zawsze byłaś i będziesz moją córką. Tylko że ja... – Głos Róży zdławiły emocje. – Ja nie jestem godna, żeby nazywano mnie matką. – Ukryła twarz w dłoniach.

– Różo, nie mam pojęcia, co cię trapi. Obiecuję, że o nic nie będę cię pytać. Jeśli zechcesz, sama mi opowiesz, ale... Musisz wiedzieć jedno, że pomimo tego, co o sobie myślisz, ja i tak nigdy nie przestanę cię kochać. Zawsze będziemy z tobą. – Przynęła się i nieśmiało dotknęła jej ramienia.

Kobieta odsunęła ręce od twarzy. Nawet starała się uśmiechnąć, ale było widać, że sprawiło jej to trudność.

– Zawsze byłaś taka... wyjątkowa. – Róża pogładziła wierzch jej dłoni. – Chciałabym ci o wszystkim powiedzieć. Właściwie tylko tobie mogłabym... Ale nie dam rady. Jeszcze nie teraz. – Odwróciła twarz i wstała. – Nie wiem, może kiedyś odważę się na to, ale na pewno nie teraz. – Gdy już miała ruszyć do drzwi, dostrzegła książkę Zofii. Emilia przyniosła ją z powrotem na górę i położyła na stoliku. Leżała, zamknięta, obok niebieskiej papeterii w białe gołębie, którą dostała od Róży na gwiazdkę w zeszłym roku. W te święta w Modrzewiowej nie obdarowywano się podarunkami, ale nie one były najważniejsze. Zniknięcie Róży uświadomiło Emilii, że można nagle stracić wszystko: miłość, bezpieczeństwo. Mniej lub bardziej uporządkowany świat, niczym wielki głaz, może w jednej chwili spaść z samego szczytu. Jedyne, co nam pozostaje, to zebrać siły i spróbować znów wtoczyć go na górę.

Nie spuszczała oczu z Róży. Ta powoli podeszła do stolika i położyła rękę na książce.

– Poszłam za jej radą – powiedziała, nie odrywając oczu od zniszczonej okładki. Po chwili przeniosła wzrok na pasierbicę.

– Zauważyłam, że podkreśliłaś jedno zdanie.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, ale musiałam się czegoś dowiedzieć.

Emilia wpatrywała się w Różę z rosnącą ciekawością.

– To bardzo mądra książka, choć wydaje się jakaś niedopowiedziana. A może autor celowo nie dokończył pewnych myśli... – Zdjęła rękę z książki i odeszła od stolika. – Zejdiesz na dół?

– Tak, tylko się przebiorę. – Uśmiechnęła się do macochy. Wydawało się, że Róża jest w lepszej kondycji. Wprawdzie nadal zachowywała się nieco dziwnie i już na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że coś ją gnębi, w ciągu ostatnich godzin zaszła jednak zmiana. Już sam fakt, że była w latarni... „Co musiało się stać, że Róża się tam znalazła?” – zastanawiała się, patrząc na macochę stojącą w drzwiach.

Gdy tylko Róża otworzyła drzwi, do pokoju wpadł Włóczykij. Zostawiał na podłodze mokre ślady. Podbiegł do łóżka, podskoczył i oparł na nim przednie łapy.

– Poczekaj, mój drogi. Najpierw trzeba z tobą zrobić porządek. – Emilia zeskoczyła z łóżka. – Grzeczny. – Pogłaskała jego wilgotną sierść.

– Janek wyszedł z nim rano na spacer.

– Oj, nieładnie. Nie zaczekałeś na mnie – droczyła się z psem, łaskocząc go po karku. Zwierzę tylko na to czekało. Od razu wdało się w zabawę ze swoją ulubioną panią, delikatnie gryząc ją po rękach. – Nie przejmuj się, nadrobimy to później. Obiecuję, że zabiorę cię na długi popołudniowy spacer.

– Pójdiesz do latarni?

– Tak – odpowiedziała nieco skrępowana.

– Chcesz się zobaczyć z tym mężczyzną, tak?

– Tak – mówiąc to, opuściła głowę. Obawiała się słów Róży, pamiętając, jak ta zareagowała na wiadomość o jej spotkaniu z nieznajomym z latarni.

– Emilko, przepraszam cię za moje głupie zachowanie. Pomyliłam się. To dobry człowiek.

– Tak, Szymon to świetny facet. Jest pisarzem.

– Szymon?

– Tak ma na imię...

W ciągu ostatniej nocy wszystko działo się tak szybko, jak na przewijanym w pośpiechu filmie. Nie potrafiła odtworzyć w myślach nawet jednego szczegółu. Jediną realną rzeczą, jaka została w jej pamięci, była czerwona rękawiczka Róży, znaleziona w kutrze na cyplu. Jej jaskrawy kolor obudził w niej nadzieję.

– Podoba ci się – zauważyła Róża, a po jej minie trudno było wywnioskować, czy jest z tego powodu zadowolona, czy też nie.

– Tak. – Znów poczuła się zawstydzona, ale nie spuściła wzroku, tylko nieśmiało się uśmiechnęła.

– Podziękuj mu w moim imieniu. Wczoraj zachowywałam się jak dzikuska. Mógł pomyśleć, że brakuje mi piątej kleпки. Ale gdyby nie on, to różnie mogłoby ze mną być. Może zaprosisz go do nas na dzisiejsze popołudnie? Mogłabym mu osobiście podziękować. Tylko pamiętaj, nie mów nic Jankowi o latarni, o tym, że mnie tam znalazłaś. – Róża patrzyła stanowczo, zupełnie inaczej niż przed chwilą.

– To nie jest dobry pomysł. – Nadal nie rozumiała, dlaczego macocha tak odgradzała się od tego miejsca. Jakie niewygodne wspomnienia tam zostawiła, że w ciągu ostatnich lat nie mogła nawet swobodnie patrzeć w kierunku latarni?

– Jak chcesz – odparła Róża, udając obojętność, i wyszła. Emilia domyśliła się, że ta propozycja wiele ją kosztowała.

Kiedy kwadrans później zeszła do salonu, Janek i Róża siedzieli już w fotelach. W kominku ze starej cegły wesoło trzaskał ogień. Z gramofonu leniwie sączyła się ulubiona kolęda Emilii, *Cicha noc*. Jak co roku, w rogu stał srebrzysty świerk, pięknie ubrany ozdobami wykonanymi przez Różę. Był niemal o połowę niższy niż choinka w domu pana Franciszka.

Podeszła do ojca i dała mu całusa. Usiadła na kanapie, blisko fotela Janka. Róża odchyliła się na oparcie fotela i przymrużyła oczy. Zdawało się, że usypia, ukołysana rytmem spokojnego utworu. Jan uśmiechnął się i przyłożył palec do ust, patrząc na córkę.

– Chodźmy do stołu, zjemy świąteczne śniadanie. Wczorajsza kolacja nie należała do obfitych – powiedział Janek półszeptem.

Po jego słowach Róża otwarła oczy, spoglądając na męża, później na pasierbicę, ale znów zatopiła się w myślach przy łagodnych dźwiękach kolędy i przymknęła powieki.

– Nie jestem głodna. Posiedźmy tutaj. Jest tak jak dawniej. – Przy ostatnich

słowach Emilia ściszyła głos. W gruncie rzeczy wiedziała, że nic nie było już tak jak dawniej, a te słowa to oszustwo. Naciągana próba powrotu do przeszłości. Te święta były inne, bo i czas był inny. Ojciec, Róża i ona byli inni. Brakowało im dawnej otwartości.

Najważniejsze jednak, że byli w komplecie. Może wyglądali teraz jak niezbyt dobrze zgrane trio, ale istniała szansa, że w każdej chwili znów będą mogli rozpocząć wspólną grę.

Świąteczne śniadanie odbyło się w cichej, melancholijnej atmosferze. Róża nie tknęła właściwie nic. Emilia z trudem przetykała kawałki pieczonego pasztetu z grzybami. Tylko Janek miał apetyt. Zajadał ze smakiem i spoglądał na żonę, jakby sprawdzał, czy ta nadal jest obok.

Po południu Emilia zadzwoniła do pana Franciszka z informacją o odnalezieniu Róży. Nie dowiedziała się od niego, jak zwykle małomównego, zbyt wiele o kolacji wigilijnej jego i Sary. Koło południa wyszła na spacer z psem i od razu skierowała kroki do latarni. Czuła podekscytowanie. Tak bardzo chciała zobaczyć Szymona, przytulić się do niego, jeszcze raz usłyszeć z jego ust to, co wyjaśnił jej już poprzednio. Potrzebowała tego. Zwłaszcza że ostatnia noc jawiła się jej jak sen, z którego nie do końca się obudziła.

Gdy weszli na plażę obleczoną w biel, Włóczykij od razu popędził w kierunku latarni. Zawsze to robił, ale tym razem szybciej przebiegał łapami, jakby i on nie mógł się doczekać spotkania. Było widać, że polubił Szymona i po psiemu zaakceptował. Całą plażę oświetlało słońce, które sprawiało, że śnieg wydawał się jeszcze bielszy, niemal przezroczysty. Emilia czuła się szczęśliwa. Nie myślała o niczym i oddychała pełną piersią. Kiedy patrzyła w granatową toń morza, nie istniało nic poza nim. Wielka woda zabierała od niej wszystkie problemy. Obmywała je i zatapiała. Teraz leżały na samym dnie, tam gdzie nigdy nie dosięgnie ich ludzkie oko.

Rozmarzyła się, idąc powoli brzegiem. Dopiero szczekanie Włóczykija sprawiło, że się ocknęła. Pies biegł od strony latarni. W pewnym momencie zatrzymał się, czekając na nią. Gdy do niego doszła i chciała pogłaskać, wymknął się i znów skierował w zachodnią stronę. Wyglądało to tak, jakby chciał ją popędzić. Przyspieszyła więc kroku. Gdy dotarła na miejsce, wspięła się na górę po oblodzonych schodach. Włóczykij już obszczekiwał drzwi. Bez zastanowienia podeszła do nich i złapała za klamkę. Nacisnęła... Drzwi ani drgnęły. Szarpnęła ponownie. Nic z tego. Szczelina między ich dolnym brzegiem a progiem była mocno oblodzona. Musiały być zamknięte już od kilku godzin. Z paniką zaczęła się rozglądać na boki. Schyliła się i zobaczyła wpatzonego w nią Włóczykija. Siedział i dyszał, odpoczywając po biegu. Odniosła wrażenie, że patrzył na nią ze współczuciem. „To niemożliwe – powiedziała do psa. – Szymon nie mógł po raz kolejny wystawić mnie do wiatru. Przecież obiecał mi to spotkanie. Mówił, że

jestem dla niego kimś ważnym!” – żaliła się, patrząc w mądre oczy Włóczykija.

Nagle pies drgnął i zaczął odgrzebywać coś z niewielkiej kupki śniegu pod progiem. Po kilku sekundach ukazały się zielone listki jemioly z białymi owocami. Schyliła się i otrzepała je. Wtedy zobaczyła jeszcze coś. W miejscu, gdzie leżała zielona gałązka, zauważyła zamkniętą kartkę z doczepioną do niej złotą wstążką. Sięgnęła po nią i czym prędzej rozprostowała. Wilgoć w wielu miejscach rozmyła napisane na niej słowa, ale i tak zdołała je odczytać.

Kochanie,

przepraszam, że musiałem wyjechać. To stało się tak nagle. Wrócę do Ciebie.

Przestała czytać i spojrzała na morze. Szumiało uspokajająco. Przynosiło ukojenie. „O co w tym wszystkim chodzi?” – myślała, zatapiając wzrok w dobrze znajomej, a jednak dzikiej i nieprzewidywalnej morskiej toni. Potem znów uniosła kartkę i czytała dalej:

Kiedyś może Ci to wyjaśnię. Teraz sam muszę poukładać swoje sprawy. Marzyłem, żeby dzisiaj pocałować Cię pod jemiolą, którą Ci zostawiam. Kocham Cię. To też miałem Ci dzisiaj powiedzieć. Mam nadzieję, że nowy rok zaczniemy już wspólnie.

Szymon

Miała ochotę płakać, krzyczeć i jednocześnie śmiać się na cały głos. Znów zerknęła na list od Szymona. „Kocham Cię” – przeczytała, a potem zrobiła to po raz kolejny i jeszcze kilka razy z rzędu. W głowie kręciło się jej ze szczęścia.

– Włóczykij, uwierzysz w to, że on mnie kocha?! – krzyknęła i popatrzyła na psa.

Uwierzył, pomerdał ogonem i zaszczekał. Emilia przyłożyła do twarzy gałązkę jemioly. Przymknęła oczy, a na ustach poczuła smak pocałunku Szymona. Tego, który miał się dzisiaj przydarzyć im obojgu. „To nic” – myślała. W tej chwili najważniejsze było to, że Szymon ją kochał, bo ona też kochała jego. To nic, że nie powiedzieli sobie tego. Oboje to czuli, tylko to się liczyło. Drobnie listki jemioly łaskotały jej rozpalone policzki jak palce ukochanego mężczyzny. „Też cię kocham, też cię kocham, kocham tak bardzo” – powiedziała w myślach, spoglądając w morze, jakby było ono największym powiernikiem jej sekretu. Potem starannie złożyła kartkę i wcisnęła do kieszeni płaszcza. Złotą wstążką obwiązała gałązkę jemioly.

– Włóczykij, wracamy!

Gdy już była na schodach, które teraz w zimowej scenerii wyglądały jak zjeżdżalnia, jeszcze raz odwróciła się w stronę latarni, spoglądając na niewielkie, pokryte lodem okienko. Mróz tego dnia namalował na całej szybie ogromne serce. Pokryte drobnymi wzorkami i połyskujące w słońcu wyglądało jak wielki klejnot.

Roześmiała się na cały głos. Czowała, że jej serce jest właśnie takie: kompletne. Ostrożnie zeszła ze schodów i zaczęła biec przed siebie. Nie przestała nawet wtedy, kiedy pod nogami czuła twarde grudy zmrożonego śniegu. Biegła pod wiatr, ale z prądem marzeń. Biegła w chłodziu, ale z gorącym sercem. Zatrzymała się, zmęczona. Włóczykij, który cały czas gnał obok niej w tym samym tempie, też przystanął. Dyszał i merdał ogonem. Ona też ciężko oddychała, uśmiechając się. Powietrze było mroźne. Gdy nabierało się go w usta, nie można było oprzeć się wrażeniu, że kiedy wnuknie głębiej, zamieni się w kawałki lodu. Nie bała się tego. Oddychała wreszcie pełną piersią, mimo że mróz kąsał jej usta. W takiej euforii, z rozwiniętym szalikiem i rozwianymi włosami, na których osiadły drobinki lodu, dotarła pod dom.

– Już jesteś? – zdziwiła się Róża, widząc ją w holu.

Emilia chciała przemknąć na górę cicho i niezauważenie, ale macocha akurat schodziła ze schodów.

– Tak. – Uśmiechnęła się, utwierdzając Różę, że wszystko jest w porządku.

Macocha nie spytała jej o nic, tylko zaprosiła na herbatę. Nie wypadało odmówić, dlatego już po chwili dziewczyna siedziała przy kuchennym stole, choć najbardziej pragnęła teraz samotności. Chciała wyciszyć swoje serce.

– Jesteś w wyjątkowo dobrym humorze – powiedziała Róża. Podała głogową herbatę, którą kiedyś kurowała serce Janka. – Wypij, widzę, że jest ci potrzebna. – Uśmiechnęła się zagadkowo.

Emilia objęła palcami porcelanowy kubek. Dopiero teraz poczuła, że zmarzła. Widok znajomych kątów trochę ostudził jej emocje.

– Poznałaś go, jak przyjechałaś do nas poprzednio? – spytała Róża, przysuwając w stronę pasierbicy kawałek ciasta z makiem. – Zjedz – powiedziała, oczekując odpowiedzi. – Jest pyszne.

– Tak, to było wtedy. A później przez przypadek spotkaliśmy się w Krakowie.

Macocha na szczęście nie dopytywała o szczegóły, bo Emilia nie miała nastroju, by nawet na chwilę wracać do przeszłości. Musiałaby wtedy dotknąć wspomnień związanych z Igą.

– Co tak się zadumałaś?

– Ostatnio moje życie zrobiło się strasznie pogmatwane...

– Skąd znam to uczucie...

– Przepraszam, nie chciałam. Nie wiem, jak z tobą rozmawiać. Dawniej nie miałyśmy przed sobą tajemnic. – Sądziła, że tymi słowami zachęci Różę do zwierzeń.

– Niech tajemnice pozostaną tajemnicami – odparła sucho. Potem wstała i zabrała się do zmywania naczyń. Nie musiała tego robić. Zlew był prawie pusty. – Pójdę do góry, do Janka. Chyba czyta gazetę. – Odłożyła umytą szklankę i wyszła z

kuchni. Pomału odzyskiwała równowagę, zaczynała mówić o sobie, a przez jedno nieprzemyślane pytanie znów zamknęła się w swojej skorupie jak ślimak.

Do końca dnia Róża nie wyszła już z pokoju. Po rozmowie z ojcem, z którym spędziła większość popołudnia i wieczór, Emilia dowiedziała się, że macocha nie zamierza robić już żadnych głupot, jak zresztą sama oznajmiła mężowi. Kiedy Janek zaproponował jej spotkanie z Urszulą, odwróciła się do niego plecami, ucinając krótko, żeby nie wsadzał nosa w nie swoje sprawy.

Nazajutrz z samego rana Emilia szykowała się do odjazdu. Tym razem dopilnowała, żeby książka Zofii znalazła się w jej bagażu. Już przed południem zebrała się z Włóczykijem. Janek był na tyle ostrożny, by w podróż do Gdańska zabrać ze sobą również Różę. Macocha nie miała ochoty na przejażdżkę. Jednak widocznie dotarło do niej, jak bardzo nieodpowiedzialnie się zachowała, uciekając z domu, bo teraz zgadzała się niemal na wszystko, co zaproponował jej mąż.

Przez całą drogę Róża spała albo udawała, że śpi. W każdym razie sprawiała wrażenie nieobecnej. Podczas podróży Emilia z Jankiem rozmawiali na bezpieczne tematy, by znów jej nie spłoszyć. Mówili przeważnie o Krakowie i sprawach, które wiązały się z panem Franciszkiem i antykwariatem. Raz nawet wspomnieli o Lili.

Zatrzymali się tuż przy dworcu. Gdy Emilia wyjęła z bagażnika walizkę, otworzyła jeszcze boczne drzwiczki, gdzie na tylnym siedzeniu siedziała Róża.

– Do zobaczenia, Rózo.

Macocha otworzyła oczy i odezwała się smutno:

– Do widzenia, kochana.

– Na pewno dasz sobie radę? – szepnęła jej do ucha, tak żeby nie słyszał tego ojciec.

– Będę się bardzo starała – odpowiedziała równie cicho.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, to po prostu dzwoń.

Nie powiedziała już nic, uściśnęła tylko rękę Emilii i zamknęła oczy. W tym uścisku było wiele siły. Emilia poczuła, że Róża na pewno sobie poradzi, choć nie będzie jej łatwo.

Z ojcem pożegnała się serdecznie, ale szybko, żeby nie przedłużać postoju w niedozwolonym miejscu. Szybko wymienili się całusami i po chwili Janek siedział już za kierownicą. Emilia pomachała do niego. Na pociąg nie czekała długo. Także podróż minęła błyskawicznie. Przez większość drogi patrzyła przez okno. Było jeszcze na tyle jasno, że z przyjemnością mogła przyglądać się mijanym krajobrazom. Przeważnie widziała białe płachty śniegu, gdzieniegdzie poprzecinane zielenią choin albo brunatną barwą budynków. W tym roku śniegu było pod dostatkiem w całej Polsce.

Pociąg sunął po torach błyskawicznie, niczym sanie Świętego Mikołaja. Gdy po godzinie siedemnastej wychodziła z tunelu przy krakowskim dworcu, nie mogła uwierzyć, że jeszcze kilka godzin wcześniej była na plaży. Teraz, kiedy

przechodziła obok znajomych miejsc, ciągnąc za sobą walizkę, miała nieodparte wrażenie, że jakaś jej kolejna część pozostała w Modrzewiowej.

W domu, jej nowym domu, pachniało książkami, podobnie jak w antykwariacie, ale dzisiaj w powietrzu unosił się dodatkowo zapach świątecznych wypieków. Emilia zdjęła płaszcz i rozejrzała się wokół. Franciszek był w swoim pokoju. Uchyliła drzwi i zajrzała do środka. Czekał, aż do niego wejdzie. Słyszał, jak otwierała drzwi. Siedział na zaścielonym łóżku i czytał książkę, albo przynajmniej sprawiał wrażenie zatopionego w lekturze.

– Dzień dobry, panie Franciszku. Wróciłam. – Podeszła do niego i usiadła na skraju łóżka.

– Cieszę się, że już jesteś i że cała ta historia dobrze się skończyła. – Zamknął książkę.

– Tak, rzeczywiście, ale nie jestem pewna, czy...

Franciszek popatrzył na nią uważnie. Jego powściągliwość okazała się silniejsza niż ciekawość. Czekał, aż Emilia sama zda mu relację z podróży do Modrzewiowej. I owszem, chętnie opowiedziała o pobycie w domu ojca i macochy, ale bez zbytnej wylewności. Pominęła najważniejszy wątek latarni. Nie wiedzieć czemu, wciąż wstydziła się przyznać do uczucia, jakim obdarzyła Szymona.

– A jak wy spędziliście święta?

Franciszek uśmiechnął się na wspomnienie miłych chwil z Sarą.

– Było bardzo miło i kameralnie. Po kolacji długo rozmawialiśmy... o Zosi. Wyjaśniliśmy sobie wiele spraw. Te spotkania z Sarą bardzo mi pomogły.

– Spotkania? Myślałam, że widzieliście się tylko w Wigilię.

– Zaprosiłem Sarę również w Boże Narodzenie. Myślisz, że postąpiłem nietaktownie? – Przyglądał się, sprawdzając jej reakcję. Był przewrażliwiony na punkcie konwenansów. Wciąż zastanawiał się, co wypada, a co nie, co może powiedzieć w towarzystwie kobiety, a czego mu nie wolno.

Emilia była ciekawa, jak wyglądało jego spotkanie z Sarą. Czy starszej pani udało się dotrzeć do zasadniczego Franciszka i wciągnąć go w swobodną dyskusję?

– Ależ skąd – odpowiedziała od razu, wyczuwając niepokój w jego głosie. – Oboje jesteście samotnymi ludźmi, a w święta przecież nikt nie powinien być sam.

– Ty chyba nie pomyślałaś sobie, że mnie i Sarę mogłoby coś połączyć? – Był wyraźnie skrepowany rozmową. Kilka razy chwycił za oprawki okularów, jakby chciał je zdjąć. Raz zanurzył rękę w kieszeni swojego swetra, ale nie wyjął z niej tabaki.

– Nie, nie pomyślałam – próbowała go uspokoić.

Wieczór oboje spędzili w salonie, siedząc przy choince rozświetlonej kolorowymi światełkami. Mimo że niewiele ze sobą rozmawiali, te ostatnie świąteczne godziny upłynęły w miłej atmosferze.

– Tak bardzo się cieszę, że jesteś przy mnie – powiedział Franciszek, kiedy rozchodzili się do swoich pokoi.

Wiedziała, ile kosztowało go to wyznanie i jak wiele uczucia włożył w te słowa. Najważniejsze, że była obok życzliwego, szczerego człowieka, który jej potrzebował.

Następnego dnia w antykwariacie, nieogrzewanym od trzech dni, było bardzo zimno. Do sylwestra zostały zaledwie cztery dni, a tuż po Nowym Roku trzeba było sporządzić dokładną listę wszystkich książek. Pomału zaczęli już się przygotowywać do inwentaryzacji.

Przed południem pojawiła się Sara. Wpadła w odwiedziny, miała ochotę na pogawędkę. Gdy jednak zorientowała się, że w antykwariacie jeszcze wiele jest do zrobienia, wyszła po kwadransie. Umówiły się na popołudnie w kawiarni na Kazimierzu. Sara była w dobrym humorze. Tak jak zawsze wyglądała doskonale ze swoją krótką, misternie ułożoną fryzurą i eleganckim ubiorem. Franciszek też wydawał się przy niej bardziej swobodny.

– Zmarzaś – zauważyła Sara, gdy Emilia podeszła do stolika, by się z nią przywitać. Całą drogę między Rynkiem a Szeroką, rozświetloną jasnymi świątecznymi lampkami, przeszła pieszo. – Zaraz zamówię coś ciepłego, to się rozgrzejesz. – Skinęła na kelnera. Właśnie kończyła kawę, ale idąc za przykładem Emilii, zamówiła herbatę owocową. – Strasznie zimno jest w antykwariacie.

– Tak. Trzeba naprawdę sporo czasu, żeby ogrzać to pomieszczenie. Przez trzy dni było zamknięte. Ale kiedy dzisiaj wychodziłam, zrobiło się już trochę cieplej. – Obie w tym samym momencie sięgnęły po filiżanki z herbatą.

– Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło w Modrzewiowej. – Sara wciąż popijała herbatę małymi łyżkami.

– Obawiam się, że to jeszcze nie koniec przygód...

– Przecież żona twojego ojca się odnalazła, czyż nie? Przynajmniej tak mówił Franciszek.

– Odnalazła się. Na szczęście cała i zdrowa, ale jedynie na ciele. Bo z jej duszą jest już znacznie gorzej.

– Ma kłopoty, tak?

– Na to wygląda. Niestety, o niczym nie chce mówić. Nie potrafimy z tatą do niej dotrzeć.

– Może kiedyś sama powie. Tak jak ja... – Popatrzyła znacząco.

– Tak bardzo chciałabym jej pomóc, tylko nie wiem jak. – Emilia bezradnie rozłożyła ręce na blacie stolika.

– Zaczekaj. Daj jej czas. Zobaczysz, przyjdzie taki moment, że pozwoli się do siebie zbliżyć.

– Boję się, żeby tylko nie zrobiła czegoś głupiego. Ta jej ucieczka była krzykiem rozpacz.

- Nie robi.
- Skąd pani to wie?
- Bo ma przy sobie kochających ludzi. Trzymacie ją przy życiu.

Emilia spojrzała w stronę bufetu, gdzie krzątały się dwie kelnerki. Słowa Sary dodały jej otuchy.

– Saro, a co u pani? – Nagle zmieniła temat.

– Jestem dużo spokojniejsza. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Bardzo miło spędziłam te święta z Franciszkiem. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak dobrze się bawiłam. Dużo rozmawialiśmy. Wyjaśniliśmy sobie wiele spraw – powiedziała dokładnie to samo, co jeszcze dzień wcześniej Emilia usłyszała od Franciszka. – Ugotowałam kompot z suszonych owoców. Widziałaś?

– Tak, próbowałam nawet, jest pyszny.

– Wiesz, mój przyjazd do Polski akurat na święta to nie przypadek. – Zamyśliła się, ale nadal miała łagodny wyraz twarzy. Kilka razy poprawiała włosy, mimo że wyglądały idealnie. – Odważyłam się odwiedzić wiele miejsc...

Emilia patrzyła na Sarę z zaciekawieniem, ale jak zawsze, słuchając jej historii, nie miała odwagi o nic pytać. Za to Sara snuła swoją opowieść pomału, niczym pajak wyplatający misterną sieć. Jej oczy raz pobłyskiwały, to znów gasły, jakby wpadała w ciemną otchłań.

– Byłam w kamienicy, gdzie dawniej mieszkała Zosia. Widziałam strych, na którym się ukrywałam. Wciąż stoi tam ta stara szafka, za którą mnie znalazła. Chodziłam tymi naszymi drogami. Pozbierałam wiele wspomnień. Szkoda, że Zosia nie doczekała tej chwili. Byłaby ze mnie dumna.

– Ja jestem z pani dumna.

– Naprawdę? – Sara uśmiechnęła się. – Obchodzi cię życie starej, prawie obcej kobiety?

– Pani nie jest mi obca. Była pani przyjaciółką Zofii.

– Naprawdę tak myślisz? – Sara odruchowo złapała dziewczynę za rękę.

– Tak...

– W Polsce odnalazłam osoby, które pomogły mi zmierzyć się ze wszystkimi traumami.

– Chodzi pani o Franciszka, tak?

– Tak. Franciszek sprawił, że zobaczyłam Zofię też z innej perspektywy. Zawsze postrzegałam ją tylko jako moją przyjaciółkę. W swoim egoizmie myślałam, że ona jest tylko moja. A przecież ona miała tu w Krakowie swój własny, najważniejszy świat. Miała ciebie i męża. Rozmowa z Franciszkiem otworzyła mi oczy na wiele spraw. Szkoda, że zbyt późno. Czasem byłam wobec niej zbyt zaborcza. Zachowywałam się jak rozkapryszone dziecko. Wyrzucałam jej w listach, że zbyt rzadko do mnie pisze, i wciąż dawałam jej do zrozumienia, że bez niej nie dam sobie rady. A ona przez te wszystkie lata zносиła to ze spokojem i

ciągle starała się dać mi więcej. Więcej otuchy, więcej wiary, więcej nadziei, więcej słów, coraz więcej siebie. – Na wspomnienie przyjaciółki Sarze zaszklily się oczy. – Zosia była najcudowniejszą osobą na świecie. Nie wiem, jak wyglądałoby moje życie, gdyby ona się w nim nie pojawiła. Była naszym wspólnym aniołem stróżem.

Nagle włożyła rękę do torebki i wyjęła z niej spinkę z rubinowym oczkiem. Wpatrywała się w nią dłuższą chwilę, jakby chciała nacieszyć wzrok odcieniem błyszczącego kamienia.

– Mówiłam ci już, że to jedyna pamiątka, jaka została mi po mamie. Traktuję ją trochę jak talizman.

– Pani mama zginęła w getcie, tak? – odważyła się zapytać.

Były momenty, że Sara otwierała się przed nią, ale były również chwile, kiedy odgradzała się szklaną ścianą. Niby widoczna i realna, ale daleka, nieosiągalna.

– Tak... Nic więcej nie wiem. Nie wiem jak... Zrobiła wszystko, żebym ja mogła przeżyć.

Odwróciła głowę. Gdy znów spojrzała na Emilię, miała zacięty wyraz twarzy, zwężone, zgaszone oczy i zmarszczone czoło. Utkwiła spojrzenie w jakimś punkcie na stole, z każdą sekundą wzbierała w niej złość. Widocznie uznała, że balast, który dźwigała na swoich barkach, jest zbyt ciężki.

– Kochałam ją najmocniej na świecie. Nie rozumiałam tylko tego, że muszę się nią dzielić. Wtedy nie umiałam sobie tego wytłumaczyć. Teraz już tak... Małe dziecko w swojej naiwności żyje w jakimś wyidealizowanym świecie. Codziennie patrzyłam na moją mamę jak na najpiękniejszą księżniczkę. Była piękna. Miała długie czarne włosy i smutne ciemne oczy. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, skąd brał się w nich ten smutek. Choć zdążyłam zauważyć, że mieszkaliśmy gdzie indziej i nie było z nami taty, za którym też bardzo tęskniłam. Pamiętam, że każdego wieczoru mocno trzymałam ją za rękę i nie chciałam wypuścić, kiedy wychodziła w sukience, takiej okropnej, kusicielskiej... Nie, wyzywającej. Wtedy była inna. Jej oczy patrzyły na mnie chłodno, a usta pomalowane na czerwono nie chciały wypowiedzieć nawet słowa. Myślałam, że jak będę ją trzymać mocniej, to mi nie ucieknie. Ale zawsze było tak samo. W końcu odpychała mnie zniecierpliwiona, a ja płakałam, dopóki starczało mi na to siły.

Sara zakryła twarz dłońmi i zaczęła szlochać. Wyglądała jak mała, bezbronna dziewczynka. W tle grała muzyka, przemieszana z głosami gości pogrążonych w rozmowie i z odgłosami ulicy.

– Moja mama była prostytutką, żebym ja mogła przeżyć. Tak bardzo byłam zła na siebie, że nie lubię mojej mamy, kiedy mnie zostawia. Tak mocno winałam ją za to... Emilia, byłam w miejscu, gdzie istniało „nasze” getto. Widziałam tylko dwa fragmenty muru: jeden na Lwowskiej, a drugi przy Limanowskiego. Na tym

drugim są tablice upamiętniające więzionych Żydów. Znalazłam na nich imię i nazwisko mojej mamy. Dopiero teraz odważyłam się tam pójść.

Powiodła oczami po ścianach lokalu. Przez chwilę patrzyła w okno, za którym panował mrok. Właśnie zaczął padać śnieg. Obie widziały go w bladym świetle ulicznej latarni. Umykał szybko, porywany przez wiatr, zanim zdążył osiąść na asfalcie.

– Wiesz co, Emilia? W moim życiu tak się składało, że znajdowałam się w miejscach, w których nie powinnam była się znaleźć, i robiłam rzeczy, których zazwyczaj się nie robi. Zawsze byłam takim dziwnym...

– Dziwolągiem?

– Tak, zawsze byłam dziwolągiem. Myślę, że właśnie tak postrzegali mnie ludzie, jak kogoś, kto ma nierówno pod sufitem. Nie miałam przyjaciół, nie założyłam rodziny, nie cieszyłam się życiem.

– A teraz?

– Teraz... Teraz uczę się wszystkiego po trochu. Na wiele rzeczy jest już za późno.

– Nigdy nie jest za późno, żeby być szczęśliwym.

Po jej słowach Sara uśmiechnęła się smutno.

– Nie założyłam rodziny. Nawet raz miałam przy swoim boku mężczyznę, z którym być może mogłabym stworzyć dom, ale zniszczyłam, zniszczyłam to uczucie. Nigdy nie ufałam ludziom, bo... – Zapatrzyła się na blat stolika. Po chwili znów przeniosła oczy na Emilię. Jej wzrok przepelniała gorycz. – Zawsze byłam tylko córką prostytutki...

– Ale przecież mama zrobiła to dla pani, to były inne czasy, inne okoliczności. Zresztą to nie pani wina, nie ponosi pani odpowiedzialności za wybory swojej matki.

– Nic nie rozumiesz, to nie chodzi o moją mamę. Ona jest dla mnie święta. To moja ciotka. To ona starała się, żeby mój koszmar nigdy się nie skończył. Zmarła kilkanaście lat temu, ale do tej pory słyszę jej słowa, takie pełne nienawiści.

– Sara zacisnęła dłonie w pięści. Jedną z nich uderzyła w stół.

– Ale dlaczego? Przecież to pani krewna.

– Hmm, krewna... – Sara odchyliła głowę i westchnęła. – Więzy krwi to nie wszystko. Krystyna nigdy nie pozwoliła mi zapomnieć, kim byłam... kim jestem. Jej wrogość do mnie rosła z każdym rokiem naszego wspólnego życia.

– Nie rozumiem. Dlaczego zgodziła się panią zaopiekować?

– Obiecała to mojemu ojcu, zanim zabrano go do Oświęcimia. Nigdy nie dowiedziałam się, w jaki sposób to na niej wymusił. Domyślałam się, że sporo jej zapłacił. To było najgorsze, co mógł zrobić. Krystyna od samego początku nienawidziła mojej matki. Rachelą była dla niej za ładna, za mądra i za dobra. Tata podobno ją uwielbiał. Była dla niego wszystkim. No i najgorsze ze wszystkiego:

była Żydówką. Tego Krystyna nie mogła wybaczyć jej najbardziej. Długo knuła intrygi i rozsiewała różne plotki, żeby rozdzielić moich rodziców, ale nie udało się jej. Dowiedziałam się tego przez przypadek od naszej sąsiadki, która wyemigrowała razem z nami do Stanów. Myślę, że Krystyna była chorobliwie zazdrosna o swojego brata. Bo nie wiem, jak inaczej można to wytłumaczyć. Nigdy nie wyszła za mąż. Wydaje mi się, że poświęciła całe swoje życie tylko temu, żeby zniszczyć moje.

Sara zaczęła się niecierpliwić. Co chwilę rozglądała się na boki, jakby obawiała się, że zaraz może przydarzyć się jej coś złego.

– Saro, dobrze się pani czuje?

– Tak. To tylko te wspomnienia, niedobre i ciągle takie realne. – Spuściła głowę z rezygnacją. – Dla niej do końca życia byłam córką prostytutki. Nigdy nie zwracała się do mnie po imieniu. Byłam dla niej jak nie człowiek.

– Dlaczego pani od niej nie uciekła?

– Uciekłam, ale dla mnie było już za późno. Jak wyprowadziłam się z jej domu, miałam już ponad trzydzieści lat. Do tej pory pamiętam jej szyderczy wzrok, kiedy oświadczyłam, że się wynoszę. Stała w drzwiach i stwierdziła, że po tygodniu na pewno do niej wrócę. Nie wróciłam ani za tydzień, ani za miesiąc, ani nawet za rok. Próbowałam się od niej całkowicie odciąć, ale ona wciąż nie dawała mi o sobie zapomnieć. Znalazła mój nowy adres i zaczęła mnie nękać. Rozsiewała plotki na mój temat. Chciała mnie zmusić do powrotu. Kilka razy zmieniałam miejsce zamieszkania i pracę. Dała mi spokój, dopiero kiedy podupadła na zdrowiu. Wtedy osiedliłam się na Lower East Side na Manhattanie. Znalazłam pracę w aptece i próbowałam poukładać sobie wszystko. Gdy zamieszkałam sama, uczyłam się życia od nowa, każdego dnia po trochu. Ale jak widać, wciąż mam ogromne braki w edukacji... – Uśmiechnęła się gorzko.

– Jest pani bardzo dzielna. – Emilia chwyciła Sarę za rękę.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tak. – Uścisnęła jej dłoń jeszcze mocniej.

– Jesteś pierwszą osobą, której to powiedziałam. Oczywiście poza Zosią. Ona знаła mnie lepiej niż ja sama.

– Teraz już nikt ani nic nie jest w stanie pani skrzywdzić. Skoro przetrwała pani to wszystko, to znaczy, że jest pani bardzo silna. A takiej siły nie da się ot, tak komuś odebrać.

– Może masz rację? – Popatrzyła obojętnie, ale w jej głosie było słychać nutkę ożywienia. – Po rozmowie z tobą trochę inaczej patrzę na to wszystko. Jestem na siebie wściekła, że tak późno zrozumiałam pewne sprawy. Ale widocznie wcześniej nie potrafiłam... – Poglądziła śliski blat drewnianego stołu. Jej wzrok złagodniał, a emocje się wyciszyły, choć nie miała już na ustach łagodnego uśmiechu, którym powitała Emilię godzinę wcześniej. – Wkrótce Nowy Rok. Może

to rzeczywiście dobry czas, żeby zmienić swoje życie. – Zaczęła bawić się sosnową gałązką ze stroiku, pośrodku którego znajdowała się kremowa świeca.

– Tak, końcówka roku to dobry czas, żeby przyjrzeć się sobie. W tym okresie zawsze czuję dziwne podekscytowanie, jakbym miała się udać w długą podróż, o której nie mam zielonego pojęcia.

– Wydaje mi się, że w moich oczekiwaniach jest znacznie mniej chęci do życia. – Jej spojrzenie zdradzało wewnętrzny spokój. – Czas się zbierać – powiedziała nagle, przenosząc wzrok na drzwi wejściowe.

Do kawiarni wciąż wchodzili ludzie, inni z niej wychodzili. Ruch był spory, o czym świadczyły zajęte stoliki.

– Wyznałam swoje winy, ale rozgrzeszyć muszę siebie sama. – Sara uśmiechnęła się cierpko, podnosząc się z krzesła. Następnie sięgnęła po spinę, którą wcześniej podłożyła na stoliku, i wsunęła do wewnętrznej kieszeni torebki. – Pięknie z nią wyglądasz. – Popatrzyła na splecione pasemka włosów Emilii, spomiędzy których połyskiwał wypukły rubin.

Sara zewnętrznie bardzo różniła się od Zofii, ale w jej sposobie bycia było coś, co zbliżało ją do zmarłej przyjaciółki. Emilia już nieraz zauważyła, że osoby o podobnym charakterze mają w oczach ten sam błysk i apetyt na życie. Przyjaźń Zofii i Sary była przykładem na to, jak mocna więź może połączyć dwie kobiety. Jak wiele dobra są w stanie sobie przekazać. Jak wiele dla siebie zrobić.

Gdy wyszły na zewnątrz, pod stopami chrzęścił zmrożony śnieg.

– Zamówię taksówkę. Jest chłodno. – Sara objęła się rękami. – Chodźmy na postój. Ty chyba też idziesz w tamtym kierunku? – Ruszyła przed siebie.

– Może pójdzie pani ze mną? Franciszek na pewno się ucieszy.

– Miło mi, że to proponujesz, ale dzisiaj jest już późno. – Sara przyśpieszyła, widząc z daleka jasno oświetlone miejsce postojowe.

– Jak długo zostaje pani w Krakowie? – Zatrzymały się kilka metrów od pierwszej taksówki. Taksówkarz, widząc podchodzące kobiety, wyszedł na zewnątrz i spojrzał w ich kierunku.

– Jeszcze nie wiem. Wciąż nie mogę podjąć decyzji o powrocie do Nowego Jorku.

– Może jednak pani zostanie? – Czuła, że kiedy Sara wyjedzie, będzie za nią tęskniła. Przez ostatnie tygodnie starsza pani nieustannie była gdzieś obok, a teraz już całkiem blisko. Tak blisko, jak może być ktoś, kto całkowicie nam zaufał i wyjawiał najintymniejsze sekrety.

– Chciałam pobyć w Krakowie jeszcze przez kilka dni po Nowym Roku. Potem zacznę się zbierać. Na nowo polubiłam to miasto. Od świąt jakoś inaczej na nie patrzę. Dostrzegam rzeczy, których wcześniej nie widziałam. Całkiem tu ładnie. – Rozejrzała się po ciemnej ulicy, przysypanej grudniowym śniegiem. – Może umówimy się jutro po twojej pracy? Lubię tę kawiarnię na Rynku.

– To świetny pomysł. – Miała ochotę zaprosić Sarę do antykwariatu, ale zdawała sobie sprawę, że na rozmowę zapewne będą miały i tak niewiele czasu. Dzisiaj zdążyli z Franciszkiem uporządkować książki zaledwie na dwóch regałach, a w kolejce czekało ich jeszcze kilka razy tyle. – Czyli jesteśmy umówione – potwierdziła, widząc lekkie zniecierpliwienie Sary.

Taksówkarz otworzył drzwi do samochodu.

– Do zobaczenia, Emilia.

– Do widzenia, pani Saro.

Tego wieczoru było bardzo chłodno, a mróz dawał się we znaki bardziej niż w ciągu poprzednich dni. Emilia pokonała drogę do domu Franciszka w szybkim tempie. Kiedy dotarła na miejsce, była mocno zziębnięta. Długo nie mogła się rozgrzać, mimo że zjadła talerz gorącej zupy, a potem wypła jeszcze dwie szklanki herbaty imbirowej. Nie pomogła też ciepła kąpiel. Zimno czuła nawet wtedy, gdy leżała w łóżku po grubą pierzyną. Franciszek był tym zaniepokojony, więc okazywał jej troskę bardziej niż zwykle. Najbardziej rozczulił ją, kiedy przyniósł do łóżka gorącą herbatę z cytryną i miodem.

– To wszystko przez to, że przemarzaś – powiedział, kładąc kubek na stoliku nocnym, i niby przez przypadek dotknął jej ręki. – Jesteś lodowata. Obawiam się, że rozkłada cię jakaś choroba. Jutro powinnaś zostać w domu i się wygrzać.

– Nic mi nie jest.

– Zostaniesz jutro w łóżku – zdecydował.

Jego pomysł wydał się jej niedorzeczny, zwłaszcza teraz, kiedy mieli pełne ręce roboty.

O tym, że Franciszek nie żartował, przekonała się już następnego poranka. Wstał wcześniej i już po wschodzie słońca zajrzał do jej pokoju.

– Wychodzę dzisiaj trochę przed czasem, a ty odpoczywaj. I nie chcę cię widzieć w antykwariacie.

– Panie Franciszku... – Starła się wejść mu w słowo, ale było widać, że bardzo przejął się rolą opiekuna, więc żaden sprzeciw z jej strony nie wchodził w grę. – Dobrze – skapitulowała, czując, że i tak z nim nie wygra.

Postanowiła sprytnie go podejść: zje śniadanie, wypije kawę, a potem i tak stawi się w antykwariacie. Nadal było jej zimno i trochę bolała ją głowa, nic poza tym. Odczuwalny chłód i pulsujące skronie były zbyt słabymi argumentami, by zostać w domu. Nie rozumiała Franciszka. Nie pojmowała, dlaczego tak bardzo się przejął swoją rolą.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, poszła do kuchni i zaparzyła kawę po turecku. Czuła, że ma niskie ciśnienie. Zazwyczaj nie pijała na czczo takiej kawy, ale dzisiaj zrobiła wyjątek. Usiadła przy stole, naciągając szlafrok pod samą szyję. Na dworze wiał wiatr i mimo że kuchenne okno było szczelne, w pomieszczeniu

panował niemiły chłód. Dotknęła kaloryfera, wciąż ciepłego. Nie miała ochoty zdejmować z niego dłoni.

Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Była pewna, że to Franciszek, więc czym prędzej podniosła się z krzesła, z niechęcią odrywając rękę od kaloryfera. Otworzyła bez namysłu. Za progiem, oprószona świeżym śniegiem, stała Iga.

– Cześć. Mogę wejść? – spytała, kładąc rękę na framudze drzwi i stawiając nogę na progu, jakby bała się, że przyjaciółka jej nie wpuści. – Wiem, że Franciszka nie ma w domu. Widziałam, jak wychodzi. Inaczej nie zjawiłabym się tu. Czekałam na ciebie, ale długo się nie pojawiałaś, więc zdecydowałam, że przyjdę. Nie miałam wyboru. Wpuścisz mnie? – Zrobiła krok w jej kierunku.

– Wejź.

– Dzięki – powiedziała Iga, starając się złapać Emilię za rękę, ale ta cofnęła się w kierunku kuchennych drzwi. – Chciałam z tobą porozmawiać. Nie chcę tego zostawiać na później. Muszę ci wiele wyjaśnić. – Bardzo się denerwowała.

– Chodź do kuchni. Zaparzę ci kawę – powiedziała przyjaźnie, ale siłąc się na obojętność. Mimo tego, co zrobiła jej Iga, nie potrafiła być na nią zła. Wydarzenia ostatnich tygodni nadały zupełnie inny kierunek ich relacji.

W kuchni Iga usiadła przy stole. Po chwili Emilia postawiła przed nią kawę i cukiernicę.

– Dzięki. – Iga ostrożnie wzięła do ręki łyżeczkę i niezgrabnie zatopiła ją w cukrze. Drobne kryształki wysypały się i wbiły w splot lnianego obrusu. Emilia sięgnęła po swój kubek z kawą i upiła łyk. Kiedy ujrzała Igę w drzwiach domu, jej ciśnienie od razu się podniosło. Patrząc na przyjaciółkę, nie denerwowała się jednak. To Iga była roztrzęsiona.

– Przepraszam... Przepraszam za wszystko, za książkę, za Szymona, za to, że tak bardzo cię skrzywdziłam. Nie wiem, jak to się stało. Zagalopowałam się w tym kłamstwie, a jak zorientowałam się, że zabrnęłam w ślepy zaułek, to po prostu usiadłam i rozłożyłam ręce. Kiedy naprawdę dotarło do mnie, jaka byłam wobec ciebie niełojalna, to niestety było już za późno... Ale na szczęście wszystko jeszcze da się odkręcić. – Zaczęła nerwowo stukać palcami o brzeg cukiernicy.

– O czym ty mówisz?

– Chodzi o książkę... o twoją książkę. Pojechałam do wydawnictwa i spotkałam się z panią redaktor, która przyjęła twoją powieść na konkurs. Przyznałam się do wszystkiego. Nie byli zachwyceni, ale podobno wszystko da się jeszcze wyprostować. Wprawdzie zaczęłam już pracę z redaktorem, ale kompletnie mi to nie idzie. Właściwie to wcale nie ruszyłam.

Iga wpatrywała się w Emilię, ciekawa jej reakcji. A ją po prostu zamurowało. Nie była w stanie wydobyć z siebie nawet słowa. Iga zaskoczyła ją tak bardzo...

– Powinnaś jak najszybciej pojechać do Warszawy. To zrozumiałe, że chcą

cię poznać. Premierę książki przewidziano na wiosnę, więc nie zostało zbyt wiele czasu... No powiedz coś. – Nie wytrzymała napięcia i trąciła przyjaciółkę w rękę.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

– Dobrze byłoby, gdybyś tam pojechała natychmiast.

– Natychmiast? Jak ty sobie to wyobrażasz?! Mam wsiąść do pierwszego pociągu do Warszawy? – Pomału zaczęło się jej udzielać zdenerwowanie Igi.

– Możesz jechać choćby jutro. Wiem, że redaktorka prowadząca do sylwestra jest w wydawnictwie, więc...

– Nie wiem, co zrobię. – Emilia wstała, podeszła do okna i rozchyliła firankę. Cała szyba była oprószona śniegiem. Wyglądała, jakby pokrywały ją kokosowe wiórki.

Pod wpływem tego skojarzenia ruszyła do szafki i wyjęła z niej ciasto. Od świąt zostało go jeszcze sporo. Ukroiła kilka kawałków i postawiła talerz na stole.

– Poczęstuj się. Uwielbiasz sernik wiedeński – zachęciła Igę z uśmiechem.

– Po świętach trochę przytyłam – powiedziała Iga, kiedy połknęła ostatni kęs.

– Nie wydaje mi się. – Emilia znów się do niej uśmiechnęła.

Iga odwzajemniła uśmiech, ale wciąż była zdenerwowana. Sięgnęła po łyżeczkę i wbiła ją w sam środek cukiernicy, zupełnie jakby zapomniała, że już raz słodziła kawę.

– Nie za dużo tego cukru?

– Tak, rzeczywiście już słodziłam. – Starła się ukryć zmieszanie, biorąc do ręki kubek z kawą i przyglądając się mu z bliska. Po chwili odstawiała go z powrotem. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– O czym?

– O Szymonie, o tym, że go kochasz i... że on kocha ciebie. Nie wiedziałam, że jesteście ze sobą tak blisko.

– A co by to zmieniło?

– Wszystko. Wtedy nie zabrnęłabym tak daleko w to kłamstwo. Emi, powiedz mi, tylko szczerze, czy jest jeszcze szansa, żeby między nami jakoś się to wszystko poukładało? Wiem, że zawałam, i żałuję tego najbardziej na świecie, ale... Przez tę całą sytuację zdałam sobie sprawę, że jesteś najbliższą mi osobą. Nie wyobrażam sobie, żebyś mnie przekreśliła, choć zrozumiem, jeśli tak zrobisz. Najgorsze jest to, że dopiero teraz wiem, jaką byłam egoistką. Ukradłam ci coś, co kochałaś najbardziej na świecie. I nie mówię tutaj o Szymonie. Nie wiem, co mam jeszcze powiedzieć... Naprawdę nie miałam pojęcia, że to wszystko tak się potoczy. Chciałam ci zrobić niespodziankę, a wyszło, jak wyszło. – Opuściła głowę. Miała w oczach łzy. Po chwili rozkleiła się całkowicie.

– Trzymaj. – Emilia podała jej chusteczkę. – Przestań się mazgaić. Nie pasuje ci to. – Przesunęła rękę po blacie stołu i trąciła Igę w łokieć.

Ta spojrzała na nią niepewnie, jakby nadal nie wiedziała, czego oczekiwać i jak potoczy się dalej ich rozmowa.

– Przypomnij mi, bo straciłam rachubę... Ile my właściwie już się znamy?

Iga popatrzyła na nią trzeźwiej, kilka razy z rzędu pociągając nosem.

– Dwadzieścia jeden, dwa?

– Myślisz, że mogłabym przekreślić tyle pięknych wspólnych lat? Już zapomniałaś, jak dałaś popalić temu nicponiowi w piaskownicy? – Uśmiechnęła się szeroko na wspomnienia z dzieciństwa. Tak się złożyło, że większość z nich wypełniały obrazy związane z Igą. Stale były razem. Ciągnęły jedna drugą za rękę raz w górę, raz w dół. Nieraz balansowały nad przepaścią i waliły głową w mur. Ale zawsze robiły to razem. Były jak *yin* i *yang*. Uzupełniały się i jednocześnie odpychały, ale nie mogły bez siebie żyć.

– To znaczy, że mi wybaczasz? – Iga wciąż miała łzy w oczach.

– No pewnie! – Emilia podała jej kolejną chusteczkę.

– Dziękuję – odezwała się drżącym głosem. – Zawsze byłaś ideałem. Nie wiem, jak wytrzymałaś ze mną przez te wszystkie lata.

– Nie przesadzasz? – Emilia zaczęła bujać się na krześle, tak jak w dzieciństwie. Dawno tego nie robiła, a teraz przypominała sobie dzikie harce, jakie zazwyczaj urządzały z Igą, gdy na moment zostawały same. Pokój wyglądał wtedy jak po wielkiej bitwie. Lili nie zwracała na to uwagi, bo córka, od małości nauczona porządku, zawsze po sobie sprzątała.

– Naprawdę jesteś kochana. Nie wiem, czy wystarczy mi życia, żebym zdążyła cię przeprosić. Boże, jaką byłam kretynką! – Iga uderzyła się w czoło.

– Daj już spokój. Cieszę się, że to wszystko tak się ułożyło. Nie chciałabym cię stracić. Dobrze wiesz, że poza tobą nie miałam innej przyjaciółki. Koleżanki koleżankami, ale przyjaźń to jednak przyjaźń. – Przez moment znów miała przed oczami porcelanową buzię kilkuletniej Igi otoczoną burzą złocistych loków.

– Na dobre i na złe? – Iga wyciągnęła rękę nad stołem.

– Na dobre i na złe.

Iga znów zaczęła pochlipywać.

– Masz i przestań już w końcu beczeć. – Podała jej kolejną chusteczkę. – To ja zawsze byłam tą z mokrymi oczami i niech tak zostanie.

– W porządku, biorę się w garść. Jeśli chcesz, pojedę z tobą do Warszawy. Zresztą jestem ci to winna. No chyba że nie chcesz?

– Pewnie, że chcę. Sama chyba nie dałabym rady. Zjadłaby mnie trema.

– Twoja książka na wiosnę będzie już w księgarniach.

– W końcu wyszła z szuflady. Pomogłaś jej w tym. – Emilia popatrzyła na Igę z zabawnym błyskiem w oku. Ta poczerwieniała i odwróciła głowę w stronę okna.

– Tak, pomogłam... – odpowiedziała Iga, wzdychając. Gdy dopiła do końca

kawę, wstała. – Zbieram się, uciekam do pracy. – Dosunęła krzesło do stołu i cofnęła się do drzwi. – A ty dzisiaj zostajesz w domu? – spytała, nie kryjąc zdziwienia.

– Oczywiście, że nie. Też zaraz się zbieram. – Również wstała, zbierając ze stołu kubki po kawie i talerzyki po zjedzonym cieście.

– To może pójdziemy razem? Zaczekam na ciebie.

– W porządku, zaraz będę gotowa.

Zniknęła w łazience, a Iga zatrzymała się przy kuchennym oknie, starając się za oprószoną szybą dostrzec kawałek zimowego ogrodu.

– Aha, zapomniałabym o czymś. – Kiedy były już na zewnątrz, Iga zatrzymała się i zeszła na bok chodnika. Włożyła rękę do torebki i długo w niej szperała. Po chwili wyjęła niewielki pakunek, zawinięty w czerwony papier i przewiązany niebieską satynową tasiemką.

– Proszę.

– Co to takiego? – Przez gruby splot wełnianych rękawic starała się wyczuć, co kryje zawartość paczuszki.

– Spóźniony prezent mikołajkowy. Ostatnio nie chciałaś go przyjąć, ale teraz... No otwórz – zachęciła Iga, zatrzymując wzrok na ładnie zawiązanej kokardce. – Pociągnij.

Zdjęła rękawiczkę i pociągnęła w górę koniec tasiemki. Potem rozchyliła ozdobny papier.

– Iga, jakie piękne zielone pióro! Jesteś niesamowita. Dziękuję!

– Takie tam... Skromny upominek – powiedziała Iga z udawaną skromnością.

– Takie tam, skromny!

– Powinnaś w końcu wrócić do pisania.

Emilia schowała pióro do torebki, zasunęła ją i ubrała rękawiczkę.

– Chodźmy, bo się spóźnisz – ponagliła Igę, robiąc krok do przodu.

Ruszyły wolno. Iga jak zwykle miała na sobie kozaki na niebotycznych obcasach. Idąc teraz przy niej, Emilia była niższa prawie o głowę, choć były podobnego wzrostu.

– Dlaczego tak późno idziesz dzisiaj do antykwariatu?

– Pan Franciszek uparł się, żebym została w domu. Wczoraj było mi trochę zimno, a on od razu uznał, że coś ze mną nie tak.

– Troszczy się o ciebie.

– Niepotrzebnie.

– Potrzebnie. Chce dla ciebie jak najlepiej. Zawsze cię pilnował. Przede mną też...

– Iga, daj już spokój. Czy teraz to już zawsze będzie tak wyglądało? – Zatrzymała się i spojrzała przyjaciółce w oczy. – Nigdy nie przestaniesz?

– Przeszanę – odpowiedziała i ruszyła do przodu.

Rozstały się na Rynku i każda poszła w swoją stronę. Franciszek oczywiście nie krył niezadowolenia, kiedy zobaczył Emilię w drzwiach antykwariatu. Stał właśnie na niewielkiej drabince i zdejmował książki z najwyższej półki. O mały włos nie spadł. Zachwiał się jednak tylko i przytrzymał biblioteczkę. Potem ostrożnie zszedł i stanął przy biurku.

– Miałś zostać dzisiaj w domu. Ustaliliśmy to – powiedział z wyrzutem. – Myślisz, że jestem już tak zramolały, żeby nie dać sobie bez ciebie rady?

– Panie Franciszku, jak mam pana przekonać, że nic mi nie jest? – Starła się obłaskawić go uśmiechem.

– Nie przekonasz mnie. Teraz nic ci nie jest, ale jutro może być. – Wziął do ręki *Panią Bovary* Flauberta i odłożył na wysoki stos.

– Niech pan to da. Sama się tym zajmę. – Rozebrała się w pośpiechu i stanęła obok Franciszka.

– Mówiłem, że dam sobie radę sam.

– Dzisiaj rano była u mnie Iga – powiedziała, chcąc zmienić temat.

Okazało się to strzałem w dziesiątkę. Ta wiadomość zrobiła na Franciszku ogromne wrażenie. Zbyt gwałtownie przesunął rękę w bok, a książki ułożone w wieżę przesunęły się.

– Mówiłem ci, żebyś trzymała się od niej z daleka. Jesteś aż tak łatwowierna?

Zauważyła, że był na nią zły. Już otwierał usta, szykując się, żeby udzielić jej kolejnej reprimendy, ale ubiegła go.

– Chodzi o książkę – odparła oględnie.

Franciszek zamknął usta, ale jego oczy, ukryte za grubymi szklami okularów, świeciły niecierpliwym blaskiem.

– Iga powiedziała prawdę. Przyznała się w wydawnictwie do tego całego matactwa.

– Chwała jej za to – odezwał się z sarkazmem. – Powinna za to dostać najwyższe odznaczenie. Tylko mi nie mów, że przyjęłaś tę pannę z otwartymi ramionami – kpił.

Emilia opuściła głowę.

– Mówiłem ci to już nieraz, ale będę uparcie powtarzał do skutku. Zakończ tę znajomość, zanim wydarzy się coś gorszego. Nie wiem, co musiałoby się stać, żebyś w końcu przejrzała na oczy. Twoja przyjaciółka wbiła ci nóż w plecy, a ty ledwo się z tego wylizowałaś, zrzuciłaś bandażę i już nadstawiasz jej drugi policzek? Wytłumacz mi to, proszę. – Poprawił okulary i spojrzał na nią uważnie.

– Obawiam się, że pan i tak tego nie zrozumie...

– Dlaczego? Zawsze starałem się ciebie zrozumieć najlepiej, jak tylko potrafię, ale jeśli czasami mi to po prostu nie wychodzi, to wybaczone. – Nie

przestawał się w nią wpatrywać.

– Panie Franciszku, ludzie są tylko ludźmi. Mają prawo czasami popełniać różne błędy. Zresztą często mi to pan powtarzał. Iga naprawdę żałuje tego, co zrobiła. Ja to wiem, ale widzę, że i tak pana nie przekonam.

Franciszek zaciął się. Patrzył przed siebie, myśląc o tym, co usłyszał.

– Zrobisz, jak zechcesz, ale moje zdanie znasz. Ono się nie zmieni.

– Jest pan okropnie uparty...

Zastękał tylko z niezadowoleniem i z powrotem wrócił do przeglądania książek, wcześniej poprawiwszy naruszoną konstrukcję wieży.

Do końca dnia niewiele odzywali się do siebie. Emilia podchodziła do niego kilka razy, chcąc przekazać mu informację o swoim jutrzejszym wyjeździe do Warszawy, ale gdy tylko widziała jego naburmuszoną minę, z miejsca rezygnowała. Uzgodniły z Igą, że będzie najlepiej, jak wybiorą się do wydawnictwa nazajutrz. Miała to jeszcze potwierdzić, kiedy o wszystkim porozmawia z Franciszkiem, ale termin właściwie był już ustalony.

Na ponowną rozmowę odważyła się, dopiero gdy skończyli pracę. Franciszek założył płaszcz i szary, lekko sfilcowany beret, a ona stanęła przed nim, powtarzając sobie w duchu: „Teraz albo nigdy”. Wciąż czuła przed nim respekt, tak jak w dzieciństwie. Nadal liczyła się z jego zdaniem. W kwestii Igi nigdy nie mogli jednak dojść do porozumienia. Kiedy Franciszek usłyszał o jej planach, nie zdziwił się aż tak bardzo, jak tego oczekiwała.

– Mówiłem ci przecież, że sobie poradzę – odezwał się sucho, a zaraz potem wyszedł na ulicę, ostrożnie stawiając kroki na oblodzonych schodach.

Odetchnęła z ulgą. Gdy zamknęła drzwi, popędziła na spotkanie z Sarą.

Sara siedziała przy tym samym stoliku obok okna. Gdy dostrzegła znajomą twarz, uniosła rękę, żeby dać dziewczynie znak.

– Dzisiaj nie wyglądasz na zmarzniętą...

– Tak, dziś rzeczywiście jest mi gorąco. – Emilia rozpięła dwa górne guziki zielonego swetra.

– Co się stało?

Usadowiła się wygodnie na krześle, a potem przeszła do swojej opowieści. Zamówiły herbatę i ciasto. Pomału i bardzo dokładnie opowiedziała Sarze historię swojej przyjaźni z Igą. Ostatnie wydarzenia nie wywołały u niej już tak skrajnych emocji, dlatego delikatnie przedstawiła sprawę dotyczącą książki.

– Co pani o tym sądzi?

– Kochana, wiesz, czym wyróżnia się prawdziwa przyjaźń? – Przelotnie zerknęła na nią, ale nie oczekiwała odpowiedzi, bo już po kilku sekundach znów zaczęła mówić: – Moja droga, prawdziwa przyjaźń potrafi wybaczyć drobne grzeszki i zawsze przyjmie cię z powrotem z otwartymi ramionami.

– Uważa pani, że to, co zrobiła Iga, było drobnym grzeszkiem? – Wprawdzie

wybaczyła Idze i niemal od razu puściła w niepamięć tamto wydarzenie, ale pomimo to nie traktowała jej wyczynu jako nic nieznaczącego epizodu.

– Emilia, gdyby na świecie nie było przebaczenia, wyglądałby on o wiele gorzej niż teraz. Iga na szczęście wyciągnęła wnioski. Jestem pewna, że nie zawiedzie cię już nigdy więcej.

– Pan Franciszek ma trochę inne spojrzenie na to wszystko. Nigdy zresztą nie przepadał za Igą.

– Dobrze go znasz. Wiesz, jaki jest. Powinnaś traktować jego uwagi z przymrużeniem oka.

– To nie jest przyjemne, jak ktoś bliski nie znosi drugiej osoby, która jest dla ciebie równie ważna...

– Wiesz, wydaje mi się, że tu nie do końca chodzi wyłącznie o Igę. Coś mi mówi, że Franciszek zbyt mocno się o ciebie troszczy. Boi się, żebyś nie popełniała błędów. Nie chce, żebyś cierpiała. Nie wydaje ci się, że po śmierci Zofii jego uwaga skupiła się na tobie jeszcze bardziej?

– Nie zauważyłam tego. Chyba nie... Franciszek jakoś nigdy nie okazywał mi uczuć w szczególny sposób. Owszem, był miły i pomocny, ale jak tylko próbowałam się do niego zbliżyć, gasił mnie. Sytuacji, kiedy Franciszek w dzieciństwie brał mnie na kolana albo prowadził za rękę, było naprawdę niewiele, ale wszystkie wspomnienia związane z nim są ciepłe.

– To, że nie okazywał ci uczuć, nie znaczy, że nie nosił ich w sobie. To wspaniały człowiek, wrażliwy. Niestety, utknął w przeszłości. Myśli, że tam odnajdzie drogowskazy, które powinny wskazywać mu właściwy kierunek, a one tylko mylą mu szlaki.

– Mówi pani o uczuciach?

– Tak, Emilia. Człowiek taki jak ja, który został boleśnie doświadczony, ma w sobie więcej uczuć niż zasad. Ale niestety nie jest łatwo te uczucia uporządkować. – Sara zamyśliła się.

– Wydaje mi się, że ostatnio zrobiła pani remanent i trochę się im przyjrzała.

– Trochę tak, ale nadal mi się mieszają. Najwięcej jest tych związanych z mamą. Cieszę się, że wróciłam do Polski, że byłam odważna.

– Nie myślała pani, żeby zostać tutaj na stałe?

– Franciszek spytał mnie o to samo, ale powiedziałam, że nie.

– A teraz? Jaką odpowiedź dałaby pani teraz?

– Wciąż się nad tym zastanawiam. Jak zdecydowałam się na przyjazd do Polski, sądziłam, że nie zostanę tu długo. Sprawy potoczyły się inaczej.

– O jakich sprawach pani mówi?

– Nie mam pojęcia, jak ci to wyjaśnić. No wiesz, o czym mówię. To przecież ty byłaś główną przewodniczką w mojej podróży do przeszłości.

– Przypisuje mi pani zbyt duże znaczenie.

Cieszyła się, że mogła pomóc Sarze. Choć kiedy była z nią, nadal bała się, że może powiedzieć za dużo.

– W Stanach oprócz kilku znajomych nie mam nikogo. A tutaj... – zawahała się. – Tutaj jesteś ty, jest Franciszek. – Odwróciła głowę, jakby poczuła się skrępowana tym wyznaniem.

– Zbliżyliście się z Franciszkiem do siebie...

– Tak. Mówiłam ci już, że rozmowa z nim otworzyła mi oczy na wiele spraw. – Nadal wydawała się zmieszana.

– Odnoszę wrażenie, że nie chodzi tylko o Zofię. – Emilia czuła, że po raz kolejny przekracza cieniutką granicę, zadając coraz bardziej osobiste pytania.

– Nie chodzi o to. Franciszek... Ja pierwszy raz tak szczerze rozmawiałam z mężczyzną. – Po tym wyznaniu Sara wyraźnie się zawstydziała. – Tylko nie pomyśl sobie, że ja... i on... że my razem... – Jej wzrok co chwilę uciekał w kierunku pustej już filizanki. – Może jeszcze coś zamówimy?

– Nie. Powinam się już zbierać. Z samego rana jedziemy z Igą do wydawnictwa.

– W takim razie idziemy obie. Nie chcę cię zatrzymywać. – Sara wstała z ociąganiem. Było widać, że miała ochotę jeszcze zostać.

Gdy znalazły się na ulicy, podjęła decyzję, że tym razem drogę do hotelu pokona na piechotę. Emilia postanowiła odprowadzić ją, a potem zawrócić. Wspólna wędrownica nieco się jednak przedłużyła. Zatrzymały się dopiero przed budynkiem Filharmonii Krakowskiej.

– Powodzenia jutro. – Sara serdecznie uściśliła ją na pożegnanie.

– Saro, chcę... Po prostu bardzo cieszy mnie, że pani i pan Franciszek tak świetnie się dogadujecie.

– Emilia, my tylko...

– Zosia na pewno byłaby zadowolona, że dwójka najbliższych jej osób znalazła ze sobą wspólny język.

Kiedy tylko Sara usłyszała imię zmarłej przyjaciółki, z miejsca postanowiła zakończyć rozmowę i się pożegnać.

– Dobranoc – powiedziała i odwróciła się.

– Dobranoc...

Nie miała zamiaru zatrzymywać Sary. „A co, jeśli ona rzeczywiście zdecydowałaby się zostać w Polsce?” – rozmyślała, wracając do domu Franciszka. Uzmysłowała sobie, że Sara w jakiś sposób wypełniła w niej lukę, która powstała po śmierci Zofii. Nie uświadamiała sobie tego wcześniej. Zauważyła to dopiero po kolejnych spotkaniach. A dzisiaj dotarło do niej, że nie chce rozstania z Sarą. Czy to samo odczuwał Franciszek? Czy znajomość z najlepszą przyjaciółką jego zmarłej żony wkroczyła właśnie w nowy etap? Przecież wcześniej właściwie się nie znali. Dla Sary, jak sama zresztą przyznała, liczyła się tylko Zofia, a sprawy

prywatne przyjaciółki miały małe znaczenie.

Gdy doszła do domu, było już późno. Sądziła, że zastanie Franciszka w jego pokoju, ale on siedział przy kuchennym stole i wycierał naczynia. Sprawiał wrażenie, jakby wykonywał najważniejszą czynność na świecie, ale i tak zauważyła, że na nią czekał. Nie miała ochoty wysłuchiwać dalszych uwag na temat Igi, więc postanowiła, że szybko zrobi kolację, a zaraz później zniknie w swoim pokoju.

– Kanapki są w szafce. Przygotowałem więcej – zagadnął Emilię, kiedy zorientował się, że zmierza do lodówki.

– Dziękuję. – Odwróciła się do niego i spojrzała z wdzięcznością. Już po chwili siedziała naprzeciw niego.

– Przepraszam – powiedział Franciszek, gdy upewnił się, że zjadła.

– Za co mnie pan przeprasza? – Przesunęła pusty talerzyk na środek stołu.

– Nie powinienem tak krytycznie wyrażać się o Idze. Masz rację, każdy ma prawo popełniać błędy. – Włożył rękę do kieszeni swetra, wyjął tabakierę i położył na skraju stołu. Nie otworzył jej jednak.

Zaskoczyło ją to wyznanie. Nie miała pewności, czy z jego strony nie była to tylko prowokacja. Czekwała na wiązkę nieprzychylnych słów o Idze.

– Nadal jej nie lubię, ale zdałem sobie sprawę, że nie powinienem mieszać się w twoje życie. Jesteś dorosłą, mądrą kobietą i sama potrafisz się rozeznać w tym, co dla ciebie dobre, a co nie. – Poglądził wieczko pudełka.

– Nie wiem, co mam powiedzieć. – Uniosła brwi. – Coś się wydarzyło, że zmienił pan zdanie?

Odniosła wrażenie, że się zdenerwował. Wstał i zaczął rozglądać się po kuchni, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. W pewnym momencie ich spojrzenia się spotkały.

– O co chodzi, panie Franciszku? Wydaje mi się, że chce mi pan coś powiedzieć.

Zbliżył się do stołu małymi kroczkami i usiadł w tym samym miejscu.

– Spytałaś mnie kiedyś o Zofię, a ja uciekłem od odpowiedzi. Myślę, że jestem ci winien wyjaśnienia. Po rozmowie z Sarą zdecydowałem, że chcę ci o czymś powiedzieć. – Głośno zakaszłał i poprawił okulary. – Z góry ostrzegam, że to, co usłyszysz, może zmienić twoje spojrzenie na pewne sprawy, a mnie postawić w innym świetle. Zosia i ty byłyście bardzo blisko, a to, co chcę ci opowiedzieć, poniekąd ma związek z tobą.

– Ze mną? – Odsunęła się na krześle. Miała zamiar wstać, żeby nalać sobie wody, ale Franciszek przytrzymał jej rękę.

– Zaczekaj, rozmowa nie przychodzi mi zbyt łatwo.

Była ciekawa tego, co miał do powiedzenia, ale po wszystkich wyznaniach Sary, które usłyszała w ostatnim czasie, nie sądziła, by coś jeszcze mogło ją

zaskoczyć. Zawsze przewidywalny, poukładany – co nowego mógł jej przekazać?

– Kilka tygodni temu zapytałaś mnie, co znaczy, że ulubiona książka Zofii uratowała jej życie. Pamiętasz?

Przytaknęła.

– Twoje pytanie było dla mnie niewygodne, zauważyłaś to pewnie. Wolałbym go nie usłyszeć. Usłyszałem jednak i musiałem przypomnieć sobie sytuację, o której nigdy nie chciałem pamiętać.

Posmutniał, ale ona miała pewność, że teraz nie przerwie już ciągu wspomnień. Patrzyła mu prosto w twarz i bała się nawet poruszyć, by go nie zniechęcić.

– Ta książka była dla Zosi jak przyjaciółka, bo Sara mieszkała daleko. – Zamilkł i zaczął bębnić czubkami palców o stół. – Byliśmy z Zosią dobrym małżeństwem, ale... – Urwał i przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć słowa.

– Ale... – Emilia nie spuszczała z niego oczu.

– Ale mieliśmy też gorsze okresy.

– To chyba normalne. Byliście ze sobą prawie sześćdziesiąt lat.

– Tak, bardzo się kochaliśmy. Zawsze szanowałem Zosię, ale... – Był taki okres w naszym życiu, że oddaliliśmy się od siebie. Wolałbym o tym nie pamiętać, ale niestety, to, co się wydarzyło, dobre i złe, radosne i smutne, już na zawsze będzie częścią nas. Trudne dni dopadły nas, zanim ty pojawiłaś się w naszym życiu. – Wzrok Franciszka stał się nieobecny. – Bardzo długo staraliśmy się o dziecko. W końcu się udało. Zosia była najszczęśliwszą kobietą na świecie. Marzyła, żeby zostać matką. A ja... Ja nie umiałem cieszyć się razem z nią. Nie mogę powiedzieć, że nie chciałem tego dziecka, ale w kwestii rodzicielstwa mieliśmy inne oczekiwania. Byłem szczęśliwy tylko z Zosią i w swoim egoistycznym podejściu do życia myślałem, że ja też powinienem jej wystarczyć. Więc po co dziecko? Nie powiedziałem jej tego. Mijały lata, Zosia nie zachodziła w ciążę, więc sądziłem, że tak już będzie. Tylko ona i ja... do późnej starości. Aż tu nagle pewnego dnia niespodzianka. Zosia poinformowała mnie, że zostanę ojcem. Dokładnie pamiętam tamten moment. Zosieńka włożyła swoją najpiękniejszą sukienkę, tę samą, którą miała na sobie, gdy się zaręczaliśmy. Do szklanego dzbanka włożyła bukiet liliowego bzu z naszego ogrodu. Jeden kwiat urwała i włożyła sobie za ucho. Do tej pory zapach bzu kojarzy mi się z Zosią. Najbardziej kochała karminowe róże i bez. Jak powiedziała mi o ciąży, objąłem ją i powiedziałem tylko: „Będzie dobrze”. A ona przyłgnęła do mnie i długo się tuliła. Kolejne dni nie przyniosły nic nowego. To znaczy Zosia promieniała, rozkwitała, a ja chodziłem po domu jak mruk i zamykałem się z książką w pokoju. Marzyła o córeczce. Już nawet miała dla niej wybrane imię, Liliana – jak liliowe bzy, otaczające boczną ścianę naszego domu. – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Może chcesz herbaty? – Nagle przerwał opowieść. Próbował podnieść się z krzesła,

ale tym razem to ona złapała go za rękę.

– Nie... – Przytrzymała dłużej jego nadgarstek.

Franciszek odchylił się na oparcie krzesła i westchnął głęboko. Wiedział, że musi skończyć tę opowieść. Teraz nie mógł się już wycofać. Najgorsza część historii była jednak dopiero przed nim.

– Szczęście Zosi nie trwało długo. Rozkwitło wraz z bzami w naszym ogrodzie. Niestety, któregoś dnia obudziła się rano z silnym bólem brzucha. – Głos Franciszka się zmienił. – Domyślasz się, co stało się później? – Popatrzył na dziewczynę, jakby chciał, żeby to ona dokończyła.

– Poroniła.

– Tak. Bzy przekwitły, a Zosia straciła naszą córeczkę. Nie wiem dlaczego, ale wciąż myślę, że to była dziewczynka, choć przecież nie mogliśmy tego potwierdzić. To był dopiero drugi miesiąc. Najgorsze jest to, że nie cierpiałem po stracie tego dziecka. Nie czułem, że ono miało się urodzić, i nic nie poczułem, kiedy już go nie było. Niestety, Zosia to zauważyła. W swoim smutku i rozpaczycy patrzyła na mnie z wyrzutem. Nie powiedziała nawet słowa, a ja i tak wiedziałem, że mnie oskarża. Z każdą minutą, godziną i dniem oddalaliśmy się od siebie coraz bardziej. Ja zamykałem się w antykwariacie, a Zosia... Ona była zupełnie sama. Udawałem, że nie widzę jej rozpaczycy. Nie chciałem jej widzieć, bo budziły się we mnie potworne wyrzuty sumienia. Oskarżałem się, że nie potrafię kochać, że jestem jałowy i bezduszny. Rozczulałem się tak nad sobą. A ona gasła... każdego dnia po trochu. Pewnego dnia, nie wiedząc czemu, wróciłem do domu trochę wcześniej. Od rana nie mogłem sobie znaleźć miejsca i wciąż myślałem o Zosi. Zostałem ją w kuchni. Leżała na podłodze i z całą siłą uderzała w nią rękami. Głośno płakała. Przestraszyłem się. Wyglądała jak obłąkana. Bałem się nawet do niej odezwać. Powoli podniosła głowę, usiadła, oparła się plecami o szafkę i podkuliła nogi. Nic nie mówiła, tylko patrzyła na mnie takim wzrokiem, jak jeszcze nigdy wcześniej. Zerknąłem na stół. Leżała tam jej książka. Była otwarta. Przysunąłem się do blatu i spojrzałem na otwartą stronę. Miała mokre i pofałdowane brzegi.

Żeby docenić życie, czasem trzeba oddalić się od niego i spojrzeć w oczy śmierci.

– przeczytałem i przeraziłem się. Podeszedłem do Zosi i usiadłem obok niej. Objąłem ją. Zaczęła drżeć i jeszcze głośniejsze płakać. Przerwała i popatrzyła na mnie w taki sposób, że od razu wiedziałem, co chce mi przekazać. „Franiu, dzisiaj chciałam zrobić coś strasznego” – mówiąc to, patrzyła na mnie smutno. Przytuliłem ją mocniej i ukryłem głowę w jej włosach. Nie chciałem patrzeć jej w oczy. Ale ona odsunęła się ode mnie, wstała. Potem podeszła do stołu i wzięła do ręki swoją książkę. Przysunęła ją do twarzy, jakby ją wachała, jakby się do niej przytulała. Po chwili przyłożyła ją do serca. „Ona uratowała mi życie” – powiedziała

wzruszonym głosem. Wstałem i zbliżyłem się do niej. Chciałem znów ją przytulić, ale powstrzymała mnie gestem wyciągniętej ręki. Bała się, że nie dam jej skończyć. „Poszłam nad Wisłę. Chciałam się utopić” – poinformowała mnie. Nie musiała tego mówić. Wiedziałem to. Ale ona ze szczegółami zaczęła opowiadać, że chciała to zrobić, już kiedy odeszła nasza córeczka. Tamtego ranka zdecydowała, że nadszedł właściwy moment. Jak udałem się do antykwariatu, ona poszła nad Wisłę. Oczywiście zabrała ze sobą swoją książkę. Gdy doszła do wałów, była pewna, że się nie wycofa. Zsuwała się wolno do linii wody. Nagle zza gęstych chmur wyszło słońce, chociaż od rana było mglisto i pochmurnie, bez szansy na roz pogodzenie. Spojrzała wówczas w sam środek jego tarczy i otworzyła książkę, którą ścisnęła w dłoni.

Żeby docenić życie, czasami trzeba oddalić się od niego i spojrzeć w oczy śmierci.

– te słowa Franciszek wypowiedział po raz drugi, tym razem tonem pełnym patosu.

Emilia była tak mocno poruszona jego wyznaniem, że mogła na niego jedynie patrzeć. Myśli kłębiły się w jej głowie z taką szybkością, że nie potrafiła ułożyć nawet jednego prostego zdania. Jej kochana Zosia była kiedyś taka nieszczęśliwa? Chciała odebrać sobie życie? „To niemożliwe... Zosia była zawsze uśmiechnięta, otwarta na świat. Tak bardzo kochała życie. A może kochała mocno to życie, bo uświadomiła sobie, jak łatwo można je stracić?”

– Mogłem ci tego nie mówić. – Franciszek popatrzył na nią czujnie. – Sara nalegała jednak, żebyś poznała całą prawdę. Powiedziała, że zasługujesz na nią, że opowieść o losach Zosi powinna stać się częścią ciebie, także twoją historią. Bo przecież to ty nadałaś życiu mojej żony głębszy sens.

– Ja?

– Tak, kochana. Opatrzność odebrała nam jedno dziecko, ale podarowała inne. Po wyznaniu Zosi nasze relacje się zmieniły. Ona tak bardzo chciała normalnie żyć, a ja ją w tym wspierałem. Nie było jej łatwo, ale codziennie rano wstawała i oswajała swój smutek. Wiedziała, że walka na nic by się nie zdała. Rozumiała, że jak decydujesz się na walkę, to jednocześnie tracisz zaufanie do siebie. Stwierdziła więc, że będzie po prostu żyć, codziennie, pomalutku, ze swoim smutkiem, wspomnieniami i bólem. Przestała stawiać im opór, więc one zaczęły słabnąć i pomalutku wycofywać się z jej życia. Pozbierała się, dała radę, a między nami znów było jak dawniej. Kolejne lata mijały nam spokojnie. Zosia więcej czasu spędzała w antykwariacie, a wieczorami przeważnie siadywaliśmy razem w kuchni. Czasem chodziła do cukierni i pomagała naszym znajomym w wypiekaniu ciast. Był czas, że znów zaczęliśmy się starać o dziecko, ale nic z tego nie wyszło, Zosia miała już swoje lata. Próbowałem namówić ją na adopcję, ale nie chciała się zgodzić. Udawała, że bycie matką nie ma dla niej znaczenia, i zawsze miała dla

mnie ten sam argument, kiedy starałem się nakłonić ją na wizytę w domu dziecka. „Widocznie Bóg nie chciał, żebym została matką” – uśmiechała się smutno, a potem zwykle urywała i zmieniała temat. Ale ja widziałem, z jaką czułością patrzyła na dzieci. A one wszystkie Ignęły do niej. Myślę, że Bóg miał inne plany wobec Zosi... Wobec nas... Któregoś dnia przyszła do nas na kawę sąsiadka. Opowiedziała, że właśnie zrezygnowała z pracy i był to najkrótszy okres, w jakim przyszło jej pracować, bo trwał zaledwie dwa dni. Okazało się, że była ona opiekunką małej dziewczynki, której nieznośna matka odstraszała wszystkie, nawet najbardziej pełne poświęcenia nianie. Żadna nie mogła obronić małej. Żadna oprócz Zosi... – Twarz Franciszka pojaśniała. – Domyślasz się chyba, kim była ta mała?

– To ja, tak? – Wzruszyła się.

– Tak, kochana, to ty. Zosia wybrała się do twojej matki jeszcze tego samego dnia. Poleciała tam jak na skrzydłach i została.

Emilia poczuła, że pod jej powiekami zaczęły się zbierać łzy. Zasłoniła oczy dłońmi i pociągnęła nosem. Franciszek popatrzył na nią i znów posmutniał.

– I co, teraz już nie jestem dla ciebie miłym starszym panem?

Potarła oczy, wcierając łzy w kosmyk włosów, który przykleił się do jej twarzy.

– Panie Franciszku, jest pan jedną z najbliższych mi osób. – Powoli przesunęła rękę po blacie stołu i złapała dłoń Franciszka. Czekał na jej gest. Od razu uściskał jej palce.

– Emilko, byłeś i jesteś naszym słońcem – powiedział i natychmiast się zawstydził. – Pojawiłeś się w naszym życiu w odpowiednim momencie. Od tamtej chwili w Zosię wstąpiło nowe życie. Bronił cię przed całym światem jak lwica!

Wiedziała, że mówiąc „cały świat”, oczywiście miał na myśli Lili.

– Ja też bardzo się cieszę, że was miałam. Nie wiem, jak wyglądałoby moje życie, gdybyście się w nim nie pojawili. Kto wtedy walczyłby o nie? – Starła się uśmiechem rozładować smutną atmosferę.

– Przede mną nie musisz udawać. Zrozumiem, jeśli powiesz, że się mną rozczarowałaś...

– Panie Franciszku, cieszę się, że zdobył się pan wobec mnie aż na taką szczerłość. Nie każdy by się odważył. Mógł pan to po prostu ukryć. Przecież i tak nie dowiedziałabym się o tym. Teraz wiem, jak ważna jestem dla pana. Nie sztuką jest mówić sobie tylko dobre rzeczy. Największym wyzwaniem jest przyznać się do błędów i nie bać się odrzucenia. – Starła się poruszyć palcami, ale on wciąż mocno trzymał jej rękę. W końcu zwolnił uścisk. Wtedy cofnęła dłoń i uśmiechnęła się do niego.

– Sara o tym wiedziała, tak?

– Sara wiedziała o Zosi wszystko. Tylko ja nic nie wiedziałem o Sarze.

– A teraz pan wie?

– Teraz... – westchnął – Sara opowiedziała mi co nieco o sobie. Powiedziała chyba nawet więcej, niż początkowo planowała. Nie wiem, jak ona to wszystko przetrwała. – Zamyślił się. – To taka dobra kobieta – dodał, przyglądając się Emilii uważnie.

– Jak Zosia...

– Tak, Zosia miała gorące serce i Sara je ma. Połączyła je nie tylko tajemnica, wspólny kawałek historii, ale przede wszystkim czystość myśli. – Znów westchnął, tym razem dłużej i głośniej.

– Powinien pan namówić Sarę, żeby została w Polsce. Ona nie ma w Stanach nikogo, a tutaj jestem ja, jest pan. – Wpatrywała się w twarz Franciszka, czekając na jego reakcję.

– Myślałem o tym. Nawet zapytałem ją, czy zdecydowałaby się na powrót.

– I co?

– I... odpowiedziała, że się zastanowi.

– Chciałby pan, żeby została?

– Tak – odparł bez namysłu.

Spojrzała na pomarszczoną twarz Franciszka i spostrzegła, że jego oczy nabrały nowego blasku.

Wtem Franciszek podniósł się i dosunął krzesło do stołu.

– Pójdę do siebie. Nie miej mi tego za złe, ale chciałbym w samotności przemyśleć jeszcze kilka spraw. – Zdjął okulary.

– Dobrze się pan czuje?

– Tak, od dawna nie czułem się lepiej. – Na koniec uśmiechnął się do niej, żeby rozwiać wątpliwości.

Uwierzyła w jego uśmiech. Przekonało ją jego spojrzenie, wesołe i bardzo spokojne. Gdy znalazła się w swoim pokoju, długo nie mogła się wyciszyć. Natłok myśli nie pozwalał jej nawet na chwilę wytchnienia. Najwięcej było w nich Sary i Zosi. Tak mocno potrzebowała teraz bliskości byłej opiekunki. Historia opowiedziana przez Franciszka wydobyła na powierzchnię uczucia, którym już od dawna się nie przyglądała. Z perspektywy lat, które spędziła przy Zosi, widziała wyraźnie, jak wiele ona jej ofiarowała. Jak bardzo ukształtowała jej osobowość, jak szczerze odgrodziła ją od destrukcyjnego charakteru Lili. Przecież gdyby nie Zosia, dzisiaj mogłaby być zupełnie kimś innym. Wraz z pojawieniem się opiekunki wszystko nabrało nowego znaczenia. A teraz za jej sprawą pojawiła się Sara... Widziała w czarno-białych barwach sceny rozgrywające się w getcie, czuła ból i determinację Racheli, smutek małej Sary, kiedy patrzyła w obce oczy matki, która dla niej poświęciła siebie. „Matka jest w stanie dla swojego dziecka zrobić wszystko...” – przypomniały się jej słowa Sary. „Czy aby na pewno? Czy każda matka jest gotowa na takie skrajne wyrzeczenia?” – myślała o Lili. Zosia zajęła

miejsce Lili i to jej obraz był najbardziej wyrazisty w jej głowie. Samotność zastąpiło zrozumienie, a egocentryzm Lili – silna rodzinna relacja z ludźmi, z którymi nie łączyły jej więzy krwi. Była wdzięczna Franciszkowi, że opowiedział jej tę historię, bo dzięki temu odkryła nowe oblicze Zosi. Zagubionej, ale jednocześnie silnej kobiety, która potrafiła zmierzyć się z własną słabością. Najważniejsze, że wygrała tę walkę i odnalazła złoty środek, oś, wokół której odbudowała własne życie. Potem, będąc na właściwej drodze, mogła podać rękę małej, zagubionej dziewczynce i poprowadzić ją we właściwym kierunku.

Emilia podeszła do szafy. Na jednej z półek nadal leżała foliowa siatka. Sięgnęła po nią i wyjęła miękki brązowy sweter. To niebywałe, ale nadal pachniał tamtym jesiennym wieczorem, kiedy po raz pierwszy ona i Szymon pozwolili sobie na bliskość. Poglądziła gładki splot swetra z czułością. Podeszła do stolika, na którym leżały bożonarodzeniowa gałązka jemioli i list od Szymona. „Też cię kocham. Tęsknię za tobą i czekam” – wyszeptła i przytuliła sweter do policzka.

Tej nocy śnił się jej Szymon. Chodzili po plaży w Modrzewiowej, trzymając się za ręce. Było lato, a pod stopami czuli gorący dotyk piasku. Doszli do latarni i usiedli na pokruszonych schodach. Szymon objął ją, a potem powiedział: „Zostań ze mną na zawsze”. Gdy się obudziła, w jej głowie wciąż rozbrzmiewały jego słowa. Nie chciała otwierać oczu, nie w tym momencie. Jeszcze tyle mogło się wydarzyć. Zamknęła powieki i przykryła głowę poduszką, usilnie starając się usnąć. Po kilku minutach rozdzwonił się budzik. Zrzuciła z twarzy poduszkę i na chybił trafił złapała go, żeby wyłączyć alarm. Niefortunnie upadł na podłogę i narobił hałasu. Usiadła, spojrzała pod nogi, próbując go odszukać. W pokoju było ciemno. Dopiero po chwili włączyła lampkę nocną. Znalazła budzik, wyłączyła alarm i odłożyła go na miejsce. Starła się poukładać myśli. Dotarło do niej, że właściwie powinna już się zbierać, przecież przed siódmą były umówione z Igą na dworcu. Kwadrans później zamykała drzwi, cicho, żeby nie obudzić Franciszka.

Iga już na nią czekała. Była w świetnym humorze. Zanim udały się na właściwy peron, wypily jeszcze poranną kawę.

– Boisz się? – spytała Iga, podnosząc do ust filiżankę.

– Nie – odpowiedziała Emilia. Wczoraj została obdarowana tak dużą dawką wrażeń, że jej wcześniejsze obawy albo się rozwiały, albo ukryła je tak głęboko, że ich po prostu nie zauważała. Siedząc teraz przed Igą, nie czuła lęku przed nieznanym. Najważniejsze było to, że znów miała przy sobie dawną Igę, przyjaciółkę na dobre i na złe. Ich przyjaźń stanęła na rozdrożu, ale na szczęście potrafiły ruszyć dalej i wybrać właściwy kierunek. Razem, bez oglądania się za siebie.

W Warszawie wszystko potoczyło się bardzo szybko, według ustalonego wcześniej planu Igi. Redaktorka Edyta Socha, która przyjęła książkę do konkursu, nie kryła niezadowolenia, ale stwierdziła, że jeszcze wszystko da się odkręcić,

choć termin wydania przewidziano na kwiecień. Po przykrych doświadczeniach z Igą dokładnie przepytowała prawdziwą autorkę o wszystko. Już po kilku minutach, uzyskawszy satysfakcjonującą odpowiedź, odpuściła. Rozmowa zeszła na temat planów. Edyta była ciekawa, czy pisze kolejną książkę. Historia Joanny i Adama, żyjących w Krakowie w czasie niemieckiej okupacji, ujęła redaktorkę, ale Emilia od kilku miesięcy nie napisała nawet słowa. Często brała do ręki pióro, otwierała gruby brulion, ale nic z tego nie wynikało.

Brakowało jej pisania. Czuła, że znów musi sobie zaufać. Mimo chaosu ona była główną bohaterką swojego życia. I tylko ona miała prawdziwy wpływ na jego treść. Nie inni. Nie Sara, nie Franciszek, nie Lili, tylko ona. Tylko z tą pewnością siebie, z tą wiarą we własne możliwości mogła tworzyć.

Gdy po godzinnej wizycie wychodziły z Igą z wydawnictwa, była uskrzydłona. Miała tyle zapału, że od razu mogłaby usiąść do komputera i pracować nad książką. Z Edytą ustaliły jednak, że tekst po poprawkach dostanie dopiero po Nowym Roku.

Zanim pojechały na dworzec, uraczyły się jeszcze smacznym obiadem w przytulnej restauracji na Zwycięzców, w pobliżu wydawnictwa, a potem przespacerowały się po Saskiej Kępie i parku Skaryszewskim. Na warszawskich ulicach, tak jak w Krakowie, czuć było świąteczną atmosferę. Śnieg okrywał pozbawione liści gałęzie, a wokół stadionu pyszniły się choinki przystrojone w kolorowe światełka.

Gdy wysiadły z pociągu na krakowskim peronie było już ciemno. Niebo wyglądało, jakby było zasnutą granatowym atłasem. Z Igą rozstały się przy wyjściu z Galerii Krakowskiej. Każda poszła w swoją stronę. Idąc do domu Franciszka, Emilia wciąż czuła podekscytowanie. Nie mogła się doczekać, kiedy zda mu relację ze spotkania w wydawnictwie.

Gdy weszła do domu, tak jak zawsze dokładnie otrzepała buty i odwiesiła kurtkę. Zza przymkniętych drzwi usłyszała głosy. Spojrzała na wieszak. Wisiała na nim szara budrysówka, która na pewno nie należała do Franciszka. Szpiczasty kołnierz płaszcza antykwariusza wychylał się zza jej miodowej kurtki z miękkiej alpaki. Nie miała ochoty na zagadki, dlatego bez zastanowienia pchnęła drzwi do kuchni.

– Szymon? – Z zaskoczenia cofnęła się o krok i oparła ręce na framudze. – Co ty tu... Jak mnie znalazłeś?

Szymon, który siedział przy stole naprzeciw pana Franciszka, od razu wstał i ją przytulił.

– Mówiłem, że cię odnajdę. – Pocałował ją w policzek. – Nie było cię w twoim magicznym sklepiku, ale spotkałem tam dobrego przewodnika. – Odwrócił głowę i z uśmiechem spojrzał na Franciszka.

Odsunęła się od Szymona. Poczowała się zagubiona. Franciszek również wstał.

Był w pogodnym nastroju.

– Usiądź z nami, kochana. Herbata jest jeszcze gorąca, napijemy się. – Wskazał porcelanowy dzbanek z ulubionego zestawu Zofii, stojący na środku stołu. Obok niego stała pusta filiżanka. Zupełnie jakby czekała na kolejnego gościa.

Zbliżyła się do stołu. Nie patrząc na mężczyzn, nalała sobie herbaty. Wciąż była zawstydzona spontanicznym gestem Szymona i nie miała śmiałości, by spojrzeć na Franciszka.

– Dlaczego wcześniej nie wspomniałaś, że znasz pana Szymona? – Franciszek nie spuszczał z niej oczu. – Szymona... – poprawił się po chwili.

Poczuła na policzkach gorący rumieniec. Żaden z mężczyzn nie ułatwiał jej sprawy. Franciszek wciąż uparcie się w nią wpatrywał, a Szymon bezceremonialnie chwycił ją za rękę w taki sposób, że nawet nie miała szansy, by się wyrwać.

– Byłem dziś rano w antykwariacie, szukałem cię.

– Szymon był tak miły, że trochę pomógł mi przy książkach. – Franciszek uśmiechnął się najpierw do Szymona, a potem przeniósł wzrok na Emilię. – Od razu widać, że ma do nich serce. Nigdy nie spodziewałbym się, że taki sławny autor przekroczy próg naszego antykwariatu. Szymon jest przecież moim ulubionym pisarzem *fantasy*, zaraz po Tolkienie! Szymonie, wybac mi, ale Władca Pierścieni już na zawsze będzie moim numerem jeden.

– Rozumiem. – Szymon się uśmiechnął. – Tolkien to i mój ulubiony autor. Jego książki czytałem nocą, z latarką pod kołdrą, kiedy miałem ze dwanaście lat. – Odwrócił wzrok w stronę okna, a ona odniosła wrażenie, że posmutniał, choć nadal starał się uśmiechać.

– Kochani, nie będę wam przeszkadzał. – Franciszek nagle wstał. – Miałem dzisiaj okazję spędzić z Szymonem cały dzień, ale z tego, co mi wiadomo, to wy chyba już dawno się nie widzieliście. – Uśmiechnął się, a ona najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Franciszek zauważył jej zmieszanie i swoim szybkim wyjściem postanowił ułatwić jej sprawę.

Szymon przez cały czas trzymał ją za rękę. Dopiero po wyjściu Franciszka zdecydowała się spojrzeć mu prosto w oczy. Końcówki jego ciemnych, lekko pofalowanych włosów zabawnie opadały na oprawki okularów. Popatrzyli na siebie bez słowa... Jeszcze nigdy wcześniej nie widziała takiego światła we wzroku mężczyzny.

– Dostałaś moją wiadomość? – spytał.

– Tak. – Kolejny raz poczerwieniała na wspomnienie bożonarodzeniowego spotkania. Przed oczami znów miała zieloną gałązkę jemioly i mokrą od śniegu kartkę.

Szymon podniósł się, przybliżył do niej i lekko pociągnął za rękę. Gdy znalazła się naprzeciw niego, objął ją mocno. Spojrzał jej w oczy. Bała się nawet zamrunąć, żeby nie stracić cennej chwili jego bliskości. Wierzyła, że to dopiero

początek. Że te drobne momenty namalują na ich wspólnej drodze piękny obraz codzienności. A ta codzienność, choć zwyczajna, znaczone tysiącem niewielkich kroków, czasem przewidywalna, dla nich będzie wyjątkowa.

– Kocham cię – powiedział i pocałował ją czule, inaczej niż wtedy na jesiennej plaży, gdy dopiero się poznali.

– Też cię kocham – wyznała, kiedy oderwała usta od jego ust.

Nagle w korytarzu usłyszeli odgłos kroków. Emilia odruchowo odsunęła się od Szymona i wymownie zakaszła. Mężczyzna uśmiechnął się ze zrozumieniem. Szuranie ucichło.

– Chciałbym już nigdy więcej się z tobą nie rozstawać.

– To chyba będzie problem, bo mieszkasz w Szwajcarii, a ja w Polsce...

– Tak, masz rację...

– Opowiedz mi coś o sobie, o twoim życiu. Przecież właściwie nic o tobie nie wiem.

Wpuścił jej rękę i podszedł do okna. Rozchylił firankę i spojrzał w dal, choć i tak nic nie było widać. Po chwili wziął dzbanek z wciąż ciepłą herbatą.

– Dolać ci? – spytał i schylił się nad jej filiżanką. – Co chcesz o mnie wiedzieć?

– Wszystko...

– Od ponad dziesięciu lat mieszkam nad jeziorem Thun, w małym domku, z dala od centrum, trochę jak pustelnik. – Zaśmiał się, ale czując skupiony na sobie wzrok Emilii, wrócił do rozmowy.

– Jesteś tam szczęśliwy?

– Chyba tak... W każdym razie byłem. – Popatrzył na nią znacząco. – Wcześniej, jeszcze na studiach, mieszkałem w Bazylei. Potem przenieśliśmy się, kiedy już zacząłem pisać. Pierwsza książka, ku mojemu zdziwieniu, okazała się sukcesem, a mnie coraz bardziej zaczął męczyć tłum. Z natury jestem samotnikiem. Nie mogłem pisać, gdy obok mnie wciąż ktoś się kręcił. Mam takie swoje ulubione miejsce, na skraju lasu, skąd widać ruiny zamku. Tam powstały wszystkie tomy mojej sagi o klanie z Montavila. Czasem wydaje mi się, że to, co opisuję, działo się tam naprawdę, a te wszystkie skrzaty i leśne boginki przechadzają się obok mnie. Teraz przymierzam się do kolejnej książki, tylko muszę trafić na miejsce, które do mnie przemówi. Inaczej nic z tego. – Wzruszył ramionami.

– Uwielbiam twoje książki – wyznała.

– Naprawdę czy po prostu chcesz mi zrobić przyjemność?

– Naprawdę – spieszyła się. Chciała mu powiedzieć, że ona też pisze, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Postanowiła, że opowie mu o wszystkim dopiero wtedy, gdy weźmie do rąk pierwszy egzemplarz swojej książki.

– Od kiedy wiedziałeś, że chcesz pisać?

– Właściwie od dziecka.

– To tak jak ja – wymknęło jej się.

Spojrzał na nią tak, jakby chciał ją o coś zapytać, ale od razu zmieniła temat.

– Wyjechałeś do Szwajcarii zaraz po maturze?

– Tak. – Szymon spochmurniał. – Niestety, musiałem – dodał.

Nie śmiała go zapytać o nic więcej, ale sam uznał, że powinien wyjaśnić jej wszystko, że nie powinni mieć przed sobą tajemnic.

– Mój ojciec nie pozwalał mi na pisanie. Co gorsza, zabraniał mi nawet czytać w wolnym czasie, w wakacje. Jak widział mnie z książką, od razu starał się wybić mi z głowy, jak mawiał, głupoty. Nie było łatwo... – Zmarszczył brwi. – Był wojskowym i od małego wychowywał mnie po spartańsku. Chciał ze mnie zrobić oficera. Ciągle tylko słyszałem, że jak skończę szkołę, to świat będzie stał przede mną otworem, no i oczywiście niedługo potem wyjadę na swoją pierwszą misję pokojową.

– Dlaczego mu nie powiedziałaś, że tego nie chcesz?

– Mówiłem, krzychałem, błagałem, wszystko na nic. Na każde moje słowo sprzeciwu ojciec wyciągał pas... Widzisz? – Podciągnął rękaw, odsłaniając fragment ręki. Pokrywała go gruba zbieleła blizna. – To pamiątka z młodości. Mam jeszcze kilka takich w innych miejscach. – Odwrócił wzrok, jakby to wyznanie go zawstydziło.

Poruszyła głowę. Dłuższą chwilę nie mogła wydobyć z siebie słowa.

– Zdałem do najlepszego liceum, do klasy humanistycznej, ale on przepisał mnie do szkoły wojskowej. Myślał, że w ten sposób wybije mi książki z głowy, ale z marnym skutkiem. W przerwach między ćwiczeniem kolejnych pompek i biegami przełajowymi siedziałem nad książką. Wszyscy wiedzieli o moich zainteresowaniach i trochę mi pomagali. Nauczyciel od wychowania fizycznego przymykał oko na moje niedociągnięcia i często zwalniał mnie, żebym mógł iść do biblioteki. Kumpie też mnie kryli.

– A mama? Nie obroniła cię przed nim?

– Mama... – Zamyślił się. – Odeszła od nas, jak byłem jeszcze mały. Nie wytrzymała terroru. Ale nie cieszyła się długo wolnością, bo wkrótce potem zmarła. Przez całe dzieciństwo i początek młodości byłem skazany na niego. Na jego chore aspiracje. Teraz z perspektywy czasu widzę, że on nienawidził nie tylko ludzi, ale też siebie.

– Udało ci się zapomnieć o dzieciństwie i o nim? – Przysunęła dłoń bliżej Szymona, gdyby chciał ją objąć. Sama nie odważyła się na ten gest.

– Zapomnieć... – powiedział spokojnym głosem. – Tego nie da się zapomnieć. Ale teraz czuję się wolny. – Chwycił ją za rękę i czule pogładził.

– To u niego byłeś w święta, tak? – odważyła się zapytać.

– Tak... Bardzo chciałem się z nim zobaczyć, choć sobie tego nie życzył. Nadal mieszka na tym samym osiedlu w Olsztynie.

– Jak zareagował?
– Myślę, że mi wybaczył. – Wypuścił rękę Emilii i postukał palcami o blat stołu.

– On tobie?! – spytała oburzona.
– Tak – odpowiedział Szymon z uśmiechem. – Wybaczył mi, że nie potrafiłem być taki, jak tego oczekiwał.

– Powiedział ci o tym?
– Oględnie, ale jednak powiedział. Nigdy nie był zbyt wylewny.
– Przeprosił cię?
– Nie musiał, ale przeprosił. Dla mnie nie miało to żadnego znaczenia. Wiesz, Emilko, ludzie często nie mogą zrozumieć jednej bardzo prostej sprawy: że przebacząc komuś, największą przysługę oddają sobie. Zwracają sobie wolność.

Emilia przekonywała się, że to, co podpowiadała jej o Szymonie intuicja, okazało się prawdą. On patrzył na świat i myślał zupełnie tak samo jak ona. Czuł tak jak ona. Współczuł i kochał w ten sam sposób. „Czy właśnie tak wygląda miłość?” Przekonała się, że doświadcza tego uczucia po raz pierwszy. To było cudowne. Nieuchwytnie, a jednocześnie tak realne, że miała ochotę wykrzyczeć to całemu światu. Nawet Franciszkowi. Miłość do Szymona topiła w niej wszelkie bariery.

– Nie chcę się z tobą rozstawać. – Szymon poprawił okulary w taki sam sposób, jak robił to Franciszek. Tym gestem jeszcze bardziej ją rozczerzył. – Chciałbym z tobą rozpocząć nowy rok. – Spojrzał pytająco.

Uśmiechnęła się, nic nie mówiąc. Marzyła, żeby spędzić tego sylwestra właśnie z Szymonem.

– Masz jakieś plany? – spytał, nie doczekawszy się odpowiedzi.
– Tak...
Przechylił się w jej stronę i złapał ją za obie ręce.
– Może być na końcu świata, byle z tobą – powiedziała kokieteryjnie.
– Co ty na to, żebyśmy powitali Nowy Rok w Szwajcarii? Pokazałbym ci moją samotnię.

– Naprawdę chcesz mnie tam wpuścić? Przemyślałeś to? – zażartowała. – W takim razie chętnie ją zobaczę.

– Mam już nawet bilety na samolot...
– Zaplanowałeś to wcześniej? – Zmrużyła oczy, udając zdziwioną.
– Nie, no skąd. Tak jakoś wyszło. – Zaśmiał się.
– Tak jakoś wyszło... – powtórzyła wolno. Poczowała podekscytowanie, jakby miało wydarzyć się coś wielkiego, czego nie doświadczyła jeszcze nigdy w życiu.

Potem Szymon długo opowiadał jej o swojej pracy, kilku sprawdzonych przyjacielach, którzy byli przy nim w dobrych i złych chwilach. Nie wracał już do czasu spędzonego w Polsce, do trudnego dzieciństwa i niełatwej młodości. Mówił o

tym, co teraz było mu najbliższe. O tym, co sprawiało mu radość.

Zaczął zbierać się do wyjścia dopiero przed północą. Oboje czuli, że mogliby przegadać ze sobą jeszcze kilka godzin, ale on nie chciał narzucać się ze swoją obecnością. W domu pana Franciszka czuł się gościem. Kiedy już otwierał drzwi wyjściowe, Emilia zastąpiła mu drogę.

– Zaczekaj – szepnęła tajemniczo i zniknęła w swoim pokoju. Po chwili stanęła przed nim, trzymając foliową siatkę.

– Proszę, to chyba należy do ciebie. – Zabawnie zmarszczyła nos.

– Co to? – Od razu włożył rękę do torebki i wyjął z niej swoje ubranie: spodnie i wełniany sweter.

– Przywiozłaś to ze sobą do Krakowa? – Uniósł sweter i roześmiał się.

– Tak. – Pokiwała głową. – To było jedyne, co mi pozostało po naszym spotkaniu...

– Jesteś pewna, że nie chcesz go sobie zostawić? Do twarzy ci w nim. – Szymon przyłożył sweter do jej ramion.

Zrobiło się jej miło, kiedy rękawem przez przypadek musnął jej policzek.

– Ty wyglądasz w nim bardziej twarzowo – odparła.

– Jak chcesz. – Szymon roześmiał się i włożył sweter z powrotem do torebki.

– A twoje ubrania są nadal w latarni.

– Chętnie wrócę tam po nie kiedyś. Na pewno nie zginą. – Wzruszyła ramionami.

Gdy wyszli przed dom, prószył drobny śnieg. Teraz odciskali na nim swoje ślady, kierując się do furtki. Nie mogli się rozstać nawet wówczas, gdy Szymon przekroczył już granicę posesji. Długo trzymał rękę Emilii. Ustalili, że zobaczą się dopiero pojutrze, w sylwestra. Nazajutrz Szymon miał ważny wyjazd do Warszawy, więc od razu uzgodnili szczegóły podróży do Szwajcarii. Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Od wylotu dzieliło ją kilkadziesiąt godzin, a wydawało się jej, że ich wspólne plany są tylko historią wymyśloną na potrzeby kolejnej książki Szymona.

Gdy w końcu się rozstali, była tak upojona szczęściem, że nawet nie pamiętała momentu wejścia do domu. Wbiegła, zatrząskując za sobą drzwi. Tej nocy jeszcze długo stała przy oknie, raz po raz czytając świąteczny list Szymona. Słowo „kocham” nie tylko głąskało jej oczy. Teraz, kiedy wydobyło się z ust ukochanego, słyszała je również w sobie.

Następnego dnia Franciszek zachowywał się dyskretnie. Nie pytał ani o Szymona, ani o przebieg spotkania w Warszawie. Nieustannie jednak kręcił się przy Emilii, dlatego uznała, że powinna mu o wszystkim opowiedzieć. Tego poranka czasu na rozmowę nie było zbyt wiele. Oboje wyszli z domu później niż zazwyczaj i w szybkim tempie pokonali trasę do antykwariatu. Franciszek zatrzymywał się co kawałek, niby poprawiał szalik i otrzepywał buty, ale tak

naprawdę łapał oddech. Co chwilę wyciągał też z kieszeni zegarek i sprawdzał czas.

Dopiero gdy usiedli na zapleczu, przy filiżankach wypełnionych kawą, mogli w końcu uciąć sobie spokojną pogawędkę. Właściwie przez większość czasu mówiła tylko Emilia, a Franciszek słuchał jej uważnie. Tak jak miał w zwyczaju, nie wtrącał się i o nic nie dopytywał. Zresztą ona starała się zdać relację z przebiegu spotkania w Warszawie ze wszystkimi szczegółami. Powiedziała mu też co nieco o Szymonie. Kiedy skończyła swoją opowieść z Szymonem w roli głównej i Igą w roli drugoplanowej, również Franciszek podzielił się wrażeniami z poprzedniego dnia. Okazało się, że przyszła do niego Sara i pomogła w porządkowaniu książek. O tym, że wspólna praca szła im bardzo sprawnie, Emilia miała okazję przekonać się zaraz po przekroczeniu progu antykwariatu. Większość książek, które jeszcze przed jej wyjazdem do Warszawy leżały w nieładzie, teraz trafiła na właściwe półki.

Zauważyła, że gdy Franciszek mówił o Sarze, błyszcząły mu oczy, a na powściągliwej twarzy częściej niż zwykle pojawiał się uśmiech. Nie chciała go peszyć, więc nie dopytywała o nic. Coś jej podpowiadało, że ta dwójka starszych ludzi, na przekór wszystkim obawom, z każdą chwilą zbliżała się do siebie coraz bardziej.

Gdy kończyli pić kawę, przy drzwiach głośno rozbrzmiał dźwięk dzwonka.

W progu stanął Mikołaj. Emilia ucieszyła się, gdy go zobaczyła, i od razu podeszła do niego, żeby się przywitać. Nie widzieli się od kilku dni.

– Wróciłem – powiedział głośno, całując ją w policzek. Zdjął kurtkę i niedbale położył na wieszaku. Od razu się zsunęła na podłogę.

Natychmiast spostrzegła, że roznosiła go energia. Nie wiedział, czy usiąść, czy stać. Podchodził do okna, a potem znów wracał do regału.

– Siadaj. – Wysunęła stołek spod biurka. Sama też usiadła obok. – Kiedy wróciłeś? – Myślała, że zadając takie proste pytanie, ułatwi mu rozmowę, ale rozemocjonowany Mikołaj wciąż nie wiedział, od czego zacząć. – Zrobię herbatę imbirową, tę, którą lubisz. – Widziała, że rozmowa nie przebiegnie tak gładko jak zwykle, postanowiła więc dać grafikowi więcej czasu na pozbieranie myśli.

Obok Mikołaja pojawił się Franciszek, ale i jemu nie udało się niczego wyciągnąć od gościa. Gdy stanęła w drzwiach zaplecza, niosąc tacę z herbatą, Franciszek postanowił wrócić do segregowania i spisywania książek na zapleczu.

– Zostawiam was, porozmawiajcie sobie – powiedział głośno, żeby rozkojarzony tego dnia Mikołaj zrozumiał jego słowa. – Co mu się stało? – spytał szeptem.

– Właśnie mam zamiar się tego dowiedzieć. – Spojrzała znacząco i podeszła do Mikołaja.

Ten zamasyście sięgnął po swój kubek z herbatą, tak że większa jej część

rozlała się na blat sekretarzyka.

– Przepraszam. – Wstał i zaczął palcami zagarniać rozlany płyn. Oparzył się, ale starał się nie dać po sobie tego poznać.

Uśmiechnęła się do niego i bez słowa wyszła po ścierkę. Zrobiła porządek na biurku, a w kubku Mikołaja znalazła się porcja świeżej herbaty.

– Dziękuję – odezwał się cicho.

Zauważyła, że opuszki jego palców były mocno czerwone. Pocierał nimi drugą rękę, jakby chciał je rozmasować.

– Oparzyłeś się?

– Nie. – Schował ręce pod blat. Zaraz jednak znów je wyjął i chwycił kubek.

– Przedłużyłeś pobyt – zauważyła. Z wcześniejszych informacji Mikołaja wynikało, że miał wrócić zaraz po świętach. Nawet byli wstępnie umówieni z Sarą.

Nie odpowiedział, przytaknął tylko.

– Udały się święta? – zagadnęła, starając się sprowokować go do zwierzeń.

– Tak – odparł głośno i roześmiał się. – Wcale nie miałem ochoty wracać. Właściwie wpadłem tylko na chwilę, żeby zabrać kilka rzeczy, i wieczorem znów wracam do Zakopanego.

– To znaczy, że sylwestra też spędzisz z rodziną?

– Niezupełnie... Poznałem kogoś. – Mikołaj rozpromienił się. – Właściwie znaleźliśmy się już wcześniej. Gabrysia przyjeżdżała do nas, kiedy była jeszcze dzieckiem. W każde wakacje jej rodzice wynajmowali u nas pokój na poddaszu. Przez kilka ostatnich lat się nie widzieliśmy. – Zamilkł. – Spędziliśmy razem święta i...

– I zaiskrzyło – odpowiedziała mu.

– Zgadza się. – Znów sięgnął po kubek i znów zrobił to nieostrożnie. Tym razem na blat wylała się na szczęście tylko niewielka ilość herbaty, którą Emilia od razu wytarła. – To niesamowite. – Mikołaj odezwał się po wypiciu kilku łyków. – Tyle razy mieliśmy wcześniej okazję, żeby porozmawiać. Szwendaliśmy się po górach, kilka razy byliśmy w pubie na piwie i nic, rozumiesz? – Spojrzał tak, jakby nadal nie wierzył w to, co się mu przydarzyło.

– Tak się czasem zdarza – potwierdziła, choć miała zupełnie inne doświadczenia. Miłość to największy z darów, jaki człowiek może dać drugiemu człowiekowi. To siła, która zjawia się nagle i burzy ustalony wcześniej porządek, zabiera nam to, co nieważne, a zostawia tylko blask.

– Cieszę się, że jesteś szczęśliwy. – Uśmiechnęła się do Mikołaja.

– Jeszcze raz przepraszam cię za tamto... Dopiero teraz widzę, jaki byłem namolny. – Postukał palcami o uszko kubka. – Muszę ci się przyznać do czegoś. Nawet wtedy, jak dałaś mi kosza, jeszcze próbowałem się do ciebie zbliżyć...

– Daj spokój, było, minęło. Nie psujmy tego, co teraz jest między nami – powiedziała trzeźwo, choć po słowach Mikołaja poczuła niesmak. – Najważniejsze,

że jesteś szczęśliwy. Naprawdę bardzo się z tego cieszę. – Trąciła go w rękę, widząc, że stracił humor.

– A ty?

– Co ja?

– Jesteś szczęśliwa?

Nie odpowiedziała, tylko promiennie się uśmiechnęła. Wciąż nie miała odwagi wyznać mu prawdy o Szymonie.

– Poukładałaś swoje sprawy?

– O jakich sprawach mówisz? – Poczwała, że się czerwieni.

– Domyśliłem się, że kochasz kogoś innego...

Westchnęła. Tę historię można było opowiedzieć tylko od początku. Nie dało się w niej pominąć żadnego szczegółu. Ta opowieść zaczynała się na jesiennej plaży, w starej latarni. Ale ona nie była przekonana, czy Mikołaj byłby jej wdzięczny za to, że obdarzyła go takim wyznaniem.

– Jeśli nie chcesz, nie musisz nic mówić. Odpowiedz tylko, czy jesteś szczęśliwa. – Nie spuszczał z niej oczu.

– Jestem – potwierdziła z uśmiechem.

Nie zapytał jej o nic więcej. Chyba znów wrócił myślami do swoich spraw, bo stał się roztargniony. Kiedy dopił herbatę, zaczął zbierać się do wyjścia.

– Muszę uciekać – poinformował ją, w pośpiechu wkładając kurtkę.

– Nie zatrzymuję cię, skoro jeszcze dziś musisz dotrzeć na Podhale.

– Wiesz może, która jest godzina? Zapomniałem zegarka.

– Jedenasta – odpowiedziała spokojnie, patrząc na ścianę, gdzie nad potrójnym regałem z książkami wisiał zegar z kremową tarczą. – Przewiesiliśmy go – dodała, wskazując zegar palcem. – Spokojnie, masz jeszcze sporo czasu – powiedziała, widząc, jak stara się zasunąć zamek, który przyciął się na kawałku tkaniny. – Zaczekaj. – Przybliżyła się do niego. Chwyliła suwak i delikatnie wyjęła z zatrzasku cienki materiał. – Zrobione.

– Dzięki. – Popatrzył na nią z wdzięcznością. – Szczęśliwego Nowego Roku dla ciebie i dla niego – powiedział, całując ją w policzek.

– On ma na imię Szymon.

– W takim razie życzę tobie i Szymonowi szczęścia i wiele dobrego. Może uda nam się wkrótce gdzieś spotkać we czwórkę. Chciałbym przedstawić ci Gabrysię. – Uśmiechnął się nieśmiało.

– Z wielką przyjemnością! Też życzę wam szczęścia i mnóstwo miłości w nowym roku!

W tej chwili w drzwiach zaplecza pojawił się pan Franciszek.

– Mikołaju, chciałeś wyjść bez pożegnania? – W żartobliwy sposób zmarszczył brwi.

Panowie złożyli sobie noworoczne życzenia, a zaraz potem Mikołaj opuścił

antykwarjat.

- Dowiedziałaś się, co mu dolega?
- Miłość – odpowiedziała oszczędnie.
- Właśnie tak myślałem – odparł i zabrał się do pracy.

Emilia zajęła się książkami leżącymi na regale z literaturą polską. Po kilkunastu minutach Franciszek wyszedł z zaplecza i stanął przy niej.

– Ta książka chyba powinna znajdować się tutaj. – Wskazał jedną z półek regału.

– Tak, rzeczywiście – zauważyła i wzięła z rąk antykwarjusza *Dwa księżyce* Kuncewiczowej.

– Emilio, jestem ci winien przeprosiny. – Włożył rękę do kieszeni swetra w poszukiwaniu tabaki, a ona od razu wiedziała, że będzie chciał poruszyć jakiś trudny temat. – Przepraszam, że wbrew twojej woli starałem się zeswatać cię z Mikołajem. – Kilka razy zakasłał.

– Panie Franciszku, było, minęło. Nie wracajmy już do przeszłości.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że twoje serce zajął już inny mężczyzna?

– Przecież pan wie... – Odwróciła głowę w kierunku zegara, którego kilkanaście minut wcześniej szukał Mikołaj. – Nigdy nie rozmawialiśmy o...

– O uczuciach... To był błąd. Niestety, zrozumiałem to dopiero teraz. O uczuciach trzeba mówić zawsze. To istotne. Gdybyśmy wcześniej porozmawiali o sprawach twojego serca, uniknęlibyśmy tej żenującej sytuacji. Nieraz stawiałem cię w kłopotliwym położeniu. – Chyba przypominał sobie kolejne sceny z udziałem Mikołaja, bo raz po raz pocierał czoło.

W tej chwili drzwi wejściowe się otworzyły i stanęła w nich Sara. Emilia odetchnęła z ulgą. Rozmowa z Franciszkiem jawiła jej się w tym momencie jak największy bój, który miała właśnie stoczyć bez wojennego ekwipunku.

– Dzień dobry – Sara zawołała już od progu, gdy tylko ucichł dźwięk dzwonka nad drzwiami. – Kochani, nie wiem, czy mi się tylko wydaje, czy macie jakąś trudną rozmowę? – Podeszła do nich i przywitała się z każdym z osobna.

– Temat jak temat. – Franciszek się spieszył, obawiając się, że Sara zechce włączyć się do dyskusji.

– Jak się udała wizyta w Warszawie? – Sara zagadnęła z ciekawością.

– Zaraz pani opowiem. Ale może zrobię coś do picia? – zaproponowała, gdy Sara zdejmowała płaszcz.

– Dziękuję za propozycję, ale nic nie chcę. Przed wyjściem wypiliśmy w hotelu dużą filiżankę mocnej herbaty. Przyszłam wam pomóc.

– Saro, nie chcemy cię wykorzystywać. My tutaj świetnie dajemy sobie radę.

– Franciszek, ty znowu swoje. Myślałam, że przedyskutowaliśmy już to. Dlaczego odmawiasz, jak ktoś oferuje ci pomoc? Przychodzę do ciebie... do was z wielką przyjemnością.

– Porozmawiajcie sobie, a ja zajmę się tyłem zaplecza – wymyślił na poczekaniu. A „tył zaplecza” to oczywiście regały z książkami położone w najdalszej części pomieszczenia.

– Ach, ten Franciszek. – Sara uśmiechnęła się i machnęła ręką, gdy wyszedł.

Potem usiadły obok siebie i Emilia zdała relację z pobytu w Warszawie. Opowiedziała jej też o nagłej wizycie Szymona i planowanym sylwestrze w Szwajcarii.

– Cieszę się, że tak pięknie wszystko ci się układa. Przed tobą pełna tajemnic sylwestrowa noc z ukochanym mężczyzną. Miałam przyjemność poznać wczoraj Szymona. To wspaniały człowiek. Erudyta. Jednocześnie taki naturalny, że wydaje się, jakby znało się go od zawsze. O której wylatujecie?

– Umówiliśmy się o trzynastą w Balicach. Pojadę taksówką. Szymon dwie godziny wcześniej przylatuje z Warszawy, więc zobaczymy się już na lotnisku.

– Spotkamy się jeszcze dzisiaj w naszej kawiarni?

– Pani Saro, proszę mi nie mieć tego za złe, ale dzisiaj po pracy chciałam jeszcze odwiedzić Lili i Grzesia. Planowałam, że wybiorę się do nich rano przed wyjazdem, ale obawiam się, że mogę nie zdążyć. Wolalabym załatwić tę sprawę już dzisiaj. – Popatrzyła na Sarę z lekkim skrępowaniem.

– Trudno, spotkamy się w takim razie po twoim powrocie. Będzie mi miło, jak na nasze spotkanie zabierzesz pana Szymona. Dlaczego nie powiedziałaś, że go znasz, kiedy dostałaś od nas jego książki?

– Nie wiem. Sytuacja między nami była wtedy taka... niejasna. – Oparła głowę na dłoniach. Patrzyła na Sarę, lekko mrużąc oczy.

– Rozumiem, nie wiedziałaś, jak to się wszystko ułoży.

– Właśnie tak, pani Saro. – Emilia westchnęła, przypominając sobie długie, smutne dni, gdy tęskniła za Szymonem, a on był od niej tak daleko, jakby mieszkał w innej galaktyce.

Nagle od strony zaplecza usłyszały odgłos spadających książek. Obie jednocześnie wstały.

– Zostań, ja pójdę. Zajmij się tym, co robiłaś wcześniej, a ja pomogę Franciszkowi.

– Na pewno?

– Na pewno. Z wami czuję się potrzebna.

Po kilkunastu minutach od strony zaplecza do jej uszu doleciał podwójny śmiech. Pomyślała tylko, że od dawna nie słyszała, by Franciszek śmiał się w głos. Ostatni raz do stanu takiej radości doprowadziła go chyba Zofia. Jakież było jej zdziwienie, gdy wychodząc z antykwariatu tuż po zamknięciu, Sara zakomunikowała, że wybierają się z Franciszkiem do kawiarni. Emilia patrzyła na antykwariusza z niedowierzaniem. W pierwszej chwili zareagował lekkim wycofaniem. Jak zwykle chwycił za oprawki okularów, a kiedy wydawało się, że

już je zdejmie, włożył rękę do kieszeni swetra. W końcu ani nie zdjął okularów, ani nie wyjął tabaki. Spoglądał na dziewczynę nieco swobodniej. Nawet starał się uśmiechnąć. Potem odwrócił się od niej w stronę podłużnego lustra wiszącego między drzwiami a jednym z regałów, i poprawił beret. Sara ubrała się, stojąc blisko Franciszka, aby lustro objęło ich wspólne odbicie.

Pożegnali się przy wejściu do antykwariatu, kiedy Emilia upewniła się, że zamknęła drzwi. Franciszek z Sarą udali się w kierunku Rynku, a ona poszła w przeciwną stronę. Powietrze było mroźne i przejrzyste. Jaskrawe światła ulicy wyglądały jak kolorowe fajerwerki. Szła wolno, co kawałek ślizgając się po ubitym śniegu. Gdy doszła do miejsca na Plantach, gdzie stała jej ulubiona ławka, trochę przyspieszyła, odwracając się jeszcze w kierunku kilku rozświetlonych okien Akademii Muzycznej. Były szczelnie zamknięte, a od strony budynku nie dochodził żaden dźwięk. Dominującym odgłosem wieczornej ulicy był chłupot wody pod kołami przejeżdżających samochodów. Jej ulubiony kasztanowiec, strażnik miejsca, w którym spędzała miłe chwile, wystrojony w białą pelerynę, zdawał się czekać na najgłośniejszą noc w roku. Noc tysiąca sztucznych ogni, pełną śmiechu, gwaru i muzyki.

Gdy dochodziła do Długiej, pierwszy raz od dawna stwierdziła, że wraca do swojej kamienicy z przyjemnością. Pojawił się w niej jakiś dziwny, nieznany wcześniej rodzaj tęsknoty za tym, co było, a co już nigdy więcej się nie powtórzy. Czy tęskniła za Lili? Nie, raczej nie. To, co poczuła, było wynikiem starcia dobrych i złych wspomnień, z których więcej było tych drugich. Kotłowały się, tworząc teraz w jej myślach beznamietną mieszankę. Właśnie tak myślała o Lili, obojętnie. Choć może niezupełnie?

Gdy doszła do bramy, włożyła rękę do wypchanej kieszeni płaszcza i wyjęła z niej jeden z kilku pęków kluczy. Pomyślała tylko, że najwyższy już czas, by oddać je Lili. Kiedy wspinała się po schodach, pozostałe komplety kluczy dźwięczały w kieszeni. Trochę ją to denerwowało. Chwyciła za poręcz i w kilkunastu szybkich susach pokonała wszystkie stopnie. Stała pod drzwiami i zapukała cicho, czekając, aż usłyszy znajomy odgłos kroków Grzesia, który bezbłędnie już rozpoznawała. Była pewna, że zastanie go w mieszkaniu, bo popołudniu dzwonił, żeby upewnić się, czy przyjdzie.

Jakże się zdziwiła, gdy po drugiej stronie drzwi zamiast spokojnych stąpień Grzesia usłyszała nerwowe kroki Lili. Po kilku sekundach w otwartych drzwiach zobaczyła matkę. Sprawiała wrażenie, jakby na nią czekała.

– Wejdz. – Lili otworzyła drzwi tak szeroko, że dobiły klamką do ściany.

Emilia weszła, rozebrała się i odłożyła buty w tym samym miejscu co zwykle.

– Chodź do kuchni.

Kiedy usiadła do stołu, matka podała jej talerz z ciastkami.

– Czego się napijesz? – spytała grzecznie, jak nie ona.
Nie umknęło to uwadze córki. Popatrzyła na Lili jak na kosmitkę.
– Może być herbata – odparła. – Jesteś sama? – Spojrzała w stronę holu przez otwarte drzwi.
– Tak, ale Grześ zaraz wróci. Wyszedł tylko do sklepu po świeże owoce. – Uśmiechnęła się. – Bardzo o mnie dba, zwłaszcza teraz.
– Teraz?
– Staramy się z Grzesiem o dziecko. – Lili głośno westchnęła.
– Co takiego?! – Aż wstała ze zdziwienia. – Czy ja się nie przesłyszałam?! Chcesz urodzić dziecko?! – Otworzyła szeroko oczy.
– Dlaczego tak cię to dziwi? – odpowiedziała Lili, robiąc nadętą minę. – Mam dopiero pięćdziesiąt lat. Jeszcze wszystko przede mną. Dzisiejsza medycyna może zdziałać cuda – mówiła takim tonem, jakby sama siebie chciała pocieszyć.
– Medycyna? O czym ty mówisz?
– Bierzymy pod uwagę również *in vitro*. – Lili nie była zbyt szczęśliwa, gdy to mówiła.
– Czy Grześ też tego chce?
– Oczywiście, to normalna kolej rzeczy. Zaręczyliśmy się. Na wiosnę planujemy ślub, a potem dziecko. – Lili uśmiechnęła się nerwowo.
– Przecież ty nawet nie lubisz dzieci! – Nie wiedziała, jakich argumentów powinna użyć, żeby przekonać ją do zmiany decyzji, która wydawała się chwilowym kaprysem. „A może oni rzeczywiście się kochają i chcą założyć rodzinę?” – pomyślała. Nie mogła jednak do końca w to uwierzyć. Zbyt dobrze знаła Lili. Zbyt długo z nią mieszkała. Ludzie się zmieniają, to prawda. Może nawet te zmiany w jakimś sensie dosięgły Lili. Ale, do cholery, ona nie mogła się aż tak odmienić w ciągu zaledwie dwóch miesięcy!
– Może wyda ci się to dziwne, ale ja dopiero teraz dojrzałam do tego, żeby zostać matką – powiedziała Lili triumfalnie, kładąc ręce na brzuchu.
– Nie obraż się, ale wydaje mi się, że nie do końca przemyślałaś swoją decyzję. – Emilia usiadła naprzeciw niej.
– Ależ oczywiście, że przemyślałam. Wypisaliśmy z Grzesiem na kartce wszystkie „za” i „przeciw”. – Stukała po stole długim paznokciem. Było widać, że się denerwuje.
– I co wyniknęło z waszych rozważań?
– Nie będę się przed tobą tłumaczyć – Lili nagle zmieniła ton. – Od kiedy mam ci się spowiadać ze swojego życia? – Na jej twarzy wciąż malowała się obawa, ale ze wszystkich sił chciała sprawiać wrażenie pewnej siebie.
– Nie musisz mi się tłumaczyć. – Wzruszyła ramionami. – Myślałam... To znaczy, gdy mnie urodziłaś... Nie uważałaś, że spotkało cię coś szczególnego. Myślisz, że teraz będzie inaczej?

Matka przypatrywała się jej dłuższą chwilę. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Teraz jest ten właściwy czas – odparła. – Jak ty pojawiłaś się w moim życiu, sama byłam jeszcze dzieckiem. Teraz to co innego – starała się mówić przekonująco.

Emilia nie wyobrażała sobie swojej kapryśnej matki zmieniającej pieluchy niemowlakowi. Dziwiła się Grzesiowi, że wspierał Lili w jej dążeniu do budowania przyszłości opartej na ułudzie. Że podtrzymywał tę iluzję.

– Chcesz herbaty? – spytała Lili z naburmuszoną miną.

– Nie. Chyba będzie lepiej, jak już pójdę. Jutro sylwester. Wypadałoby więc dzisiaj położyć się wcześniej spać. – Wstała i popatrzyła na matkę z góry. Ta gładziła swoje długie paznokcie, jakby podziwiała ich jaskraworóżowy kolor. Stała tak i dotarło do niej, że nie tylko nigdy jej z matką nic nie łączyło – o czym zresztą wiedziała – ale też, że zawsze tak będzie.

Lili nawet nie próbowała zatrzymać córki. Po chwili usłyszały chrobotanie zamka. Do mieszkania wszedł Grześ. Kiedy zobaczył w przedpokoju buty Emilii, ucieszył się.

– Cześć! – zawołał, stając w drzwiach kuchni. Wciąż miał na sobie kurtkę i buty.

– Ja już wychodzę. Szczęśliwego Nowego Roku! – rzuciła w kierunku matki.

Lili popatrzyła na nią obojętnie, ale wysiliła się na udawany, radosny uśmiech.

– Tobie też życzę dobrego roku – powiedziała do córki, ale myślami była daleko.

– Dlaczego już idziesz? – Grześ był zawiedziony. Z powrotem wycofał się do przedpokoju.

– Wiesz dobrze, że mamy z Lili niewiele wspólnego – powiedziała ściszym głosem.

– W takim razie odprowadzę cię. – Westchnął. Zdawał sobie sprawę, że nie przekona Emilii, bo sam nie wierzył, że matka i córka mogą znaleźć wspólny język.

– Nie musisz mnie odprowadzać. Lili może mieć ci to za złe – powiedziała do Grzesia, kiedy wyszli z bramy kamienicy i stąpali po odśnieżonym chodniku.

Machnął ręką. Dłuższą chwilę szli bez słowa.

– Jak się udały święta? – zagadnęła.

– Dobrze, chociaż...

– Chociaż?

– Domyślasz się, że rodzice nie byli szczęśliwi, jak poznali Lili. – Grześ naciągnął czapkę niemal na oczy.

Nie odpowiedziała. To było oczywiste. Helena i Lucjan chcieli dla swojego jedynaka jak najlepiej.

– Czasami wydaje mi się, że tylko ja ją kocham. Lili ma w sobie jakiś szczególny dar zrażania do siebie ludzi. – Przystanął i schylił się, by zawiązać sznurowadło. Emilia zatrzymała się.

– Naprawdę ją kochasz? – odważyła się zapytać, kiedy się podniósł.

– Co za pytanie... – trochę się oburzył, ale zaraz nadrobił to uśmiechem. – Oczywiście, że ją kocham. Na wiosnę planujemy ślub.

– A dziecko? – spytała wprost, nie spuszczać z niego oczu.

– No właśnie. – Długo wciągał powietrze.

– Lili powiedziała mi, że chcecie mieć dziecko... że już się o nie staracie.

– Tak, rzeczywiście. Lili ostatnio nie mówi o niczym innym, tylko o tym, jaką to będziemy szczęśliwą rodziną, jak na świecie pojawi się nasz syn...

– Syn? – Nie wytrzymała i roześmiała się.

– Tak. Lili ubzduriała sobie, że musi urodzić mi syna. Naprawdę wydaje mi się, że oszalała. Zagląda do wszystkich mijanych wózków dziecięcych, ogląda w Internecie ciuszki niemowlęce i... wciąż ciągnie mnie do łóżka.

– Jak to wytrzymujesz? – Znow się roześmiała. Była coraz bardziej pewna, że Lili zwariowała.

– Daję radę. – Wysilił się na uśmiech.

– A ty chcesz tego dziecka?

Długo nie odpowiadał, wpatrując się w ciemną, moką ulicę.

– Chcę tylko, żeby Lili była szczęśliwa – stwierdził bez przekonania. – Pierwszy raz kocham kogoś tak mocno. – Włożył rękę do kieszeni.

Poczuła, że właśnie wyczerpały się wszystkie tematy do rozmowy. Lubiała Grzesia, w ich relacji nic się nie zmieniło. Zjednął ją naturalnością i szczerym uśmiechem. Życzyła mu jak najlepiej, ale naprawdę nie wierzyła, by ten młody mężczyzna mógł odnaleźć szczęście u boku narcystycznej Lili.

Kiedy doszła pod dom i przekroczyła furtkę, przy schodach zauważyła krzątającego się Franciszka. Trzymał w ręce łopatę do odśnieżania. Od razu domyśliła się, że Franciszek nie mógł sobie znaleźć miejsca w domu. Najwyraźniej coś, a raczej ktoś nie dawał mu spokoju. Nie chciała zwracać mu uwagi, że schody są właściwie suche, powiedziała więc tylko dla zasady:

– Panie Franciszku, niepotrzebnie pan to robi, ja zaraz się tym zajmę.

Wyprostował się i oparł łopatę o poręcz. Jego usta rozciągnęły się w powolnym uśmiechu.

– Emilko, widzisz przecież, że nie ma tutaj żadnego śniegu. – Popatrzył na nią uważnie, czekając, co odpowie.

– Ach tak. – Opuściła głowę, spoglądając na mokre, tylko gdzieniegdzie lekko oprószone stopnie, i uśmiechnęła się do Franciszka.

– Chodź, wejdziemy do domu. Trochę zmarzły mi ręce. – Potarł dłoń o dłoń, a w świetle lampy Emilia zauważyła, że były mocno czerwone. Kiedy weszli do

holu, spostrzegła, że i jego policzki miały purpurowy kolor. Franciszek pociągnął nosem.

– Zaparzę herbatę. – Rozebrała się i weszła do kuchni. Już po chwili dołączył do niej Franciszek. Bez zbędnych ceregieli podszedł do niej i oświadczył jasno:

– Zaprosiłem Sarę do nas na jutrzejszy wieczór. Chcę spędzić z nią sylwestra...

– To cudownie! – ucieszyła się, wlewając wrzątek do dzbanka, w którym znajdował się owocowy susz.

Franciszek odwrócił się i ostrożnie zdjął z półki filiżanki Zosi. Potem powoli podszedł do stołu i ustawił je na niewielkich spodeczkach. Usiedli. Przez moment spoglądali na siebie, a pomiędzy nimi unosił się zapach aromatycznej herbaty. Po kilku minutach przechyliła dzbanek i rozlała ją do filiżanek.

– Myślisz, że Zosia nie ma nic przeciwko temu?

– Panie Franciszku, zapewniam pana, że Zosia cieszy się waszym szczęściem.

– Sara zjawiała się tak nagle. To niesamowite, że człowiek, który dotychczas był nam prawie obcy, w ciągu zaledwie kilku dni, tygodni wkracza do naszego życia, a my stwierdzamy, że chcielibyśmy, by został w nim na zawsze. – Ręka Franciszka powędrowała do kieszeni swetra.

– Myślę, że Sara zostanie z nami – stwierdziła i spojrzała Franciszkowi prosto w oczy.

– Też tak myślę. – Uśmiechnął się.

– Nie będzie tylko fajerwerków i szampana. Oboje nie przepadamy za alkoholem i nie chcemy straszyć zwierząt niepotrzebnym hałasem.

– Czyli zapowiada się nam piękna sylwestrowa noc? – Rozmarzyła się, przenosząc wzrok na okno.

– Tak, ten rok przyniósł nam wiele dobrego. Mam nadzieję, że i nowy będzie równie łaskawy.

– Na pewno. – Westchnęła, spoglądając przed siebie z nadzieją.

Tego wieczoru była rozkojarzona. Wciąż myślała o Szymonie, o jutrzejszym dniu, pełnym obietnic. Ale w jej myślach byli też obecni inni, ojciec, Róża, Iga. Z ojcem ostatnio często kontaktowała się przez telefon. Podobno od świąt żyli z Różą spokojnie, bez wzlotów i upadków. Zaraz po drugim świątecznym dniu Róża popędziła do pracy. Wciąż nie chciała się otworzyć przed Jankiem, który starał się dotrzeć do niej na wiele sposobów. Zabierał ją na długie spacer, podsuwał interesujące książki, które zresztą poleciła mu Urszula. Róża była miła i starała się stwarzać pozory normalności. Jednak Janek widział, jak bardzo walczyła w środku. Domyślał się, że pod maską obojętności i wymuszonego uśmiechu w jej sercu zagnieździł się ból. Najgorsze było dla niego to, że nie potrafił jej pomóc. Mógł tylko przy niej być, czasem trzymać ją za rękę i nie dopuszczać, by całkowicie

pograżyła się w rozpacz. Wiedziała, że dopóki Róża nie będzie chciała przyjąć pomocy, ona i ojciec będą bezradni.

Próbowała się spakować, żeby się czymś zająć i odpędzić lęki, ale w walizce nie znalazło się nic poza jej ulubionym swetrem. Nie miała głowy do pakowania. W końcu postanowiła, że zajmie się tym rano. Miała na to całe przedpołudnie. Tak bardzo była naładowana emocjami, że usnęła dopiero koło drugiej. Na dworze z przerwami padał śnieg. Emilia wsłuchiwała się w ciszę, niezakłócaną przez żadne odgłosy uspionej ulicy. Po dwunastej zaczęło znów mocno padać, a po godzinie na parapecie utworzył się już ponaddwudziestocentymetrowy kożuch. Zastanawiała się, jaka pogoda przywita ich w Szwajcarii, i zarzucała sobie, że po raz kolejny nie wymienili się z Szymonem telefonami, tak bardzo byli zajęci sobą.

O tym, że plany są tylko planami i często biorą w łeb, przekonała się już kilka godzin później. Na dworze było jeszcze ciemno, kiedy rozdzwonił się jej telefon. Od razu się obudziła, bo pomyślała, że może to Szymon. Gdy chwyciła telefon, nawet nie przyszło jej do głowy, by sprawdzić, kto wyciągnął ją z łóżka.

– Obudziłam cię. – Usłyszała w słuchawce cichy głos Róży.

– Nie – skłamała Emilia, z oczekiwaniem wsłuchując się w ciszę po drugiej stronie słuchawki.

– Mówiłaś, że jeśli będę chciała porozmawiać, to...

– Tak. Tak mówiłam. – Natychmiast się ocknęła. Dotarło do niej, że prawdopodobnie właśnie teraz nadszedł moment, kiedy macocha dojrzała do rozmowy. – Cieszę się, że zadzwoniłaś do mnie. – Mocniej przycisnęła telefon do ucha.

– No właśnie, tylko... Emilko, to nie jest rozmowa na telefon. Ja... chciałam cię prosić, żebyś do nas przyjechała. Oczywiście jeśli nie masz żadnych ważnych planów na dzisiejszy wieczór.

Emilię zamurowało. Przez dłuższą chwilę nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

– Nie musisz, jeśli...

– Oczywiście, że przyjadę. Ty i tata jesteście dla mnie najważniejsi. – Poczowała, jak drżą jej ręce. Nie chciała jechać do Modrzewiowej, nie teraz, ale zdawała sobie sprawę, że nie może zawieść Róży.

– Jesteś pewna, że dasz radę? Nie chcę ci przeszkadzać. – Róża wyczuła wahanie w głosie pasierbicy.

– Przyjadę tak szybko, jak tylko się da.

– Dobrze, Emilko. W takim razie kiedy będziesz znała dokładną godzinę przyjazdu pociągu, zadzwoń do mnie. Wyjadę po ciebie.

– W porządku – odpowiedziała, zapaliła lampkę i natychmiast zaczęła w roztargnieniu rozglądać się po pokoju, zastanawiając się, co powinna zabrać.

– Emilko – głos Róży przycichł. – Ja muszę to komuś w końcu powiedzieć.

Nie mogę już dłużej tak żyć – powoli, jakby z trudem, wypowiadała kolejne słowa.

Emilia słyszała tylko co drugi wyraz, myślami była bowiem w Modrzewiowej, a wzrokiem starała się odnaleźć swój notatnik, w którym zapisała godziny odjazdów pociągów na trasie Kraków–Gdańsk.

– Rózo, zaraz się zbieram.

– Do zobaczenia – powiedziała macocha i od razu się rozłączyła.

Emilia dojrzała granatową okładkę swojego notesu. Leżał na stoliku obok książki Zosi. Nie wiedziała dlaczego, ale zamiast otworzyć notatnik, najpierw sięgnęła po książkę. Powoli wzięła ją w dłonie, gładząc zniszczoną okładkę. Otworzyła ją, a jej wciąż zaspane oczy leniwie błędziły po kolejnych zdaniach. Zatrzymały się na ostatnim. Wpatrzyła się w nie uważnie.

Nie bój się płynąć na fali życia. Bądź jak żaglowiec,
który chwyta wiatr i zmierza do właściwego brzegu.

Nie miała czasu zastanawiać się nad sensem tych słów. Przeczytała je wprawdzie jeszcze raz, ale zaraz potem zamknęła książkę i z miejsca sięgnęła po notatnik.

Okazało się, że pociąg do Gdańska odjeżdża już za godzinę. Nie była spakowana i nie miała biletu. Nawet nie wiedziała, czy dzisiaj go dostanie. Zaczął się ostatni dzień roku, a w taki czas ruch na dworcach był bardziej wzmożony niż zwykle. W pośpiechu podeszła do szafy. Nagle w drzwiach stanął Franciszek. Przyglądał się jej z zaciekawieniem, jakby z dalszej perspektywy mógł lepiej ocenić sytuację.

– Co robisz? – zapytał, kiedy zauważył na podłodze otwartą walizkę. Wprawdzie wiedział, że Emilia za kilka godzin wylatuje, coś mu jednak nie pasowało.

– Próbuję się pakować – odpowiedziała w roztargnieniu i spojrzała na Franciszka bezradnie.

Nie zapytał o nic, tylko wciąż na nią patrzył. Jego okulary były lekko zaparowane, domyślała się, że przed momentem musiał wyjść na dwór. Pewnie odśnieżał chodnik i schody.

– Jadę do Modrzewiowej.

– Dlaczego? – Jak zawsze starał się ukryć emocje.

– Dzwoniła Róża, chce porozmawiać. – Zwiesiła ręce z rezygnacją.

– Akurat dzisiaj? – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Powiedziałaś jej, jakie masz plany?

– Nie, nie mogłam – odezwała się podniesionym głosem. – Róża mnie potrzebuje. Teraz to jest najważniejsze. Nie mogłabym czuć się komfortowo, popijając szampana i bawiąc się w towarzystwie Szymona, kiedy ona cierpi. Panie Franciszku... ja tak nie potrafię. Róża jest dla mnie bardzo ważna. – Wciąż miała podniesiony głos, jakby starała się przekonać antykwariusza, że postępuje słusznie.

– Doskonale cię rozumiem. – Franciszek podszedł do niej, sięgnął do szafy i wyjął z niej zieloną wełnianą sukienkę. – Włóż tę. Zosia miała ją na sobie kiedyś w sylwestra, kiedy cieszyliśmy się jeszcze narzeczeństwem.

– Na pewno tak zrobię. – Wzięła od niego sukienkę i zerknęła do szafy.

– Nie będę ci przeszkadzał. – Franciszek podszedł do drzwi. – Przygotuję śniadanie, powinnaś coś zjeść przed wyjazdem.

– Dziękuję, ale nie zdążę. Za godzinę mam pociąg. Powinnam pędzić na dworzec. Kupię coś po drodze.

Po jej słowach Franciszek dyskretnie przymknął drzwi i wyszedł do holu. Ona wyjęła z szafy te ubrania, które akurat znajdowały się w zasięgu jej ręki. Nawet ich nie składała, tylko wrzuciła do walizki i wyszła do łazienki. Po dziesięciu minutach była już gotowa. Zielona sukienka z miękkiej wełny leżała na niej pięknie, podkreślając delikatnie kobiece kształty. Rozkloszowany dół kończył się kilka centymetrów przed kolanem. Dopięła walizkę. Nagle coś sobie przypomniała. Wstała, wróciła do stolika i wzięła ze stołu książkę Zosi. Rozejrzała się wokół, jakby chciała sprawdzić, czy wszystko zostawia w odpowiednim porządku, a kiedy upewniła się, że wszystko gra, wyszła, zamykając za sobą drzwi. Gdy stanęła w holu, natychmiast zjawił się tam Franciszek.

– Ubierz się ciepło. Na dzisiejszy wieczór zapowiadają duży mróz. – Spojrzał w kierunku wieszaka. Powiedziawszy to, zbliżył się do niej. – Szczęśliwego Nowego Roku. – Po raz pierwszy sam z siebie ją przytulił.

Tak bardzo zaskoczyła ją ta niecodzienna sytuacja, że dłuższą chwilę nie wiedziała, jak ma się zachować.

– Ja też życzę panu pięknego Nowego Roku. Proszę przekazać życzenia Sarze. Wprawdzie wymieniliśmy już uściski, ale dobrych słów nigdy za wiele.

– Na pewno przekażę – odezwał się i lekko się uśmiechnął.

Patrzyli na siebie. Bez grubych szkieł, którymi zazwyczaj odgradzał się od świata, oczy Franciszka miały łagodny, jasnoniebieski kolor.

– Uważaj na siebie – powiedział, kiedy Emilia zamykała za sobą drzwi.

Nagle zetknięcie z mroźnym powietrzem podrażniło skórę na jej policzkach. Po dłuższym marszu czuła, jak drętwieją jej palce, mimo że miała rękawiczki. Nie mogła za bardzo przyspieszyć kroku, ponieważ kółka walizki haczyły się na zaśnieżonym chodniku. Gdy doszła do budynku dworca, była zasapana. Po drodze zatrzymała się tylko na chwilę, żeby kupić w piekarni drożdżówkę.

Na szczęście okazało się, że w pociągu były jeszcze wolne miejsca. Kupiła bilet i od razu popędziła na peron. Czasu nie było zbyt wiele. W jej przedziale panował wielki gwar. Czuć było atmosferę zabawy. Obok niej usiadła para zakochanych nastolatków. Przez całą drogę młodzi tulili się i spoglądali na siebie czule. Emilia odwracała się do nich i patrzyła z sympatią. Ale i z zazdrością... W takich chwilach znów chciała mieć przy sobie Szymona. Dzisiaj jeszcze bardziej.

Kiedy pomyślała, że za kilka godzin mogłaby być już z ukochanym, ogarnęło ją przygnębienie. Szybko jednak się zreflektowała, przypominając sobie, gdzie i po co właśnie zmierza. To Róża była teraz najważniejsza.

W Gdańsku była tuż po czternastej. Macocha wysłała jej SMS, że czeka na nią w tym samym miejscu co zawsze. Gdy tylko Emilia wyszła na ulicę, dostrzegła znajomy samochód. Róża stała oparta o bagażnik i patrzyła w jej stronę. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, jakby nie mogła się doczekać gościa. Dojrzała ją już z daleka. Od razu pomachała do niej, unosząc obie ręce w górę. Jej ruchy były bardzo gwałtowne. Wyglądała jak rozbitek na bezludnej wyspie, z tą różnicą, że otaczały ją ciągi samochodów i tłum przechodniów.

– Dzień dobry, Różo. – Stanęła przed macochą.

Nie wiedziała, jak zacząć rozmowę. Zwykle zachowywały się wobec siebie spontanicznie, ale od dłuższego czasu nie mogła przewidzieć postępowania żony ojca. W związku z tym czuła się niepewnie. Róża jednak zaskoczyła ją swoją impulsywnością. Zbliżyła się do dziewczyny i uściśnęła jej ramiona. W tym uścisku było wiele zaborczości i zdenerwowania.

– Kochana, tak bardzo się cieszę, że przyjechałaś. – Zdjęła ręce z jej barków. Była bardzo blada i miała podkrążone oczy. Ciasna czapka opinała szczelnie jej głowę, tak że nie wychynął spod niej nawet jeden kosmyk włosów.

Emilia tylko się uśmiechnęła. Nadal nie miała pojęcia, co działo się z Różą, i nie domyślała się powodu jej porannego telefonu.

Chciała wsiąść do samochodu, uznawszy, że powinny już odjechać. W podróży do Modrzewiowej zwykle łatwo było im prowadzić rozmowę. Przynajmniej kiedyś... Teraz nie była już pewna niczego.

– Nie. – Róża chwyciła ją za rękę. – To znaczy nie teraz. Na razie nie chcę wracać do Modrzewiowej. Boję się, że tam się nie odważę... Nie powiem ci tego, co chcę. – Chwyciła jeden z guzików swojego płaszcza i zaczęła nim nerwowo kręcić.

– A tata? Wie, że wyjechałaś po mnie?

– Nie, nie powiedziałam mu, że przyjeżdżasz. Tak jest lepiej, bo... – Jej zdenerwowanie rosło z każdą chwilą. – Poinformowałam go tylko, że jadę do szpitala. – Zerknęła badawczo. – Nie bój się, między nami jest już trochę lepiej. Janek wie, że nie zrobię nic głupiego. Najlepiej jak usiądziemy w jakimś neutralnym miejscu. Proponuję Avalon na Świętego Ducha.

– W porządku, chodźmy więc. Schowam tylko walizkę. – Spojrzała na bagaż, który postawiła przy samochodzie.

Róża otworzyła bagażnik i Emilia zapakowała do niego walizkę. Stanęła przed macochą prosto, jak uczeń przed nauczycielem, czekając na jej decyzję.

– Chodźmy. – Róża zwróciła się w kierunku, gdzie zmierzała większość przechodniów. – Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał. – Lekko zakasłała.

Przyłożyła do ust rękę ubraną w czerwoną rękawiczkę, jakby chciała powstrzymać atak kaszlu. – Dziękuję, że ją znalazłaś. – Odsunęła rękę od twarzy i pomachała jej przed nosem. – Moje ulubione. Dostałam je kilka lat temu w prezencie gwiazdkowym od Janka.

– Pamiętam.

W kawiarni było prawie pusto. Wybrały niewielki stolik w rogu sali, zasłonięty cienką ścianką działową. Siedząc tam, od strony drzwi i bufetu były prawie niewidoczne. Rozebrały się i zajęły miejsca naprzeciw siebie.

– Co zamawiamy?

– Napiję się kawy. – Emilii też udzieliło się zdenerwowanie Róży. Czekwała, aż macocha rozpocznie swoją opowieść. Ona jednak uparcie milczała, zastanawiając się, czym zająć ręce. Pojawienie się kelnera uświadomiło jej, że pora zacząć rozmowę.

– Nie wiem, czy dam radę. – Chwyciła brzeg jednej z papierowych serwetek i zaczęła ją skubać, kawałek po kawałku. – Kiedy prosiłam cię, żebyś przyjechała, wszystko wydawało mi się dużo łatwiejsze... – Opuściła głowę, ale już po chwili znów patrzyła na Emilię.

Tymczasem kelner podał kawę. Był to dla Róży idealny pretekst, by znów zająć czymś ręce. Potargane kawałki serwetki zagarnęła na brzeg stolika i zajęła się kawą. Posłodziła ją i wyjątkowo długo mieszała. – Byłam wtedy bardzo młoda. Miałam siedemnaście lat. Zakochałam się i... – Zacisnęła w ręce łyżeczkę. Emilia w skupieniu czekała na dalsze słowa. – On przyjechał do naszej miejscowości latem. Chodziliśmy na długie spacerunki po plaży, całowaliśmy się w lesie. Było miło... – powiedziała z goryczą. – Wakacje się skończyły, a on wyjechał. Obiecał, że będzie pisał i telefonował, ale tego nie zrobił. Płakałam i tęskniłam, ale nie zdawałam sobie sprawy, że najgorsze dopiero przede mną. Pojawił się w sylwestra. Przyjechał z rodziną. Wynajęli pokój u tego samego gospodarza co latem. Przyszedł do mnie od razu. Przepraszał i tłumaczył się, że się nie odzywał. Od razu mu wybaczyłam i uwierzyłam w marne usprawiedliwienia. Zaprosił mnie – jak powiedział – na bal. Kazał ubrać najpiękniejszą sukienkę. Tak też zrobiłam. Przyszedł po mnie o dziewiętnastej. Rzeczywiście zabrał mnie na jakąś potańcówkę, którą organizowano w ośrodku za Modrzewiową. Pojechaliśmy samochodem jego rodziców. Tańczyliśmy i... Ale kiedy zaczął pić alkohol, zrobiło się jakoś nieprzyjemnie. Zastanawiałam się, jak wrócimy, przecież był pijany. Dla niego nie stanowiło to problemu. Hucznie powitaliśmy Nowy Rok, a kilka minut później on podjął decyzję, że powinniśmy już wyjść. Powiedział, że ma dla mnie niespodziankę. Zgodziłam się, chociaż wbrew sobie. Byłam niepełnoletnia, nie piłam alkoholu, a jemu nie bardzo się to podobało. Uparcie namawiał mnie do tego, podsuwał kolejne kieliszki. Wylewałam je do szklanki z niedopitą herbatą. Bawił się tak dobrze, że tego nie zauważył. Na drżących nogach wsiadłam do samochodu,

choć miałam świadomość, że będzie prowadził pijany kierowca. Nie miałam innej możliwości, żeby dostać się z powrotem do Modrzewiowej. Na szczęście obie miejscowości łączyła niezbyt ruchliwa, lokalna droga, więc jakoś dojechaliśmy. Zaparkował przy jednym z wejść na plażę. Stamtąd w kilka minut można było dojść do latarni. – Róża zamilkła i popatrzyła na swoją rozmówczynię ze strachem. – Poszłam z nim jak głupia gęś, choć wszystko we mnie krzyczało, żebym tego nie robiła. Nie chciałam wyjść na prowincjuszkę z wioski zabitej dechami, choć i tak za taką mnie uważał. Podobał mi się. Przyjechał z Poznania. Pachniał dobrymi perfumami i pięknie mówił. Nie przeszkadzało mi, że był starszy ode mnie o sześć lat. Czułam się przy nim dorosła i mądra. W tamtą sylwestrową noc zrozumiałam, że jednak on nie jest taki, jak sobie wyobrażałam. Wbrew temu poszłam z nim. Chwył mnie mocno za rękę i ciągnął w kierunku latarni. Gdy doszliśmy na miejsce, otworzył drzwi. Dawniej latarnia nie była zamykana na klucz. Niewiele osób o tym wiedziało. Właściwie tylko miejscowi. Weszłam, choć krzyk w mojej głowie, w moim sercu i w każdej części ciała potęgował się z sekundy na sekundę. A ja zamiast posłuchać siebie, szłam za nim jak jakaś lunatyczka. Zapalił świecę. Na stole dojrzałam szampana i dwa kieliszki. Podeszedł i z hukiem otworzył butelkę. Upadła na podłogę i rozbiła się. Głośno zaklął. Wtedy chyba na poważnie się przestraszyłam. Cofnęłam się do ściany. Niestety, za późno. Chwył mnie mocno i... Oszczędzę ci szczegółów. – Róża przestała mówić. Patrzyła na Emilię beznamiętnie.

– Zrobił coś, czego nie chciałaś – powiedziała cicho, a słowo „gwałt” nie chciało jej przejść przez usta.

Róża przytaknęła.

– To straszne. Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej? Tyle razy zastanawiałam się, dlaczego nie chcesz chodzić do latarni...

– Długo nie wracałam do wspomnień. Odgrodziłam się od nich. Ale... To jeszcze nie wszystko. – Dłonie Róży zaczęły drżeć. Sięgnęła po kolejną chusteczkę i znów zaczęła ją skubać. – Jakoś dotarłam do domu i wślizgnęłam się do pokoju. Na szczęście wszyscy spali. Do rana nie wychodziłam z łazienki. Kiedy rodzice upewnili się, że jestem już w domu, dali mi spokój. W ciągu kolejnych dni cierpiałam, płakałam, oskarżałam się, ale mój prawdziwy dramat dopiero się zaczynał. Po miesiącu dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Do końca wierzyłam, że może to nie to. Nie byłam u lekarza i nosiłam ubrania mocno przylegające do ciała. Jednak kiedy mój brzuch zaczął rosnać, musiałam w końcu powiedzieć o tym rodzicom. To była już końcówka szóstego miesiąca. To dziwne, ale wbrew temu, jak to dziecko zostało poczęte, chciałam go. Myślę, że podświadomie je kochałam. Moi rodzice mieli z góry ustalony plan. Podjęli decyzję, że zaraz po urodzeniu oddam je do adopcji. Nie potrafiłam się im sprzeciwić. Oczywiście, chcieli wiedzieć, kto jest ojcem. Nie pisałam słowa. Skłamałam, że widziałam go tylko

raz. Myślę, że się domyślali. Z nikim się nie spotykałam. Wciąż tylko siedziałam w domu nad książkami. Kiedy zaczęłam rodzić, natychmiast zawieźli mnie do szpitala do zaprzyjaźnionego lekarza. Mimo że byłam bardzo młoda, dziecko urodziłam bez komplikacji. Mój syn był ponadtrzykilogramowym niemowlakiem. Kilka minut miałam go przy sobie. Pokochałam go, choć właściwie myślę, że stało się to już wcześniej, gdy jeszcze był częścią mnie. To była nasza jedyna wspólna chwila. Musiała mi wystarczyć na wszystkie pozostałe samotne lata. – Róża zakryła oczy dłońmi. Nie płakała, tylko szybko oddychała. Odsunęła ręce od twarzy i popatrzyła na Emilię. – Nie myśl, że nie byłam szczęśliwa, kiedy żyłam z twoim ojcem. On pomógł mi zapomnieć, ugasił wyrzuty sumienia, podkolorował moją szarą przeszłość, ale niestety to nie wystarczyło... Bo przeszłość często upominała się o moją uwagę, podsuwała mi nocne koszmary. Bywało, że budziłam się zrana z łzami na twarzy i wciąż widziałam to samo – mojego syna i moment, jak oddałam go położnej. Gdyby nie Janek, nie przetrwałabym tego wszystkiego. I jeszcze moja praca... Dzięki niej też gubiłam tragiczne wspomnienia. Były okresy, kiedy wydawało mi się, że jest już dobrze, że zapominałam o przeszłości, ale wtedy pojawiał się byle drobiazg, który znów mnie do niej przyciągał. W takich momentach wydawało mi się, że oszaleję. Janek chciał mieć ze mną dziecko, a ja na jego sugestie reagowałam jak histeryczka. W końcu chyba uznał, że należę do kobiet, które wykreślają macierzyństwo ze swojego życia. A ja nie mogłam już być matką. Nie po tym, co zrobiłam mojemu synowi. W ogóle nie jestem godna, by ktokolwiek nazywał mnie matką. – Zacisnęła w dłoniach kawałki chusteczki.

– To nie twoja wina – Emilia odparła cicho. Nie wiedziała, jakie słowa mogłyby ugasić tak wielki ból.

– Przestań! – Róża uniosła się, otwierając dłoń, z której wypadły kawałki papierowej chusteczki. – Nie pocieszaj mnie, nie zasługuję na to. Tyle kobiet marzy o dziecku, nie może zająć w ciążę. A ja? Ja pozbyłam się mojego, jak niepotrzebnego...

– Różo, myślę, że powinnaś o wszystkim powiedzieć tacie. Z jego wsparciem będzie ci łatwiej o wszystkim zapomnieć.

– Nie! Janek nie może się o tym dowiedzieć! On... Wystarczy, że dla siebie jestem tą najgorszą. Nie zniosłabym jego odrzucenia.

– Tata cię kocha. Na pewno cię nie odrzuci. Jak w ogóle mogłaś tak pomyśleć. Musisz mu wszystko opowiedzieć.

– Nie. – Róża złapała jej rękę. – I ty też nic mu nie powiesz. – Ścisnęła ją z wielką zaborczością. Wypuściła dopiero po kilku sekundach.

– Bez twojej zgody nic tacie nie powiem. Ale nadal uważam, że on mógłby ci pomóc. Przemyśl to. – Starła się napotkać wzrok Róży.

– Janek to najbardziej prostolinijny człowiek na świecie. Nie zasługuje na taką prawdę... Na taką żonę.

– Nawet najgorsza prawda jest lepsza od najpiękniejszego kłamstwa.
– Nie okłamałam Janka – oburzyła się Róża.
– Ukrywanie prawdy to też kłamstwo. Myślisz, że przez tyle lat niczego nie zauważył?

– Staralam się, żeby tego nie odczuł...
– Zrobisz, jak zechcesz, to w końcu twoje życie, ale... Nie wiem, czy dasz radę ciągnąć to dłużej. Sama widzisz, ile cię to kosztuje...

– Masz rację. Odkąd zaczęłam grzebać w przeszłości, jest jeszcze gorzej.

– Grzebać w przeszłości? Co to znaczy?

– Poszłam za radą tej twojej książki. Pamiętasz zdanie, które podkreśliłam? „Jesteś silna i mądra. Dasz radę przejść ten odcinek drogi. Nie patrz tylko w dół, bo stąpać będziesz nad przepaścią. Ale tylko wtedy możesz powrócić do przeszłości”? Wróciłam do przeszłości w dosłownym znaczeniu, fizycznie. Dowiedziałam się, co stało się z moim dzieckiem.

Emilia popatrzyła na Różę z jeszcze większą ciekawością. Przez chwilę wydawało się jej nawet, że jest spokojniejsza.

– Powinam być dumna – odezwała się z goryczą i uśmiechnęła nienaturalnie. – Mój syn trafił do dobrej rodziny. Wychowali go na szczęśliwego człowieka. Zostawili mu nawet imię, które nadałam mu w szpitalu: Szymon.

– Szymon? – Poczwała w sercu ucisk.

– Tak. Zupełnie tak samo, jak mężczyzna z legendy o latarni, któremu udało się odnaleźć na wodach Bałtyku boginię wiatru. – Róża po raz pierwszy uśmiechnęła się łagodnie. – Dobrze jest czasami uwierzyć w takie bajki.

– Więc to prawda? Ta historia... – odezwała się głośno.

– Tak mówią. Są dwie legendy: ta ładniejsza o Szymonie z błękitnego żaglowca, mężczyźnie, który pokochał swoją wietrzną ukochaną, i druga, o piratach, którzy w latarni dzielili się łupami, zdobytymi oczywiście w najbardziej niegodziwy sposób. Wolę tę pierwszą, choć przez długie lata udawałam, że to ta druga jest prawdziwa.

– Bałam się tych opowieści. – Przypomniała sobie historie o piratach, opowiadane przez okolicznych rybaków. Wzdrygnęła się. – Co się stało, że teraz wierzysz w tę piękniejszą opowieść?

– Widziałam Szymona. Wiem, że jest szczęśliwy ze swoimi rodzicami i... z Bogiem. – Róża znów łagodnie się uśmiechnęła, a Emilia pomyślała, że to dobry znak.

– Z Bogiem? To znaczy?

– Szymon jest księdzem. Kiedy się dowiedziałam, gdzie mieszkają ludzie, którzy go adoptowali, chciałam do nich iść, spotkać się z nimi i wszystko im opowiedzieć. Przez kilka godzin kręciłam się koło ich domu i wtedy ich zobaczyłam. Wyszli za ogrodzenie i ruszyli w kierunku pobliskiego kościoła.

Szymon szedł między nimi. Pięknie razem wyglądali. Stałam tak i patrzyłam na nich, dopóki nie zniknęli mi z oczu. Byłam spokojna, bo zdałam sobie sprawę, że u mojego dziecka jest wszystko dobrze. Ale jednocześnie czułam pewien rodzaj rozgoryczenia, że ominęło mnie w życiu coś najważniejszego. Nie mogłam tak po prostu stamtąd odejść. Czułam, że nie powinnam się wtrącać, że nie mogę się ujawnić, ale pokusa, by zbliżyć się do mojego syna, była tak mocna, że nie dałam rady z nią wygrać. Wróciłam w to miejsce już następnego dnia. Pierwsze kroki skierowałam do kościoła. Łudziłam się, że spotkam tam Szymona. Dowiedziałam się, że ksiądz Szymon pracuje w innej parafii, oddalonej kilka kilometrów od Słupska. Od razu tam pojechałam, ale skończyło się na tym, że postąpiłam tylko pod kościołem i wróciłam do domu. To wtedy zaczęły się moje najgorsze chwile. Myślałam, że oszaleję. Wszystkie złe wspomnienia odżyły we mnie ze zdwojoną siłą. Sylwester w latarni, ciąża, poród i utrata dziecka. Napisałam do Janka list, że odchodzę. Myślałam, że już nie wrócę. Taki miałam zamiar, ale...

– Co się stało?

– Pojechałam do Szymona jeszcze raz, dzień przed Wigilią. Weszłam do kościoła, dopiero zaczynała się msza. Usiadłam w bocznej nawie. Zerknęłam w bok. Wtedy go zobaczyłam. Siedział w konfesjonale. Patrzyłam na niego jak zahipnotyzowana. Po chwili już wiedziałam, co zrobić. W pośpiechu starałam się przypomnieć słowa spowiedzi, od dawna przecież tego nie robiłam. Wiesz, że nie chodziliśmy z Jankiem do kościoła. Wstałam z ławki i uklękłam obok niego. Oddzielała nas tylko cienka kratka konfesjonału. Widziałam go dokładnie. Starałam się dostrzec w jego twarzy coś znajomego... – Róża przestała mówić i utkwiała wzrok w przeciwległej ścianie.

– Udało ci się to?

– Myślę, że jest podobny do mnie. Ma czarne włosy i oczy takie jak ja. – Kolejny już raz Róża uśmiechnęła się łagodnie. – Wyznałam mu swoją winę.

– Powiedziałaś mu, że jesteś jego matką?!

– Nie. Nie mogłabym... Nie mam prawa niszczyć mu życia. Opowiedziałam mu, że zrobiłam coś najokropniejszego na świecie, oddałam własne dziecko. Wiesz, co od niego usłyszałam? Powiedział mi, że być może wtedy było to najlepsze rozwiązanie, a moje dziecko na pewno trafiło w dobre ręce. A potem wyznał, że on też jest adoptowany, a jego rodzice adopcyjni są największym skarbem, jaki mógł się mu trafić w życiu, i nie wyobraża sobie, żeby wychowywał go ktoś inny. Myślałam, że stamtąd ucieknę. Mówił to takim spokojnym, głosem, jakby przemawiał do mnie sam święty. Potem zastukał w ściankę konfesjonału, a ja wstałam i na miękkich nogach ruszyłam do ławki. Usiadłam na pierwszym z brzegu wolnym miejscu. Tkwiłam tam, nawet gdy z kościoła wyszli już wszyscy ludzie. Nie wiedziałam, co zrobić. Moje serce łomotało w rytm dzwonów, które wzywały wiernych na kolejną mszę. Gdy tak siedziałam, odrętwiała z bólu i

bezsilności, on podszedł do mnie. Usiadł obok, chwycił mnie za rękę i popatrzył prosto w oczy. Poczułam, że kocham go tak samo jak wtedy, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, gdy dopiero złapał oddech i zaczął samodzielnie żyć. „Proszę iść do domu. Na pewno tam na panią czekają” – mówił do mnie tak łagodnie, że nie wytrzymałam i zaczęłam płakać. Wtedy przypomniał mi się Janek, wszystkie dobre i gorsze chwile, które razem przeżyliśmy. Poczułam, że nie mogę mu tego zrobić, że mimo wszystko muszę wrócić. Że on nie zasługuje na to, żebym porzuciła go tak samo jak mojego syna. „Odprowadzić panią gdzieś?” – spytał. „Nie” – odpowiedziałam mu i zaraz potem wstałam. Wyszliśmy przed kościół. Myślałam, że odejdzie, ale on nagle zbliżył się do mnie i położył rękę na moim ramieniu. „Wszystko będzie dobrze. Musi pani tylko w to uwierzyć i wybaczyć sobie”. Wiedziałam, co chciał mi przekazać, ale obowiązywała go tajemnica spowiedzi. „Musi pani wierzyć – choć to czasem trudne – że wszystko to, co nas w życiu spotyka, jest dla nas najlepsze. Proszę zaufać Bogu i sobie” – uśmiechnął się do mnie, a potem odwrócił się i odszedł. Zanim zniknął za drzwiami plebanii, jeszcze dwa razy się odwrócił. Stałam tam przez kilka minut. Po tym czasie podjęłam decyzję, że czas wrócić. Poszłam do samochodu. Zamiast pojechać do Modrzewiowej, zatrzymałam się w pierwszym lepszym hotelu i spędziłam tam noc. Cały następny dzień wałęsałam się bez celu. Dopiero późnym popołudniem zdecydowałam się na powrót. Kiedy dotarłam do naszej miejscowości, było już ciemno. Wciąż nie miałam odwagi, żeby iść do domu, do Janka. Włączyłam się po plaży. Najpierw poszłam na cypel z kutrami, a potem wbrew sobie i swoim uczuciom ruszyłam do latarni. Kiedy tam dotarłam, byłam tak wyczerpana psychicznie, że nie miałam już siły ze sobą dłużej walczyć. Nie miałam siły nawet na to, żeby wrócić do domu. Usiadłam przed drzwiami. Później pojawił się ten mężczyzna, twój znajomy. Resztę historii już znasz. – Róża uznała swoją opowieść za zakończoną, bo zamilkła. Sprawiała wrażenie, jakby nie miała już nic do powiedzenia.

Emilia była opowieścią macochy zarówno wzruszona, jak i wstrząśnięta. To tłumaczyło wszystko: dziwne zachowanie Róży, brak dzieci i tęsknotę za czymś, co ukryła głęboko w sobie.

– Dziękuję – Róża spojrzała na pasierbicę ciepło. – Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

– To ja dziękuję, że mi zaufałaś. Bałam się o ciebie.

– Niepotrzebnie...

– Potrzebnie i dobrze o tym wiesz. Ja i tata bardzo cię kochamy. To, co było, istnieje tylko w twoich wspomnieniach, a my jesteśmy z tobą teraz. – Emilia zdawała sobie sprawę, że trudno będzie jej przekonać macochę. – Nie możesz się tak łatwo poddawać. Co chcesz osiągnąć przez to, że będziesz się zadręczać?

– Nie zadręczam się.

– Na pewno?
– Mój syn mnie nie zna i nigdy nie pozna. Straciłam tę szansę.
– Rózo, życie pełne jest niewykorzystanych szans. Ale toczy się dalej...
– Ty nadal nic nie rozumiesz. – Róża spojrzała smutno w kierunku kelnera, który akurat podszedł do stolika obok. – Ten mężczyzna jest w wieku mojego syna – zauważyła, przyglądając się mu. Wyczuł jej wzrok, odwrócił się na moment i spytał:

– Podać paniom coś jeszcze?
– Nie – odpowiedziały obie jednocześnie.
– Twój syn jest szczęśliwy. Czy to dla ciebie nic nie znaczy?
– Znaczy – przytaknęła i opuściła głowę. – Nawet bardziej, niż jesteś w stanie to sobie wyobrazić. To, że go odnalazłam, jest najlepszym, co mnie ostatnio spotkało. Kiedy go szukałam, choć pełna obaw, miałam nadzieję, że może zbliżę się do niego tak jak matka. Że on mi wybaczy, że jeszcze nie wszystko stracone. – Na jej twarzy malowała się rezygnacja. – Moje poszukiwania upewniły mnie, że nie mam prawa wkraczać do jego życia. To byłoby zbyt egoistyczne.

– Nie pozostaje ci więc nic innego, jak tylko zaakceptować swoją przeszłość. Innej drogi nie widzę. Opowiedziałas mi o wszystkim, to już wiele znaczy. Znalazłaś w sobie odwagę i siłę...

– Emilko, jesteś taką mądrą kobietą. Zaskakujesz mnie swoją dojrzałością. Kiedy ty tak wydorostałaś? – Róża popatrzyła na Emilię, a na jej ustach pojawił się łagodny uśmiech.

– Nie pamiętasz, że zawsze byłam zbyt dojrzałym dzieckiem? Ty zachęcałaś mnie do dziecięcych figli, a ja wolałam włóczyć się po łąkach i czytać książki.

– Lili na ciebie nie zasługuje – stwierdziła Róża. – Ale... właściwie nie powinnam jej oceniać. – Znów posmutniała.

– Rózo, jutro Nowy Rok. To dobry czas, żeby zacząć wszystko od początku.

– Od początku...

– Z tatą – dodała nieśmiało. – On musi się o wszystkim dowiedzieć.

– Janek mnie zostawi. Wtedy nie będę miała już nikogo. To on był sensem mojego życia przez ponad dwadzieścia lat.

– Nie zostawi cię. On cię kocha, a miłość jest w stanie zrozumieć i wybaczyć wszystko. Wasz związek był i jest niepowtarzalny. Po tylu wspólnie przeżytych latach wciąż się kochacie i sobie ufacie. Jak w ogóle mogłaś pomyśleć, że tata może cię odtrącić?

– Może dlatego, że odtrąciłam mojego syna, a potem odrzucałam samą siebie przez kolejne dni i lata mojego życia...

– Musisz to zmienić. Tylko ty jesteś w stanie sobie pomóc, ale tata może być dla ciebie wsparciem.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Dasz, na pewno. On czeka na te słowa od dawna. Myślę, że wyznanie tacie prawdy tylko oczyści waszą relację. Nie musisz się bać.

– Wracamy? Powiedziałam Jankowi, że wyjeżdżam na krótko. Jeszcze chwila i zaczniesz się niepokoić.

– Wracajmy więc – odparła Emilia i natychmiast wstała.

– Proszę, nic mu nie mów – odezwała się Róża, kiedy już siedziały w samochodzie.

– Obiecałam ci, że nie pisnę nawet słowa, nie mam takiego prawa. Ale ty... Ty powinnaś opowiedzieć mu o wszystkim jak najszybciej. Nie czekaj do jutra, najlepiej zrób to jeszcze w starym roku.

– Może masz rację, ale... – Róża machnęła ręką i przekręciła kluczyk. Zbyt gwałtownie się wycofała, niemal ocierając się tylnym zderzakiem o stojący za nimi samochód. Potem starała się już koncentrować tylko na prowadzeniu.

Podczas jazdy niewiele ze sobą rozmawiały. Emilia myślała o Szymonie, o straconej szansie na spędzenie wspólnej pięknej nocy. A Róża? Było widać, że wciąż ma w sobie więcej rozterek niż wiary w to, że jeszcze wszystko uda się jej poukładać. Teraz powinna otworzyć się przed Janem.

Gdy wjechały w wąską drogę prowadzącą do domu Janka i Róży, było już całkiem ciemno. Stare brzozy kolejno już raz witały ją, tym razem oblepionymi śniegiem, zmarzniętymi gałęziami. Dobrze było znów być w Modrzewiowej i chociaż na ten wieczór miała inne plany, pomyślała, że skoro już tutaj jest, w swoim prawie rodzinnym domu, to na pewno nie powinna się smucić. Zwłaszcza w takim dniu jak dzisiaj.

Róża wjechała pod wiatę, a wcześniej wysadziła Emilię przy wejściu do domu. Ta od razu otworzyła drzwi. W przedsionku było ciemno, więc włączyła światło. Szybko zdjęła płaszcz i buty. Usłyszała zbiegającego po schodach psa. Już po chwili Włóczykij skakał na nią z taką siłą, jakby chciał ją przewrócić.

– Przestań, wariacie, uspokój się! – Starła się poskromić temperament zwierzęcia, głaskając je po grzbiecie. Trochę to jednak trwało, zanim pies się uspokoił. Usiadł przy jej nodze i nie spuszczał wzroku ze swojej ulubionej pani. Nagle znów usłyszała powolne kroki.

– Emilka? – Jan stanął na środku schodów i dostrzegł córkę. – Co tu robisz?

– Nie cieszysz się? – odparła figlarnie. Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Z niecierpliwością czekała na przyście Róży.

– To ja poprosiłam Emilkę, żeby do nas przyjechała. Chciałam z nią porozmawiać – wyjaśniła Jankowi Róża, kiedy weszła do środka.

Janek osłupiał. Wpatrywał się raz w jedną, raz w drugą kobietę.

– Coraz mniej z tego rozumiem – odezwał się w końcu, bezradnie zwieszając rękę.

– Tu nie ma czego rozumieć – powiedziała Róża spokojnie. – Emilia mnie

wysłuchiwała, a teraz... twoja kolej. – Zerknęła nerwowo na dziewczynę.

– Tato. – Córka podeszła do Janka, na powitanie cmokając go w policzek. – Pójdę do siebie, a wy sobie spokojnie porozmawiajcie. – Cofnęła się do Róży i ścisnęła jej rękę, by dodać jej odwagi. Potem wzięła walizkę i w towarzystwie Włóczykija ruszyła schodami na górę.

Gdy znalazła się w pokoju, usiadła na łóżku. Włóczykij usadowił się u jej stóp. Pogłaskała go, a on pilnował, żeby nie przestawała, co chwilę trącąc ją pyskiem w rękę, akurat w momencie, gdy miała ją zabrać. Udzieliło się jej zdenerwowanie Róży. Zastanawiała się, czy macocha sobie poradzi. Trzymała za nią kciuki, dosłownie zaciskając ręce w pięści. Włóczykij patrzył na nią zawiedziony, że tak nagle pozbawiła go pieśczoć. A ona po prostu siedziała i wpatrywała się w ciche wnętrze pokoju. Kiedy w końcu usłyszała pukanie do drzwi, zeskoczyła z łóżka i natychmiast znalazła się przed nimi. Szybko nacisnęła klamkę. Po drugiej stronie stała Róża, a obok niej ojciec. Janek jedną ręką obejmował żonę, a drugą gładził jej mokry od łez policzek.

– Kochana, chodź do salonu – powiedział. – Powinniśmy przygotować się do pożegnania starego roku, a nowy przywitać tak, żeby w ciągu trzystu sześćdziesięciu pięciu dni nie oszczędził nam łask – dodał, patrząc na córkę, a potem na żonę, która oparła głowę na jego ramieniu.

Wszyscy troje zeszli do salonu i usiedli na kanapie.

– Cieszę się, że jesteśmy tutaj razem i wszystko sobie wyjaśniliśmy – odezwał się Jan. – Nie chcę już żadnych tajemnic w naszym związku. – Pocałował Różę w policzek. – Nie wiem, jak w ogóle mogłaś pomyśleć, że mógłbym cię zostawić.

Róża westchnęła.

– Gdybyś odeszła, moje życie... – Wzruszył się i przez chwilę w skupieniu patrzył na ogień w kominku.

– Nie odeszłam i nie odejdę. – Róża wtuliła się w niego.

– Tak bardzo cię kocham. Gdybyś powiedziała mi o wszystkim wcześniej, uniknęłabyś niepotrzebnego bólu i wielu komplikacji.

– Teraz to wiem, ale wtedy... Tak bardzo się bałam.

– Gdybym dorwał tego drania, to chyba bym go... – Janek uderzył pięścią w stół. Róża pogładziła jego plecy.

– Kochanie, przestań. To już teraz nie ma znaczenia – szepnęła.

– Ma, i to ogromne! Ten gnój zmarnował ci życie!

– Nie denerwuj się. Ja już tego... nie pamiętam. – Zamyśliła się. – Najważniejsze jest to, że mój syn jest szczęśliwy. – Uśmiechnęła się do Emilii, która cały czas próbowała odnaleźć się w tej sytuacji. Słuchała wzburzonego głosu ojca, ale na twarzy Róży zauważyła spokój, którego wcześniej nie było.

– Nigdy więcej we mnie nie wąp, kochanie. – Janek przytulił się do Róży i

schował twarz w jej włosach. – Obronię cię przed całym światem, nawet przed niedobrymi myślami. Musisz mi tylko ufać.

– Ufam ci. – Róży zaszkliły się oczy. – Jeszcze raz cię przepraszam. – Nagle załamał się jej głos.

Kolejne godziny minęły pod znakiem oskarżeń i tłumaczeń. Róża czasem popłakiwała, Janek podnosił głos, ale już po chwili tulili się do siebie, a w ich słowach było coraz mniej złych emocji. Emilia uczestniczyła w tej dyskusji, trzymając się na dystans. Skoro jednak Róża z tatą poprosili ją, żeby spędziła ten czas z nimi, nie miała śmiałości, by wyjść.

Koło dwudziestej pierwszej przygotowali przekąski i włączyli muzykę. Coraz wyraźniej dało się odczuć nastrój ostatniego wieczoru starego roku. Zrobiło się miło, nastrojowo. Zresztą muzyka temu sprzyjała. Ciepła barwa głosu Andrzeja Piasecznego całkowicie ją odprężyła. Emilia podciągnęła nogi i odchyliła się na miękkie oparcie kanapy. Wpatrzona w ogień i zasłuchana w sentymentalne dźwięki, rozmyślała o Szymonie. Róża z Jankiem też milczeli. Po tym wszystkim nie trzeba było dodatkowych słów.

Nagle ktoś cicho zapukał. Ten odgłos był tak niewyraźny, że w pierwszej chwili go zbagatelizowali. Tylko Włóczykij zareagował. Popędził do drzwi wejściowych i zaczął je obszczekiwać.

– Kogóż to niesie o tej porze?

– Pójdę sprawdzić. – Pierwsza podniosła się Emilia. – Siedźcie.

Udała się do drzwi, na które Włóczykij cały czas rzucał się jak szalony.

– Uspokój się! – skarciła psa, starając się go ominąć.

Zwierzę w końcu usiadło, a ona mogła swobodnie otworzyć drzwi. Po drugiej stronie stał Szymon. Przyglądała się mu, jakby ujrzała zjawę.

– Dobry wieczór – powiedział, uśmiechając się. Potem uniósł rękę i zadzwonił kluczami. – Przybywam, żeby oddać zgubę. – Znów pomachał pękiem kluczy. Ale nie widząc reakcji, podszedł, objął ją, a potem bez słowa pocałował.

Kiedy spojrzała na niego z bliska, dopiero zaczęło do niej docierać, co się dzieje.

– Co ty tu robisz? – zapytała cicho.

– Znalazłem cię po raz kolejny – mówiąc to, cały czas się uśmiechał. Miał zaparowane okulary. Chyba nic nie widział, bo zaraz potem je zdjął i włożył do kieszeni płaszcza.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? Przecież... – Pokręciła głową i westchnęła.

– Myślisz, że poleciałbym sam? – Szymon pogładził jej policzek. – Czekałem na ciebie do końca, ale kiedy się zorientowałem, że pewno już nie dotrzesz na lotnisko, wyruszyłem na poszukiwania. Zacząłem oczywiście od domu pana Franciszka. Powiedział mi o wszystkim. Wsiadłem do pociągu i jestem!

– Jesteś. – Przytuliła się do niego. – Nie mogę w to uwierzyć. Uszczypnij

mnie!

Zamiast tego Szymon zagarnął jej włosy do tyłu i znów pogładził policzek.

– Jestem – powtórzył. Potem sięgnął do kieszeni i wyjął klucze, które wrzucił tam przed momentem. – Oddaję zgubę. Nie chcę zostać z długiem. – Włożył je do ręki Emilii.

– Co to? – spytała, ale już po kilku sekundach знаła odpowiedź. – Jak udało ci się je znaleźć? – Przyglądała się Szymonowi z niedowierzaniem. Przypomniła sobie ten jesienny wieczór, wiatr targający jej włosy, dzikie, głośne uderzenia fal, które zagarniały większą część plaży, i ryk szalejącego morza.

– Możesz nie wierzyć, ale znalazłem je przez zupełny przypadek. Pamiętasz, jak opowiadałem, że szukałem cię i byłem w twoim domu? Właśnie wtedy na nie natrafiłem. Prawie wepchnęły mi się pod nogi. Stałem na nich i trochę wbiłem je w piasek. Wciąż jednak błyszcząły w słońcu. Też byłem zdziwiony. Plaża jest taka rozległa...

Powiesiła klucze na wieszaku przymocowanym do niedużej drewnianej półki, z której spoglądał malowany kolorowy kogut.

– Tu jest ich miejsce. Odkąd pamiętam, zawsze tu wisiały – stwierdziła, przyglądając się kluczom. – Zdejmij płaszcz i chodź do środka – zachęciła Szymona.

– Jesteś pewna, że nie będę wam przeszkadzał?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała i lekko popchnęła go do przodu.

– Dobry wieczór. – Szymon stanął nieco skrzepowany na środku salonu.

– Dobry wieczór. – Janek z Różą od razu wstali, żeby przywitać się z gościem.

– My się już chyba znamy, choć ostatnio się panu nie przedstawiłam, za co serdecznie przepraszam – powiedziała Róża, kiedy Szymon wyciągnął do niej rękę.

Emilia zauważyła, że macocha starała się zachowywać swobodnie. Po chwili zwróciła się do męża.

– Pan Szymon pomieszkuje od czasu do czasu w latarni. Zaprosił mnie do siebie w Wigilię, kiedy przez przypadek znalazłam się...

– Nie musisz mi tego wyjaśniać. – Widząc, z jaką trudnością Róża przychodzi każde słowo, Janek przyłożył palec do jej ust. – Usiądźmy... – Patrzył głównie na Szymona.

Emilia była pełna rezerwy, ale okazało się, że niepotrzebnie obawiała się tej rozmowy. Szymon po krótkotrwałym onieśmieleniu opowiedział co nieco o sobie. Ona odzywała się najrzadziej. Przyglądała się za to Szymonowi z przyjemnością. Zauważyła, że odkąd się pojawił, rozgrzał atmosferę sylwestrowej nocy. Janek pogłośnił muzykę, a w salonie zrobiło się jeszcze gwarniej.

W pewnym momencie Szymon przybliżył się i szepnął:

– Chciałbym, żebyś poszła ze mną do latarni. Mam dla ciebie niespodziankę.

– Poczwała na szyi ciepłe powietrze.

– Do latarni? Teraz? – Przed oczami stanęła jej wystraszona kilkunastoletnia Róża. Złe wspomnienia, którymi dopiero podzieliła się z nią macocha, pobudzały jej wyobraźnię, podsuwając przerażające obrazy.

Szymon zauważył zmianę w jej zachowaniu.

– Nie chcesz tam iść? – spytał troskliwie.

– Chcę, tylko... Myślałam, że skoro przyszedłeś do nas, Nowy Rok powitamy tutaj.

– Możemy zostać, jeśli chcesz – odparł zawiedziony.

– Nie. W porządku, chodźmy.

– Nie chodzi o mnie. Zależy mi, żebyś to ty tego chciała. – Znow przybliżył się do niej i ściszył głos.

– Chcę – odpowiedziała szeptem tuż przy jego policzku. – Chodźmy.

– Wybieracie się gdzieś? – spytał Janek, widząc, że młodzi podnieśli się z kanapy.

– Tak. Mam dla Emilii małą niespodziankę.

Ukradkiem zerknęła na Różę, ale w jej ciemnych oczach nie dostrzegła strachu.

– Idźcie więc, nie zatrzymujemy was. Nowy roczek już dobija się do bramy. Doskonale rozumiem, że chcecie się z nim przywitać sami. Po co wam towarzystwo takich starych pierników – żartował Janek.

Jeszcze chwilę pośmiali się, wymieniając kilka znanych dowcipów. Zaraz potem młodzi wyszli na zewnątrz.

Przez całą drogę Szymon trzymał Emilię za rękę. Szli przez las tak blisko siebie, że niemal stykali się głowami. Morze szumiało cicho, było spokojne, a fale łagodnie obmywały piasek pokryty białym puchem. Śnieg skrzypiał pod ich nogami, kiedy stawiali kolejne kroki, zbliżając się do latarni. Włóczykij jak zwykle wyminął ich i pobiegł przodem. Informował o swojej obecności donośnym szczekaniem.

Gdy w oddali dojrzelili oświetlone okna latarni, Szymon przyśpieszył kroku i pociągnął Emilię za sobą. Miło było znow zobaczyć oblepione śniegiem schody przed budynkiem. Uśmiechnęła się, przypominając sobie jaskrawozieloną gałązkę jemioli. Szymon otworzył drzwi. Przywitało ich ciepłe światło kilku woskowych świec i lampki oliwnej, stojącej niedaleko drzwi.

– Cudownie być tutaj znowu. – Rozejrzała się po znajomych kątach. Wtem na stole dostrzegła butelkę szampana i dwa kieliszki.

Szymon chwycił ją za rękę i pociągnął. Gdy znaleźli się przy stole, odwinął z jej szyi szalik, zdjął czapkę i pomału zaczął rozpinać płaszcz. Kiedy stanęła przed nim w pięknej zielonej sukience, sam zdjął swój płaszcz, który zawiesił na skraju ławy.

– Pięknie wyglądasz – powiedział ciepłym głosem. – Jak bogini wiatru. – Dotknął jej ust opuszkami palców, a potem ją pocałował.

– Naprawdę wierzysz w tę historię? – spytała go, gdy odchylił głowę.

– Tak – odpowiedział od razu. – Przecież cię spotkałem. To my jesteśmy bohaterami tej legendy... – Uśmiechnął się zagadkowo. Potem wypuścił ją z objęć i podszedł do stołu. Wziął zroszoną butelkę szampana i otworzył z wielkim hukiem, rozlewając jej zawartość do stojących obok kieliszków. Ujął je w dłonie i podał jej jeden.

– Co będziemy świętować? Jeszcze nie wybiła północ. – Popatrzyła na niego zadziornie.

Nie odpowiedział, tylko stuknął swoim kieliszkiem o jej. Kilka kropeł wylało się na palce Emilii. Spojrzała na rękę.

– Kiedy chciałaś mi o tym powiedzieć? – spytał, tajemniczo mrużąc oczy.

– O czym?

– O twojej książce.

Z wrażenia upiła łyk szampana.

– Jak się dowiedziałeś? – zapytała, czując, że się rumieni.

– Wczoraj byłem w Warszawie, w wydawnictwie. Wyjaśniono mi tę całą sytuację z książką. Od początku czułem, że Iga nie mogła napisać tej powieści. A ty? Ty byłaś tajemnicza. Wciąż jesteś...

– Tak mało się znamy...

– Przed nami nowy rok. Zaczniemy go wspólnie. – Pocałował ją w rozgrzany policzek. – Tak jak Joanna i Adam w wolnym Krakowie. Zakochałem się w twojej książce, kiedy pierwszy raz ją przeczytałem.

– Cieszę się – odpowiedziała, nie mogąc znaleźć innych słów.

– Zostaniesz ze mną tutaj, w latarni?

Spojrzała na niego zdezorientowana.

– Właśnie znalazłem nowe miejsce do życia. Podjąłem decyzję, że właśnie tutaj powstanie seria moich nowych książek. Już nawet mam pomysł na pierwszą. – Wpatrywał się w nią magnetyzującym wzrokiem, czekając na odpowiedź.

– Nie wiem, co mam ci odpowiedzieć – powiedziała szczęśliwa, z rozbijającą szczerością.

– Chcę, żebyś była ze mną już na zawsze. Jeśli nie podoba ci się to miejsce, możemy wybrać inne.

– Podoba mi się to miejsce. Zawsze mi się podobało. Bardzo chciałabym tutaj zamieszkać, chodzi tylko o to, że mnie zaskoczyłeś.

Popatrzył na nią ze zrozumieniem, a ona pomyślała, że skoro tutaj wszystko się zaczęło, to właśnie w tym miejscu powinni to kontynuować. Oczarowani wszystkimi porami roku, budząc się i zasypiając w rytm muzyki morza, pod opieką Szymona żeglarza i ulotnej bogini wiatru.

Nagle usłyszeli huk fajerwerków. Szymon zerknął na zegarek. Wybiła północ.

– Wszystkiego najlepszego, kochana. Życzę ci, żeby ten nowy rok przyniósł nam tyle miłości, ile jesteśmy w stanie pomieścić w naszych sercach.

Emilia popatrzyła na Szymona, mocniej ściskając w rękach kieliszek z szampanem.

– I obyśmy już więcej nie musieli się rozstawać – odparła, wpatrując się w niego.

– Tym razem już nie pozwolę ci odejść...

Pierwsze wiosenne promienie próbowały przeniknąć do latarni. Ślizgały się po szybie niewielkiego okienka przy drzwiach. Wiosna zabrała z plaży resztki śniegu, za to każdego dnia obsypywała wydmy nowymi roślinami, które coraz śmielej prostowały się do słońca.

Emilia siedziała przy stole i piła korzenną kawę przygotowaną przez Szymona. Przed nią leżały brulion w niebieskiej okładce i pióro, które dostała od Igi. Zamknęła oczy, by zebrać myśli. Tuż po sylwestrze zaczęła pisać nową książkę. Pisanie tak ją wciągnęło, że poświęcała mu niemal każdą wolną chwilę.

Pod koniec stycznia przenieśli się z Szymonem do latarni. Początkowo miała rozdarłe serce, ale szybko przekonała się, że życie wciąż pędzi do przodu, a jedna mała zmiana wywołuje kilka następnych. Okazało się, że w dawnym pokoju Zosi zamieszkała Sara, która zastąpiła Emilię w antykwariacie. Franciszek i Sara wciąż nie przyznawali się do swoich uczuć, które były widoczne już na pierwszy rzut oka w ich gestach, słowach, spojrzeniach. Emilii brakowało starego Krakowa, pięknego parku z ulubioną ławką obok Akademii Muzycznej, Igi, Mikołaja, Grzesia, a nawet Lili. Dlatego raz po raz wsiadała do pociągu i wracała do krakowskiego życia.

Lili z Grzesiem wciąż bezskutecznie starali się o dziecko, a za miesiąc miał odbyć się ich ślub, na który oczywiście Emilia z Szymonem zostali zaproszeni. Włóczykij pomieszkiwał czasem w latarni, to znów w domu ojca i Róży. Nareszcie miał przy sobie swoją ulubioną panią. Gdy dni zrobiły się cieplejsze, Emilia z Szymonem rozpoczęli w latarni remont.

– Emilko, chodź do mnie szybko!

Usłyszała podniesiony głos i natychmiast otworzyła oczy. Stał przy drzwiach. Trzymał zdjęty ze ściany obraz z błękitnym żaglowcem.

– Zobacz – powiedział, kiedy stanęła obok niego. – Przeczytaj to. – Wskazał napis umieszczony z tyłu, w dolnej części obrazu podklejonej szarym papierem.

Pochyliła głowę i wpatrywała się w rząd nierówno zapisanych, ale brzmiących znajomo wyrazów:

Nie bój się płynąć na fali życia. Bądź jak żaglowiec,
który chwyta wiatr i zmierza do właściwego brzegu.

– Piękne słowa. Ciekawe, czy napisał je tutaj Szymon żeglarz?

Spojrzała przed siebie. Gdyby miała przy sobie książkę Zofii, pokazałaby Szymonowi zdanie, które przeznaczone było tylko dla niej. Nie miała jej jednak, gdyż podarowała ją Sarze. Wyglądało na to, że stara książka Zofii sama wybierała sobie czytelników, by niczym latarnia morska za pomocą kilku tajemniczych słów wskazywać właściwą drogę.

Emilia czuła, że nie potrzebuje już żadnego drogowskazu. Była na właściwym miejscu, obok właściwego człowieka. W otoczeniu morskich fal zaczynała z Szymonem nowy rozdział ich wspólnej książki zatytułowanej *Życie*.

